

ANETA JADOWSKA



KATIA

CMENTARNE LOVE STORY

SON
imaginatio

KATIA



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

ANETA JADOWSKA

KATIA

CMENTARNE LOVE STORY

Kraków 2023

Spis treści

Okładka

Strony tytułowe

Spis treści

Dedykacja

1. Nie każda urna musi być dostojna

2. Nie masz furii jak matka ze złamanym sercem

3. Cmentarne pieśni

4. Ciężar żaloby

5. Nigdy nie jesteś za stara, by uniknąć opieprzu od matki

6. Flirtujący przedsiębiorca pogrzebowy i mniej przyjemne dziwa

7. Nikt w tej robocie nie zna normalności

8. Pusta trumna, łapówki i skrucza w ślad za brawurą

9. Co może pójść nie tak... poza tym, że wszystko?

10. Na niektóre spotkania zawsze jest za wcześnie

11. Bogini o ludzkiej twarzy wcale nie przeraża mniej

12. Zło nie śpi, lecz szwenda się po cmentarzach

13. Prawie własny kawałek podłogi

14. Zburzony azyl

15. Ciągnie wilka do lasu, a nekromantkę na cmentarz

16. Kto się zajmie naszymi zmarłymi?

17. Pytania we wszystkich kolorach tęczy

18. Oko w oko z liczbami

19. Agitacja i wąskie okienko

20. Czarne skrzydła

21. Zbyt wiele kluczy i załączek planu

22. W winie prawda

23. Tak blisko, a jednak daleko...

24. Brzydkie sekrety i nocne wezwanie

25. Już czas

26. Praca jej rąk

27. Serce nie jest gratisem od firmy

28. Sprawy serca i śmierci

29. Nekromantka w szybkim wybieraniu

30. Trupy w szafie licza

31. Serce w glinie i rozmowy od serca

32. Ten cmentarz jest za mały dla nas dwojga

33. Życie, śmierć i to coś pomiędzy

34. Jedno małe niezycie

35. Cuchnące sekrety

36. A glina ciałem się stała

37. Pułapka pogrzebowa

38. Po nitce do kłębka

39. Laleczki i dom z koszmarów

40. Naprawdę wieczny odpoczynek

41. Przetracony kręgosłup sprawiedliwości

42. Czarne skrzydła sprawiedliwości

43. Zamknięte rachunki

Epilog. Supełki i kokardki

Książki Anety Jadowskiej w wydawnictwie SQN

Strona redakcyjna

Reklamy

Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacje

Rozdział 1 nie każda urna musi być dostojna

Rozdział 2 nie masz furii jak matka ze złamanym sercem

Rozdział 3 Cementarne pieśni

Rozdział 4 Ciężar żaloby

Rozdział 5 Nigdy nie jesteś za stara, by uniknąć opieprzu od matki

Rozdział 6 Flirtujący przedsiębiorca pogrzebowy i mniej przyjemne dziwa

Rozdział 7 Nikt w tej robocie nie zna normalności

Rozdział 8 Pusta trumna, łapówki i skrucha w ślad za brawurą

Rozdział 9 Co może pójść nie tak... poza tym, że wszystko?

Rozdział 10 Na niektóre spotkania zawsze jest za wcześnie

Rozdział 11 Bogini o ludzkiej twarzy wcale nie przeraża mniej

Rozdział 12 Zło nie śpi, lecz szwenda się po cmentarzach

Rozdział 13 Prawie własny kawałek podłogi

Rozdział 14 Zburzony azyl

Rozdział 15 Ciągnie wilka do lasu, a nekromantkę na cmentarz

Rozdział 16 Kto się zajmie naszymi zmarłymi?

Rozdział 17 Pytania we wszystkich kolorach tęczy

Rozdział 18 Oko w oko z liczbami

Rozdział 19 Agitacja i wąskie okienko

Rozdział 20 Czarne skrzydła

Rozdział 21 Zbyt wiele kluczy i załączek planu

Rozdział 22 W winie prawda

Rozdział 23 Tak blisko, a jednak daleko...

Rozdział 24 Brzydkie sekrety i nocne wezwanie

Rozdział 25 Już czas

Rozdział 26 Praca jej rąk

Rozdział 27 Serce nie jest gratisem od firmy

[Rozdział 28 Sprawy serca i śmierci](#)
[Rozdział 29 Nekromantka w szybkim wybieraniu](#)
[Rozdział 30 Trupy w szafie licza](#)
[Rozdział 31 Serce w glinie i rozmowy od serca](#)
[Rozdział 32 Ten cmentarz jest za mały dla nas dwojga](#)
[Rozdział 33 Życie, śmierć i to coś pomiędzy](#)
[Rozdział 34 Jedno małe niezycie](#)
[Rozdział 35 Cuchnące sekrety](#)
[Rozdział 36 A glina ciałem się stała](#)
[Rozdział 37 Pułapka pogrzebowa](#)
[Rozdział 38 Po nitce do kłębka](#)
[Rozdział 39 Laleczki i dom z koszmarów](#)
[Rozdział 40 Naprawdę wieczny odpoczynek](#)
[Rozdział 41 Przetracony kręgosłup sprawiedliwości](#)
[Rozdział 42 Czarne skrzydła sprawiedliwości](#)
[Rozdział 43 Zamknięte rachunki](#)
[Epilog Supełki i kokardki](#)

[Książki Anety Jadowskiej w wydawnictwie SQN](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Propozycje wydawnicze](#)

*Rafowi, na 44. urodziny
mojej cmentarnej randki od 23 lat*

Paulince, na chwałę dekady przyjaźni

ROZDZIAŁ 1

nie każda urna musi być dostojna

Czasami dzień jest przeklęty i nic nie może pójść dobrze, pomyślała Katia, patrząc na dzieło swoich rąk. Naczynie miało prawie pięćdziesiąt centymetrów wysokości, ładne proporcje i było przyjemnie pękate. Idealne, gdyby tylko zleceniodawca zażyczył sobie słoja na ciastka.

Niestety, zażyczył sobie urny i kiedy Katia omawiała z nim zlecenie, kilkakrotnie podkreślał, że marzy, by naczynie wiecznego spoczynku jego żony było nobliwe i pełne dostojności. Katia ułożyła na kole solidną bryłę gliny, zerknęła na szkic. Przedstawiał smukły, elegancki flakon. Ale potem jej wyobraźnia i pamięć mięśniowa poszły swoją drogą i oto był – uroczy słój na słodkości. Kolejny do kolekcji. Brakowało tylko wieczka z ciasteczkiem zamiast gałki.

A najgorsze, że ten słój, pękaty, wdzięczny i uroczy, doskonale pasował do Stanisławy Kaczmarek, której prochy miały w nim spocząć. Katia znała staruszkę od lat. Stasia przemierzała ulicę, przy której obie mieszkały, nucąc szlagiery Krzysztofa Krawczyka, i choć fałszowała przy tym niemilosiernie, nic sobie z tego nie robiła, bo nie o czystość dźwięków szło, ale o radość śpiewania, jak kiedyś wyjaśniła Katii. Robiła na drutach cudownie kolorowe swetry (których rękawy prawie zawsze miały różną długość) oraz szale „na bogato”, z frędzlami, tak długie, że nawet kilkakrotnie owinięte wokół szyi sięgały do kolan. Miała dobre słowo dla każdego mijanego psa i każdego kota, a dla dzieciaków z sąsiedztwa kieszenie pełne lizaków. Jej serce było ogromne i dzieliła je równo między

ukochanego męża („tego samego od pięćdziesięciu lat, bo po co zmieniać, jeśli kolejny może być gorszy”), ich psa rasy „wszystkie naraz” i tureckie telenowele o sułtanach i pięknych hurysach. Wydawała się mieć zapasy energii i śmiechu na kolejne dwadzieścia lat życia, ale jej wielkie serce stanęło nagle, w środku nocy.

Kiedy Kazimierz Kaczmarek obudził się jak zwykle o piątej trzydzięci – jakby pięć lat temu nie przeszedł na emeryturę i wciąż czekała go zmiana na kolei – jego żona była już chłodna w dotyku i „zupełnie jak nie ona, bo się nie uśmiechała”.

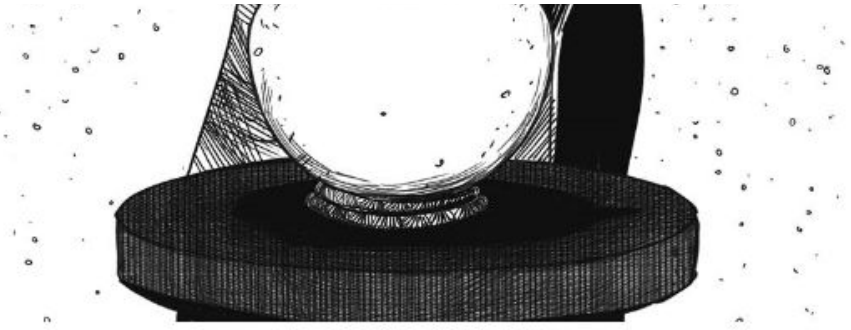
Gdy podczas pogrzebu celebrans zapewniał, że Stasia pozostawiła po sobie dziurę, której nikt nie zdoła zappełnić, ciężko było się nie zgodzić. Ciało spopieleno, a prochy przesypano do prostej urny wybranej z katalogu krematorium. Na spodzie widniał nadruk „Made in China” i... nie dawało to panu Kazimierzowi spokoju. Bo jego żona z pewnością nie była masowej produkcji. Dlatego po kilku miesiącach przyszedł do Katii i poprosił o urnę. Wiedział, że zajmowała się ceramiką, bo jego żona przynosiła do domu kupione u niej skorupki.

Tyle że Katia nigdy nie robiła urny. Co w sumie było dziwne. W końcu zajmowała się zawodowo dwiema rzeczami – zmarłymi (czy, szerzej, magią śmierci) oraz ceramiką. Wytwarzanie urn wydawało się naturalną wypadkową tych zainteresowań, jednak nigdy wcześniej nie miała takiego zlecenia. A teraz wcale nie była pewna, czy sprosta zadaniu. Bo choć rozumiała, czego oczekiwał pan Kazimierz, coś w jej wyobraźni chciało iść w zupełnie innym kierunku. Paradoksalnie, może byłoby jej łatwiej trafić w jego gust, gdyby nie znała Stasi?

Wstała od koła i zaniósła naczynie do suszarni. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wziąć kolejnej kuli gliny i nie zacząć od nowa, ale miała za sobą długi i ciężki dzień. Była zmęczona, głodna, wykończona słuchaniem młotów pneumatycznych i odgłosów wyburzania sąsiadującego z jej działką budynku, i nawet czas spędzony przy kole garncarskim nie rozplątał kłęбка nerwów, który nosiła w sobie od tygodnia. Włożyła więc narzędzia do pojemnika, odwiesiła fartuch na haczyk i zgasiła światło.

Niewątpliwy urok posiadania pracowni w budyńeczku gospodarczym na tyłach domu polegał na tym, że po pracy wystarczyły ledwie cztery kroki, by znaleźć się u siebie. Żadnego stania w korkach czy gnienienia się w komunikacji miejskiej. Zamknęła za sobą drzwi na klucz. Zwykle nawet nie przychodziło jej to do głowy – dzielnica była spokojna i od lat nie słyszała, by ktokolwiek padł tu ofiarą kradzieży – ale odkąd rozpetąta się wojenka podjazdowa z nowym sąsiadem, niejakim Bączkowskim, sytuacja uległa zmianie. Typ był złośliwym fiutkiem i nic nie sprawiłoby mu większej frajdy niż napsucie jej krwi.





Na podwórku otoczyła ją błoga cisza. Katia zerknęła za siatkę, do niedawna oplecioną od strony sąsiadki winoroślą i bluszczem, a teraz całkiem łysą i ledwie trzymającą się na pordzewiałych słupkach. Z domu pani Halinki niewiele zostało. Po jej śmierci syn szybko sprzedał niewielką nieruchomość. I się zaczęło. Nowy właściciel z miejsca zabrał się do wyburzania, a także szykanowania sąsiadów. Marzyło mu się wykupienie kilku działek, ta po pani Halince była tylko pierwszym krokiem na drodze do celu. Katia słyszała, że dwoje sąsiadów już sprzedało lub rozważa sprzedaż nieruchomości. Jednym z nich był pan Branicki, którego działka przylegała do jej działki od drugiej strony. A zatem to posesja Katii stała na drodze do spełnienia złotego snu ekspansywnego nabywcy o posiadaniu rezydencji idealnej.

Był to tylko jeden z przejawów nieuniknionych zmian, które zachodziły na Wrzosach. Kiedy dziesięć lat wcześniej kupiła mocno podniszczony domek działkowy i przerobiła go na jednoosobowe, przytulne lokum z pracownią ceramiczną w budynku gospodarczym na tyłach, średnia wieku w sąsiedztwie oscylowała w okolicach sześćdziesiątki, ona miała dwadzieścia pięć lat. Teraz jej sąsiedzi powoli wymierali, a domki zmieniały właścicieli. Na przykład na takich pokroju Bączkowskiego.

Katia nie łudziła się, że cokolwiek może zatrzymać te zmiany. Demografia była nieubłagana. Nie zamierzała uciekać się do nekromancji – za to wkrótce może dostanie kolejne zlecenia na urny, jeśli pan Kaczmarek będzie zadowolony i wieść rozniesie się po okolicy. O ile wcióż będzie tu mieszkała... I nie, nie chodziło tylko o zakusy Bączkowskiego,

który najpierw pomachał jej forszą przed nosem, a gdy nie śpieszyła się z decyzją, zaczął uprzykrzać jej życie. Miała poważniejsze problemy niż ambicje nowobogackiego dupka. Jeśli opuszczę swój domek, to z zupełnie innego powodu, pomyślała smętnie, przycinając maleńkie kamienne patio, ledwie mieszczące dwuosobowy stolik i donicę z kiełkującymi już cebulkami hiacyntów. Czują w kościach nadciągającą zmianę. Czy będzie tu jeszcze, nim hiacynty zakwitną? Nie wiedziała. I nie znosiła tej niepewności.

Katia była kobietą, która zawsze miała gotowy plan i harmonogram jego realizacji. A teraz wszystko zdawało się chybotać i kołysać na cieniutkich nitkach. I co najgorsze, poniekąd sama ponosiła za to odpowiedzialność. Bo od kilku lat czuła, że jest jej ciasno w życiu, ale unikała zastanawiania się, co może zrobić, by to zmienić. Więc los przyparł ją teraz do muru i szturchał palcem. Jej ojciec zawsze powtarzał, że chętnych los prowadzi, a niechętnych wlecze. Wiedziała, że jeśli nie podejmie wkrótce stosownych decyzji, los w ramach motywacji może się posunąć do zrzucenia jej ze schodów. Sęk w tym, że choć rozumiała potrzebę zmian, nie była pewna, czy jest gotowa zostawić za sobą tak wiele z tego, co było dla niej ważne. Jak ten domek, który pozwolił jej zapuścić korzenie.

Gdy weszła do środka, trzasnęła drzwiami, by zaskoczyła blokada zamka. Powinna wymienić klamkę, ale to też odwlekała. Światło w sieni zapaliło się automatycznie, gdy czujka wykryła ruch, więc zzuła adidas i wsunęła stopy w pluszowe papucie. Królicze uszy kiwały się przy każdym kroku. Przeszła do kuchennego zlewu i starannie umyła brudne od gliny ręce. Powinna od razu wejść pod prysznic, ale była zbyt głodna i zmęczona. Uznała, że najpierw należy jej się dzbanek herbaty, szybki stir-fry z gryczanym makaronem i może odcineczek *Bridgertonów* – bo jak zawsze, gdy choć na chwilę zbłądziła myślami w stronę decyzji czekających na rychłe podjęcie, humor oklapł jej jak zmokła kura. W zanadru miała jeszcze pół kubelka lodów i butelkę portugalskiego czerwonego wina. Wino nigdy nie rozwiązywało kłopotów, ale czasem pomagało o nich zapomnieć. Niczego więcej nie oczekiwała.

Pół godziny później siedziała przed telewizorem z miską obłędnie pachnących warzyw, przyrumienionego na złoto tofu i połyskujących sosem hoisin klusek. Jedną ręką mieszała je pałeczkami, bo szybciej wystygły, drugą nalewała z dzbanka do filiżanki herbatę jaśminową. Gdyby miała trzecią, klikałaby pilotem w menu Netflix'a w poszukiwaniu kolejnego odcinka przygód Daphne i Simona. Była gotowa uwierzyć, że może życie nie jest do końca takie złe i wszystko się ułoży. Da sobie radę, prawda?

Nie mogła wiedzieć, że maszyna już ruszyła. Że za kilka minut, jeszcze zanim zje kolację, zacznie się jedna z najważniejszych i najdziwniejszych przygód w jej życiu. Naznaczona szaleństwem, stratą, bólem i pragnieniem zemsty.

Takie rzeczy normalnie się Katii Kornatowskiej nie zdarzały. Jej przyjaciółka Dora Wilk, ze swoim talentem do przyciągania szajby, uznałaby taką kaskadę wydarzeń za najzupełniej typową, ale Katia miała znacznie zdrowszą koncepcję normy. A ta i owszem, uwzględniała szwendające się zombie, ożywieńców wyłazających z grobów czy pojedynki na pieśń śmierci z ogarniętymi trupią gorączką kolegami po fachu, ale nie fakt, że ktoś postanowi mierzyć do niej z broni palnej!

ROZDZIAŁ 2

Nie masz furii jak matka
ze złamanym sercem

Kiedy rozległ się dzwonek u furtki, a raptem kilka sekund później ten przy drzwiach, nie zaniepokoiła się. Nie spodziewała się gości, ale przecież Dora czy Witkacy (szaman, a przy okazji były chłopak) nie musieli się zapowiadać czy umawiać na spotkanie. Wstając z kanapy, uśmiechała się pod nosem, niemal pewna, że to właśnie Witkacy. Może instynkt podpowiedział mu, że zostało jej sporo smażonego makaronu? Dokarmianie go było stałym elementem ich związku, a po zerwaniu – solidną podwaliną przyjaźni.

Tyle że to nie Witkacy stał na progu, ale kobieta, której Katia nie spodziewała się więcej zobaczyć. W pierwszym momencie jej nie rozpoznała, tak duże były zmiany, które zaszły u jej gościa od ostatniego spotkania. Agata Mitera wyglądała, jakby przez te cztery miesiące postarzała się o dekadę. Schudła przynajmniej kilkanaście kilogramów, jej rysy nabrały ostrości, a oczy wydawały się płonąć ogniem rozpacz. Cienie pod nimi miała tak wyraźne, że Katia przestraszyła się, że to sińce, bo kobietę ktoś pobił albo miała wypadek. I włosy! Jakim cudem przez cztery miesiące prawie całkowicie posiwiały? Niegdyś gęste ciemnobrązowe loki sięgające do połowy pleców stały się niemal zupełnie srebrne.

Mitera tkwiła na schodku, trzęsąc się z zimna, w rozpiętym płaszczu i w lekkim swetrze, choć marcowe wieczory były ciągle chłodne. Katia nie

rozumiała, jakim cudem kobieta trafiła do jej domu. Pilnowała, by jej adres nie był powszechnie znany; w tej branży lepiej zachować ostrożność. A jednak jej dawna klientka trafiła na Wrzosi. Stała teraz przed nią, roztrzęsiona, zboląta i milcząca, jakby zapomniała, co ją tu sprowadziło.

– Pani Agato? – zapytała Katia łagodnie, a kobieta wbiła w nią spojrzenie czarnych oczu płonących jak w gorączce. Jej usta drżały, jakby za chwilę miała się rozplakać. Obejmowała się ramionami, przyciskając do boku czarną torbę. – Wejdzie pani? Jest chłodno.

Agata Mitera westchnęła boleśnie i przekroczyła próg Katii. Na ułamek chwili zamarła, czując, jak prześlizguje się po niej magia kręgów ochronnych. Wzdrygnęła się, mimo to weszła do środka. Katia zamknęła za nią drzwi, zastanawiając się, co, u licha, spotkało tę kobietę w ostatnim czasie.

Kilka miesięcy temu Agata Mitera straciła córkę, ośmioletnią Karinę. Dziewczynka umarła nagle z powodu wrodzonej wady serca, o której nikt nie miał pojęcia, dopóki nie zasłała w trakcie zabawy z psem. Kobieta, która chwilę wcześniej planowała przyjęcie urodzinowe dla córki, musiała zaplanować jej pogrzeb.

Dom pogrzebowy Gawrońskich w ramach podstawowego pakietu polecił jej usługi Katii. W Thornie korzystanie z usług nekromanty po śmierci bliskiej osoby było czymś normalnym i stanowiło oczywisty element przygotowań pogrzebowych. Ubranie do trumny, nekromancka pieczęć, zamówienie wieńców – ot, kolejne punkty do odhaczenia.

Po tamtej stronie bramy, gdzie większość doskonale wiedziała, co czarna magia może zrobić ze zwłokami, rozsądniej było dmuchać na zimne niż ryzykować, że nieboszczyk wstanie z grobu jako zombie czy ozywieniec. Z pieczęcią wciąż mogło go spotkać coś mało przyjemnego, na przykład przemiana w ghula czy upiornika, ale na to też były sposoby.

Katia pamiętała pierwsze spotkanie z Miterą, przy katafalku, na którym spoczywały zwłoki drobnej, ciemnowłosej dziewczynki w różowej sukience. Pani Agata ze wszystkich sił starała się zachować kontrolę nad

emocjami, ale surowa rozpacz wyczytała z jej czarnych oczu jak zdziczałe zwierzę.

– Proszę zrobić, co konieczne, by mojego dziecka nie spotkało już nic złego. Cena nie gra roli – powiedziała, a jej głos drżał, jakby zapomniała o oddychaniu.

Katia zapewniła ją wtedy, że nie ma powodu do zmartwień – założy najpotężniejszą pieczęć nekromancką, czarna magia nie zdoła tknąć ciała. By jak najlepiej dostosować zaklęcie, zadała kilka pytań o tradycje religijne w rodzinie oraz magię dziewczynki, ale Mitera pokręciła głową.

– Jej magia się jeszcze nie przebudziła. W naszej rodzinie następuje to dużo później. Choć Karina miała greckie korzenie, od urodzenia mieszkała w Thornie, jej tata stąd pochodzi. Na wyspach było zbyt wiele potworów, chciałam, by miała spokojne dzieciństwo. Pomyślałam, że Thorn to takie miłe miasto, by założyć tu rodzinę... – Jej słowa przeszły w szloch, ale szybko go stłumiła. Odchrząknęła, jakby chcąc ukryć emocjonalną reakcję.

Drugi raz Katia widziała Miterę, kiedy przyszła na pogrzeb dziewczynki. To nie było konieczne, ale czuła, że powinna tam być. Coś w tej małej, a zwłaszcza w jej matce, poruszało czułą strunę w duszy Katii. Wtedy też przelotnie spotkała Andrzeja Stawczuka, męża pani Agaty i ojca Kariny. Był facetem pod pięćdziesiątkę, przystojnym w ten ojcowsko-nobliwy sposób, a w towarzystwie smukłej żony wydawał się masywny jak kotwica. Jego twarz wyrażała pustkę, oczy miał czerwone od płaczu. Zerkał z niepokojem na Miterę, podtrzymywał ją i obejmował, jakby się bał, że się rozsypie lub wskoczy za trumną do głębokiego dołu.

Kiedy Katia spotkała Agatę Miterę ponownie, Andrzej Stawczuk nie żył. To jego zwaliste ciało spoczywało na katafalku i czekało na zapieczętowanie. Mitera właściwie się nie odzywała. Stała z boku, unikając patrzenia na męża. Straciła dwoje najbliższych w ciągu zaledwie dwóch tygodni. Od Adama Gawrońskiego, właściciela domu pogrzebowego, Katia usłyszała dramatyczną część tej historii. Po śmierci córeczki oboje się przebadali, bo choroba, która zabrała małą, była genetyczna i mogła zagrażać też któremuś z rodziców. Okazało się, że

Stawczuk miał tę samą skomplikowaną wrodzoną wadę zastawek. Wyznaczono już termin operacji, lecz popełnił samobójstwo. Podobno zostawił żonie list, w którym przeproszał, że przez jego niedoskonałe geny straciła światło swojego życia.

Ludzie radzą sobie z żalobą i rozpaczą w bardzo dziwny sposób. Katia po wykonaniu pieczęci próbowała porozmawiać z panią Agatą, jakoś ją pocieszyć, ale ta nie reagowała. Błada i wychudzona, wydawała się kompletnie otepiała. Przez te dwa tygodnie rozpacz zżerała ją od wewnątrz. Kobieta opuściła pomieszczenie w domu pogrzebowym bez słowa. Katia na pogrzeb Stawczuka nie poszła, miała inne zajęcia, poza tym uznała, że nie zostałyby to dobrze odebrane. Nie sądziła, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy Agatę Miterę, zwłaszcza w ciągu kilku miesięcy. Nikt nie miał aż takiego pecha, by potrzebować usług nekromantki z taką częstotliwością, prawda?

A jednak Mitera stała w korytarzu, roztrzęsiona i zagubiona, niepewnie rozglądając się na boki. Patrząc na nią, Katia czuła się tak, jakby ktoś jej przyłożył w splot słoneczny.

– Proszę wejść, nie będziemy rozmawiały w przejściu – zaproponowała. – Napije się pani herbaty? A może wina?

Mitera spojrzała na nią półprzytomnie.

– Herbata wystarczy, dziękuję.

– Zielona jaśminowa może być? Właśnie zaparzyłam dzbanek. Ale mogę zrobić inną, jeśli pani woli – powiedziała łagodnie i poprowadziła gościa w stronę narożnika.

Rozłożył mebel w kształcie litery L, zajmujący większą część pokoju, wyściełały miękkie beżowe poduszki, które łatwo poddawały się ciężarowi ludzkiego ciała, otulając je komfortem. Mitera zawahała się i przysiadła na stojącym nieopodal twardym pufie, jakby zbyt spięta, by zaufać miękkości poduch.

Katia szybko przeszła do kuchni po drugą filiżankę i nalala do niej herbaty. Musiała obejść drewniany stolik, by przycupnąć na narożniku bez przepychania się między nim a pufem, na którym siedział gość. Mitera czujnie wodziła za nią wzrokiem.

– Co panią do mnie sprowadza? – zagaiła nekromantka.

Mitera wydała z siebie ni to sapnięcie, ni to świst, jakby próbowała wziąć głębszy oddech, ale jej oskrzela były zbyt ściśnięte. Sięgnęła po filiżankę, upiła spory łyk, odchrząknęła i wreszcie wykrztusiła:

– Okłamała mnie pani.

Katia poczuła, że krew uderza jej do głowy, a policzki zaczynają palić. Nigdy nie okłamywała klientów, nie wciskała głodnych kawałków, mówiła, jak jest. Gdyby nie miała do czynienia z kimś, kto dochodził do siebie po gigantycznej stracie i zapewne był na skraju załamania nerwowego, ostro zareagowałaby na tego rodzaju sugestię. Teraz jednak tylko uniosła brew i uznała, że pozwoli się pani Agacie wygadać.

– Jej tam nie ma, rozumie pani? Obiecała mi pani, że będzie bezpieczna, spokojna, że to wieczny odpoczynek, ale jej tam nie ma! Nie mogę przestać o niej śnić. O pustej trumnie, pustym grobie! Ktoś mi zabrał moje dzieciątko, a miało być odporne na czarną magię i wszystko złe, które mogło na nią czyhać po śmierci! Nie zdołałam jej uchronić przed chorobą, przed śmiercią, ale, do cholery, miałam ją uchronić przed złem, które sięgnęłoby po jej szczątki doczesne! Moja matka mówiła, że powinnam ją zabrać na wyspy, spopielić, rozsypać prochy na morzu, ale nie mogłam się na to zdecydować. Nie zniósłabym, gdyby nie miała grobu, na który mogę przyjść, ułożyć kwiaty, porozmawiać z nią, choć przecież tylko ja mówię... Ale jej tam nie ma!

Szloch wyrwał się jej z gardła jak bolesne szcęknięcie. Skuliła się w sobie, dociskając torbę do brzucha.

– Czy grób został naruszony? – zapytała Katia cicho.

Mitera pokręciła głową.

– Wszystko wygląda zwyczajnie. Ale ktoś ją musiał ożywić albo ukraść! Co noc widzę pustą trumnę. I słyszę jej płacz. – Szybkim gestem otarła z policzków łzy, rozmazując tusz do rzęs.

Katia westchnęła, lekko sfrustrowana. Rozumiała żal, żalobę, a nawet wyniszczające poczucie winy i odpowiedzialności. Ale znała się na swojej robocie. Nie było możliwości, by zabezpieczone przez nią zwłoki ożywił jakikolwiek nekromanta.

Równocześnie jednak zdawała sobie sprawę, że ciała dzieci, nawet tych bez przebudzonej magii, mają swoich amatorów. Czasami ci, którym marzyła się moc płynąca z czarnomagicznych zaklęć, uciekali się do wykradania z cmentarzy świeżych zwłok, licząc, że magii nie robi to wielkiej różnicy. I czasami faktycznie nie robiło.

Istniały też inne możliwości, których jednak wcale nie chciała badać. A przynajmniej teraz, kiedy na potwierdzenie zniknięcia dziewczynki z grobu miała tylko sny pogrążonej w rozpacz kobiety. Już się z tym zresztą stykała – krewni zmarłego przychodzili do niej po pogrzebie, przekonani, że doszło do pomyłki, a nieboszczyk obudził się w trumnie i teraz wzywa ich w snach, by przyszedli go uwolnić. Ten fenomen miał nawet nazwę – syndrom Poego. Dziś już nie montowano w trumnach dzwonek, które pozwalałyby przebudzonemu wezwać pomoc, ale Katia wplatała do pieczęci alarm, który zareagowałby na wszelkie przejawy życia.

Chciała wyjaśnić klientce, że gdyby Karina ożyła, wiedziałyby, ale nim znalazła sposób, by powiedzieć to względnie delikatnie, kobieta wyciągnęła z torby pistolet i wymierzyła go w nekromantkę. Katia zamarała. Jej magia szarpnęła się w niej, wyczuwając zagrożenie, ale przytrzymała ją gwałtownie. Wielu sądzi, że nekromancja działa tylko na to, co jest lub powinno być nieżywe. Mało kto chce myśleć o tym, że wszyscy noszą w sobie zacyzn śmierci, bo nasze ciała są śmiertelne, każdego dnia umierają w nas miliony komórek. A pchnięte magią śmierci, mogły umrzeć szybciej, choćby wszystkie naraz. Katia nie musiała zresztą zabijać kobiety, mogła osłabić ją tak, że ta nie stanowiłaby już dla niej zagrożenia. Jednak biorąc pod uwagę stan Mitery, byłoby to zbyt ryzykowne. Poza tym Katia nie chciała skończyć z trupem we własnym salonie.

– Pani Agato, proszę schować broń, to naprawdę nie jest konieczne – powiedziała twardo, nasycając słowa dezaprobatą.

– Pani mi nie wierzy, myśli, że postradałam zmysły. – Mitera podniosła głos, wymachując pistoletem. – Ale ja nie oszalałam. Ja wiem. I pani pomoże mi to udowodnić, a potem naprawić. Rozumie pani?

– Oczywiście, że pani pomogę. Ale nie będę tolerować grożenia mi śmiercią. Więc proszę w tej chwili odłożyć broń na stół albo to koniec tej rozmowy – oświadczyła Katia i zaplotła ramiona na piersi dla wzmocnienia kategoryczności tego ultimatum.

Mitera przygryzła wargę. Zaciskała palce na pistolecie tak mocno, że całkiem pobieleły. Ręce jej się trzęsły, a palec wskazujący drżał na spuście. Jeszcze nie odbezpieczyła broni, jak zauważyła Katia, ale w każdej chwili mogła naprawić to przeoczenie. Nekromantka sięgnęła więc po ostateczną metodę perswazji i naśladowując ton Namiestniczki, powiedziała:

– Nie chciałabym pani zabijać tylko dlatego, że poniosły panią nerwy. Nie chciałabym, by pani duch nigdy nie poznał odpowiedzi na dręczące panią pytania. Pewnie zaczęłyby pani nawiedzać mój dom, a ja musiałabym wezwać szamana, by odprowadził panią do Zaświatów. To naprawdę sporo zamieszania, a ja i bez tego mam wiele na głowie. Więc ostatni raz proszę, by pani odłożyła broń, a ja obiecuję nie donieść na panią Namiestniczce i zrobić, co w mojej mocy, by wyjaśnić problem, z którym pani przyszła.

Pani Agata wahała się jeszcze przez chwilę, wreszcie zapytała:

– Przysięga pani?

– Przysięgam – odpowiedziała Katia, czując, jak chwyta ją w uścisk magia przysięgi.

I już wiedziała, że musi wyjaśnić tę zagadkę, inaczej będzie jej ciężać do ostatnich dni.

ROZDZIAŁ 3

Cmentarne pieśni

Katia schowała broń do swojej torby, korzystając z chwili nieuwagi Agaty Mitery. Ta stała już przy drzwiach, niecierpliwie czekając, aż gospodyni się ubierze. Nekromantka wolałaby mieć kilka minut więcej, zmienić domowe legginsy i tunikę ze śladami gliny na rękawach na coś lepiej nadającego się na wieczór na cmentarzu, ale Mitera zaczęła się trząść z nerwów na samą myśl o jeszcze chwili zwłoki. Katia westchnęła więc tylko, po czym założyła wysokie kozaki i ciepły płaszcz. Chłodne popołudnie przeszło niezauważenie w zimny wieczór. Jej klientka w rozchełstanym płaszczu i bez szalika wydawała się nie czuć zimna.

– Czym pani przyjechała? – zapytała Katia, zamykając drzwi na klucz.

– Przyszłam – przyznała kobieta. – Nie mam polskiego prawa jazdy.

Szybki spacer od bramy do Thornu, gdzie Mitera mieszkała, do dzielnicy Katii musiał zająć prawie godzinę. Nekromantka wyciągnęła z torby kluczyki do auta i powiedziała:

– Więc pojedziemy moim.

Gdy wsiadły, już po paru minutach zaczęła ją przytłaczać dziwna aura otaczająca klientkę. Nie wiedziała nic o magii, jaką władała Mitera, nie miała pojęcia, na ile była stabilna w normalnych okolicznościach, ale teraz fale jej magii wypełniały ciasną przestrzeń w samochodzie do tego stopnia, że Katia musiała uchylić szybę, bo ból sprawiało jej nawet oddychanie. Smutek, żal i gniew klientki wydawały się materializować wokół niej, niczym zapach czepiały się skóry, włosów, ubrań. Katia wzmocniła swoje prywatne osłony, gdy dotarło do niej, że uczucia Mitery wsiąkają w nią

głębiej i popychają ją na granicę irracjonalnego płaczu. W normalnych okolicznościach taki brak kontroli u dorosłego magicznego świadczyłby o braku manier. Katia nie winiła jednak kobiety – w jej sytuacji mało kto byłby najlepszą wersją siebie.

Agata Mitera milczała całą drogę. Wpatrzona w okno niewidzącym wzrokiem, międlila w palcach tkaninę płaszcza w sposób, który kojarzył się Katii z przesuwaniem koralików modlitewnych. Poruszała ustami, ale nie wydostawał się z nich żaden dźwięk, jedynie nierówny, nieco świszczący oddech.

Nie zauważyła, kiedy dojechały do bramy, ale gdy znalazły się na ulicy Thornu, a tym samym w kleszczach magii zaklęcia, jęknęła boleśnie.

– Często odwiedza pani Toruń? – zapytała Katia cicho.

Kobieta się wzdrygnęła, jakby sam pomysł odwiedzin w realnym mieście uznała za co najmniej mało roztropny.

– Lepiej się czuję po naszej stronie bramy – odpowiedziała i wróciła do ugniatania poły płaszcza.

A jednak odnalazła mnie w realnym mieście, choć nigdy nie podałam jej adresu, pomyślała nekromantka. Czy ktoś jej pomógł go zdobyć, czy zdołała mnie namierzyć za pomocą magii?

Ulice Thornu były ciche i opustoszałe. Wilgoć i dojmujące zimno tegorocznego przedwiośnia średnio zachęcały do spędzania czasu poza domem. Katia nie dostrzegła żywej duszy, a i martwych kręciło się mniej niż zwykle.

Kierowała się na Cmentarz Centralny, największą i najstarszą nekropolię Thornu. Liczyła sobie ona dobrze ponad czterysta lat i wciąż się rozrastała. Obecnie zajmowała obszar prawie stu pięćdziesięciu hektarów i stanowiła osobliwą kronikę tego miasta i jego mieszkańców. Można się było po niej przechadzać od najstarszych kwater – pomników postawionych w czasie konfliktu magicznych z pierzastymi, który zakończył się (znaczącym zupełnie co innego niż po drugiej stronie bramy) pokojem toruńskim – aż po najnowsze, już bez wielkich grobowców górujących majestatycznie nad odwiedzającymi czy sięgającymi trzy piętra w głąb ziemi, za to z lasem wyrastającym z naturalnych kapsuł pogrzebowych.

Oczywiście nie wszyscy chcieli, by ich szczątki karmiły drzewa, w najnowszej części cmentarza stało wiele tradycyjnych nagrobków, ale trend był wyraźny i Thorn wyprzedzał pod tym względem realną stronę miasta o kilkadziesiąt lat. Na tej samej zasadzie krematorium było w Toruniu nowinką, podczas gdy w Thornie lapidarium na urny założono tuż po tysiąc osiemsetnym roku. Przez pierwsze dziesięciolecia popularnością wciąż cieszyło się spopielenie na stosach pogrzebowych, ale z czasem zaczęły dominować pogrzeby bardziej minimalistyczne, bez składania ofiar z domowego inwentarza. W licznych grobach rozsianych na stu pięćdziesięciu hektarach zadrzewionego terenu spoczywały szczątki w różnym stopniu rozkładu. Gdy tylko Katia zaparkowała przy bramie od Branickiej, jednej z najnowszych bram cmentarnych, wyczuła głos magii śmierci.

Westchnęła cicho. Uwielbiała to miejsce. Dopisała cmentarz w rubryczce „za przewodzątką”, drukowanymi literami. Matka Ziemia w tym miejscu nie szeptała – ona śpiewała, jej magia uderzała do głowy jak szampan. Jako młodziutka nekromantka Katia bała się tego uczucia i przyciągania cmentarza, dużo silniejszego niż w nekropoliach po drugiej stronie bramy, z czasem jednak wiele się nauczyła i zrozumiała. I za każdym razem, kiedy podjeżdżała pod bramę cmentarną, czuła się jak ostatni element skomplikowanej układanki, który wreszcie trafia na swoje miejsce. Było to pod pewnymi względami niepokojące. A jednocześnie przyjemne, choć nikomu się tym nie chwaliła.

Normalny cmentarz o tej powierzchni sprawiałby przytłaczające wrażenie, zwłaszcza gdyby panowały tam porządki takie jak na większości cmentarzy po drugiej stronie bramy, gdzie proboszcz czy administrator z każdego metra ziemi chciał wycisnąć jak najwięcej opłat, więc pomniki z lastryko stały tak gęsto, że w wielu miejscach nie można między nimi przejść, nie depcząc obramowania grobu. A jeśli okres opłaty za kwaterę upływał dwa dni przed Wszystkimi Świętymi, ten sam pan i władca dusz żywych i umarłych przyczepiał do krzyża karteczkę z informacją, że albo rodzina wniesie kolejną opłatę czynszową, albo grób zostanie zlikwidowany.

Katia szczerze tego nie znosiła. Za każdym razem po takich porządkach miała masę roboty, bo rozwłóczony szczątki i nasączona esencją grobową ziemia rozsypała dookoła przyciągały wszelkie magiczne i nieumarłe tałatajstwo. Zanim się obejrzała, musiała uprzątnąć dwie alejki zainfekowane robakami grobowymi albo spacyfikować przesadnie podkarmione esencją duchy awansujące na poltergeistów czy przebudzone ciała z sąsiednich grobów, bo rozkopanie jednego zawsze naruszało sacrum pozostałych.

Na Cmentarzu Centralnym w Thornie, jeśli likwidowano jakieś groby, to z bardzo konkretnych powodów i forsa nie miała tu nic do rzeczy. Prędej magia. Czasami, gdy ktoś uparcie nie chciał leżeć w grobie, najrozsądniejsze było spopielenie szczątków i złożenie ich w lapidarium. Czasami rodzinne grobowce robiły się zbyt zatłoczone i starszych członków rodziny spopielało albo przekładano z wielkich trumien do bardziej ekonomicznych objętościowo katakumb. Zdarzały się metamorfozy wampirycznych grobowców, bo potrzebna była przestrzeń na trumny nowych członków gniazda. Albo stawiano dobudówki do grobów rodzinnych, gdy trzy żony tego samego gościa bardzo nie chciały leżeć obok siebie i zakłócały spokój żyjącym bliskim.

Katia uświadomiła sobie, że odpłynęła myślami. Reakcja obronna w czystej postaci, stwierdziła, patrząc na swoje zaciśnięte na kierownicy palce. Niepokojąca moc Agaty Mityry otaczała ją jak ciasny wełniany koc, odcinając od świata i przyduszając. Było w tej magii coś znajomego, a jednocześnie obcego. Katia nie umiała tego nazwać ani przywołać odpowiedniego skojarzenia. Pytanie, kim właściwie jest Mitera i jaką ma magię, byłoby w złym tonie, choć nie wykluczała, że będzie musiała je zadać, jeśli grób małej rzeczywiście okaże się pusty.

Magia Karinki jeszcze się nie obudziła. Ale nie musiała się obudzić, by mieszać w życiu pozagrobowym, pomyślała Katia. Wtedy, podczas zakładania pieczęci na ciało, powinna naciskać na uwzględnienie magicznego dziedzictwa dziewczynki, nie chciała jednak sprawiać rodzicom przykrości. Teraz, czując magię przemykającą zimnymi palcami po jej kręgosłupie, a także zapach przypominający woń kadzidła czy egzotycznych olejków, zastanawiała się, czy to właśnie był błąd, który

doprowadził do tego, że siedzi w aucie z kobietą na granicy załamania nerwowego, która jeszcze godzinę temu mierzyła do niej z broni palnej.

Agata Mitera, całkowicie nieruchoma, wpatrywała się w szybę, lekko zaparowaną po wyłączeniu klimatyzacji. Być może bliskość cmentarza sprawiała jej ból, bo mięsień na jej policzku drgał nerwowo i oddychała z trudem, głośno i chrapliwie.

Katia szarpnęła za klamkę i wyskoczyła z samochodu. Z ulgą zaczerpnęła zimnego, wieczornego powietrza. Ziemia zaczynała już pachnieć tą życiodajną wilgocią, z której wkrótce wykluje się wiosna. Magia cmentarza sięgnęła do Katii i otarła się pocieszająco o jej zmysły, jakby upewniała się, że z nekromantką wszystko w porządku. Z grubsza było. Choć gdyby to od niej zależało, nigdy więcej nie wsiadłaby do auta z Miterą.

Pochyliła się i zajrzała do środka.

– Wszystko okej? – zapytała z wahaniem.

Kobieta drgnęła, jakby ją obudziła z głębokiego snu.

– Tak... jeśli w tej sytuacji cokolwiek może być okej – odpowiedziała i zaczęła się siłować z pasem, a potem z klamką. Katia zdążyła obejść samochód i wypuścić klientkę, zanim ta zdołała otworzyć drzwi.

Mitera szła w stronę bramy cmentarnej prawie jak zombie, jakby na autopilocie. Ile razy w ciągu ostatnich miesięcy przemierzała tę trasę? – zastanawiała się Katia, idąc za nią.

Było ciemnowo. Słońce zaszło kilka godzin temu, a stare cmentarne drzewa przysłaniały księżyc. Szeroką alejkę, biegnącą prosto od bramy w głąb tak zwanej sekcji XIII, czyli części dołączonej do cmentarza w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, oświetlały żółtawym blaskiem latarnie stylizowane na te gazowe, dziewiętnastowieczne. Kwatera dziecięca miała dodatkowe wzmocnienia, z wmurowanym głęboko ogrodzeniem i bramą kutą z zimnego żelaza. Ot, przezorność wynikająca z doświadczeń przeszłych pokoleń. Dziecięce ciała i dziecięce duchy były bardziej nieprzewidywalne i niestabilne, a do tego kuszące dla zbyt wielu, by pozostawiać pewne rzeczy przypadkowi i standardowym zabezpieczeniom.

Zatrzymały się przy nagrobku z kremowego marmuru. Nad ciężką płytą górowała figura cherubinka, trzymającego w dłoniach szmacianą lalkę. Rzeźba była piękna i dało się zauważyć rękę artysty. Nieco dziwniejsze wydało się Katii to, że reszta nagrobka była zamknięta w klatce. Grube pręty udekorowano motywami roślinnymi, jakby grób i kratę obrastał kuty z żelaza bluszcz. Katia zastanawiała się, co prócz walorów estetycznych popchnęło panią Agatę do zastosowania takich zabezpieczeń.

Spotykała się z podobnym rozwiązaniem przy naprawdę wiekowych grobach młodych kobiet i dziewczynek. Jeszcze sto lat temu wierzono, że częściej budzą się jako upiory lub wampire. Dziś Katia mogła śmiało powiedzieć, że płęć jest bez znaczenia, bo równie często usypiała ożywieńców płci męskiej, co żeńskiej, ale takie było kiedyś przekonanie – dziewczynki, jako bardziej narażone na podszepty diabła, miały też być bardziej podatne na czarną magię, a za taką uważano nekromancję. Rodziny w dobrej wierze starały się zabezpieczyć zwłoki córek. Często sięgały po ludowe metody, jak wsypywanie do trumny maku czy właśnie montowanie klatek z żelaza. Oczywiście dawniej radzono sobie z tym zagrożeniem jeszcze inaczej, ale dziś tamte metody postrzegano jako barbarzyństwo. Mało kto był gotów zmarłej nastoletniej córce obciąć głowę i ułożyć ją między jej stopami.

Jedno było pewne – klatka nad nagrobkiem pozostawała nietknięta. Katia nie dostrzegła żadnych śladów, by ktoś – ze środka lub z zewnątrz – próbował się z nią siłować. Trzy kłódki trwale zalutowano, więc nawet gdyby ktoś miał klucz, nie zdołałby ich otworzyć. Kłódki były sygnowane przez dom pogrzebowy, toteż nikt nie mógł ich przeciąć i wymienić na nowe.

A jednak coś jej nie pasowało. Może udzielało się jej zdenerwowanie pani Agaty albo widok klatki na nagrobku rozbudził jej wyobraźnię, bo poczuła gęsią skórkę wypęłzającą na kark.

– Musi mi pani uwierzyć, wiem, jak to wygląda... – zaczęła Mitera, ale szybko urwała. Trzęsąc się, objęła się ciasno ramionami, jakby dopiero teraz dotarło do niej, jak jest zimno i jak lekko jest ubrana.

Katia ufała swojej intuicji. Mogła wezwać majstra, który rozciąłby kłódki i uniósł kratę, a potem odsunął płytę i pozwolił jej zajrzeć do trumny. Mogła też zapytać tę, która wiedziała wszystko.

- Pani Agato, proszę na chwilkę usiąść. To może nie być przyjemne - ostrzegła. Trudno było przewidzieć, jak człowiek zareaguje na pieśń nekromantki, a tym bardziej na odpowiedź Matki Ziemi.

Wokół pomnika było sporo wolnej przestrzeni, bez trudu więc przed nim kucnęła, po czym oparła się obiema dłońmi o zmarzniętą ziemię. I zaśpiewała.



Zacęła od podstawowej pieśni nekromanckiej – gaelickiej, która w licznych zwrotkach pełnych poetyckich metafor zadawała pytanie: czy żyje tu coś, co powinno być martwe? Umilkła i w napięciu czekała na odpowiedź. Na tak starym i wielkim cmentarzu ta nie zawsze padała szybko, ale tym razem już po kilkunastu sekundach usłyszała i wyczuła w trzewiach jej pomruk. Nic, aktualnie cmentarz nie miał na stanie żadnego zombie, ożywieńca, pluja, wapiersza ani upiora.

Ale Katia wyczuła w pieśni Matki Ziemi delikatne wahanie. Coś zaburzało równowagę, niepokoiło ją. Coś, co Katia powinna naprawić. Zaśpiewała kolejną pieśń, w języku starszym niż gaelicki. Oparta głównie na samogłoskach, przywodziła na myśl słowo „lament”. Była krótsza, obracała się wokół jednego podstawowego pytania: „Co cię boli, Matko?”.

Gdy Katia usłyszała odpowiedź, wyprostowała się gwałtownie. Jej włosy wciąż unosiły się od poddmuchu magii. Matka Ziemia była zła. Niekoniecznie na Katię, ale i tak oberwało się jej rykoszetem. Coś jej zabrano, coś, co stanowiło jej własność i powinno pozostać chronione.

I w tej sekundzie wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, Katia zrozumiała, że prawie na pewno klientka ma rację i trumna jej córki jest pusta. Po drugie, Agata Mitera nagle runęła nieprzytomna, o włos mijając czołem żelazną klatkę otaczającą grób.

Katia rzuciła się, by ją łapać, ale okazała się zbyt powolna.

ROZDZIAŁ 4

Ciężar żałoby

Następne czterdzieści minut wlokło się Katii jak dwie godziny. Miała wrażenie, że postarzała się w tym czasie o pół dekady. Zdołała docucić Agatę Miterę, choć ta, nawet gdy otworzyła oczy i zapewniła, że nic jej nie jest, leciała przez ręce, jakby w jej ciele wyczerpała się bateria.

Katia ostrożnie pomogła jej wstać. Na raty, bo gdy tylko kobieta usiadła, zakręciło jej się w głowie i znów wyglądała, jakby miała zemdleć. Może uderzyła się w głowę mocniej, niż Katia sądziła? Biorąc pod uwagę, że była nieprzytomna dłużej niż trzy minuty, powinny wezwać lekarza czy uzdrowiciela, ale Mitera nie chciała o tym słyszeć. Odrzuciła też propozycję wizyty w Sanktuarium, u uzdrowicielki Jemioły.

– To nie będzie konieczne – powiedziała, krzywiąc się z bólu i uciskając skronie. – Jeśli chce mi pani pomóc, proszę mnie odwiedzić do domu.

– Nie wiem, czy powinna pani zostać sama na noc, w Sanktuarium miałyby pani opiekę – przekonywała nekromantka.

Wyobraźnia podsuwała jej obrazy klientki, która umiera w domu wskutek krwawienia podtwardówkowego albo pęknięcia tętniaka. Był to jeden z mniej przyjemnych skutków ubocznych magii śmierci – patrzeć na kogoś, bez trudu mogła wytypować kilka przyczyn zgonu. Martwe ciała nie szeptały do niej jak do Bogny, koronerki władającej inną wariacją magii śmierci, ale czasami makabryczne obrazy podsuwały jej właśnie

ciała żywe. Granica między oboma stanami nigdy nie była dla jej magii ostra.

Mitera nie zamierzała ustąpić.

– Nie będę sama – odparła Mitera i westchnęła boleśnie. – Po śmierci męża sprowadziła się do mnie matka.

Z trudem dźwignęła się z ziemi. Jeśli chciała zademonstrować, że całkowicie panuje nad sytuacją, byłoby lepiej, gdyby nie chwiała się na nogach, jakby cały świat wirował jej przed oczami.

– To nic takiego – zapewniła, widząc zmartwioną minę Katii. – Nie jadłam nic od rana... albo od wczoraj? Nie pamiętam.

Katia nie mogła więc zrobić nic ponad dopilnowanie, by pani Agata dotarła do domu.

– Chodźmy do auta, robi się coraz zimniej – powiedziała. Była pewna, że w nocy znów się rozpada, od wilgoci w powietrzu zaczęły jej się puszyć włosy.

Mitera ponownie wydawała się nie czuć zimna. Pozwalała się Katii prowadzić na parking, ale raz po raz oglądała się za siebie, zerkając na grób córki. Biały anioł ze szmacianą lalką odcinał się od ciemnych gałęzi drzew.

Katia otworzyła jej drzwi i pomogła usadowić się w fotelu pasażera. Kobieta westchnęła z ulgą.

– Powie mi pani, co ustaliła? – zapytała, gdy nekromantka zajęła miejsce za kierownicą.

– Dziś niewiele. Dopiero zaczęłam i zajmie mi to kilka dni – odparła Katia wymijająco.

Agata Mitera przytaknęła, jakby nieobecna myślami, i podała swój adres. Mieszkała w zamożnej dzielnicy, mniej więcej kwadrans jazdy od cmentarza.

Jeśli to stamtąd ruszyła w drogę, by dotrzeć do mojego domu w Toruniu, musiała iść co najmniej dwie godziny, przemknęło przez myśl Katii.

Ledwie zamruczał silnik, a samochód wyjechał z parkingu na ulicę, klientka zapadła w dziwnie głęboki sen. Jej głowa opadła, oddech się wyrównał. Przespała całą drogę, tylko co jakiś czas wyrывał się jej z gardła pomruk czy głośniejszy oddech. Katia została tymczasem sam na sam ze swoimi myślami, i, co gorsza, z gęstym, rozrastającym się wewnątrz samochodu kokonem magii Agaty Mitery. Gdyby kobieta nie była w tak złym stanie psychicznym i emocjonalnym, to, co robiła Katii jej magia, można by uznać za formę nagabywania czy wręcz agresji.

Nekromantka uchyliła szybę po swojej stronie, bo zimne powietrze pomagało złapać oddech. Całą drogę nuciła pod nosem ochronne melodie, aż nacisk obcej magii zaczął słabnąć. Możliwe, że czułaby się spokojniejsza, gdyby wiedziała, kim dokładnie jest klientka i jaką magią włada. A może wcale by jej to nie uspokoiło, co najwyżej uświadomiło, jak bardzo jest niebezpieczna w chwili emocjonalnej słabości.

Zaparkowała przed parterowym, rozłożystym domem w stylu śródziemnomorskim. Wzdłuż frontu ciągnął się taras z jońskimi kolumnami podtrzymującymi dach. Lazurowe okiennice odcinały się od ścian białych jak stare kości. W pozimowo martwym ogrodzie, otoczonym niewysokim kamiennym murkiem, jarzyły się wielkie kule lamp solarnych, oświetlających wysypaną żwirem szeroką ścieżkę biegnącą od kutej furtki z motywem słońca w centralnym panelu aż do dwuskrzydłowych lazurowych drzwi, nad którymi wisiała lampa zalewająca wejście do domu ciepłym żółtym światłem.

– Pani Agato, jesteśmy na miejscu! – obwieściła głośno Katia.

Klientka drgnęła dopiero, kiedy nekromantka dotknęła jej bezwładnej dłoni. Potrzebowała pomocy, by wyjść z samochodu, jeszcze słabsza niż na cmentarzu. Katia objęła ją w pasie i poprowadziła w stronę domu. Na szczęście furtka nie stawiała oporu, wystarczyło ją pchnąć. Zanim dotarły do końca ścieżki, drzwi otworzyły się na oścież.

Na progu stała kobieta, która wyglądała jak starsza siostra Agaty. Równie wysoka, z głową zwieńczoną gęstą koroną mocno kręconych włosów (tyle że znacznie bielszych niż te Agaty), szczupłym, ale silnym ciałem. Podobieństwo rysów twarzy – z wysoko sklepionymi kośćmi

policzkowymi, wyraźną linią żuchwy i pełnymi ustami – było uderzające. Podobnie jak ciemne, wyraziste oczy, które teraz wbijały się w Katię niczym dwa sztylety.

– Co się stało? – zapytała ostrym tonem.

– Zasłabła – odpowiedziała Katia, siłąc się na spokój.

– To nic – mruknęła Agata.

Kobieta w progu westchnęła ciężko.

– No, nic a nic – burknęła, ale mówiąc to, przejęła córkę od Katii i ruszyła z nią do domu. – Proszę wejść, musimy porozmawiać – rzuciła, na wypadek gdyby nekromantka planowała się ewakuować, korzystając z rozproszenia gospodyni.

Katia nie protestowała. Jeśli miała zająć się tą sprawą na poważnie, potrzebowała zgody na otwarcie grobu. Przez chwilę wahała się, czy powinna zdjąć buty. Doszła do wniosku, że to jedna z tych sytuacji, kiedy zasady dobrego wychowania przegrywają z ostrożnością, więc tylko wytarła je starannie o kokosową matę.

Czekała na matkę Agaty Mityry w korytarzu, nie czując się dość swobodnie, by wejść dalej. Tymczasem gospodyni prowadziła córkę w głąb domu. Wróciła po kilku minutach i obrzuciła Katię uważnym spojrzeniem.

– Ty jesteś tą nekromantką, która spieprzyła robotę? – zapytała suchym tonem.

– Ja jestem tą nekromantką, która wykonała kawał dobrej roboty. Niestety żadna pieczęć nie gwarantuje uniknięcia wszystkich zagrożeń.

Starsza kobieta prychnęła, ale już bez złości.

– Dla twojego dobra mam nadzieję, że tak właśnie jest. Nazywam się Ismena Mitera – przedstawiła się, a Katia podała jej swoje imię. Samo, bez nazwiska. Wciąż za mało wiedziała o magii tej rodziny.

Ismena nie skomentowała.

– Chodźmy do kuchni, tam nie ma dywanów, za to jest herbata – powiedziała tylko i ruszyła przed siebie, pewna, że gość za nią podąży.

Przez chwilę krzątała się w ciszy. Zestawiła czajnik na palnik kuchenki, przygotowała dzbanek i susz. Wyciągnęła z szafki dwie filiżanki z porcelany tak delikatnej, że były niemal przezroczyste, i ustawiła je na tacy. Zalała herbatę wodą i przeniosła tacę na blat wyspy. Przysiadła na wysokim stołku i gestem zaprosiła Katię do zajęcia drugiego, naprzeciwko.

– Dziękuję, że przywiozła pani moją córkę. Żałoba zżera ją od środka jak rak. Proszę mi opowiedzieć, co się stało.

Katia przedstawiła jej najprostszą wersję. O wątpliwościach Agaty co do tego, czy ciało Kariny wciąż przebywa w grobie. O wyprawie na cmentarz. O omdleniu. Pominęła wzmiankę o pieśniach nekromanckich i odpowiedzi Matki Ziemi, bo nie chciała poruszać tematu, dopóki nie zyska pewności. Po wszystkim wyjęła z torby pistolet i położyła go na blacie, poza zasięgiem rąk Ismeny. Ta skomentowała obecność broni ledwie uniesieniem brwi.

– Ona nie jest teraz sobą – rzuciła pośpiesznie, po czym pokręciła głową. – To nie do końca prawda. Jest bardziej sobą niż kiedykolwiek. Ból może wzmacniać lub osłabiać, ale nie zmienia zupełnie. Agata cierpi. Za wiele na nią spadło w tak krótkim czasie. Czy wierzysz, że jej sny i lęki mają odzwierciedlenie w rzeczywistości? – zapytała wprost.

– Nawet gdybym nie wierzyła, czułabym się zobowiązana, by to sprawdzić – powiedziała Katia dyplomatycznie.

– Zrób to, proszę. Inaczej ona nie zazna spokoju. Nie mówię o Karince, ta zapewne jest już z przodkami w Elizjum, ale o Agacie. Dla niej każdy dzień tutaj, bez córki, bez męża, jest jak wizyta w Tartarze. Jeśli ktokolwiek zbeczczeił grób mojej wnuczki, dowiesz się tego, prawda?

Katia skinęła głową.

– Będę potrzebowała zgody rodziny na otwarcie grobu – powiedziała.

– Masz ją. – Mitera sięgnęła do szuflady w wyspie, wyjęła blok kremowego papieru i wieczne pióro. Starannym charakterem pisma zanotowała standardową formułkę uprawniającą nekromantkę do decydowania o przeprowadzeniu koniecznych czynności wyjaśniających, w tym ekshumacji i rytuałów przywołania, a następnie podpisała ją

zamaszyście. Przesunęła arkusz po blacie i dodała: – Nie martw się o honorarium, twoje usługi zostaną hojnie wynagrodzone.

– To nie jest konieczne. Pani Agata zapłaciła mi już za pieczęcie pogrzebowe. Jako nekromantka jestem zobowiązana do wyjaśnienia tego, co przytrafiło się ciału Karinki, i jeśli zostało zbezczeszczone, do ukarania winnych.

– Idealistka – prychnęła Ismena, ale uśmiechnęła się ciepło i poklepała Katię pod dłoni. – Dobrze, nie będę w ciebie rzucała pieniędzmi, dopóki nie wystawisz nam rachunku. Ale pamiętaj, że pieniądze często oliwią tryby. Gdybyś na jakimkolwiek etapie śledztwa potrzebowała strasznej Greczynki i worka pieniędzy, jestem do dyspozycji.

Katia odnotowała, że gospodyni zaczęła zwracać się do niej po imieniu, sama jednak wolała zostać przy oficjalnej formie.

– Pani Ismeno... Czy istniały szczególne powody, dla których pani córka aż tak obawiała się o ciało Kariny? – zapytała. – Pieczęcie, wzmocniona zaklęciami trumna, widziałam też kraty nad płytą nagrobną, zimne żelazo i zakłete kłódki... Sporo zabezpieczeń jak na typowy pochówek małej dziewczynki.

Ismena obdarzyła Katię przeciągłym spojrzeniem i westchnęła, postukując paznokciami o blat.

– Nie wiem, szczerze mówiąc, nie wiem. Kiedy się dowiedziałam o tych szczegółach, zdziwiłam się. Uznałam, że to ze względu na pierwszy pogrzeb w ziemi w naszej rodzinie. Tradycyjnie spopielamy ciała, ale Agata nie chciała o tym słyszeć. Potem zaczęła się budzić z krzykiem i w kółko powtarzała, że ktoś ukradł jej córkę. Po śmierci męża tylko jej się pogorszyło... A teraz przyprowadza ją do domu nekromantka, która gryzie się w język, by nie powiedzieć zbyt wiele. Nie chce honorarium, więc to nie naciągaczka, która przysła żerować na zrozpaczonej matce. Czyli musi być coś na rzeczy. – Przez chwilę milczała, wpatrując się w dno filiżanki, po czym dodała ciszej: – Jeśli ciekawi cię, czy w naszej magii jest coś, co sprawiałoby, że nasze ciała po śmierci są wykradania, to

odpowieź brzmi nie. Gdy odchodzi nasz duch, po magii nie ma już śladu. To była zupełnie normalna martwa dziewczynka.

– Przykro mi, że musicie przez to przechodzić – rzekła łagodnie Katia.

– Niestety. Tak nie powinno być, ale nie zawsze da się powstrzymać Mojry przed zrobieniem głupstwa. – I jak za dotknięciem różdżki nastrój Ismeny się zmienił. Wyprostowała się i powiedziała stanowczym tonem, bez śladu melancholii, która jeszcze chwilę temu wyraźnie wybrzmiewała w jej głosie: – Kontaktuj się ze mną, gdy cokolwiek ustalisz. Obie rozumiemy, że Agata jest teraz krucha, ale ja jestem twarda i nie odpuszczę.

Zapisała na kartce swój numer telefonu i przesunęła ją w stronę Katii. Ta obie kartki złożyła w pół i schowała do torby.

– Będę informowała panią na bieżąco, gdy tylko zdołam coś ustalić – zapewniła.

– A teraz napij się herbaty. Obiecuję, że nie jest zatruta. Moja rodzinna tradycja każe podawać truciznę w winie. Nigdy nie znieważylabym w ten sposób porządnej herbaty – dodała Ismena i parsknęła pod nosem, widząc minę nekromantki.

– Czy powinnam znać pani rodzinę? – zapytała ostrożnie Katia.

Nie wypadało zapytać wprost o rodzaj magii, ale wyczuwa wokół Ismeny ten sam rodzaj mocy, który otaczał jej córkę. Z tym że o ile energia wokół Agaty była chaotyczna i ciężka od emocji, ta wokół jej matki przypominała chłodne ostrze.

– Czy powinnaś? W tej części Europy nie spędziłyśmy aż tyle czasu, by zapisać się w zbiorowej pamięci – odparła starsza pani i uśmiechnęła się drapieźnie, doskonale świadoma niepokoju nekromantki. – Na naszym półwyspie nikt nie byłby dość szalony, by zadzierać z Miterami. Jeśli ktokolwiek tu skrzywdzi moją córkę albo naruszył grób mojej wnuczki, może trzeba będzie przedstawić referencje. Do tego czasu musi ci wystarczyć wiedza, że pod niebem Grecji wciąż bliżej ludziom do bogów, a bogom do ludzi.

Cokolwiek to znaczy, pomyślała Katia, upijając łyk herbaty. Uderzył ją intensywny smak, który skojarzył jej się z palącym słońcem i cierpką

słodczy granatów.

ROZDZIAŁ 5

Nigdy nie jesteś za stara, by uniknąć opieprzu od
matki

Wróciła na cmentarz. Coś w odpowiedzi Matki Ziemi nie dawało jej spokoju. Przez większość życia Katia budowała z nią osobistą relację, potrafiła rozpoznać u bogini wahania nastroju. Boginie rzadko kiedy były w pełni stabilne, przynajmniej te, z którymi Katia miała kontakt. Nigdy dotąd nie wyczuła jednak u Matki Ziemi tak dziwnej mieszanki rozdrażnienia, smutku i czegoś jeszcze, czego nie umiała nazwać. Odniosła wrażenie, że Matka Ziemia nie jest sobą, a to nie wróżyło nic dobrego. Gdyby Katia mieszkała nad czynnym wulkanem albo na uskoku płyt tektonicznych, zaczęłyby się pakować. Ale nawet bez widma katastrofy czuła niepokój.

Również z powodu wrażenia, że w jakiejś mierze za ten stan rzeczy odpowiada osobiście. Zrobiła coś, co uraziło Matkę Ziemię, czym prędzej musiała więc odkryć, co to było, i jakoś naprawić swój błąd.

Katia zatrzymała samochód na parkingu cmentarnym w tym samym miejscu nieco ponad godzinę temu. Niestety, w tym czasie furтка została zamknięta na kłódkę. Takie już moje szczęście, pomyślała nekromantka. Owszem, stare cmentarze przeważnie zamykano na noc i tym samym uszczelniano krąg ochronny wokół miejsc pochówku. Tyle że dozorca Cmentarza Centralnego, zwany Kowalem (z racji czerwonej twarzy i spędzania całych dni na cmentarzu – od pluskwiaka, nie od zawodu), był dobrze po osiemdziesiątce i regularnie odpuszczał boczne furtki,

ograniczając rytuał do „głównych” bram, dwuskrzydłowych i bardziej newralgicznych – północnej i południowej. Wychodził z założenia – słusznego, jak zakładała Katia – że liczy się intencja domknięcia kręgu i magia doskonale wie, co chce osiągnąć.

Czy dziś wydarzyło się coś, co sprawiło, że zmienił zdanie? Katia postanowiła, że porozmawia z nim rano, a teraz musiała dostać się na teren cmentarza w nieco mniej standardowy sposób. Mogła objechać go jeszcze raz i zapukać do domku dozorczy, ale staruszek pewnie już spał. A to zostawiało jej właściwie dwie opcje: czekanie do rana albo...

Dobrze, że miała na sobie legginsy i kozaki, a nie buty na obcasie i zwiewną sukienkę, bo podrapałaby sobie uda o szorstki wapienny mur. Wdrapanie się na górę okazało się zaskakująco łatwe, kamienie były nierówne i bez trudu znalazła takie, które wystawały z muru akurat tyle, by oprzeć na nich stopę. Niestety, o wiele łatwiej się wspinać niż zeskakiwać. Wahała się dłuższą chwilę, a potem niezbyt zgrabnie zsunęła się po murze, drapiąc tyłkiem o chropowatą powierzchnię. Nie był to pierwszy raz, kiedy tak pokonywała ogrodzenie, ale w ciepłych ubraniach zawsze czuła się nieco bardziej niezdarnie.

Po tej stronie ogrodzenia było ciemniej. Nie docierało tu światło latarni ulicznych, a grube konary drzew zatrzymywały większość blasku księżycy. Cienie wydawały się wydłużone i nieprzyjemnie ruchliwe. Zupełnie jak w strasznym filmie, tuż nad głową Katii rozległo się pohukiwanie puszczyka. Nekromantka, choć spędzała na cmentarzach mnóstwo czasu, poczuła, jak przechodzi ją dreszcz. Odetchnęła głośno i wymruczała niecenzuralne słowo. Przeklinała swoją nadaktywną wyobraźnię, ciekawość, która przyprowadziła ją tu o tej porze, oraz złe nawyki, z pewnością nabyte w towarzystwie Dory Wilk. Bo przecież nic nie stało na przeszkodzie, by poczekać do rana.

Rano nie będzie tu jednak sama. A jeśli miała rację i jej rozmowa z Matką Ziemią okazałaby się jedną z tych trudniejszych, wołała ją przeprowadzić bez świadków. Dlatego teraz, prawie po omacku, wyminęła kilka pomników i przedostała się na szeroką alejkę. Przeszła nią kilkadziesiąt metrów, aż do głównej, nazywanej arterią cmentarną. Biegła

ona dokładnie środkiem nekropolii, a od niej odchodziły mniejsze, razem tworząc gęstą siatkę na wzór naczyń krwionośnych.

Katia wyjęła z torby miedziany pręt, który był jej różdżką ogniskującą. Nie zamknęła się w okręgu. Może i byłoby bezpieczniej, ale Matka Ziemia mogłaby taki brak zaufania uznać za obrazę lub wyzwanie – a Katia doskonale wiedziała, że gdyby bogini chciała złamać jakiegokolwiek jej bariery, zrobiłaby to z łatwością. I zapewne przy okazji usmażyłaby nekromantce synapsy. Może potem by tego żałowała, zwykle bowiem zdawała się mieć do Katii pewną słabość, ale nawet w swych najlepszych dniach nie zawsze kontrolowała potęgę własnej magii i zdarzało jej się zapominać, że ludzie są delikatni i łatwo się psują.

Nekromantka stanęła więc na środku arterii i zaczęła śpiewać. Nie zadawała pytań, nie szturchała o odpowiedzi. Pieśń, którą wybrała na początek, stara i prosta, opowiadała historię dziecka, które się zgubiło i nawołuje matkę. Wiele lat temu, na początku szkolenia, Katia unikała tej pieśni jak ognia.

Przypominała jej o własnej matce, która uciekła, zostawiając męża i córkę. Jedyńaczkę nazwała owocem szatana. Katia nie miała wtedy nawet siedmiu lat, ale uważała, że mama pewnie wie, co mówi, bo tylko ona wiedziała, kim jest jej biologiczny ojciec. Bo że nie był nim tata, człowiek, który ją wychowywał, stało się pewne, gdy tylko obudziła się jej magia. Nie mogła po nim odziedziczyć magii śmierci. W rodzinie matki też nigdy nie występowała. Siedmioletnia Katia potrafiła dodać dwa do dwóch, zanim jeszcze podслуchała kłótnie rodziców.

Marzena Kornatowska uciekła pod osłoną nocy. Nie zostawiła nawet liściku – najwyraźniej bliscy nie zasługiwali w jej oczach na wyjaśnienie. Ale Katia uznała, że w sumie wszystko jest jasne – to była jej wina. Jej i jej magii. To przez nią mama nie mogła z nimi zostać, nie mogła jej znieść. Przecież zanim magia się obudziła, rodzice nigdy się nie kłócili. Potem prawie nie potrafili ze sobą rozmawiać.

Dali sobie radę we dwójkę. Tata starał się wychować Katię, jakby była jego rodzoną córką. Kochał ją, nigdy w to nie wątpił. Jako jasnowidz nie rozumiał jej mocy, ale wystarał się o najlepszych nauczycieli i

niestrudzenie próbował sprawić, by nie czuła się źle z magią śmierci. Czuła jego miłość każdego dnia. Czuła też smutek, którego nie potrafił przed nią ukryć.

Dorastała, widząc, jak jej ojciec gaśnie. Z każdym rokiem było go jakby mniej. Nigdy się nie skarżył, nie dawał po sobie poznać, że odlicza dni, ale kiedy Katia skończyła osiemnaście lat, dotarł do mety. Zmarł cicho, w śnie, jakby skończyło mu się paliwo. Sekcja nie dała odpowiedzi na pytanie o przyczynę zgonu, ale Katia wiedziała – zabiło go złamane serce. Jedenaście lat wcześniej matka zadała ranę, która nigdy się nie zagoiła, jątrzyła się, a w końcu go zabiła. Jeśli dotrwał do jej pełnoletniości, to tylko siłą woli i z poczucia obowiązku. Kochał ją i nie chciał, żeby trafiła do domu dziecka dla magicznych dzieci. Nie miała innej rodziny. Krewni taty wiedzieli, że nie jest jego biologiczną córką, i nie chcieli mieć z nią nic wspólnego. Krewni matki podzielali jej opinię o szatańskim pochodzeniu Katii, toteż gdyby trafiła pod ich opiekę, pewnie szybko słuch by po niej zaginął.

Ta konkretna pieśń budziła więc w Katii sprzeciw. Nawet gdy miała siedem lat, nie zdarzyło jej się zawołać matki i oczekiwać, że odpowie czymkolwiek poza milczeniem i niechęcią.

Próbowała przeskoczyć ten etap. Nawiazywać więź z Matką Ziemią za pomocą innych pieśni i inkantacji, zwykle dużo bardziej złożonych i trudnych. A Matka Ziemia czekała, aż młoda nekromantka zrozumie coś, co jej umykało.

Aż któregoś dnia, w trakcie ćwiczeń na cmentarzu w Trójprzymierzu, Katia rozplakała się z frustracji, bo choć próbowała wszystkiego, czuła, że między nią a Matką Ziemią jest ściana. Wtedy bogini odpowiedziała jej fragmentem tej właśnie pieśni – zwrotką matki nawołującej zagubioną córkę: „Gdzie jesteś, kochana, nie odchodź w noc, przyjdź tutaj, w ramiona matczyne się wtul”.

Włożyła w te słowa tyle emocji, że Katia w końcu zrozumiała. Tak, jej rodzicielka ją zostawiła i odeszła, ale to wcale nie znaczyło, że ona, Katia, nie ma matki. I że ta matka jej nie kocha. To był przełomowy moment

szkolenia. Nigdy więcej się nie wahała, śpiewając tę pieśń. I nigdy więcej nie czuła się porzucona.

Matka Ziemia wiedziała o pustce, którą nosiła w sobie dziewczyna, i potrafiła wlać w nią uczucie. Stworzyły więź. Katia nie miała pewności, czy inni nekromanci też mieli taką relację z Matką Ziemią, a pytanie o to byłoby w złym tonie.

W tamtej chwili coś się w Katii zmieniło. Przestała fantazjować, że któregoś dnia Marzena Kornatowska wróci i przeprosi ją za wszystko. Nie potrzebowała już powrotu ani przeprosin. Nie potrzebowała już tamtej matki.

Teraz, stojąc w ciemności na Cmentarzu Centralnym w Thornie, wkładała w śpiew całe swoje serce, a jej magia sięgała w głąb ziemi, niczym ręce wyciągnięte do uścisku. Zaśpiewała całą zwrotkę dziecka, a potem ją powtórzyła, nasłuchując odpowiedzi.

Przedłużająca się cisza zaniepokoiła ją nie na żarty. Nigdy jeszcze Matka Ziemia nie milczała aż tak długo. W końcu nekromantka usłyszała jej delikatny szept. Och, zdecydowanie coś było nie tak!

– Matko, co cię boli, co cię smuci? – zaśpiewała, wkładając w słowa cały swój niepokój.

Odpowiedź nastąpiła szybciej niż poprzednio, ale była tak gwałtowna i pełna gniewu, że Katia poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Magia wypełniła ją po brzegi, zalewając jej zmysły, odcinając od ciała. Śmierć wlała się w nią niczym w puste naczynie. Jej uszy, serce i duszę wypełniła pieśń tak potężna, że mogłaby ją zniszczyć, gdyby tego właśnie chciała Matka Ziemia.

Katia klęczała na żwirze, przyciskając ręce do brzucha. Wszystkie jej kości dygotały, wprawiane w ruch siłą wibracji. Doigrała się. I została obsztorcowana jak uczeń. To zmienia wszystko, pomyślała, kołysząc się w przód i w tył, by ukoić ból tłący się w zakończeniach nerwowych.

– Obiecuj! – domagała się Matka Ziemia.

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewniła Katia przez zaciśnięte gardło.

– Wszystko jest w twojej mocy, jeśli zdecydujesz właściwie – odpowiedziała bogini, a jej głos oddalał się w głowie Katii.

Potrzebowała jeszcze kilkunastu minut, żeby przestać się trząść i uspokoić serce, tłukące się w piersi jak koliber uwieczony w szklanej kuli. Odetchnęła chłodnym, marcowym powietrzem. Jej zmysły powoli nasiąkały tym, co rzeczywiście ją otaczało, na powrót zakorzeniając ją w tu i teraz. Poczowała zapach ziemi i wilgoci, i hiacyntów, które rosły wokół jednego z pomników. Miała mokre kolana, a podrapane dłonie szczypały. Odetchnęła raz i drugi, przypominając sobie, że jej ciało jest żywe, że ona jest żywa.

Wstała. Nadal nie widziała zbyt dobrze – magia śmierci jeszcze nie opuściła jej oczu – i gdy rozejrzała się dookoła, próbując sobie przypomnieć, gdzie dokładnie jest, zobaczyła unoszące się w powietrzu fioletowe opary. Wszystko, co żyło, nosiło w sobie załączek śmierci. Spojrzała na swoje dłonie – spod skóry przezierały lśniące fiołkowo kości. Zamrugła i ręce znów stały się takie jak zwykle, tylko teraz brudne i podrapane.

Szła, postępując. Wiele by dała, by zamiast wdrapywać się na ogrodzenie, móc się teleportować do domu. Ciało poruszało się opornie, bolało, jakby miała zakwasy stulecia. Dotarła do furtki i szykowała się mentalnie do pokonania muru, ale usłyszała ciche zgrzytnięcie.

Ciężka kłódka zakołysała się, a zapadki zamka przeskoczyły na właściwe miejsce. Wyjście stanęło przed nią otworem.

- Dziękuję – powiedziała głośno.

Odpowiedziało jej westchnienie.

ROZDZIAŁ 6

Flirtujący przedsiębiorca pogrzebowy i mniej przyjemne dziwa

Oparła czoło o kierownicę. Była tak zmęczona, jakby właśnie przebiegła maraton po zakazanych zaułkach Tartaru. Przekręciła kluczyk w stacyjce i przez chwilę siedziała w bezruchu, czekając, aż nawiew ogrzeje jej zmarznięte ciało. Powinna sobie sprawić auto z podgrzewanymi siedzeniami.

Wycofała się z parkingu i jadąc ulicą wzdłuż cmentarnego muru, przypomniała sobie, że powinna zadzwonić do Adama Gawrońskiego, przedsiębiorcy pogrzebowego, który pochował Karinę Miterę. Zerknęła na zegarek na desce rozdzielczej. Dochodziła dwudziesta trzecia. Za późno, pomyślała, mimo to postanowiła rzucić okiem na dom pogrzebowy, który mijała w drodze do bramy.

Rozłożysty biały budynek Domu Ostatnich Pożegnań stał na skrzyżowaniu Branickiej i Cmentarnej. Na parterze było ciemno, ale w oknach na piętrze, gdzie mieściło się mieszkanie Adama, paliło się światło. Wahala się tylko chwilę. Zaparkowała koło dwóch karawanów, wyciągnęła telefon z kieszeni torby i wybrała numer.

Po chwili w słuchawce rozbrzmiał ciepły baryton Gawrońskiego, a Katia odruchowo się uśmiechnęła. Zaraz potem dotarł do niej sens słów.

- Powiedz, że nie dzwonisz, żeby odwołać randkę. Kupiłem już koszulę, dzięki której moje oczy wyglądają jednocześnie niewinnie i uwodzicielsko. Przynajmniej jeśli wierzyć sprzedawczyni z butiku...

Katia zamarła jak jelonek w świetle reflektorów. Czy to możliwe? W popłochu próbowała sobie przypomnieć ich ostatnią rozmowę. Pieczętowała ciało starszego mężczyzny, Teofila Grzelaka, a jego żona upierała się, że chce być przy tym obecna. Nie chciała jej odmawiać, widziała, że Alina Grzelak jest w złym stanie, ale też wołała unikać ryzyka, z jakim wiązała się obecność świadków. Większość ludzi, nieoswojona z magią śmierci, reagowała na nią gwałtownie, a dotknięcie ciała w trakcie rytuału mogło mieć nieprzyjemne skutki uboczne. Na szczęście Adam przyszedł jej z pomocą. Zapewnił, że będzie miał oko na wdowę i zainterweniuje, gdyby zaszła taka konieczność. Kiedy tylko Katia przystąpiła do pracy, Alina Grzelak zemdląła, osuwając się w ramiona Gawrońskiego. Pamiętała, że po wszystkim rozmawiali – tylko o czym? Była zmęczona i wciąż brzęczała jej w uszach magia, ale chyba o coś ją pytał... Czyżby zamieniała się w pracoholiczkę i zapomniała, że umówiła się z cholernie uroczym facetem?

Najchętniej przewertowałaby kalendarz, ale zostawiła go na stole w salonie. Cisza w słuchawce przedłużała się, kiedy Katia próbowała wymyślić jakąś odpowiedź, która nie uraziłaby uczuć Adama. Naprawdę go lubiła i był bodaj najśłodszym chłopakiem z branży. Ale zanim cokolwiek powiedziała, w słuchawce rozległ się miękki śmiech.

– Wkręcasz mnie? – zapytała zaskoczona.

– Raczej testuję wody. Zawahałaś się, a to znaczy, że nie pomyślałaś: „Niemożliwe, nigdy bym się nie umówiła z tym palantem”, co daje mi spory zastrzyk pewności siebie – powiedział i była pewna, że się uśmiecha. – Nie byliśmy umówieni. Ciągle nie zdobyłem się na odwagę, by to zaproponować. Ale skoro nie rzuciłaś mi w twarz: „Chyba w twoich snach”, może się wreszcie ośmielę.

Katia popatrzyła w jasne okna na piętrze i uśmiechnęła się do siebie.

– Skoro dotąd nie zapytałeś, chyba sama muszę to zrobić – odparła, mrużąc oczy.

– Zapraszasz mnie na randkę?

– Pod warunkiem, że nie zrazi cię rozmowa o pracy między przystawką a daniem głównym – zaznaczyła ucziwie.

- Choćby i przy deserze, bogini, chyba się zakochałem. Normalnie każda wzmianka o pracy przepląsa dziewczyny szybciej niż informacja, że jeszcze rok temu mieszkałem z mamą – powiedział. I dodał pospiesznie: – Tylko na czas remontu u niej, który trochę się przeciągał, jak to remont. I nie mieszkałem w piwnicy!

- Czy w piwnicy nie masz czasem chłodni na zwłoki? – zapytała, znów czując, że się szczerzy.

- To prawda, mam. I to też cię nie odstrasza! Zaczynam mieć mnóstwo uroczych fantazji o naszych przyszłych dzieciach. Myślę, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Zwolnij – prychnęła cicho. – Na początek kolacja. Może spacer po cmentarzu. I niewykluczone, że dzięki seks, ale nie wybiegajmy tak daleko w przyszłość.

Parsknął śmiechem.

- Jesteśmy umówieni. A teraz, skoro brzmisz już lepiej, powiedz, jak mogę ci pomóc.

Westchnęła. Zauważył, no jasne. Widziała to wiele razy w czasie pogrzebów. Był jak najczulszy odbiornik. Podejrzała, że jest empatą – a jeśli tak, wybrał naprawdę fatalny fach, bo z każdym pogrzebem zanurzał się w cudzą rozpacz. Zapytała go o to.

Zaprzeczył, ale nie dało się ukryć, że jego wrażliwość była poza skalą.

- Możemy się spotkać na Centralnym jutro rano? – zapytała poważniejszym tonem. – W części dziecięcej, koło grobu Kariny Mitery. Weź narzędzia, musimy zajrzeć do trumny – dodała.

Wypuścił powietrze z cichym świstem.

- Czyli pani Agata cię odnalazła. Była u mnie kilka razy.

- Dałeś jej mój adres? – zapytała.

- Nawet gdybym go znał, nikomu bym go nie podał. Powiedziałem tylko, że nie mogę odpieczętować grobu i wykopać trumny z powodu złych snów i że potrzebuje nekromanty. Była zdenerwowana.

- Nadal jest, ale teraz już wie, że to nie były tylko złe sny.

- Przykro mi, naprawdę – powiedział miękko. – Jesteś na cmentarzu?

- W okolicy – przyznała wymijająco, znów patrząc w jego jasne okna.

- Jeszcze nie śpię i jestem prawie przyzwoicie ubrany, więc gdybyś chciała porozmawiać...

To była kusząca propozycja. Znała jeden stuprocentowo pewny sposób, by znów poczuć się żywą i gorącą po kontakcie z magią śmierci... ale to byłby bardzo zły pomysł. Z różnych powodów.

Po pierwsze, pracowali razem. Adam jako jeden z niewielu przedsiębiorców pogrzebowych chętnie polecał jej usługi klientom i nie miał nic przeciwko temu, by odprawiała rytuał pieczętowania w jego domu pogrzebowym. Po drugie, zasłużył na coś lepszego niż sprowadzenie do roli termoforu i kotwicy sił witalnych. I wreszcie po trzecie, Katia żywiła poważne obawy, że nie skończyłoby się na gorącym seksie. Mogłaby się zakochać. A wtedy za jej decyzjami stałyby serce i hormony, a nie rozum.

- Dziękuję, nie dziś. Jestem wykończona – powiedziała szybko, zanim przysłoby jej do głowy zmienić zdanie.

- Widzimy się rano. Ósma? W południe mam spotkanie w sprawie planowanego pochówku.

- Jasne. Będę nawet wcześniej, chcę złapać Kowala. Ach, i ubierz się jak na kopianie, załatwimy to od razu, mam zgodę rodziny.

- Zawsze mówisz mi takie miłe rzeczy. Do zobaczenia rano.

Patrzyła jeszcze przez chwilę w jasne okna na piętrze, walcząc z pokusą. A potem wrzuciła komórkę do torby i wyjechała na ulicę. Czas wracać do domu, pomyślała. Dorzucanie do bałaganu, który miała teraz w życiu, zadurzenia w najśłodszy przedsiębiorcy pogrzebowym w mieście byłoby po prostu głupotą czystej wody.

Odjeżdżając, nie patrzyła w tylne lusterko, nie widziała więc sylwetki na tle jasnego okna. I dobrze, bo wówczas być może zabrakłoby jej silnej woli.

*

Dotarła na miejsce tuż przed północą. I prawie zaryła autem w wielką hałdę żwiru, której nie było na jej podjeździe, kiedy odjeżdżała stąd z

Agatą Miterą. Przeklinając pod nosem, zaparkowała auto na chodniku. Dwie latarnie najbliżej jej domu się nie paliły. Nie była pewna, czy to element wojenki podjazdowej nowego sąsiada, czy też plan oszczędnościowy miasta. Ostrożnie stawiając stopy, dotarła do furtki.

Cholerny Bączkowski! Na pewno znów rzuci jakimś gładkim wyjaśnieniem, choćby o nieogarniętym kierowcy furgonetki, którą dostarczono żwir. Och, robotnicy przez absolutny przypadek uszkodzili skrzynkę transformatorową i nie masz prądu? Jak mi przykro! Wywrotka zahaczyła o twoją rosnącą przy ogrodzeniu wiśnię? Jakiż niefortunny wypadek! Gruzbagi blokują ci bramę? Cholera, ci robotnicy tacy nierozgarnięci! I może by mu nawet wierzyła – przecież remontom zawsze towarzyszą uciążliwości i nieprzewidywalne zdarzenia – gdyby za każdym razem po tych gorzkich żalach nie ponawiał propozycji kupna jej domu. A właściwie działki, bo dom zamierzał zburzyć.

Weszła do środka i oparta o drzwi, patrzyła na swój mały świat, zaciskając szczęki. Broniła się przed tą myślą ze wszystkich sił, ale teraz, osłabiona po przeżyciach na cmentarzu i dziwnie rozbrojona flirtem z Adamem, musiała przyznać, że coś się zmieniło. Jej dom przestał być azylem, do którego wracała z ulgą. Jechała tu wyczerpana i zmarznięta i z niechęcią myślała o tym, co znów mogło ją czekać na miejscu. Nie, to zdecydowanie nie powinno tak wyglądać.

Rozebrała się i z piżamą w ręce weszła do łazienki. Będzie woda czy nie? Była prawie pewna, że ten gnój Bączkowski ma jakiegoś znajomka w wodociągach. Mieszkała tu od dziesięciu lat i przez ostatnie tygodnie awarie wody zdarzały się częściej niż przez całą dekadę.

Odkręciła kurek i odetchnęła z ulgą, gdy woda popłynęła dziarskim strumieniem. Wkrótce szyby kabiny zaparowały. Weszła pod prysznic tak gorący, że jej skóra z miejsca poczerwieniała. Resztką grobowego zimna opuściła jej kości.

Długo nie mogła zasnąć, a kiedy wreszcie jej się udało, szybko nawiedziły ją koszmary z pustymi grobami i płaczem dzieci. Obudził ją szloch. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, że wydobywał się z jej gardła.

Przysłoniła oczy dłońmi, ciężko wzdychając. Coś zostało puszczane w ruch, już nie było odwrotu. Czy to ciągle moja decyzja? – zastanawiała się na granicy snu i jawy.

ROZDZIAŁ 7

Nikt w tej robocie nie zna normalności

Katia spodziewała się z rana wielu rzeczy, ale nie śniegu. A jednak gdy o szóstej rozsunęła zasłony w sypialni, trawnik przed domem i drzewka owocowe pokrywał miękki puch. Nie było na tyle zimno, by się utrzymał dłużej niż do południa, mimo to poczuła się zaskoczona. Może niesłusznie. W końcu w marcu jak w garncu i tak dalej. Tyle że Katia desperacko marzyła o wiośnie, jakby budząca się po zimie przyroda była jej niezbędna, by w ogóle funkcjonować. Niewykluczone, że wiązało się to też ze zbliżającym się czasem podjęcia decyzji – jeśli postanowiłaby kandydować do Starszyny i w związku z tym przeprowadzić się do Thornu, czas na złożenie dokumentów miała do piętnastego kwietnia. Na razie jednak nosiła w sobie płataninę pytań, wątpliwości i nieznośnego niezdecydowania.

W jednej chwili wiedziała, co musi zrobić, w drugiej trzymała się kurczowo tego, co znane i udomowione, przeklinała Gardiasza i resztę Starszyny, odgrażała się, że nie mogą jej do niczego zmusić. Zaraz jednak znów zaczynała myśleć o tym, że jeśli zależy jej na zmianach, sama musi stać się ich częścią. A zmiany były po prostu konieczne. Mogła się irytować, że ich katalizatorami są Gardiasz, dupek zza płotu czy wszyscy święci, ale przecież sama puściła maszynę w ruch, bo w tym bałaganie rzeczy nie mogły dłużej pozostać po staremu. Brała też pod uwagę, że sama sprowokowała tę sytuację, bo choć jako samozatrudniona nekromantka i ceramiczka wiodła spokojne, poukładane życie, to brakowało jej wyzwań. I chyba właśnie je sobie znalazła.

Po tym, jak magia przeczołgała ją na cmentarzu, a koszmary we własnym łóżku, czuła się osowiała i zmęczona. Zanim zaczęła się szycować na powrót na cmentarz (tak jakby można się było mentalnie przygotować na otwieranie grobu małej dziewczynki...), w puchatym szlafroku narzuconym na piżamę i kaloszach wyszła na podwórko z puszką ptasiej karmy. Dosypała jej do wszystkich karmników wiszących na drzewkach owocowych. Stado sikorek czekało na najwyższej mirabelce, aż skończy, i ledwie się odsunęła, ptaki zaczęły zlatywać z łopotem skrzydełek, a następnie porywać ziarna słonecznika i dyni. Roześmiała się pod nosem. Uwielbiała tę kompanię łobuzów i czuła się trochę jak Śnieżka, kiedy ufały jej na tyle, by zabrać się do jedzenia, jeszcze zanim zniknie za drzwiami domu.

Dora napomknęła kiedyś, że Katia kultuwuje różne drobne rytuały, by utrzymać równowagę. Często spędzała całe dni otoczona śmiercią, a równocześnie miała w domu mnóstwo roślin, uprawiała ogródek, dokarmała ptaki i dochodzące półdzikie koty.

Katia nie zauważyła tej prawidłowości. Inne owszem. Jak wczoraj. Pokusa, by zrównoważyć magię śmierci przytulaniem żywego i ciepłutkiego Adama, była niemal nieznośna! Dobrze się stało, że jej nie uległa, bo ostatnie, czego teraz potrzebowała, to dodatkowa niewiadoma. Dokarmianie sikorek było znacznie bezpieczniejsze.

Wróciła do domu przemarznięta. Musiała się ciepło ubrać, jeśli nie chciała odmrozić sobie tyłka na cmentarzu.

Przygotowywała się do powrotu na Centralny jak do bitwy. Zrobiła staranny makijaż, by ukryć głębokie cienie pod oczami (przy jej lekko oliwkowej karnacji wyglądały jak siniaki), wyprostowała włosy, które pogniotły się na poduszce, bo nie wysuszyła ich po myciu, wreszcie starannie wybrała ubiór: czarne sztruksowe spodnie z flanelową podszewką, długie skarpety z merynosa, wiśniowy golf z miękkiej dzianiny, ciepły płaszcz w kolorze bogatego fioletu. Był to praktyczny strój na kilkugodzinną wizytę na cmentarzu, ale Katia wiedziała, że to nie dlatego skomponowała go tak pieczołowicie bladym światem.

Ubrania zawsze były dla niej rekwizytem, nie ubierała się adekwatnie do samopoczucia, ale projektowała, jak chciałaby się czuć. Na przykład gdy – tak jak dziś – zaczynała dzień w kiepskim nastroju, zmęczona i marudna, wyraziste kolory i wzory dodawały jej energii i pewności siebie. Gdyby nie pora roku, mogłaby skończyć na cmentarzu w czerwonej kiecce i rajstopach ze szwami na łydkach.

Przygotowania zajęły jej za wiele czasu i nie zdążyła zjeść śniadania. Złapała więc tylko butelkę zielonego soku z lodówki i batonik musli, po czym pognęła do samochodu. Oby odpalił, oby odpalił, mruzczała pod nosem. Zdecydowanie powinna kupić nowy akumulator – obecny źle znosił zimno i upał, oraz wszystko pomiędzy, jeśli akurat zdarzył mu się gorszy dzień.

Dochodziła siódma, więc ciągle miała szansę złapać Kowala, zanim ten wróci do domu. Wczoraj zamknął wszystkie furtki i bramy, więc dziś musiał je otworzyć. A to oznaczało, że jeździ już pewnie po cmentarzu swoim dziwnym pojazdem, z pękiem kluczy podzwaniającym u pasa.

Bardzo liczyła na to spotkanie, w innym wypadku ucięcie pogawędki byłoby dużo trudniejsze.

Raz, że po powrocie do domu Kowal miał w zwyczaju wylączyć aparat słuchowy i nie słyszał, gdy ktoś się dobijał, a dwa – tylko idiota wkraczałby bez zaproszenia na terytorium, które rodzina dozorczy chroniła od dwóch stuleci. Ani on, ani jego ojciec (również zwany Kowalem, a następnie Starym Kowalem) nie przepadali za ludźmi, a ich zaklęcia odstrasżające bywały naprawdę paskudne.

Autko odpaliło już za pierwszym przekręceniem kluczyka. Uznała to za dobrą wróżbę na resztę dnia.

*

Zaparkowała przed bramą południową, nieopodal domku dozorczy. Oba skrzydła były już szeroko otwarte, a wiatr kołysał łańcuchem z kłódka.

Uwielbiała atmosferę panującą w najstarszej części cmentarza – wszystkie te wiekowe nagrobki i pomniki, kilkusetletnie dęby i wiązy rozrastające się szeroko jak gotyckie baldachimy, o sękatych i potężnych

pniach. Szerokie alejki były wysypane ciemnym żwirem, drobnym jak piasek na wulkanicznej plaży, a pomalowane na biało wapienną farbą kamienie leżące wzdłuż alejek kontrastowały z nim malowniczo. Kiedyś miały powstrzymać duchy przed powrotem do domu za żałobnikami, dziś stanowiły tylko element dekoracji.

Zwykle Katia nie zapuszczała się w te rejony nekropolii. Przez trwający wiele lat konflikt z Klaudią, szyszymorą i członkinią Starszyny, która uznawała Cmentarz Centralny za swoje terytorium, ograniczała swoje wizyty na nim do minimum i bywała głównie w jego najnowszych częściach. W tych najbardziej wiekowych już od dawna nie chowano świeżych ciał, nie licząc wyjątków – jak konieczność pochówku w grobowcu rodzinnym czy pogrzeb stworzenia magicznego, które zaklepało sobie kwaterę kilkaset lat wcześniej (te jednak nie umierały zbyt często).

Katia szła główną arterią cmentarza, wsłuchując się w jego melodię. Ptaki śpiewały wysoko w koronach drzew, raz po raz rozlegało się charakterystyczne, drwiące klekotanie sroki. Wiatr szeptał między gałęziami, poświstywał, prześlizgując się między strzelistymi pomnikami aniołów i rozlicznymi wizerunkami kostuchy. Zeszłoroczne liście, kruche i zbrązowiałe, szeleściły między grobowcami. Po lewej usłyszała szelest, a potem chichot lisa, który umykał, jakby zaskoczony pojawieniem się kogoś żywego na jego terytorium. Cóż, jeśli to było czyjekolwiek terytorium, to kotów, które licznie żyły na cmentarzu od wielu pokoleń. Latem wylegiwały się w plamach słońca na płytach nagrobnych, leniwie wymachując ogonami na widok ludzi, pozbawione odruchu ucieczki. Były u siebie. Kolejne z zapomnianych przez wielu wierzeń – koty trzymały w ryzach duchy, były ich naturalnymi wrogami. Można powiedzieć, że od pokoleń stały na straży tej nekropolii – zupełnie jak rodzina Kowalów. Wciąż było za zimno na wylegiwanie się na nagrobkach, ale kilka czarnych kocurów rozmiarów dorosłych rysiów przecięło ścieżkę Katii, jakby rzucały wyzwanie przesądom. Nie uległa im. Lubiła koty, czarne i każde inne.

Niektórych dziwiło, jak wiele życia jest na cmentarzach. Lecz Katia już dawno nauczyła się, że świat dąży do równowagi i tylko człowiek na dłuższą metę ją zakłóca. W miejscach pochówku większość ludzi była martwa, nie mogła już więc narobić żadnych szkód.

Prawie wszystko wyglądało normalnie. Prawie. Było bowiem za cicho, a im więcej słyszała szelestów, odgłosów wydawanych przez ptaki czy koty, tym dobitniej uświadamiała sobie milczenie magii. Matka Ziemia rzadko była aż tak cicha. Zwykle po przekroczeniu jednej z cmentarnych bram dało się słyszeć pomrukiwanie i nucenie, harmonizujące ze sobą dźwięki dobiegające z różnych zakątków cmentarza.

Taką ciszę Katia знаła tylko z opuszczonych, zapomnianych nekropolii. Klaudia nie żyła od niespełna dwóch lat. Żeby cmentarz był tak cichy, musiałaby go zaniedbywać jeszcze za życia. Nekromantka zacisnęła zęby, wkurzona. Teraz lepiej rozumiała wczorajsze wyrzuty Matki Ziemi. Zaniedbanie było dla niej bolesne, ale stanowiło też zagrożenie dla żywych, dla całego miasta!

Przeszła jakieś dwieście metrów i dotarła do furtki między najstarszymi kwaterami, oznaczonymi na mapie rzymskimi cyframi I i II. Większość obecnych tu grobowców wzniesiono w modnym w połowie osiemnastego wieku stylu monumentalnym. Okazałe, ekstrawagancko udekorowane, były głęboko podpiwniczone, często sięgały dwa lub trzy piętra w głąb ziemi. Zmarłych chowano w trumnach, ale po kilkudziesięciu latach otwierano je i szkielety przenoszono na niższe piętra, do łóż w ścianach, robiąc miejsce w komorze naziemnej. Często też trumny były przechodnie – ciężkie, ołowiane, pamiętające dni zarazy. Zwykle w takich miejscach, w których spoczywały całe pokolenia, magia buczała stałym szumem. Teraz jednak kwartał milczał, doszczętnie osuszony z magii. Nawet wewnętrzna furtka była chłodna, jakby od dekady nie ożywiła jej iskra zaklęcia ochronnego.

W następnej kwaterze – znanej jako wampirzy kwadrat i pełnej neogotyckich grobowców rodzinnych – Katia natychmiast wyczuła szkarłatną magię nieumarłych. Roman i wampiry z jego gniazda regularnie odwiedzali to miejsce i wzmacniali osłony. Postanowiła

zapytać go przy okazji, czy zauważyli coś niepokojącego i czy dodatkowe warstwy magii nieumarłych miały zrównoważyć niedostatki magii śmierci.

Zanim przeszła do kolejnego kwartału, usłyszała ciche buczenie silnika. Chwilę później na głównej alejce pojawił się pojazd wyglądający jak gotycka wersja papamobile, bękart wózka golfowego i karawanu. Miał małe kółka, niczym taczka ogrodowa, czarną maskę i stelaż nadwozia oraz fioletowo-złoty, obramowany złotymi frędzlami baldachim rozciągnięty nad niewielką kabiną. Po obu jego bokach sphywały mięsiste zasłonki, podwiązane złotymi sznurkami, z których każdy miał na końcu ozdobny chwościk. Katia podejrzewała, że Kowal zwinął tę tkaninę z jakiegoś baldachimu procesyjnego, ale gdyby okazało się, że ją kupił, kierując się własnym gustem, nie byłaby zdziwiona. Zza kierownicy wystawał ledwie czubek głowy dozorca, który z wiekiem przygarbił się i skurczył. Kurczeniu się za to nie ulegał jego charakter, przeciwnie – z każdym rokiem Kowal stawał się bardziej zgryźliwy i mniej się przejmował konwenansami.

Dozorca niedowidział, więc Katia nie była pewna, czy zobaczył ją z odległości kilkunastu metrów, mimo to pomachała mu na powitanie i czekała, aż podjedzie.

Kowal wcisnął klakson, który brzmiał jak trąba jerychońska, wdepnął w pedał gazu (rozwijając prędkość w przybliżeniu odpowiadającą prędkości hulajnogi elektrycznej) i zahamował przed nekromantką, lekko skręcając koła w lewo. Przed jej stopami wystrzeliła fontanna czarnego żwiru. Czerwony na twarzy i wyraźnie wkurzony dozorca wyskoczył z kabiny i z miniprzyczepki umocowanej do rydwanu porwał miotłę z wierzbowych witek o sękatym trzonku. Wygrazając nią, podszedł do Katii i zaskrzeczał:

– A co tu robisz? Kłopotów chce? Się zaraz kikimora dowie i będzie wrzasku a złorzeczenia! Bo ja nie mam nic innego do roboty, tylko tego wysłuchiwać! I żeby jeszcze przyszła jak człowiek, o ludzkiej porze, ale to truchło zawsze się zwala, gdy teleturniej mi się zaczyna! No, zmykaj, pannico, zamiast mi życie komplikować!

- Panie Kowalu, szyszymora Klaudia nie żyje - powiedziała Katia spokojnie, przyzwyczajona, że nie wszystkie informacje trzymały się pamięci dozorca.

- Nie żyje? Pewna jest? - zapytał i wsparł się na miotle.

- Owszem, pewna. Kwatera pierwsza, alejka siódma, szósty grób, licząc od arterii. Leży w grobowcu ojca - zapewniła Katia.

Nie dodała, że choć nie była na pogrzebie, to potem sprawdziła, czy aby na pewno leży, gdzie powinna, a Katarzyna, głowa Starszyny, przy okazji kumpela szyszymory i współniczka w zbrodni, za którą Klaudia została ukarana śmiercią, nie odstawiła żadnego numeru.

Staruszek zmarszczył brwi i w zamyśleniu poruszał palcem w powietrzu, jakby przesuwając koraliki niewidzialnego liczydła.

- A faktycznie, jest - powiedział w końcu. Pokiwał głową, wyraźnie zadowolony. - Ale nie myśl, że teraz to już droga wolna, panienko. Pozwolenie ma?

- Odkąd to nekromantka na robocie potrzebuje pozwolenia, by wejść na cmentarz? - zapytała zirytowana.

- Odkąd Gardiasz sobie tak umyślił. Mówi, że skoro jest bezkrólewie, to on tu musi ładu pilnować. Ale też bezkrólewie długo nie potrwa, bo już sobie sprowadził kolejnego pupilka, niby nekromantę. - Kowal strzyknął śliną spomiędzy tych kilku zębów, które mu zostały.

- O, ciekawe. - Katia zmrużyła oczy. - A co pan o nim wie?

- A tam, wiele do wiedzenia nie ma. Gładki taki, ale głuchy jak pień. Pieśni nie zna, śpiewać nie umie, za to wszystko by chlapał krwią kurczaków. Gdzie ja mu będę plamy z krwi ze starego wapienia ścierał? Na głowę upadł? I żeby jeszcze się przejął, że mu Matka Ziemia nie odpowiada! Gdzie tam. Wzruszył tylko ramionami i burknął coś, że będzie porządek albo. Cholibka wie, co to niby miało być, to „albo”, bo już widzę, jak Matkę Ziemę po tyłku sklepie. Aroganckie toto, stare, a głupie. - Kowal prychnął z niesmakiem. A potem wbił w Katię spojrzenie głęboko osadzonych oczu i powiedział: - Na szczęście nie wszystko stracone, panienka młoda i głupia, ale przynajmniej kompetentna. I Matka panienkę lubi. Jeszcze z pięćdziesiąt lat i będą z panienki ludzie. Jak już

muszę się z kimś użerać do emerytury, to wolałbym durną sikse, ale z talentem, a nie jełopa z wiadrem krwi. – Aż tupnął i uderzył miotłą o ścieżkę dla podkreślenia swoich słów.

Katia musiała przyznać, że zrobiło jej się miło – Kowal znał się na rzeczy i doceniając jej kompetencje, sprawił jej spory komplement. Gdyby faktycznie startowała w wyborach do Starszyny, takie wsparcie znaczyłoby naprawdę wiele...

– Daleko do tej emerytury? – zapytała z rozbawieniem.

– A się nie interesuje panienska za mocno. Ja tu jeszcze kilka dyszek pociągnę. Ale nie widzi mi się z tym jełopem bujać. Wyzwie go lepiej i pokaże, kto tu rządzi.

– Bardzo pan pewien, że wygram. – Katia uśmiechnęła się z satysfakcją.

– No przecie. I już żem wczoraj słyssał waszą z Matką rozmowę i nie wiem, czemu się panienska opitala i nie bierze na klatę obowiązków, gdy widzi, że Matce ciężko i wyprowadza ją ta sytuacja z równowagi. Wie, że to nikomu na zdrowie nie wyjdzie.

– Teraz to już nie takie łatwe. Nie mogę, jak sto lat temu, wpakować się na cmentarz i przejąć ziemię i stanowiska jedną pieśnią. Trzeba to załatwić formalnie – dodała, niepewna, na ile Kowal rozumie zmiany w pozacmentarnym świecie.

Starzec prychnął i wrzucił miotłą na przyczepkę.

– Wybory, Starszyna, wielkie mi rzeczy. Żadne głosy nie pomogą, gdy magii ni ma, a Matka Ziemia człowieka nie zaakceptuje. Ja bym się na jej miejscu nie pierdolił w tańcu. – Wskazał Katię palcem. – W wyborach zawsze dobrze mieć wsparcie. A ciężko o lepsze niż to Matki Ziemi. Gdy panienkę zaakceptuje (a przecie głupia nie jest i ma umiłowanie, za to jełopa nie znosi), to reszta Starszyny średnio będzie miała z czym dyskutować – oświadczył.

– Szybko mi pan zaplanował kampanię, a ja jeszcze nie wiem, czy wystartuję – powiedziała Katia i aż ją ścisnęło w dołku.

Kowal znów machnął ręką.

– A bo młoda i płocha. Ale jak tylko pozna jełopa osobiście, to zrozumie, że nie ma wyboru i startować musi. Bo jak nie panienka, to on zasiądzie w Starszyźnie i cmentarz jemu przypadnie. I znowu się będzie panienka musiała zakradać bocznymi furtkami, i robić swoją robotę po nocy, byle się nie dowiedział. A nim jełop się przekręci, to ta ziemia wyschnie i magii tu już wcale nie będzie. Z liczem to nie ma co liczyć, że się szybko z życiem uwinie, jeśli mu się nie pomoże. Jakby do tego doszło, panienka pamięta, żeby głowę obciąć i między stopami ułożyć. No i filakterie zniszczyć, ogniem najlepiej. – Spojrzał na nekromantkę z uwagą, jakby czekał, aż wyciągnie kajecik i zanotuje sobie te perły mądrości.

Katia nie notowała, ale musiała przyznać, że zaskoczyły ją informacje o pupilku Gardiasza.

– Gardiasz ściągnął do miasta licza? – zapytała cicho.

Starzec wyszczerzył się w uśmiechu, wyraźnie zadowolony, że rozmówczyni złapała przynętę. Zaraz jednak zamaskował go głośnym kaszlnięciem w zgięcie łokcia.

– Nieumarte toto na pewno, ale co ja tam wiem, szkoły zem nie skończył... – Skromnie opuścił głowę i prawie by mu uwierzyła, ale filuternie zerkał na nią spod krzaczastych brwi. A potem, jakby chciał mieć pewność, że dotarł do niej słabo zawołany przekaz, dodał dobitnie: – A jakby głosowanie było, to ja wiem, na kogo zagłosuję. I Matka Ziemia też wie. Ten cmentarz potrzebuje nekromanty na stałe, nie z doskoku. Potrzebuje, by mu śpiewać do snu i włączać nowych nieboszczyków do chóru. Ktoś musi się nim opiekować. Szyszymora tego nie rozumiała. Cóż, że domena śmierci, jak całkiem nie taka magia. Panienka może i młoda, ale głos jak dzwon. A gdy się niesie odpowiedź Ziemi, to aż się ciepłej na sercu robi. Nawet jak się trochę klóca, to jak matka z córką.

Katia westchnęła. Trafiały do niej te argumenty i rozumiała, że płyną z troski, ale miała klientkę na granicy załamania nerwowego i pusty grób, dlatego postanowiła skupić się na sprawie, z którą tu przyszła.

– Właśnie przez te pieśni pana szukałam, Kowalu. Sprawa jest z tych nieprzyjemnych. Będę dziś z Adamem Gawrońskim otwierać grób małej

dziewczynki. Po wczorajszym rytuale jestem właściwie pewna, że trumna jest pusta, a ktoś ukradł nieboszczkę. Zabrał ją z grobu i nie zostawił po sobie ani odrobinki magii. Przyznam, że nigdy czegoś takiego nie widziałam. Pomyślałam, że może coś pan zauważył, że coś zwróciło pana uwagę w ostatnich miesiącach.

Kowal sapnął z irytacją. Znikające z grobów dzieci to był dokładnie ten typ bałaganu, którego sobie na swoim cmentarzu nie życzył.

– Jakbym zauważył, tobym powiedział – oświadczył i przez chwilę patrzył nad ramieniem Katii, a oczy zrobiły mu się jakby szkliste i nieobecne. Wzdrygnął się i wbił spojrzenie w nekromantkę. – Tyle wiem, coś jest nie w porządku. I jakoś mi się nie wydaje, by za całą tę dysharmonię i bolesną ciszę odpowiadało jedno zaginione dziecko, nawet jeśli dla matki było całym światem. Coś złego się dzieje na cmentarzu. Czasami całe noce słyszę płacz i zawodzenie, spać nie mogę. Matka Ziemia jest zraniona, a ja nie umiem ukoić jej bólu.

– Od dawna?

– A będzie już trochę. – Zmarszczył brwi, bo ocena upływu czasu sprawiała mu wyraźny kłopot.

– Mówił pan o tym Klaudii? – zapytała Katia, próbując ulokować zdarzenia na osi czasu.

– Jakby ją to interesowało! Może jeszcze lata temu, ale nie ostatnio... – Prychnął zawzięcie, aż musiał otrzeć usta z nitek śliny. Wsunął ręce w głębokie kieszenie wyświechtanego wełnianego płaszcza w jodełkę i po chwili grzebania wyciągnął notesik z oślimi uszami, który w jego sękatach dłoniach wydawał się nienaturalnie mały. Przerzucał kartki, czytał swoje niewyraźne, drobne pismo i wreszcie powiedział: – Dzieci. Zawsze śpiewa o dzieciach. Robi tak od kilku lat, ale w ostatnim roku się nasiliło. Od paru miesięcy właściwie o niczym innym nie słucham po nocach.

Nagle wyprostował się gwałtownie, zmarszczył gniewnie i zerknął za Katię. Też usłyszała kroki, więc odwróciła się i wyjaśniła:

– To pewnie Adam Gawroński, będzie mi pomagał z ekshumacją. Mamy pozwolenie od rodziny.

- Mówi, jakbym nie rozróżniał pogrzebowców. Znałem jego ojca i dziadka, to nie młodzik nadchodzi - burknął Kowal. Ale po chwili niepokój zniknął z jego twarzy. Skrzywił się tylko i powiedział: - To profesor.

- Kto?

- Profesor, nagrobki bada. Pisze coś, ponoć monografię o nekropolii. Szyszymora mu pozwalała w księgi zaglądać, ale on w sumie tylko tak łązi, fotki robi albo odciski kredowe tablic nagrobnych. Mówi, że wtedy może przeczytać, co na nich wyryte. Jakby zapytał, tobym mu powiedział, co tam było napisane, ale gdzie mu tam słuchać starego dozorca, co nie ma literek przed nazwiskiem.

- A to niezbyt bystry ten profesor. Nikt nie zna tego cmentarza lepiej niż pan - powiedziała Katia z przekonaniem. Nie miała zamiaru podlizywać się Kowalowi, to po prostu była prawda. Nie przypadkiem sama zaczęła od rozmowy właśnie z nim.

- Pewnie mu na wynikach nie zależy, bo etacik już jest. Niejednego profesora tu chowali, wszyscy tacy sami. - Dozorca znów prychnął z lekceważeniem.

Katia obserwowała zbliżającego się mężczyznę. Był po pięćdziesiątce, łysiejący i brodaty, w przyciasnej beżowej kurtce i brązowych spodniach w kant. Pod pachą niósł skórzaną teczkę i rolkę białego papieru. Zauważył ich znacznie później niż oni jego, bo zatrzymał się nagle, wyraźnie zaskoczony, i powiedział:

- Pochwalony. - Po czym skręcił w boczną alejkę.

Kowal mruknął coś pod nosem i skierował się do swego pojazdu. Złote frędzle baldachimu zakołysały się, kiedy usadowił się na siedzisku i poklepał kierownicę.

- Przeszkadzał wam nie będzie. Boi się każdego, kto włada choć odrobiną magii. Szkiełko i oko. Wie panienka, jak to ogranicza. Ale na chłoptasia Gawrońskich też się panienka nie naczeka, właśnie przekroczył furtkę w sektorze ósmym - dodał.

Uwierzyła Kowalowi na słowo. Więź dozorca z cmentarzem była cokolwiek osobliwa, ale Katia nigdy nie ośmieliłaby się jej kwestionować.

Telefon w jej kieszeni zawibrował. Zerknęła na ekran. Adam potwierdził, że jest już na miejscu, koło grobu Kariny Mityry, pożegnała się więc z Kowalem i ruszyła na spotkanie. Miała kawał drogi do pokonania, od kwatery ósmej dzieliły ją całe hektary. Niewiele bliżej było do bramy południowej i miejsca, gdzie zaparkowała samochód. Za późno przyszło jej do głowy, że zamiast biec do Adama, powinna wrócić po auto, objechać cmentarz i zaparkować przy bocznej furcie.

Usłyszała za sobą śmiech Kowala, wybijający się nad szum elektrycznego silnika.

– Kto by pomyślał, że jej się będzie tak śpieszyło do otwierania trumny małej dziewczynki!

ROZDZIAŁ 8

Pusta trumna, łapówki i skrucha w ślad za brawurą

Dryblas w wełnianym kraciastym płaszczu w odcieniach brązu i dmszystej zieleni, z postawionym kołnierzem i ciemnymi kręconymi włosami zebranymi w kucyk, krążył między pomnikami i mamrotał coś pod nosem, raz po raz wymachując rękami, jakby sam ze sobą toczył zawziętą dyskusję. Wyglądał na zmartwionego, a wewnętrzna kłótnia pochłaniała go tak bardzo, że wydawał się nie zauważać zbliżającej się Katii.

– Hej, wszystko w porządku? – zawołała, będąc kilkanaście kroków od niego.

Zatrzymał się w pół kroku i rzucił jej spojrzenie jelonka schwytanego w snop reflektora.

– Tak, jasne, oczywiście, co miałoby być nie tak... – wykrztusił, wciskając ręce do kieszeni płaszcza. A potem przymknął oczy, wziął głęboki wdech, jakby zbierał się do skoku na główkę w odmęty bystrej rzeki, i już spokojnie oświadczył: – Muszę cię przeprosić, Katiu, za wczoraj.

Katia aż przystanąła.

– Za co konkretnie? – zapytała zdezorientowana.

– No za wszystko! – Jego ręce znów ożyły i gestykulował nimi nerwowo. – Kompletnie mi zabrakło wyczucia. Nie byłem sobą, można powiedzieć, że byłem odurzony...

Katia z rozbawieniem obserwowała rumieniec wypętlający na policzki Adama. Czy zawsze był taki słodki? Bez wątpienia, ale zwykle mogła polegać na własnym wyczuciu i była zbyt rozsądna, by mieszać w udanej relacji zawodowej. Mimo to teraz uśmiechała się do speszonego przedsiębiorcy pogrzebowego i zamiast machnąć ręką i zapewnić, że było minęło i nawet nie pamięta już nocnej rozmowy telefonicznej, zapytała:

– Alkohol? Używki? Nie oceniam, chodziłam z szamanem, po prostu nigdy wcześniej nie podejrzewałam cię o takie ekscesy.

– To skomplikowane. Winię pół butelki wina i dwie eklerki. Cukier uderzył mi do głowy. Tylko tak mogę się wytłumaczyć. I jest mi naprawdę przykro. To był przejaw braku szacunku. Ty dzwoniłaś w kwestii zawodowej, a ja wdałem się... – Zawahał się, jakby nie mógł znaleźć odpowiednich słów na określenie swoich przewin.

Katia podeszła bliżej i poklepała go po ramieniu.

– Adam, daj spokój. To była najmiłsza rzecz, jaka mnie wczoraj spotkała. I nie przepraszaaj, bo pomyślę, że żałujesz i nigdy więcej tego nie powtórzysz. A byłoby szkoda...

Mężczyzna patrzył na nią zaskoczony.

– Hmm, musiałaś mieć naprawdę kiepski dzień, skoro moja paplanina był jego najjaśniejszym punktem – zauważył.

– Nawet sobie nie wyobrażasz. Więc naprawdę, jeśli zawdzięczam to dwóm eklerkom, mam ochotę zamówić ci ich całe pudełko.

Adam na samą myśl, co mógłby zrobić po zjedzeniu pudełka eklerek, ze zgrozą pokręcił głową. Stanowczo powinien sobie dawkować cukier. Gdyby miał choć odrobinę lepszy dzień, może ograniczyłby się do jednego ciastka, ale pogrzeb młodego małżeństwa, które zginęło w wypadku samochodowym, był trudny i obciążający. Adam wciąż słyszał szloch ich synków, kiedy babcia wyjaśniała im, że rodzice nie wrócą, że tak, są w tych drewnianych skrzynkach, martwi, i wkrótce zostaną zakopani na cmentarzu. Miał ochotę potrząsnąć tą kobietą, ale wiedział, że ludzie różnie przeżywają żałobę, a ona straciła właśnie ukochaną córkę i zięcia. Spędził w domu pogrzebowym całe życie, a po tym, jak osiem lat temu rodzice przeszli na emeryturę, prowadził go sam, widział więc wiele i

może powinien być odporniejszy, ale czasem coś po prostu trafiało go w splot słoneczny.

Nagle sobie przypomniał, że przyniósł drobiazg mający dopełnić przeprosin. Rozejrzył się, próbując sobie przypomnieć, gdzie go zostawił... O, tu są! Podniósł z ławki przy jednym z pobliskich pomników tekturową podstawkę z dwoma kubkami kawy oraz torebkę z rogalikami. Wręczył Katii kubek i torbę.

– W ramach rekompensaty za straty moralne – wyjaśnił z uśmiechem.

– Bogowie, chyba się zakochałam – szepnęła. Zaciągnęła się aromatem gorącego napoju, upiła łyk i jęknęła z zachwytu. – Gdzie ty o tej porze znalazłeś kawę?

– W mojej kuchni nigdy nie może jej zabraknąć – odpowiedział zadowolony.

Zajrzała do torebki i znów jęknęła, a Adamowi wyobraźnia podsunęła kilka nieprzyzwoitych obrazów.

– Wybacz, nie jadłam śniadania i łatwo się wzruszam. – Wgryzła się w kruche ciasto i aż przymknęła powieki. – O jakie dobre! Musisz mi zdradzić swojego dostawcę.

Parsknął. Nie zamierzał jej mówić, że obudził się skoro świt, przez dobry kwadrans rozpamiętywał wczorajszą wtopę, w końcu, skoro i tak nie mógł zasnąć, zaczął piec. To samo robiła jego matka w chwilach zdenerwowania. Kiedy rodzina przechodziła cięższy okres, dom Gawrońskich zawsze pachniał cukrem waniliowym lub cynamonem.

– Mam tego więcej, tylko daj znać – powiedział wymijająco. A widząc swojego podwładnego zmierzającego od bocznej furtki z łopata i zwojem lin, z ulgą zmienił temat: – O, jest już Kajtek, możemy zaczynać.

Kajetan zwany Kajtkiem zaczął pracę w Domu Ostatnich Pożegnań zaledwie kilka miesięcy temu, ale zapowiadał się na świetnego pracownika. Adam miał nadzieję, że po okresie próbnym zechce związać się etatem. Chłopak przejawiał rzadko spotykane u dwudziestolatków stoickie podejście, potrafił się odnaleźć w niezręcznych sytuacjach, które zdarzały się w trakcie pogrzebów, i miał prawdziwy talent do układania wieńców w karawanie – choćby nie wiadomo jak liczne, zawsze mieściły

się w środku, a po wylądowaniu ich na cmentarzu nie wyglądały jak psu z gardła wyjęte. No skarb! Kiedy tuż przed północą Adam napisał do niego SMS-a z pytaniem, czy mógłby przyjść godzinę wcześniej i stawić się od razu na cmentarzu, dostał w odpowiedzi emotkę uniesionego kciuka. Właśnie dlatego i dla niego miał kubek kawy, słodkiej, gęstej od śmietanki i mocnej jak sam szatan – dokładnie takiej, jaką Kajtek lubił.

Chłopak upił łyk, zagryzł rogalikiem, którym poczęstowała go Katia, po czym powiedział:

– Łapówka na dzień dobry, czyli lekko nie będzie.

Gdy jednak usłyszał, że czeka ich ekshumacja, nawet się nie skrzywił.

Adam zdjął pieczęcie z kłódek i klatki otaczającej pomnik nagrobny. Każda pozostawała nietknięta i gdyby to inna nekromantka powiedziała mu, że ktoś dostał się do wnętrza grobu, nie uwierzyłby. We dwóch z Kajtkiem przenieśli cholernie ciężką kratę w bok, odsłaniając pomnik. Prosta skrzynka z kremowego marmuru zabezpieczona była kolejnymi pieczęciami i te również pozostawały nienaruszone. Zmarszczył brwi. Wyglądało to coraz dziwniej. Teraz musieli we dwóch z Kajtkiem zaprzeczyć się mocno o płytę, by ją przesunąć. Gdy zdołali to zrobić, ich oczom ukazała się czerwona od żelaza cmentarna ziemia.

Kajetan zaczął kopać, usuwał jej kolejne warstwy, usypując kopiec obok nagrobka. Grób nie był głęboki, bo pod koniec listopada, kiedy go kopali, ziemia była już zamrznięta, a że miał pomieścić tylko dziecięcą trumnę... Wkrótce usłyszeli ciche stuknięcie łopaty o wieko. Kajtek ostrożnie zsunął ostatnią warstwę ziemi, odsłaniając przybrudzoną, ale wciąż białą powierzchnię. Odłożył łopatę, zanurkował w jamie i zaczepił linę o solidne uchwyty na bokach trumny. Gdyby spoczywał w niej dorosły, mieliby kłopot, by wyciągnąć ją we dwóch, ale z trumienką Kariny poradzili sobie bez trudu.

I zanim jeszcze Katia zdjęła pieczęcie nekromanckie z jej wieka, Adam wiedział, że Agata Mitera miała rację. Trumna była pusta, za lekka, by w środku mogły spoczywać kilkumiesięczne zwłoki.

Zerknął na Katię. Wiedziała – rozpoznał to po jej zaciętej minie i drgającym mięśniu na policzku. Mimo to, a może właśnie dlatego, zdjęła

pieczęcie z wieka, a on odblokował zamek mieszczący się z boku trumny. W milczeniu zajrzał do środka. Dotarło do niego ciche gwizdnięcie Kajetana. Katia podeszła bliżej i dotknęła ręką czystej łososiowej satyny wyściełającej dno trumny. Nie było na niej ani śladu rozkładu, płynów ustrojowych czy jakichkolwiek odbarwień.

– Młoda nie była zabalsamowana, prawda? – upewniła się.

Adam pokręcił głową. W jego domu pogrzebowym nie stosowano chemicznych metod utrwalania zwłok – od początku istnienia przedsiębiorstwa specjalizowano się w pogrzebach naturalnych. Gdy przejął firmę, wprowadził wiele zmian, między innymi poszerzył ofertę pochówków ekologicznych. W asortymencie znalazły się wiklinowe czy tekturowe trumny, kapsuły biodegradowalne i „strączki”, w których ciało chowało się wraz z sadzonką drzewa, by to wyrosło niczym naturalny pomnik. Przeworsował nawet u szyszymory wydzielenie dodatkowego kwartału cementarza pod przyszły las pamięci. Jego ojciec był wyznawcą „naturalnego obiegu atomów w przyrodzie”, więc chemiczne utrwalanie ciał, balsamowanie, stosowanie żywicy czy różnych nowoczesnych wynalazków było w Domu Ostatnich Pożegnań na cenzurowanym.

A to oznaczało jedno. Nieskalana satyna na dnie trumny zdradzała istotny detal zniknięcia ciała Kariny Mitery. Korespondowała też z pieczęciami na nagrobku i na kracie, które nigdy nie zostały złamane. Adam sięgnął do kieszeni płaszcza po komórkę, odszukał aplikację kalendarza, po czym przejrzał uważnie zapisy z końca listopada. Musiał to jeszcze sprawdzić w dokumentacji pogrzebu, ale miał podejrzenia, kiedy ciało mogło zostać wykradzione.

Katia tymczasem schyliła się i wyciągnęła spod satynowej poduszki dwa srebrne krążki. Zważyła monety w dłoni. Nagle wyprostowała się, słysząc kroki za swoimi plecami.

Agata Mitera prawie biegła, z rozwianymi włosami, łopoczącymi połami cienkiego płaszcza, z na wpół oszalałym spojrzeniem wbitym w rozkopany grób córki. Adam płynnie zaszedł jej drogę, przytrzymał łagodnie i powiedział ze współczuciem:

– Przykro mi, pani Agato, że musi pani przez to przejść.

Skuliła się w jego objęciach, jakby dostała cios w brzuch, a z jej gardła wyrwał się szloch, rozdzierający, niemal zwierzęcy. Przez chwilę Katii wydawało się, że kobietę otacza cień, który połyka światło. Agata Mitera wsparła się z rezygnacją na ramieniu Adama i wpatrywała się w pustą trumnę. Krew odpłynęła jej z twarzy, usta posiniały, a oczy straciły blask, jakby coś w niej ostatecznie umarło.

– Mówiłam, że ktoś ją zabrał – wyszeptała.

– Miała pani rację, przykro mi. Ale nie jest pani z tym sama. Razem z Katią znajdziemy sprawcę i dopilnujemy, by ciało Kariny wróciło do ziemi i zaznało spokoju.

Był opanowany i pewny, a to w jakiś sposób dodawało zbolełej matce otuchy. Skinęła mu głową, jakby na znak, że przyjmuje jego obietnicę, a potem spojrzała na Katię i zażądała:

– Odnajdź moją córeczkę, oddaj mi jej ciało... Ona musi mieć grób, musi spocząć w spokoju. Nie chodzi tylko o jej doczesne szczątki, ale o jej duszę, która bez grobu, bez oboli na przepawę, błąka się wzdłuż Styksu, z dała naszych przodków, którzy mieli się nią zaopiekować, by nigdy już nie była sama, nigdy się więcej nie bała... Odnajdź ją. I tego, kto jej to zrobił. Jeśli go nie zabijesz, wskaż mi go palcem, bym mogła to zrobić. Bo zasłużył na sprawiedliwość. Niech mu się stanie według czynów jego.

Jej głos przesyciała moc, a cień wokół niej wydawał się rosnać. Katia poczuła, jak unoszą się jej włoski na karku, gdy musnęła ją obca magia, ta jednak szybko się wycofała. Agata Mitera znów była tylko zrozpaczoną i nieutuloną w żalu kobietą.

Dopiero teraz Katia dostrzegła, że kobieta nie przyszła sama. Przy furtce, jakby nie chcąc wejść na teren cmentarza, stała babka Kariny. Przyglądała się scenie z zaciętą miną. Adam też ją zauważył i teraz delikatnie skierował szlochającą Agatę w stronę bramy. Starsza kobieta podziękowała mu skinieniem głowy, po czym sprawnie przejęła na siebie ciężar córki.

– Cena nie gra roli. Jeśli napotkacie jakiegokolwiek przeszkody, skontaktujcie się ze mną – powiedziała i dodała z naciskiem: – Znajdźcie ją.

Patrząc w ślad za Ismeną, która odprowadzała Agatę do samochodu, Katia podała Adamowi obole. Będą mu potrzebne, kiedy znajdą Karinę.

Niespodziewanie uderzyła w nią pieśń Matki Ziemi. Bogini rzadko odzywała się pierwsza, zwykle to nekromantka inicjowała kontakt. Teraz zalewały ją dźwięki i emocje tak silne, że poczuła mdłości. Kawa od Adama paliła ją w gardle. Matka musiała wyczuć jej dyskomfort, bo nagle dźwięki przycichły. Wciąż były dla Katii wyraźnie słyszalne, ale już nie powodowały bólu. Oddychała z trudem; dotarło do niej, co właściwie przekazuje jej bogini. Dziś była dużo bardziej konkretna niż wczoraj. Już nie lamentowała, skupiona na tym, co straciła, co jej zabrano, co musiało wrócić na swoje miejsce...

Kajetan tymczasem zamknął trumnę.

– Szefie, co z nią robimy, zakopujemy? – zapytał z wahaniem.

– Podjedź karawanem, zabierzemy ją do domu pogrzebowego. Będzie potrzebna, gdy znajdziemy dziewczynkę – odparł Adam. – Ale pomnik trzeba doprowadzić do porządku, by nie prowokować ludzi do głupich pomysłów – dodał.

Chłopakowi dwa razy nie trzeba było powtarzać. Szybko zasypał dół, a potem we dwóch przesunęli płytę z jasnego marmuru, zakrywając dziurę. Przydźwigali kratę i nasadzili ją wokół pomnika. Niewielka trumna czekała w tym czasie na ścieżce.

Adam obejrzał się za Katią, która odeszła kilkanaście kroków dalej i teraz opierała się plecami o stary wiąz rosnący przy głównej arterii.

– To jeszcze nie koniec – powiedziała głucho.

– Jasne, że nie. Znajdziemy ją i oddamy jej ciało matce – zapewnił.

Katia pokręciła głową i wyjaśniła:

– Jest ich więcej. Pustych grobów, ukradzionych dzieci. Dużo więcej.

ROZDZIAŁ 9

Co może pójść nie tak... poza tym, że wszystko?

Katia wciąż czuła się wytrącona z równowagi. Mdłości minęły, ale echo pieśni nadal wibrowało jej w kościach. Opierała się o drzewo, zakotwicząc swoje zmysły w jego żywym pniu; wyczuwała soki krążące pod korą. Dotarło do niej, że wczorajszy seans na cmentarzu kosztował ją dużo więcej energii, niż sądziła. Przynajmniej wiedziała już, co musi zrobić.

Czekała, aż Kajetan przyprowdzi samochód i zabierze trumnę Karinki. Zakłęcie, które zamierzała rzucić, miało dotknąć głównie ją i jej zmysły, ale mogło być wyczuwalne dla osób postronnych, a ludzie bardzo różnie reagowali na muśnięcia magii śmierci. Jedni czuli się nieswojo, inni byli po prostu przerażeni, u wielu zaledwie króciutki kontakt skutkował koszmarami czy, w najlepszym razie, dyskomfortem. Nawet magiczni zwykle niewiele mieli z nią do czynienia i nie cieszyła się najlepszą reputacją. Głównie dlatego, że nie mieściła się w tradycyjnym podziale na białą i czarną magię. Mogła przyjąć każdy odcień szarości (czy precyzyjniej – fioleto), ale w wersji śnieżnobiałej właściwie nie występowała, za to łatwo mogła się zanurzyć w czerni zakazanych praktyk.

Katia zerknęła na zegarek. Dochodziła już dziesiąta, pamiętała, że Adam wspomniał przez telefon o spotkaniu w południe. Dwie godziny, trochę mało.

– Możesz jeszcze zostać? – zapytała.

– Jasne, ale nie mamy zgody rodzin na rozkopywanie innych grobów – przypomniał.

– Spokojnie, wystarczy, że rzucę zaklęcie. Tylko nie powinnam tego robić bez wsparcia. Ale jeśli się spieszysz, nie ma sprawy, zadzwonię po Witkaca albo po Dorę. Nie wydarzy się nic makabrycznego, może jednak być nieprzyjemnie dla osoby postronnej – dodała lojalnie.

Gawroński wydawał się znosić magię śmierci całkiem dobrze, ale nie oznaczało to, że chciałby się dobrowolnie narażać na kontakt z nią.

– Jestem do twojej dyspozycji, jak długo mnie potrzebujesz. – Mrugnął do niej rozbawiony. – Mama zastąpi mnie na spotkaniu. Zadzwoniłem do niej, jeszcze zanim przyjechałem na cmentarz. Akurat jest dziś w mieście. Poradzi sobie śpiewająco.

Katia odetchnęła. Dodzwonienie się do Witkaca zawsze stanowiło wyzwanie. Elektronika i byty ektoplazmowe, z którymi jako szaman miał stale do czynienia, zdecydowanie nie szły w parze, więc jego telefon zwykle był wyłączony (jeśli pamiętał, by go wyłączyć) lub usmażony (jeśli nie pamiętał). Powrót do Torunia i szukanie go po mieście zajęłoby jej sporo czasu.

Sprowadzenie Dory jako wsparcia oznaczałoby z kolei konieczność wytłumaczenia jej wszystkiego. I tak będzie musiała wprowadzić Namiestniczkę w tę sprawę – kradzież ciała z trumien była przestępstwem – ale wołała najpierw zrobić rzetelne rozeznanie. Kochała przyjaciółkę, ale jeśli ta uznałaby, że musi przyszpilić Kowala i wycisnąć z niego zeznania, musiałaby ją ogłuszyć i wywieźć z cmentarza na taczce.

*

Plan był prosty. Potrzebowała zaklęcia, które pozwoliłoby jej namierzyć puste trumny bez konieczności sprawdzania każdego grobu z osobna, bo tylko w kwartale ósmym było ich kilkaset, o reszcie cmentarza nie wspominając. Znała takie zaklęcie, ale dotąd używała go dosłownie dwa razy w życiu i wołałaby nie robić tego po raz trzeci. Niestety, nic innego nie przychodziło jej do głowy. Wyciągnęła z torby pokrowiec na różdżki i sprzęt magiczny. Przypominał te, w których dziewiętnastowieczni chirurdzy nosili narzędzia albo malarze pędzle – prostokątny kawałek skóry zwijany w gruby rulon i przewiązany rzemykiem. We wszytych wewnątrz kieszonek mieściły się pręty miedziane, ołowiane i brązowe różnej grubości, a także

ołówkę, mazak wodoodporny i kredowy oraz zaskakująco przydatna kredka do powiek w kolorze czerwonym. Z torby wyciągnęła minutnik – wyglądał jak mały jednorożec, różowy i brokatowy, więc średnio pasował do powagi sytuacji, ale właśnie dlatego go wybrała. Ścisłego odmierzenia potrzebowała przy nielicznych zaklęciach, z których każde było mało przyjemne, więc jeśli mogła je wzbogacić o radosny akcent... Ustawiła jednorożca na rozwinętym pokrowcu i wysunęła z kieszonki czerwoną kredkę. Była miękka i łatwo rysowało się nią po skórze, więc szybko naniosła symbole zaklęcia na wierzch prawej i lewej dłoni. Trzeci symbol narysowała na swoim czole, między brwiami. Właśnie dlatego stosowała kredkę, a nie mazak wodoodporny. Schowała ją z powrotem i wybrała najgrubszą różdżkę, prawie dwucentymetrowy pręt miedzi. Potrzebowała zogniskować mnóstwo magii, by objąć jej zasięgiem cały kwartał cmentarza.

Bała się jak cholera. Zaczerpnęła powietrza i przytrzymała je chwilę w płucach, a następnie wypuściła ze świstem. Dochodziła jedenasta. Ustawiła timer na siedemnaście minut i zwróciła się do Adama:

– To naprawdę nie jest przyjemny widok, więc możesz wrócić za kwadrans.

– Kwadrans? Tyle ci wystarczy?

– Musi. – Uśmiechnęła się bez wesołości. Nie odważyłaby się przeciągać rytuału dłużej. – Jeśli nie zdołam znaleźć wszystkich, wrócimy tu jutro.

Skinął głową, ale wciąż wyglądał na zmartwionego.

– Nic mi nie będzie, to nie mój pierwszy raz – zapewniła. – Gdybym wyglądała jak umierająca, nie przeraż się, to tylko pozory.

– No to mnie pocieszyłaś – mruknął.

Katia z prętem w dłoni wyszła na środek arterii i stanęła w rozkroku. Wyobraziła sobie, że z jej stóp wyrastają korzenie, które sięgają w głąb ziemi, żywe, wypełnione sokiem, giętkie. Miały ją utrzymać w domenie żywych, nie pozwolić, by zapomniała się w śmierci ze szczeniem.

Dotknęła prętem znaków na wierzchu dłoni, czując, jak iskra magii przeskakuje z niego i uaktywnia symbole. Skóra wokół nich w jednej chwili zaczęła zamarzać. Dotknęła prętem symbolu na czole i aż jęknęła, gdy

lodowata strzała przeszła jej czaszkę. Mgła zasnuła jej spojrzenie, gdy ludzki, żywy wzrok ustępował magicznemu i bardzo, bardzo martwemu.

Wszystko wyglądało inaczej. Większość kolorów zniknęła, jakby nagle znalazła się w czarno-białym filmie i tylko fiolet jej magii rozlewał się po monochromatycznym i martwym krajobrazie. Po pomnikach, rzeźbach, grobowcach nie został ślad. Zamiast nich wyrastały z grobów czarne obeliski wchłaniające światło. Widniały na nich imiona zmarłych i daty, ale nie było śladu epitafiów, kwiatów, zniczy. W domenie śmierci nie istniało nic, co miało znaczenie dla żywych.

Drzewa przy arterii wyglądały na martwe, a kamienie leżące wzdłuż alei jarzyły się bielą jak suche kości. Kościane kruki zerkwały na Katię z gałęzi. Niebo zasnuwały grube, ciemne chmury, a wiatr, który się zerwał, był lodowaty i przesywał ją na wskroś, z każdym podmuchem zabierając odrobinę ciepła, odrobinę życia z jej ciała.

Nie powinna tego robić, ale zanim pomyślała, odwróciła się i zerknęła na Adama. Spodziewała się, że – jak kruki – będzie samym szkieletem albo zobaczy jego rozkładające się widmo, tymczasem pozostał zupełnie ludzki. Otaczała go fiołkowa poświata, nadal jednak mogła rozpoznać jego rysy. Zamrugła zaskoczona, ale odłożyła na bok rozważania, co to właściwie znaczy. Miała mało czasu. Minutnik tykał.

Zaczęła nucić pieśń zaklęcia, zapraszała nekropolię, by pokazała jej prawdę, wskazała to, co nie pasowało do domeny śmierci. Śpiewała, a lodowaty wiatr porywał słowa z warg i niósł je po cmentarzu. Magia narastała z każdą sekundą. Jej lodowate palce wbijały się w czaszkę Katii, zmrażały oczodoły śmiertelnym widzeniem, aż wypełniła ją całkowicie i Katia była bardziej magią niż sobą. Jej serce stanęło, krew w żyłach zastygła.

Poczuła, że podmuch odrywa ją od ziemi i unosi nad zwirem arterii, wrywając jej imaginowane korzenie, ale nie potrafiła się tym zmartwić. Nie myślała już jako ona, nie czuła ciała jako ludzkiego naczynia dla duszy. Wraz z magią rozlewała się po całym sektorze, fioletowa fala dźwiękowa rozchodziła się od niej jak kręgi po wodzie, a ona była tylko kamykiem, który puścił to wszystko w ruch. Śpiewała, wkładając w ten śpiew wszystko, co miała, przepływało przez nią coraz więcej magii, wypełniając jej komórki zimnem.

I nagle wtrąciła się Matka Ziemia. Nie cichym szeptem, delikatną pieśnią. Ryknęła jak kościelne organy, wypełniając cmentarz magią tak wściekłą, potężną i nieugiętą, że wszystko wokół zaczęło dygotać. Katia nie mogła zatrzasnąć swojego ciała, uniemożliwiały to symbole będące dla magii jak szeroko otwarte drzwi. Strumienie martwej magii i dźwięki, od których nekromantka drżała ze strachu, przelewały się przez nią jak rzeka przez dziurkę od klucza.



Bogini chciała dać Katii odpowiedzi, po które ta przyszła, ale nie mogła powściągnąć mocy i wściekłości. Wszystkiego było za dużo!

Katia chodziła między czarnymi obeliskami i miedzianym prętem zaznaczała te, które wskazywała jej Matka Ziemia. Na każdym rysowała symbol, który miał być widoczny również na pomniku stojącym w tym samym miejscu w domenie żywych. Może jednak dam radę, pomyślała, gdy zrozumiała, że opisała ostatni grób, ale nie, to nie wyczerpało magii. Cały cmentarz drżał, płyty nagrobne lewitowały, a fiolet kotłował się nad grobami niczym wściekle tornado śmierci.

Krzyknęła, gdy ból rozlał się po jej ciele. Minutnik terkotał głośno, ale Katia nie mogła przerwać transu, nie miała wystarczającej władzy nad ciałem, by zetrzeć symbol z czoła, by pamiętać, że jest żywa, jest nekromantką i wcale nie umarła. Jej wola, by przerwać rytuał, zderzyła się z wolą Matki Ziemi, która miała zupełnie inne plany. Dzika kakofonia organów i żywiołu śmierci ucichła tylko po to, by uszy Katii wypełnił wściekły głos bogini:

– Patrz! Patrz, co mi zabrał! Patrz! Napraw to! Oddaj mi je! Nikt nie miał prawa mi ich zabrać! Były moje! Moje dzieci!

Chciała patrzeć, chciała spełnić jej żądanie, ale nagle zalała ją ciemność. Jakby ktoś odciął jej źródło zasilania. Serce uderzyło z wysiłkiem pierwszy raz od dłuższego czasu. Poczowała, że spada.

I wszystko zniknęło. Nawet ból.

ROZDZIAŁ 10

Na niektóre spotkania zawsze jest za wcześnie

Katia przez chwilę jeszcze kołysała się w miękkiej ciemności, pachnącej jak ciasteczka i maliny. Było jej ciepło i prawie w ogóle nie czuła bólu. Gdzieś na granicy jej świadomości kołatała się myśl, że to nie potrwa długo, ból ją odnajdzie i wróci z całą mocą, ale póki mogła, rozkoszowała się tą halucynacją. Bo przecież to musiała być halucynacja, prawda?

Do zapachów doszedł kobiecy głos, niezbyt głośny, ale wyraźny. Śpiewał *Jeszcze się tam żagiel bieli* Alicji Majewskiej, osiągając rejony wysokiego vibrato, które mogły namieszać w lokalnej populacji nietoperzy. Melodia była tylko drogowskazem, ale wokalistka nie zamierzała mu się podporządkować. Smutna, nastrojowa piosenka w tej wersji wydawała się niemal entuzjastycznie radosna – jakby to, że „męską rzeczą jest być daleko”, to najlepsze, co mogło się przydarzyć kobietom na brzegu. Przy „na bębenku cicho gra” rozległo się energiczne stukanie w garnek drewnianą łyżką.

No dobrze, to nie może być halucynacja, pomyślała Katia. Byłoby to zbyt dziwne, nawet gdyby wypaliła skręta od Witkaca. Ostrożnie otworzyła oczy, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest i skąd się tu wzięła.

Pamiętała cmentarz, falę fioleto, która wypaliła jej oczy... Jej ciało oddało zbyt wiele, zimno wgryzało się w kości, a serce niebezpiecznie zwolniło, boleśnie ściskając się w piersi, resztką sił tłocząc krew w żyły. Cholera, przesadziła. Szalki życia i śmierci przechyliły się na jej niekorzyść. Gdyby nie miała pieczęci trzymającej duszę na miejscu,

mogłaby być już martwa. Albo nawiedzona przez jednego z cmentarnych duchów.

Spróbowała usiąść. Ból głowy natychmiast dźgnął ją gorącą igłą w oczodół. Opadła na poduszkę. Poduszkę... Skąd poduszka? Mózg podsunął jej absurdalną wizję Kowala wiozącego ją na przyczepce swojego gotyckiego papamobile, ale natychmiast ją odrzuciła.

Rozejrzała się ostrożnie. Ciągle łudziła się, że ból minie i nie przejdzie płynnie w migrenę, która zatrzyma ją w uścisku przez dwa lub trzy dni, gdy ona będzie błagała o dobiecie. Światło wpadało przez okno – a więc wciąż był dzień. Jeśli miała szczęście, ten sam, który zaczęła od spotkania z Adamem na cmentarzu. Na parapecie stały donice z fikusem i zielonymi szablami wyrosniętej sansewierii. Pod palcami wyczuła miękkie koc, flanelowy, puchaty, lekki, ale bardzo ciepły. I najwyraźniej leżała na kanapie. Próbowwała przekrócić głowę, by się rozejrzeć, a ból dźgnął ją w oczodół kolejną szpilą. Jęknęła.

Śpiew ucichł. Po chwili usłyszała zbliżające się kroki, miękkie, z towarzyszącym im lekkim szuraniem kapci. Zerknęła ostrożnie w stronę, z której dochodził dźwięk.

Kobieta była w okolicach sześćdziesiątki, niewysoka, szczupła, w granatowej dzianinowej sukience do kolan i pasujących legginsach. Na stopach faktycznie miała góralskie klapki wykończone futerkiem. Zatrzymała się dwa kroki od kanapy i patrzyła zatroskana na Katię. Krótkie włosy otaczały jej głowę niesfornymi lokami w kolorze ciepłego brązu poznaczonego siwizną. Jej podłużna twarz o wyrazistych rysach i duże ciemnobrązowe oczy wydały się Katii znajome, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i kiedy je widziała. Bogini, czyżby uderzyła się w głowę i straciła pamięć?

– Jak się masz, słoneczko? – zapytała kobieta zmartwionym głosem.

– Nieźle, prawie dobrze – zapewniła nekromantka i znów ostrożnie próbowała usiąść. Bardzo powoli, centymetr po centymetrze udało jej się przechytryć igły bólu i podparła się na łokciu, w pozycji półleżącej. Westchnęła z frustracją.

- Możliwe, że mój syn nie zdążył cię złapać, zanim grzmotnęłaś tą śliczną główką o glebę, więc wolniutko. Czy masz mdłości? Albo mroczki przed oczami? – dopytywała nieznajoma.

Podeszła bliżej i wsunęła Katii kilka poduszek pod plecy.

- Nie mam wstrząśnienia mózgu – zapewniła Katia. – Po prostu przesadziłam z magią.

- Wydrenowałaś się, kochaniutka? Czy potrzebujesz czegoś? Zadzwoń do Jemioły?

- Nie trzeba mi uzdrowiciela, dziękuję. Moje ciało musi sobie tylko przypomnieć, że ciągle żyje, a balans się wyrówna – odparła, nie wiedząc, czy kobieta zrozumie.

- Ach, no przecież, nekromantka! – zawołała starsza pani.

Odeszła poza zasięg widzenia Katii, ale wróciła już po chwili z wielkim kubkiem kakao i talerzykiem, na którym spoczywał kawałek ciasta z malinami.

- To powinno pomóc. Nic tak dobrze nie przypomina cię, że żyje, jak pełny żołądek i odrobina cukru – stwierdziła.

Miała rację. Gdyby Katia była teraz u siebie w domu, powłokłaby się do kuchni i przygotowała sobie coś do jedzenia. Uśmiechnęła się z wdzięcznością i powiedziała:

- Dziękuję, pani...

- Marysia. Nie poznałyśmy się, prawda? Ale znałaś mojego męża – wyjaśniła. – I najwyraźniej spotykasz się z moim chłopcem – dodała, mrużąc oczy w udawanej groźbie.

- Jest pani mamą Adama? – Katia z jakiegoś powodu poczuła, że policzki zaczynają jej pulsować gorącem.

- Jak miło, że od razu wiedziałaś, kogo miałam na myśli – odpowiedziała starsza pani i mrugnęła filuternie.

Katia upiła łyk kakao, by nieco zyskać na czasie.

- Pracujemy razem... ponieważ. W każdym razie nie randkujemy ani nic z tych rzeczy – wyjaśniła Katia. Nie chciała wpakować Adama w jakieś nieporozumienie. Poza tym większość matek nie byłaby zachwycona,

słyszając, że ich syn umawia się z nekromantką. Z wielu różnych powodów, w tym fatalnej reputacji magicznych o tej inklinacji.

– A czemu to? Czegóż mojemu chłopcu brakuje? Ja wiem, że może za głęboko siedzi w tej swojej skorupce, ale to trochę nasza wina, a trochę skutek okoliczności. Nielatwo dorastać w domu pogrzebowym. To źle wpływa na relacje z innymi dziećmi. Na randkowanie i dojrzewanie zresztą też – mówiła spokojnie pani Marysia. – Ale przecież jeśli ktoś to rozumie, to właśnie ty, prawda? Ciężki kawałek magii ci się trafił, dziewczczyno.

– Od dawna nie zastanawiam się, co by było, gdyby mi się trafił inny. Jestem, kim jestem. – Katia uśmiechnęła się, by nieco załagodzić zbyt ostro wypowiedziane słowa.

– No i bardzo dobrze! Słyszałam zresztą, że jesteś dobra! Adaś mówi, że najlepsza, a on nie rzuca takich komplementów na wiatr. Napijesz się jeszcze? – zapytała, widząc, że Katia zdążyła opróżnić kubek.

– Jeśli można – poprosiła. – Wysuszyło mnie doszczętnie.

Kobieta znów zniknęła. Katia słyszała, jak nuci coś, krzątając się w sąsiadującej z pokojem kuchni. Wzdychając, usiadła. Kakao i ciasto naprawdę pomogły, świat się już nie kołysał, a jej głowa nie ważyła tony. Wciąż nie czuła się na siłach, by wstać, ale było lepiej.

Kobieta wróciła po kilku minutach z dzbankiem herbaty i dwiema filiżankami na bambusowej tacy oraz dodatkowymi porcjami ciasta. Szybko rozstawiła wszystko na stole i naląła herbaty do filiżanek. Usiadła na stojącym po drugiej stronie stolika fotelu i splotła ręce na brzuchu. Nabrała powietrza, jakby szykowała się, by powiedzieć coś, czego wyznanie przychodzi jej z trudem, i w końcu wyrzuciła z siebie:

– Adaś mieszka tu sam. Nie musisz się martwić, że matka czy ojciec będą wam zaglądać do garnków.

Katia prychnęła cicho.

– Obawiam się, że naprawdę nie mamy żadnych garnków, do których ktoś mógłby nam zaglądać. Poprosiłam Adama o pomoc... – Nie wiedziała, ile może powiedzieć, ale uznała, że skoro starsza pani jest żoną i matką przedsiębiorców pogrzebowych i mieszkała w Thornie, przy

cmentarzu, przez kawał życia, nie jest delikatnym kwiatuszkiem, który wzdryga się, gdy usłyszy słowa takie jak „grób” czy „ciało”. Wyjaśniła więc: – Zniknęło ciało dziewczynki, którą razem pochowaliśmy kilka miesięcy temu. Magia była pewna, ale chciałam zajrzeć do trumny, by móc przekazać matce dziecka sprawdzoną informację.

– Och, straszne. Biedna kobieta, biedne małeństwo. Jak można być takim potworem, by rozdrapywać wciąż świeże rany matki? Ludzie potrafią być najgorsi. – Pokręciła głową.

Katia musiała się z nią zgodzić. Znów zaczęła się zastanawiać, jak właściwie ma znaleźć złodzieja ciał. Czy istniało zakłęcie, które pozwoliłoby go namierzyć? Były jeszcze inne pytania, na które nie знаła odpowiedzi, i nie miała pewności, czy chce je poznać. W tym najważniejsze – po co komu ciała dzieci, a konkretnie małych dziewczynek?

Pani Marysia najwyraźniej wyczuła zmianę nastroju nekromantki, bo bezceremonialnie dołożyła jej kawałek ciasta. Katia uśmiechnęła się z wdzięcznością. Nie przywykła do tego, że ktoś się nią opiekuje.

Kobieta upiła łyk herbaty i zamyśliła się, wlepiając wzrok w okno. Katia poczuła się, jakby przebiła szpilką najradośniejszy balonik. Może nie powinna się odzywać? Może trzeba było pozwolić jej wierzyć, że ona i Adam się umawiają, a w wolnych chwilach tańczą horyzontalne tango w pościeli?

– Wiesz, nie tęsknię za Thornem, za miastem – powiedziała nagle kobieta i spojrzała na Katię tymi wyrazistymi brązowymi oczami, tak podobnymi do oczu jej syna. – Emerytura była dobrym pomysłem, a jeszcze lepszym wyprowadzka na wieś. Tam takie rzeczy się nie zdarzają, a przynajmniej nie zdarzyły się przez ostatnie lata. Największa afera, z jaką nasza wieś musiała się zmierzyć, to spacyfikowanie złodzieja sadzonek. Terroryzował wieś przez kilka tygodni, ale go złapaliśmy. – Uśmiechnęła się drapieźnie.

– Kim był zbój? – Katia z ulgą przyjęła zmianę tematu.

– Organista. Na polecenie proboszcza. Tym, co ukradł, obsadzał grządki wokół kaplicy. Skonfrontowany nazwał to „wymuszoną hojnością

parafian”. Trochę przestrześlił, żaden z okradzionych nie należał do parafii. Myślę, że gdy z nimi skończyliśmy, zrozumieli swój błąd, bo więcej nie mieliśmy problemów.

Katia nie dopytywała, co właściwie wieś zrobiła z proboszczem. Czasami niewiedza była błogosławieństwem. Trzymała się myśli, że najprawdopodobniej przeżył konfrontację.

– Musi być miło mieszkać w miejscu, w którym najgorsze, co może się zdarzyć, to utrata cebulek – powiedziała Katia z rozbawieniem.

– To prawda. Gdybym nie musiała, wcale bym nie wyjeżdżała. Jęczałabym Adasiowi w słuchawkę tak długo, aż by nas odwiedził. Ale tu mamy najbliższego lekarza, nie było wyjścia.

– Mam nadzieję, że ze zdrowiem wszystko w porządku? – zapytała z troską Katia.

– Och, w idealnym. Po prostu musiałam zrobić przegląd sześćdziesięcioletki. Cytologia, mammografia, badania krwi, cały pakiet. Nic przyjemnego, ale to doskonała karta przetargowa, by zmusić mojego Zbyszka do badań okresowych. O wiele trudniej wykręcić mu się od badania prostaty, gdy ze szczegółami opowiadam, jak maszyna miażdżyła mi piersi niczym panini. Jeszcze dziś wracam do domu, więc nie będę wchodzić wam w drogę. Na wypadek gdyby ten błysk w oku Adasia i twoje rumieńce oznaczały, że jest coś na rzeczy.

Katia nie wiedziała, co odpowiedzieć, za to jej policzki znów zdawały się pulsować żarem.

– O, już idzie, zdążył, nim ciasto wystygło – powiedziała pani Marysia. Zerwała się z fotela i pobiegła do kuchni po kolejne porcje przysmaków i filiżankę.

Katia usłyszała kroki na schodach i po chwili do pokoju wszedł Adam. Odetchnął z ulgą, widząc, że Katia jest przytomna. Miała na policzkach chorobliwe wypieki, ale chyba wołał je od upiornej bladeści, która uderzyła go, kiedy niósł nieprzytomną nekromantkę do samochodu i wiozł ją do swojego mieszkania.

Opadł na fotel, nie odrywając od niej oczu, jakby musiał się upewnić, że naprawdę jest z nią lepiej.

– Jest dobrze, słowo. Przykro mi, że cię wystraszyłam. Przesadziłam, nie zauważyłam, że równowaga się zachwiała – powiedziała łagodnie.

– Za dużo śmierci naraz? – domyślił się.

Skinęła głową.

– Dziękuję, że... – Zawahała się. Bo jak właściwie to ująć?

– Że nie zostawiłem cię nieprzytomnej na pastwę Kowala? – podrzucił rozbawiony.

– Zawsze mógł się przypałętać Gardiasz albo ten jego nowy przydupas. Kowal mówił, że wszystko by chlapał krwią kurczaków. Wiesz, jak ciężko sprać krew z wełny?

– Wyobrażam sobie. – Adam skinął głową i uśmiechnął się ciepło.

Katia poczuła, że coś ją ściska w gardle. Widział ją tam, na cmentarzu, pochłoniętą magią śmierci, przez dłuższą chwilę bardziej martwą niż żywą, wkładającą wszystkie siły w zakłęcie, które rozjarzyło cały kwartał ósmy. Mimo to nie wydawał się wystraszony, zniechęcony ani obrzydzony, choć pamiętała doskonale, że tuż przed tym, jak zemdlą, płyty nagrobne zaczęły się unosić, a pieśń Matki Ziemi rozbrzmiewała jak organy w zabytkowej katedrze.

Pokręcił głową, jakby potrafił wyczytać z oczu jej obawy, i powiedział:

– Nie tylko ty w tym towarzystwie robisz w domenie śmierci, moja droga. Ona mnie nie przeraża, raczej się lubimy.

Katia miała wrażenie, że to nie był tylko żarcik, ale nie dopytywała. Wciąż pamiętała fioletową poświatę, którą zauważyła wokół Adama pod wpływem zaklęcia. Nie powinna go nawet widzieć, był żywy, a jednak świecił się jak najśłodsza żaróweczka.

– Twoja mama myśli, że jestem twoją dziewczyną – powiedziała szeptem. Pytanie o to, jaką miał magię, choć kuszące, było zupełnie nie na miejscu.

– Ma nadzieję, że nią jesteś. Ale wie, że gdybyś rzeczywiście nią była, zadzwoniłbym, żeby się pochwalić, cały w skowronkach.

Stanowił zagrożenie dla jej silnej woli. Był po prostu za słodki. Słodszy od ciasta z malinami, które przyniosła właśnie jego matka.

Katia nie chciała myśleć, że to właśnie dlatego zaczęła się wygrzebywać spod miękkiego koca, zdecydowana, by czym prędzej wrócić na cmentarz. W pamięci zostały jej zaledwie strzępy tego, co się tam działo, kiedy magia zalała ją jak fioletowa fala, ale coś jednak pamiętała. Coś, co nie dawało jej spokoju.

I dlatego, gdy Adam, bardzo uprzejmie zresztą, zaproponował, że z nią tam pójdzie, odcięła się ostrzej, niżby chciała:

– Muszę to załatwić sama.

Po czym wcisnęła mu w ramiona zwoje koca.

Uciekła, nie chcąc myśleć o tym, że właśnie sprawiła mu przykrość. Nie mogła się na tym skupiać. Nie teraz.

ROZDZIAŁ 11

Bogini o ludzkiej twarzy wcale nie przeraża mniej

Katia ignorowała wciąż pulsujący ból głowy. Połknęła już tabletkę w samochodzie i popiła resztką zielonego soku. Nie mogła czekać ze sprawdzeniem wyników rytuału – ryzyko, że ślady się rozwieją, rosło z każdą godziną.

Było już popołudnie, nie umiała się doliczyć kilku godzin. Powietrze pachniało mrozem i spodziewała się, że w nocy spadnie więcej śniegu, ten z ranka prawie całkiem stopniał. Niebo zasnuwały ciężkie, ciemne chmury. Otuliła się szczelniej płaszczem, owinęła ciaśniej szalikiem, a z torby wyłowiła zapomnianą od stycznia czapkę. Jej ciało wciąż jeszcze miało temperaturę bliższą temperaturze dwudniowego trupa niż żywej osoby. Zabiłaby za gorący prysznic i wieczór pod kocem, ale miała coś do zrobienia.

Czy zwlekała z wejściem na teren cmentarza? Być może. Intensywność reakcji Matki Ziemi ją wystraszyła. Nigdy wcześniej nie znokautowała jej na kilka godzin. Zdarzało się, że w jej ciele chwiała się równowaga, ale nigdy wahadełko nie wychyliło się aż tak mocno w stronę śmierci. Nekromantka obcowała z martwą magią od wielu lat i rzadko kiedy bała się tego, co może się jej przytrafić. Dzięki pieczęciom na duszy, chroniącym ją przed opętaniem czy przejęciem ciała, dzięki różdżkom i pieśniom, czuła się zwykle bezpieczna. I jeszcze dwa dni temu, zapytana o relację z Matką Ziemią, odparłaby, że ta jest dobra, wręcz czuła. Bogini wydawała się mieć do niej matczyną słabość. Cóż, najwidoczniej właśnie zaliczyły swoją pierwszą poważną awanturę, a ona przekonała się na własnej skórze, że o

wiele łatwiej jest być rozczarowaniem dla ludzkiej rodzicielki niż dla bogini, która spodziewała się po niej więcej.

Zawahała się z ręką na klamce bocznej furty, prowadzącej prosto do kwatery ósmej. Dobra, była nekromantką i miała robotę do wykonania. Co to za pomysł, żeby obawiać się wejścia na cmentarz? Nie mogła w nieskończoność unikać Matki Ziemi w obawie, że ta ciągle jest w fatalnym humorze i zechce wyrwać jej żywe korzenie, a następnie trzymać w uścisku tak długo, aż serce zapomni, na czym polega pompowanie krwi do naczyń krwionośnych.

Weszła do kwatery ósmej. Powietrze wciąż drżało od magii. Zapach lilii i woskowej gromnicy drażnił nos, choć jako żywo żadnej z tych rzeczy nie było w zasięgu wzroku. Przeszła kilka kroków, ostrożnie stawiając stopy, tak że żwir prawie nie zazgrzytał pod podeszwami kaloszy. Podskoczyła, kiedy usłyszała za sobą chrząknięcie. Odwróciła się gwałtownie, a serce łopotało jej w piersi jak spłoszony czyżyk. To tylko Kowal, przemknęło jej przez myśl, kto inny mógłby to być? Ale to nie Kowal wyłonił się zza wysokiego grobowca, zwieńczonego pomnikiem wylegującego się na słońcu kota.

Pod Katią ugięły się nogi. Zanim pomyślała, klęczała już na drobnym żwirze, z nisko zwieszoną głową.

– Matko, przepraszam – wykrztusiła spanikowana.

Na palcach jednej ręki mogła policzyć, ile razy przez blisko trzy dekady bogini pokazała jej się w ludzkiej postaci. I nigdy nie wróżyło to nic dobrego. Ostatnio przysłała, gdy zmarł przybrany ojciec Katii.

– Wstań, dziecko – powiedziała cicho Matka Ziemia.

Starala się brzmieć jak ludzka kobieta i Katia doceniała ten wysiłek, bo gdyby znów oberwała potęgą organów z opętanej katedry, jej duch mógłby na dobre opuścić ciało. Podniosła się, ale głowę wciąż trzymała opuszczoną. Dora często mawiała, że łaska boska na pstrym koniu jeździ, a że miała okazję spotykać bóstwa z różnych panteonów dużo częściej niż Katia, jej opinia stanowiła cenną wskazówkę. Nawet bogowie i boginie lubiący śmiertelników czasami zapominają, jak łatwo ich zepsuć czy złamać.

- Starczy tej dramy, dobrze? - Matka Ziemia brzmiała na nieco zniecierpliwioną. - Cieszę się, że doszłaś do siebie... To nie było zamierzone. Za dużo złości i rozczarowania. Nie chciałam ci zrobić krzywdy. Było mi przykro, kiedy zobaczyłam cię nieprzytomną w ramionach tego pupilka Śmierci. Cieszę się, że zadbał, byś doszła do siebie.

Katia zamrugała. Padło mnóstwo słów, które niepokojąco przypominały przeprosiny. Oczywiście na samo „przepraszam” nie liczyła, nie była szalona, ale tak, jak na boginię było to całkiem bezpośrednie przyznanie się do przewinienia.

- Też się cieszę, że doszłam do siebie - wykrztusiła.

Uniosła głowę. Matka Ziemia stała przed nią w brązowej flanelowej sukience, z narzuconym na ramiona swetrem o grubym splocie, z ozdobnymi guzikami. Podniosła kołnierz swetra, jakby miał chronić ją przez podmuchami zimnego wiatru, choć na ostrym, lodowatym żwirze stała boso. Mimo to Katia doceniała starania.

- Przepraszam, że to przegapiłam. Znikające z trumien dzieci. Za rzadko tu bywałam, pozwoliłam Klaudii dyktować warunki, ale to na moje konto idą zaniedbania - powiedziała dobitnie.

Bogini skinęła głową.

- Zemdlałaś, zanim znaki się utrwaliły.

Katia jęknęła. Nie miała siły, by powtórzyć rytuał! Nie była nawet pewna, czy przeżyłaby go drugi raz w tak krótkim czasie. Musiał istnieć jakiś inny sposób. Myślała intensywnie, ale jedyną alternatywą, jaka przychodziła jej do głowy, było chodzenie od grobu do grobu i nasycanie go magią, aż lokator się poruszy, da znak życia, czy raczej - śmierci. Jeśli się postara, sprawdzenie całego kwartału zajmie jej kilka tygodni.



– Pokażę ci je – oświadczyła bogini, jakby to było zupełnie naturalne.
I naprawdę to zrobiła.

Szły główną arterią, a Matka Ziemia wskazywała poszczególne nagrobki i mówiła:

– Julia Wójcik, biedne maleństwo, miała tylko pięć lat.

Albo:

– Karolina Zielonka, powinna tu być!

Czy:

– Marta Siewka, to już trzy lata, odkąd mi ją zabrali!

Katia szybko zrozumiała, że nie zdoła wszystkiego zapamiętać, więc wyciągnęła z torby notatnik i ołówek oraz futerał z kredowym mazakiem. Na wskazanych nagrobkach stawiała kropkę, a na osobnych kartkach notowała wszystko, co Matka Ziemia mówiła o zmarłych dziewczynkach, o okolicznościach ich śmierci i zaginięcia.

– Czy wiesz, kto je zabiera? I po co? – zapytała w napięciu, gdy zanotowała imię i nazwisko Kariny, ostatniej z zaginionych.

Z twarzy Matki Ziemi w jednej chwili zniknął pozór łagodności. Jej aura się wzmocniła, a fala ciemnego fioletu rozlała się wokół niej jak tłumiona wściekłość. Katia skuliła się w sobie, szykując się na falę bolesnych dźwięków, Matka Ziemia jednak milczała. Odwróciła się do Katii plecami i wodziła palcami po wyrzeźbionych ze zdumiewającą drobiazgowością piórach na skrzydłach małego cherubinka, który siedział na prostym sześcianie pomnika z płytą nagrobną Soni Wodnik – jednego z oznaczonych kredową kropką.

– Ktoś albo coś musi go chronić przed moim wzrokiem – powiedziała w końcu, a jej głos brzmiał prawie ludzko. – Magia, artefakt, nie wiem, ale jest dla mnie niewidzialny. Myślisz, że zdołałby mi zabrać dwanaście dziewczynek, gdybym go widziała?

– Oczywiście, że nie. Przepraszam.

– Nie musisz. – Bogini uśmiechnęła się łagodnie. – Gdybym choć podejrzewała, że miałas z tym cokolwiek wspólnego, nie byłoby cię już wśród żywych.

Katia zadrżała z zimna. Wolała, kiedy Matka Ziemia porozumiewała się z nią archaicznymi pieśniami i echem emocji, a nie całkiem bezpośrednio groziła jej śmiercią. Oto ostateczny dowód, jak bardzo te straty wytrąciły ją z równowagi.

– Od jak dawna to się dzieje? – zapytała.

– Pierwsza zniknęła osiem lat temu – odparła bogini. – Na początku przerwy były dłuższe... zapominałam o stracie, nim następowała kolejna. Ale sześć w ciągu ośmiu miesięcy trudno zapomnieć.

Katia notowała informacje. Będzie musiała to wszystko przemyśleć, na razie jednak korzystała z tego, że bogini dzieliła się informacjami z własnej woli.

– Znajdź go, Katiu. Znajdź je. Muszą wrócić na swoje miejsce. Pieśń musi płynąć bez pustej nuty – oświadczyła, po czym zniknęła. W jednej sekundzie stała przed Katią, a w następnej nekromantka patrzyła na odciski w śniegu ślady stóp.

Westchnęła i raz jeszcze podeszła do każdego z oznaczonych grobów, zrobiła zdjęcia tablic, obejrzała skrupulatnie pieczęcie domów pogrzebowych, odnotowała wszystkie informacje w notatniku.

A gdy zaczął jej się rysować wzór, zacisnęła zęby, by nie krzyknąć z frustracji.

Musiało być jakieś inne wyjaśnienie, prawda? To nie mógł być Adam...

Nawet jeśli aż dziesięć z dwunastu grobów nosiło jego pieczęcie. Na pierwszy rzut oka wydawały się nienaruszone, zabezpieczone kratą, jak grób Karinki, czy wymyślnymi kłódkami, jak wszystkie pozostałe, a jednak według Matki Ziemi były puste. Zresztą Katia nie polegała tylko na jej słowach – każdy z dwunastu grobów sprawdziła własną pieśnią przywołania i odpowiedziała jej cisza.

Z drugiej strony, Katia widziała coś jeszcze. Ją też łączyła więź z aż trójką zaginionych dziewczynek – poza Kariną zabezpieczała pieczęcią nekromancką jeszcze dwie inne. Przywołała wspomnienie tych rytuałów i ciał zmarłych, rozmów z rodzinami, okoliczności pochówku. Czy mogła cokolwiek zauważyć już wtedy? Nic nie przychodziło jej do głowy.

Rozejrzała się po otaczających ją dziecięcych nagrobkach. Czemu właśnie te dziewczynki? Wszystkie miały między pięć a dziesięć lat – czy to przypadek? Po co komuś dwanaście ciał małych dziewczynek? Magia? Nekrofilia? Ofiary? Nekromancja? Powodów, dla których ktoś mógłby chcieć ukraść ciało dziecka, było wiele.

I jak je wybierał? Osiem lat, wedle słów Matki Ziemi. W tym czasie niestety pochowano więcej niż dwanaścioro dzieci. W tym samym tygodniu, kiedy grzebano Karinę Miterę, odbył się też pochówek Barbary Kality, ledwie trzynastoletniej. W środku nocy, bez ostrzeżenia, obudziła się jej magia, wyrosły jej skrzela, odtąd mogła oddychać wyłącznie pod wodą. Uduśiła się. Katia pamiętała wszystkie szczegóły, całą noc przed pogrzebem spędziła u boku zrozpaczonej matki. To po niej córka miała geny wodnikowe. Czemu Basia wciąż leżała w swojej trumnie? Czym się różniła od Karinki Mitery? Magią? Wiekiem? Czy złodziej wybierał je na chybił trafił i skoro miał już Karinę, nie potrzebował kolejnej dziewczynki ledwie trzy dni później?

A może szukał czegoś konkretnego? Miał wymagania względem ciał? Jeśli tak, to skąd wiedział, kiedy i gdzie takie pochowano? I jak, u diaska, dostawał się do trumny bez łamania pieczęci Adama?

Poza oczywistym wyjaśnieniem, że to Adam je otwierał, a potem zakładał od nowa...

Głowa rozboleła ją jeszcze bardziej, mimo połkniętych wcześniej kapsulek przeciwbólowych. Katia miała milion pytań i kompletnie nie wiedziała, jak zdobyć odpowiedzi. Nie była detektywem, nie należała do nekromanckiej policji. Oglądanie seriali kryminalnych i niezdrowe umiłowanie do zasypiania przy podcastach o seryjnych mordercach nie wystarczało, by uznać, że wie, co robi.

Chciała porozmawiać z Dorą. Zaangażować ją w tę sprawę, nawet jeśli oznaczałoby to wejście na ścieżkę wiodącą do eskalacji, apokalipsy i ścielących się gęsto trupów. Przyjaciółka nie była ucieleśnieniem subtelności czy powściągliwości, ale, niczym pies gończy, śledztwo miała we krwi. Katia, cóż, w tym momencie miała we krwi głównie za mało glukozy, przez co czuła się oklapnięta i przygnębiona. Wypierała

możliwość, że facet, z którym flirtowała, na którego kanapie spała, który stał się bohaterem więcej niż kilku jej erotycznych fantazji, może siedzieć w tej sprawie po uszy. Dziesięć z dwunastu zaginionych dziewczynek trafiło do Domu Ostatnich Pożegnań. To nie mógł być przypadek!

Podsłoczyła, słysząc dobiegającą z kieszeni płaszczka melodyjkę. Była pewna, że dzwoni Adam, i zastanawiała się, co właściwie może mu w tym momencie powiedzieć. Ale kiedy wyciągnęła telefon z kieszeni, to nie jego imię migąło na ekranie, lecz Dory. Najwyraźniej wystarczyło o niej pomyśleć, by wywołać wilka z lasu. Szybka decyzja: czy powinna ją w to wciągnąć? Chciała, ale wciąż pamiętała rozmowę sprzed kilku dni. O tym, że jeśli chce kandydować, musi unikać konotacji z Namiestniczką, bo w mieście już mówiono, że jest tylko „słupem Dory Wilk”. Jeśli jednak na jednej szali leżą wybory, a na drugiej zaginione dziewczynki i wściekłość Matki Ziemi, cóż, przynajmniej nie będzie musiała podejmować zbyt wielu niewygodnych decyzji.

Stuknęła w zieloną ikonkę i powiedziała:

– Świetnie, że dzwonisz, muszę z tobą porozmawiać.

– Muszę ci coś pokazać! – zawołała Dora podekscytowanym głosem. – Padniesz! Zajrzysz do mnie?

– Będę za pół godziny – zapewniła nekromantka i zakończyła połączenie.

ROZDZIAŁ 12

Zło nie śpi, lecz szwenda się po cmentarzach

Katia już miała odbić w stronę starego miasta, gdzie mieszkała Dora, ale w ostatniej chwili skręciła w przeciwnym kierunku i podjechała pod główną bramę cmentarza. Miała nadzieję, że wpadnie na Kowala, a jeśli nie – może zdoła mu zostawić notatkę z prośbą o kontakt. Nie miała pojęcia, czy dozorca przyjmuje do wiadomości istnienie telefonów komórkowych, ale nie zlikwidował linii naziemnej i wiedziała, że może do niej zadzwonić. Jeśli zechce. Zaparkowała więc przed bramą południową i weszła na teren cmentarza. Nadal był dziwnie cichy, przynajmniej na poziomie magicznym, bo na czysto realnym docierały do niej charakterystyczne marcowe wrzaski kotów.

Dom dozorca przylegał do murów otaczających cmentarz. Była to niewielka bryła z czerwonej cegły, z miedzianym, całkiem już zielonym dachem i antycznymi oknami o grubych szybkach z uwięzionymi w nich pęcherzykami powietrza. Na wielu widać było zgrubiałe denko, dowód na to, że nie były wycinane z tafli, ale z kulistego, dmuchanego szkła. Cieńsze i przejrzystsze kawałki trafiały do bardziej okazałych budynków. Katii nie zdziwiłoby, gdyby się okazało, że okna Kowala były równie stare jak te w zabytkowych budynkach Starszyny czy Sanktuarium. Drzwi pomalowano na zielono, podobnie jak framugi okien i niewielką balustradę przy trzech stopniach prowadzących na ganek. Zielone było też wysokie na niespełna metr ogrodzenie składające się z setek ostrych strzał pospinyanych wykutymi w żelazie liliami, otaczające domek z trzech stron i przymocowane do cmentarnego muru. Furtka okazała się zamknięta na

głucho, w oknach panowała ciemność. Katia nie była na tyle szalona, by spróbować wejść, więc zagrzechotała tylko furtką o słupek i zawołała:

– Kowalu! Jesteś w domu? Ahoooj!

Odpowiedział jej prześmiewczy chichot sroki siedzącej na gałęzi tuż nad jej głową.

– Bardzo jesteś pomocna – mruknęła Katia, zerkając na ptaka. – Mogłabyś lepiej pokazać, gdzie go znajdę.

Sroka spojrzała na Katię z wyraźną drwiną, jakby dopytywała niemo: „I co jeszcze? Może wyczarować karocę?”. Nekromantka wyjęła notes, zapisała swój numer telefonu i wyrwała kartkę. Zwinęła ją w rulonik i wetknęła w dużą dziurkę od klucza w furtce.

Już miała odejść, kiedy nagle wyczuła za sobą czyjąś obecność. Obróciła się gwałtownie. Widziała tego typu pierwszy raz w życiu i miała pewność, że nie będzie między nimi miłości. Jego fioletowa aura śmierci była ciemna, wyraźnie poznaczona szkarłatem i czernią.

Mężczyzna, wysoki i szczupły, mógł liczyć sześćdziesiąt lat, mógł też liczyć sto. Miał wyrazistą, pociągłą twarz, z wysokim czołem, głęboko osadzonymi oczami, wąskimi ustami i orlim nosem. Katia określiłaby ją jako arystokratyczną. Próbowała zrozumieć, czemu ten człowiek wydaje jej się znajomy, choć na pewno nigdy go nie spotkała.

– A co ty tu robisz, dziewczyno? – zapytał głośno mężczyzna.

Katia założyła ręce na piersi i spojrzała na niego krytycznie.

– A niby kim jest facet, który ma się za uprawnionego do zadawania takich pytań? – odpowiedziała butnie.

Skrzywił się, jakby połknął cytrynę.

– Będziesz się do mnie zwracać z szacunkiem, dziewczyno! Nie myśl, że sobie możesz tu przychodzić, kiedy chcesz. To nie jest miejsce dla takich dziwadła jak ty, to szanowana nekropolia! Dopilnuję, byś nie miała tu wstępu bez nadzoru.

– Szacunek to dwukierunkowa droga, starcze – odpowiedziała Katia, tłumiąc gniew. – Nie muszę mieć niczyjej zgody, by wykonywać swoją pracę.

– Jeszcze. Bądź pewna, że o to zadbam, kiedy tylko formalnościom stanie się zadość. – Uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją.

– Formalnościom? Czyżbyś myślał, że wybory powszechne w tym mieście to formalność? Jeśli Gardiasz ci sprzedał taką historię, by cię tu zwabić, oszukał cię.

– Och, doskonale się orientuję w tutejszych porządkach. Od lat miałem oko na to miasto, na tę zaniedbaną nekropolię. Panujący tu bałagan najlepiej dowodzi, że piastowanie stanowiska opiekuna cmentarza przez kobietę to nieporozumienie. Głupotą byłoby łapanie się nowinek, gdy świetnie się sprawdzała tradycja. Ja zaprowadzę tu ład.

– Tradycja? Która dokładnie? Ta, która kazała obcinać liczym głowy, zanim złożyło się je do zbyt długo unikanego przez nie grobu? – zapytała słodko Katia.

Może i sama miała Klaudii co nieco do zarzucenia, ale nie zamierzała oddawać pola temu mizoginowi i seksiście.

Jej cios był celny, liczył aż się zatrzęsł z oburzenia. Wskazał na nią kościstym paluchem i wycedził, niczym złot z kiepskiego filmu:

– Nie wejdiesz mi w drogę, panienko. Nie możesz się ze mną równać. Zniszczę cię, jeśli choćby spróbujesz mi bruździć. Nekromantka! – Parsknął, jakby samo słowo pozostawiało w ustach gorzki osad. – Nie myśl, że masz choćby start do prawdziwej magii śmierci!

Katia nagle skojarzyła, kogo jej przypomina, i musiała przygryźć wargę, by nie parsknąć śmiechem. Był jak tańsza wersja Christophera Lee. Coś jak figura woskowa wielkiego Francisca Scaramangi, ale z muzeum figur woskowych przy nadmorskim deptaku. Prawie podobny.

– Skoro tak bardzo lubisz tradycję i rozwiązania archaiczne, może po prostu wyzwę cię na pojedynek pieśni cmentarnej i zobaczymy, kogo wybierze Matka Ziemia? Jestem gotowa, choćby teraz – zapewniła, wciąż rozbawiona skojarzeniem.

– Sztuczki na nic się zdadzą – burknął tylko. – Nie wchodź mi w paradę, bo pożałujesz. Gdy znikają takie dzierlatki, nikt za nimi nie tęskni.

– Niewiele wiesz o tym mieście, prawda? – zapytała z rozbawieniem. – Możesz być pewny, że gdy przez ciebie zaczną w tym mieście znikać

dzierlatki, zanim się obejrzyysz, spadnie na ciebie płonący miecz sprawiedliwości.

Skrzywił się, jakby przypomniał sobie, że Namiestniczka też jest kobietą, i na samą myśl przewracały mu się bebechy. Machnął lekceważąco i zamaszystym krokiem oddalił się w stronę bramy.

Nekromantka patrzyła za nim i niemal się spodziewała, że niebo zagrzmi odpowiednią ścieżką dźwiękową. Milczało, ale może nie mogło się zdecydować, z którego filmu z Christopherem Lee muzykę wybrać.

No nie pokochamy się, pomyślała Katia. I sporo by dała, by się dowiedzieć, ile razy facet bywał w Thornie w ciągu ostatnich, dajmy na to, ośmiu lat. Czy jest możliwe, że to on stał za zniknięciami? Nie mogła nie zauważyć, że po śmierci Klaudii nastąpiła eskalacja i porwania zwłok zrobiły się częstsze. Żywoć licza wymagał nie tylko czarnej magii, ale i ofiar. Facet chodził w cudzym ciele jak w odświętnym garniturze. A gdy to ciało się zużyje, będzie musiał znaleźć kolejne. Jeśli nie chce przeskakiwać między powłokami zbyt często, potrzebuje solidnej magii, by utrzymać tę obecną przy życiu. Już samo to umiejscawiało go wysoko na liście podejrzanych Katii. Gdyby jeszcze miała jakiegokolwiek dowody... Potrzebowała konsultacji z kimś, kto miał doświadczenie w kopaniu złoti po dupach.

Już chciała opuścić cmentarz, kiedy usłyszała skrzypnięcie drzwi. W progu domku stał Kowal, trzymając się pod boki.

– Sama widzi, jaka to kanalia – rzucił głośno.

Przytaknęła. Nie czuła się jeszcze gotowa na deklaracje wyborcze. Poza tym teraz miała inne priorytety.

– Zostawiłam notatkę – powiedziała i wyjęła rulonik z dziurki od klucza. Pokazała go dozorczy.

– Wejdzie i poda, oszczędzi starcowi chodzenia – oświadczył i wyciągnął rękę.

Katia nacisnęła klamkę. Jeszcze przed chwilą zamek był zablokowany, teraz odskoczył, wpuszczając kobietę na teren posesji.

– Przeprowadziłam rytuał, rozmawiałam też z Matką Ziemią. Brakuje dwunastu dziewczynek. Ktoś je wyciągnął z trumien, zostawił puste groby

– powiedziała. Podała Kowalowi karteczkę z numerem telefonu i prośbą, by dał jej znać, kiedy może go odwiedzić.

– Dwanaście, mówisz. – Wyraźnie się zmartwił.

– To coś znaczy? Jakiś rytuał?

Pokręcił głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale dwanaście to dużo. I magiczna liczba. Niedziwne, że jest Matka Ziemia taka wytracona z równowagi, i niedziwne, że zniknięcia zakłócają melodię. Nic dobrego z tego nie wyniknie. – Splunął przez ramię, nie zważając na to, że ślina spływała teraz po jego drzwiach.

Katia, wertując notatki, powiedziała:

– W ostatnich miesiącach skradziono aż cztery ciała, ale miał pan rację, to się zaczęło osiem lat temu. Czy domyśla się pan, kto może stać za zniknięciami?

Starzec zapatrzył się na nagrobki stojące zaraz za ogrodzeniem i pokręcił głową.

– Nie daje mi to spokoju. Jak ktoś mógł wejść i wynieść stąd ciała, a ja zem nie zauważył? Może jestem za stary... Kiedyś ledwo hiena cmentarna pojawiła się pod murem, wiedziałem i łapał za wszarz, jeszcze zanim drań łopatę wbił w grób. A tu nic nie wyczułem. Nic a nic – powiedział cicho.

– Matka Ziemia też nie wie, kim jest złodziej – przyznała Katia.

Kowal przechylił głowę w zadumie.

– To by mogło być – przyznał.

– Czy ktoś już tak robił? Potrafił umknąć magii dozorczy? – zapytała z nadzieją.

– Tak, była jedna taka. Tyle że nie żyje już szmat czasu i jak sama mi przypomniałaś, pochowana jest w grobie ojca. On zresztą też się potrafił zakradać jak nikt. Ale to żadne z nich. W ich grobowcu melodia bez skazy.

Katia skinęła głową.

– Gdyby cokolwiek się panu nasunęło, proszę dzwonić. Każda pomoc się przyda.

Była już za furtką, kiedy zawołał za nią:

– Uważaj na niego! Magii ma niewiele, ma za to koneksje i nie zawaha się ich użyć.

– Kto? Licz?

– A licz, licz. Wiesz, jak się zwie?

– Nie uznał za stosowne przedstawiać się byle dzierlatce – odparła Katia z przekąsem.

– Egon Bremmer, nie zaszkodzi go sprawdzić. Ta twoja przyjaciółka Namiestniczka powinna wziąć go pod lupę, bo na kilometr pachnie kłopotami.

– Nie mówi pan tak tylko dlatego, że nie znosi zmywania krwi z piaskowca?

Kowal zarechotał i aż poklepał się po udzie.

– Lubię cię, panienko, masz iskrę. I ani śladu trupiej gorączki. Widzę cię w roli opiekunki tego cmentarza. Nie spierdol tego.

Katia zapisała w notesie imię i nazwisko licza. Nie miała nic przeciwko temu, by Dora rozpuściła wici wśród swoich informatorów.

ROZDZIAŁ 13

Prawie własny kawałek podłogi

Jeszcze nawet nie zgasiła silnika, kiedy Dora Wilk wypadła z kamienicy, podekscytowana i naładowana energią jak mały piorun kulisty. Katia nie mogła się nie uśmiechnąć, choć zaledwie minutę wcześniej jej umysł wypełniały mało radosne myśli. Był to jeden z darów jej przyjaciółki, może najmniej doceniany przez ogół, ale dla Katii nie miał sobie równych. Wyskoczyła z samochodu i natychmiast znalazła się w ciasnym uścisku Namiestniczki.

– Rany, tak się cieszę! Nie byłam pewna, czy uda mi się to dogadać przed wyjazdem, ale urabiałam go tak intensywnie, że w końcu się poddał! I mam, tadam! Mam! – mówiła z prędkością karabinu maszynowego, prawie tańcząc wokół Katii.

Nekromantka parsknęła śmiechem.

– Po kolei. Znów mnie wrzucasz w środek rozmowy, którą toczyłaś sama ze sobą, zanim się zjawiłam – powiedziała.

– O rany, fakt, ale nic nie mówiłam, bo chciałam, żebyś miała niespodziankę! – Dora klepnęła się w czoło.

– Uznaj, że jestem zaskoczona. – Katia uniosła obie ręce w pojednawczym geście.

– Jeszcze nie! Poczekaj, aż sama zobaczysz! – zawołała Dora. Złapała Katię pod ramię i prawie siłą wciągnęła do kamienicy.

Magia kręgu ochronnego zaskwierczała na skórze nekromantki, przepuszczając ją bez oporów. Odkąd z Dorą i Mironem zamieszkała

Salcia, ich przybrana córka, przyjaciółka Katii miała małą paranoję na punkcie bezpieczeństwa, ale jej zakłęcia ochronne zawsze uwzględniały bliskich. W tym Katię. Na tym polegał kolejny z mniej oczywistych talentów Dory – mogły się czasem nie widzieć tygodniami, pochłonięte intensywnym życiem zawodowym i rozdzielone bramą (Dora coraz rzadziej bywała w realnym mieście, a Katia do niedawna spędzała tam większość czasu), ale nekromantka zawsze czuła się częścią najbliższego kręgu Namiestniczki.

Katia wdraprywała się po schodach kamienicy. Dora przed nią prawie biegła, przeskakując stopnie, w czarnych legginsach i długim swetrze, z miedzianymi włosami powiewającymi niczym superbohatera peleryna. Zatrzymała się nagle, piętro niżej, niż powinna, odwróciła się do Katii i powiedziała:

– Mam nadzieję, że ci się spodoba, ale jeśli nie, wszystko da się poprawić. Dociśniemy go o wszelkie niezbędne zmiany.

Katia nadal nie miała pojęcia, o czym mówi przyjaciółka, ale nie wątpiła, że ta już rozważa opcje dociskania, kogokolwiek miała zamiar docisnąć.

Dora tymczasem wyciągnęła z kieszeni swetra klucz i przekręciła go w zamku cudzego mieszkania.

– Hmm, włamujesz się do pana Cieślika? Będzie zachwycony – skomentowała Katia.

– Już tu nie mieszka. Znalazł miłość, wyobraź sobie, jakąś żwawą wdówkę z domem i kawałkiem ziemi pod miastem. Kto by pomyślał, że miał to w kartach, nie?

– Cóż, jeśli on sobie kogoś znalazł, to chyba każde z nas ma szansę – mruknęła nekromantka.

Dora parsknęła, a potem zaczęła wyrzucać z siebie informacje:

– To samo powiedział Roman. W każdym razie dobrze, że Cieślik sobie kogoś znalazł, bo to znaczy, że się wyprowadził, a to znaczy, że mieszkanie jest puste. Roman je odświeżył i chce je znów wynająć. Tylko mu nie idzie, bo to tak zwane trudne sąsiedztwo. Na parterze są dwa nawiedzone lokale, na trzecim jesteśmy my, czyli pyr, salamandra i ja, ponoć gorsza

nawet od moich współlokatorów. Roman twierdzi, że już kilka razy obniżał czynsz, ale chętnych wciąż brak. I nawet się czułam winna z tego powodu, aż nagle mnie oświeciło! Nadażasz? – upewniła się.

– Jak dotąd bez problemu – przyznała Katia.

– Bo widzisz, po co on ma za grosze wynajmować te mieszkania byle komu, skoro może je za grosze wynająć fajnym ludziom? Na przykład tobie. A jeśli moja kolejna misja się powiedzie, to techniczne kryminalistyki i psycholożce, które mam nadzieję sprowadzić do Thornu, bo naprawdę potrzebujemy ich w komisariacie. W ogóle czemu po prostu nie uznać tych mieszkań za mieszkania pracownicze? Bo przecież są jeszcze miodożery... No nie mogą za każdym razem, gdy przyjeżdżają na robotę, mieszkać w hotelu, budżet tego nie utrzyma, znacznie sensowniejsze jest ulokowanie ich w mieszkaniu. Jeden z moich wilków chce się sprowadzić do Thornu, jeśli Olaf się zgodzi, i też chętnie by wynajął mieszkanie, bo będzie z nami pracował, poza tym wilk na terytorium innego stada woli być bliżej swojej alfy, wiadomo.

Katia słuchała i próbowała wyłapać najważniejsze elementy tego chaotycznego wywodu.

– Masz dla mnie mieszkanie – wtrąciła niepewnie.

– No przecież! – zawołała Dora. – Martwiłaś się, że próbują ci zablokować możliwość kandydowania paragrafem o meldunku w Thornie. Roman mówi, że spokojnie może cię tu zameldować. Martwiłaś się, że nie stać cię na utrzymanie domu w Toruniu i czegoś w Thornie, więc wynegocjowałam ci taką cenę, że klękajcie narody. – Tu podała kwotę, niewiarygodnie niską. – Roman tak zgrzytał zębami, że się bałam, że połamie kły, ale przecież lepszy niski czynsz niż żaden. Kapitalizm jest po naszej stronie!

Namiestniczka otworzyła drzwi na oścież i zaprosiła Katię do środka szerokim gestem.

– Och! – wyrwało się Katii.

Biorąc pod uwagę wygląd i zwyczaje pana Cieślaka, spodziewała się czegoś... zgrzebnego. Tymczasem pokój był przestronny i jasny, przez dwa duże okna do środka wpadało mnóstwo światła, a na podłodze leżał

śliczny dębowy parkiet. Ściany wciąż pachniały świeżą farbą, której kolor przywodził na myśl lody waniliowe. Mieszkanie wyposażono w podstawowe sprzęty – proste, ale pasujące do siebie i wybrane z głową. W jednej z kuchennych szafek stał nawet komplet naczyń.

– Rany, to jest niesamowite – wykrztusiła wzruszona Katia.

Cała Dora Wilk – odkryła, że istnieje jakiś problem, więc znalazła rozwiązanie, zanim Katia zdążyła poświęcić temu czas i wysiłek. I oto miała na tacy odpowiedź na pytanie, którego nawet nie zdążyła zadać. Brzmiało ono: dokąd właściwie miałyby się przeprowadzić ze swojego domku w Toruniu? A teraz, stojąc w mieszkaniu, które mogło być jej, uświadomiła sobie, że o wiele łatwiej jej myśleć o zmianie.

– Naprawdę jest tak tanio? – zapytała ostrożnie, zanim poniósł ją entuzjazm.

– Wampir płakał, jak szykował umowę najmu – zapewniła Dora. – I nie musisz od razu podejmować decyzji, deklarować się na rok, dwa czy pięć. Masz klucz na miesiąc albo i trzy, ile potrzebujesz na próbę. Nie naciskam. Nie mówię też, że musisz kandydować, a Starszyzna i Thorn cię potrzebują, choć to prawda. Po prostu usuwam problem, byś mogła na spokojnie podjąć decyzję, bez zamartwiania się o ten szczegół techniczny. Poza tym od maja oficjalnie będziesz na etacie w komisariacie, więc nie musisz się już martwić o ubezpieczenie. Witkacy zresztą też. Mam to klepnięte i zabudżetowane.

Katia poczuła, że musi usiąść, bo zakręciło jej się w głowie. Klapnęła na kanapę i ukryła twarz w dłoniach, pewna, że za chwilę się rozplacze.

– Katia? O rany, powiedz coś! Nie gniewaj się, proszę. Spieprzyłam? Zrobiłam tę alfią rzecz, o której w kółko słyszę od Mirona i Salci? – dopytywała Namiestniczka, klęcząc przed przyjaciółką.

– Nic wilczego – zapewniła Katia, wiedząc dokładnie, o czym mówi przyjaciółka.

Po dłuższym pobycie między wilkami Dora miała ciągoty do rządzenia się i podejmowania kategorycznych decyzji. Wśród wilków takie podejście było konieczne, potrzebowały, by alfa podejmowała decyzje dla dobra

całego stada, ale ludzkich przyjaciół takie podejście czasem wytrącało z równowagi.

– Po prostu dotarło do mnie, jak bardzo się tym zamartwiałam od tygodni – ciągnęła nekromantka. – Nie podjęłam jeszcze decyzji, ale... Rany, Dora, poznałam przed godziną swojego konkurenta do fuchy nowego członka Starszyny, a co ważniejsze, zwierzchnika i opiekuna Cmentarza Centralnego... I coraz bardziej skłaniam się do myśli, że nawet jeśli nie chcę wplątać się na lata w politykę Starszyny, to jeszcze bardziej nie chcę, by to on dostał tę robotę. Znasz go w ogóle?

Dora pokręciła głową i zmrużyła oczy.

– Kto to?

– Przydupas Gardiasza, wedle Kowala, a on wie, co mówi. Myślę, że powinnaś go sprawdzić. Nazywa się Egon Bremmer. Uważa, że kobiety parające się magią śmierci to kuriozum, ale nie ma się czym przejmować, bo zwykle i tak są niekompetentne.

– Wow, wie, jak zrobić pierwsze wrażenie. Chodźmy na górę, wszystko mi opowiesz. I sprawdzę go, oczywiście. Ciekawe, że Gardiasz wprowadza go na scenę po cichutku, ani się nie zająknął na posiedzeniach na jego temat, a wierz mi, byłam na wszystkich, bo ciągle się ważyły kwestie budżetowe.

– Mówiłaś, że wyjeżdżasz – przypomniała sobie Katia.

– Rano, do Berlina, na kilka dni. Muszę przekonać dwie kobiety, że przeprowadzka do Thornu to najlepsze możliwe rozwiązanie.

– Z Berlina? Lekko nie będzie.

– Mam dwie garście argumentów i liczę na łut szczęścia – odparła Dora i wręczyła Katii klucz do mieszkania. – Bez presji, prześpij się z tym.

Wyszły na klatkę schodową. Dwadzieścia dwa stopnie później stały na progu Dory.

– Dziękuję. Jeśli zdecyduję się kandydować, nie zarzucą mi braku meldunku. I dobrze, że cię jeszcze złapałam przed wyjazdem. Potrzebuję korepetycji – powiedziała Katia, opadając na kanapę przyjaciółki.

Odruchowo sięgnęła po koc i okryła sobie stopy. Ciągłe nie osiągnęły temperatury właściwej żywym.

– Korepetycji? U mnie? Będziesz się użerać z wilkami? Wkurzać pierzastych samym swoim istnieniem? – zażartowała Dora, wstawiając wodę na herbatę.

– Korepetycji z technik śledczych – wyjaśniła Katia i opowiedziała jej o sprawie zaginionych dziewczynek, o pustych trumnach, ultimatum Matki Ziemi, rozpaczy Agaty Mitery. Na sam koniec zostawiła kwestię podejrzanych. – Adam wydaje się taki słodki, empatyczny i praworządny, nie chcę, by okazał się kreaturą, która wykrada martwe dziewczynki z trumien! Ale nie mogę nie brać pod uwagę, że zdecydowana większość ofiar przewinęła się przez jego dom pogrzebowy i to jego pieczęcie są kompletnie nienaruszone.

Dora pokiwała głową.

– Nie wygląda to dobrze. Ale – uniosła palec – nie zapominajmy, że to on wysłał do ciebie Agatę Miterę i tym samym puścił maszynę w ruch. Gdyby tego nie zrobił, nie wiedziałabyś, że mała zniknęła z trumny. Pewnie dopiero za jakiś czas Matka Ziemia by cię dorwała i pouczyła o twoich obowiązkach.

– To nie rozwiewa wszystkich wątpliwości – powiedziała cicho Katia.

– Raczej nie. Ale też o niczym nie przesądza. Możesz zapytać go wprost, wydusić z niego prawdę. Jeżeli poczekaś kilka dni, przetrączę mu rzepki, jeśli nie będzie chciał współpracować.

Katia parsknęła.

– Jeśli przetrącisz mu rzepki, na pewno nici z randkowania.

– Powiedziałabym, że skoro wciąż myślisz o randkowaniu z przystojnym przedsiębiorcą pogrzebowym, to twoja podświadomość już wie, że jest niewinny. Choć biorąc pod uwagę historię twoich randek, wcale nie jestem tego taka pewna.

– Czasy randkowej ślepoty mam już za sobą, Anubis mnie z niej ostatecznie wyleczył – odparła nekromantka.

Dora pocierała intensywnie nos, chowając pod dłonią mimowolny uśmiech.

– No dobra, może nie był lekarstwem, ale szczepionką na pewno. Nie mam pełnej odporności, jednak przechodzę tę chorobę dużo łatwiej – zażartowała Katia.

– Na to mogę przystać – zgodziła się łaskawie Dora. – Licza też bym brała pod uwagę. Utrzymanie ciała w formie jest magiożerne.

Katia przytaknęła.

– Muszę też przyznać, że jest coś podejrzanego w tym, jak zbiega się w czasie eskalacja porwań i jego pojawienie się w Thornie, a do tego nadciągające wybory – powiedziała. – Sam przyznał, że od lat bywa w mieście. Skompromitowanie mnie byłoby mu na rękę. A oficjalnie jestem jedyną nekromantką w Thornie, problemy na cmentarzu idą na moje konto, skoro Klaudia nie żyje.

– Nie możesz odpowiadać osobiście za cudze grzechy – zaprotestowała Namiestniczka.

– Niespodzianka: mogę. Matka Ziemia jest co do tego przekonana. I zapewne nie tylko ona. W interesie Bremmera jest narobienie mi kłopotów, a w moim jak najszybsze rozwiązanie problemu. I tu pojawia się pytanie: jak? Jak mam się zabrać do śledztwa? Znalazłam się poza swoją strefą komfortu, Dora, potrzebuję mądrości doświadczonej śledczej! Tylko wiesz, nie mogę cię w to wciągnąć oficjalnie, jeśli faktycznie miałabym kandydować.

– Niestety masz rację. Przedstawiliby to jako przejaw twojej niekompetencji, a ja znowu byłabym wielkim, złym i ekspansywnym wilkiem, który wciska nos w nie swoje sprawy. Dobra, lecimy z tymi korepetycjami. – Uśmiechnęła się ciepło.

– Poczekaj, ja sobie zapiszę twoje mądrości – powiedziała Katia i wyciągnęła z torby notes.

– Nie wiem, czy to mądrości z tych wartych notowania. Zwykle sprawdza się stare, proste: „Kto? Kogo? Jak? Po co? Kiedy?”. Na początku nie masz żadnej odpowiedzi, dlatego im więcej luk uzupełnisz, tym bliżej prawdy się znajdziesz. Następnie przeprowadzasz proces eliminacji, jeśli

masz za dużo możliwości. Szukasz nie tylko odpowiedzi na pytanie: „kto to zrobił?”, ale też: „kto nie mógł tego zrobić?”. Prawda jest taka, że u mnie najczęściej sprawdza się nachodzenie ludzi i zadawanie im niewygodnych pytań tak długo, aż mają mnie dość i zaczynają odpowiadać. Ale twoja sprawa jest delikatna, bo musiałabyś przepytywać ludzi po potwornej stracie. Ostatnie, co chcieliby usłyszeć, to że ktoś ukradł ich córkę z grobu, cholera wie po co... Zamierzasz rozmawiać z rodzinami?

– W ostateczności. Wolałabym to zrobić dopiero wtedy, kiedy znajdzie dziewczynki i przyjdzie czas na powtórny pochówek... Ale nie wiem, czy to możliwe. Matka ostatniej ofiary wie o wszystkim, jest w fatalnym stanie. Pozostali raczej nie byłiby w lepszym.

– Jakby strata dziecka nie była wystarczającym koszmarem... – Dora zamyśliła się i Katia złapała ją na tym, że zerka w stronę pokoju Salci. – Słuchaj, za kilka dni wracam. To, że nie mogę być na pokładzie oficjalnie, nie znaczy, że muszę się trzymać z daleka także prywatnie. Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. Spróbuj tylko do mojego powrotu nie wpakować się w nic niebezpiecznego... albo ściągnij Witkaca, na pewno cię wesprze.

– Nie jestem bezbronna, Dora, przecież wiesz. To, że nie strzelam do ludzi, nie kopię tyłków ani nie idę z mieczem na wrogów, nie znaczy, że jestem delikatnym kwiatuszkiem.

– Wiem, wiem, po prostu nie chcę, by mnie ominęła cała zabawa. Muszę zobaczyć, jak wygrywasz z bandą złoi.

– Przy odrobinie szczęścia to nie banda – zauważyła Katia przytomnie – ale jakiś pojedynczy i bez wątpienia zdegenerowany typ.

– Za to akurat powinnyśmy wznieść toast herbatą. Zawsze wolałam szaleństwo jednostki niż wielkie spiski czy mordercze kultury.

Cóż, Katia mogła tylko mieć nadzieję, że za zniknięciami dziewczynek nie stoi żaden kult.

ROZDZIAŁ 14

Zburzony azyl

Wracała do domu tak zmęczona, że ledwie kontaktowała. Pocieszała się, że niedługo będzie u siebie, weźmie bardzo gorący prysznic, zamówi coś dobrego, bo na gotowanie nie miała siły, a potem zakopie się pod kołdrą. Może do rana znów zobaczy na termometrze upragnione trzydzieści sześć i sześć i przestanie się czuć jak stygnące zwłoki.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że nic z tego.

Domyśliła się, że coś jest nie tak, kiedy skręciła w swoją ulicę i nie paliła się żadna z latarni, wszystkie okna były ciemne, nie działała żadna fotokomórka przy mijanych garażach. Zaparkowała na podjeździe sąsiada, bo przed jej bramą wciąż piętrzyła się hałda żwiru. Czują, że za chwilę zacznie krzyczeć. Albo płakać. Oparła czoło o kierownicę i wzięła kilka głębokich wdechów. Wreszcie zdecydowała się wysiąść. Jeszcze nie doszła do swojej furtki, kiedy uchyliły się drzwi w domu naprzeciwko. Pani Krysia stała w progu, owinięta grubym swetrem i w czapce na głowie.

– Nie ma prądu, kochana! – zawołała.

– Co znowu? – zapytała Katia z frustracją.

– Władowali się w transformator i zerwali jakiś kabel. Przyjechali tu chłopacy z energetyki, męczyli się kilka godzin, ale nie dali rady. Jutro mają wrócić – odpowiedziała głośno sąsiadka.

– Poradzi sobie pani bez ogrzewania? – zapytała Katia zatroskana. Wciąż było w okolicy zera, a w sąsiedztwie mieszkało sporo starszych

ludzi. Nie potrzebowali traumatyzującego rytuału magii śmierci, by marznąć nawet w dużo cieplejsze dni.

– Nic się nie martw, kochana, po ostatnim razie syn przywiózł mi piecyk gazowy. Kazik i Stefa będą u mnie nocować, bo u nich już zimno jak w psiarni. Mamy nawet kuchenkę gazową i gorącą herbatę, zmieścisz się i ty, tylko weź sobie śpiwór czy kołdrę!

– Dziękuję, pani Krysiu, ale chyba sobie znajdę jakieś lokum na kilka dni – odparła nekromantka, nie wchodząc w szczegóły.

Sąsiadka tę wymijającą odpowiedź zinterpretowała po swojemu.

– A pewnie, jak masz miłego chłopca na oku, to sprawdź, czy dobry byłby z niego współlokator. Trafił ci się doskonały powód, by się stawić z walizką na jego progu!

Pani Krysia żywiła niezachwiane przekonanie, że życie Katii to materiał na kilka sezonów tureckiej telenoweli, a wszystko dlatego, że raz czy dwa przyłapała Witkaca, jak wychodził od niej rano, a innym razem po randce do domu odprowadził ją ktoś inny. Nawet nie musiał wchodzić, pani Krysia dopowiedziała sobie resztę. Katia mogłaby ją wyprowadzić z błędu, ale sąsiadka była tak wspierająca i tak entuzjastyczna, gdy tylko pojawiał się temat życia miłosnego najmłodszej mieszkanki ulicy, że wolała nie wspominać o kompletnej posusze na polu randkowym. Jeszcze zaczęłoby się pospolite ruszenie i jej emerytowani sąsiedzi rzuciliby się do wertowania albumów rodzinnych w poszukiwaniu kawalerów wśród nieżonatych wnuków i pociotków.

Katia musiała sobie przyświecać komórką, żeby trafić w dziurkę od klucza. Po wejściu do środka znalazła lampkę kempingową na baterie. Przy jej bladym błękitnawym świetle, które latem na patio zwabiało ćmy, zaczęła zapakować torbę.

Godzinę temu widziała, jak Dora pakuje się na kilkudniowy wyjazd do Berlina. Trochę bielizny na zmianę, pięć T-shirtów, bluza, piżama i malutka kosmetyczka – wszystko zmieściło się do plecaka mniejszego niż codzienna torba Katii. Jej samej daleko było do takiego minimalizmu. I wcale nie sądziła, by nazajutrz sytuacja wróciła do normy. Ale nie tylko

to... Musiała przyznać, że odczuwa ulgę. Bo teraz, gdy znajdzie się bliżej Cmentarza Centralnego, łatwiej będzie jej trzymać rękę na pulsie.

Dora nie mogła lepiej trafić z tym mieszkaniem. Gdyby nie to, Katia szukałaby teraz noclegu w jakimś hotelu – nieprzyzwoicie drogim, niezależnie od tego, po której stronie bramy by stał. Możliwe, że Dora, oprócz unikalnej magii i powiązań, miała jeszcze zmysł prekognicji. Nekromantka nie wspominała jej o swoich problemach mieszkaniowych. Mimo to przyjaciółka koniecznie chciała jej zostawić klucze przed wyjazdem. Jakby przeczuwała, że będą jej potrzebne.

Może miała też rację, kiedy na pożegnanie, przytulając Katię, wyszeptała jej do ucha, że wszystko będzie dobrze, poradzi sobie z tą sprawą i znajdzie gnoja. Wtedy wystarczy sygnał, a dosięgnie go wściekłe skuteczne ramię sprawiedliwości znane też jako Namiestniczka Thornu.

Katia spakowała do walizki kilka kompletów ubrań, ciepłą piżamę, szlafrok, ciasno upakowaną kosmetyczkę i drugą z drobiazgami do makijażu. A to był dopiero początek. Dorzuciła jeszcze kilka książek – jakąś beletrystykę i trochę literatury fachowej, bo chciała doczytać więcej o liczach – laptop i ładowarki, nocną lampkę. Oczywiście ulubiony koc i poduszkę ortopedyczną. I papucie, przecież nie będzie chodzić boso. I suszarkę do włosów! Ach i czajnik, nie pamiętała, czy tam jest... A skoro miała już czajnik, to i ulubioną herbatę, prawie litrowy kubek termiczny, bo nawodnienie to podstawa...

Nagle zatrzymała się w pół kroku i zerknęła na leżącą na łóżku pękatą walizkę oraz składaną skrzynkę pełną kuchennych drobiazgów. Nie potrzebowała wszystkich tych rzeczy, by przetrwać, ale by czuć się komfortowo, bezpiecznie i przytulnie. Tak jak nie czuła się w domu od kilku tygodni. Nie chodziło tylko o wkurzającego bogacza zatruwającego jej życie. Gdzieś z tyłu głowy tliła się myśl, z którą nie chciała się pogodzić. Bo jakkolwiek miała się potoczyć kwestia wyborów, jakiś etap jej życia dobiegał końca. I jasne, nienawidziła przeprowadzek, na pewno nie była też gotowa, by przewieźć wszystkie swoje rzeczy do mieszkania wynajętego od wampira, ale nie przerażała jej sama myśl o przenosinach do Thornu. Oczywiście złościło ją, że miejsce jej zamieszkania próbowano

uczynić argumentem przeciwko niej, lecz miasto po drugiej stronie bramy nie odstraszało jej tak jak kiedyś.

Kiedy była mała, musieli się z tatą przeprowadzić z Thornu do Torunia. Przez jej magię. Przeciekała, a tam, z aktywnymi liniami magicznymi pod nosem, była dużo silniejsza i trudniejsza do utrzymania w ryzach. W Toruniu mogli po prostu wybrać lokum z dala od cmentarzy i dawnych miejsc pochówku.

Tata z żalem sprzedał swój rodzinny dom. Szkoda, że nie dożył tego momentu. Uwielbiał Thorn. W realnym mieście nigdy nie zapuścił korzeni, nie zapoznał się z sąsiadami, nie miał swoich ulubionych kawiarni i sklepów. Był emigrantem. Nie zastanawiała się nad tym wcześniej, ale teraz przeprowadzka do Thornu na poziomie symbolicznym jawiła się jej jako powrót do domu i rodzaj testu. Bo dziś nie miała najmniejszych problemów z kontrolowaniem magii. Dojrzała. Wiele się nauczyła. I wracała z tarczą.

Choć już bez taty.

*

Wrzuciła bagaże do samochodu. Musiała zrobić dwie rundki, by przynieść wszystko, co zamierzała zabrać. Ostukała koła i zderzak, by wypłoszyć koty, które łapały resztki ciepła ze stygnącego silnika. Wyjeżdżała z zaciemnionego osiedla, rozmyślając o motywacji Gardiasza. Czy mały złamas naprawdę myślał, że po tym, jak Dora i Roman zmusili Starszyznę do przeprowadzenia otwartego referendum, będzie mógł po cichutku rozdawać karty?

Referendum dotyczyło utrzymania status quo lub wpuszczenia świeżego powiewu demokracji i wyboru następcy lub następczyni Klaudii drogą głosowania. Sprawa, zgodnie z przewidywaniami Dory, okazała się żywo interesować mieszkańców, bo frekwencja dobiła do osiemdziesięciu procent. Zdecydowana większość uczestników była za modernizacją systemu głosowania, który dotąd sprowadzał się właściwie do tego, że Gardiasz lub Katarzyna przyprowadzali swojego ziomeczka, sadzali go za

stołem przydzielonym i obwieszczali: od dziś ów ziomeczek będzie miał niemal nieograniczoną władzę w Thornie.

Ludzie mieli tego dość. Gardiasz zaś, jak to mówią Anglosasi, kompletnie „nie czytał sali”, skoro pokątnie sprowadził szemranego i nieumarłego nekromantę, którego przy życiu trzymały czarna magia i brak zahamowań w przejmowaniu cudzych ciał. Pasował do Gardiasza jak rękawiczka do dłoni nieboszczki hrabiny.

Katia zastanawiała się, czy jest jakiś dostępny jej sposób, by dowiedzieć się, co właściwie Bremmer robił na cmentarzu z tymi wiadrami krwi i czy na pewno należała do kurczaków. Bo nawet jeśli nie miał nic wspólnego ze zniknięciami ciał, to tego rodzaju praktyki były cokolwiek podejrzane.

Dojeżdżając do szpitala Rydygiera, wybrała numer włoskiej knajpy w Thornie. Telefon na chwilę zamilkł, jakby próbowała się dodzwonić do domu rodzinnego właściciela (w piekle), ale po kilku sekundach pojawił się sygnał i chwilę potem usłyszała niski głos świeżego emigranta z królestwa Lucyfera. Sajr może i był zwykłym diabłem, ale gotował jak szatan, a jego sos marinara był wart smażenia się w ogniach piekielnych. Szczęśliwie we Włoskich Grzeszkach przyjmowano płatności kartą i nie wymagano części duszy w charakterze napiwku. Katia złożyła potężne zamówienie, jakby zamierzała zaprosić na kolację jeszcze co najmniej dwie osoby (a na deser cztery), ale cały dzień ciągnęła na zielonym smoothie i ciście mamy Adama. Zasłużyła na porządny posiłek. Zapewniła Sajra, że nie musi budzić syna, który zwykle dowoził jedzenie na terenie Thornu, bo odbierze je osobiście.

– Będzie na ciebie czekało, gorące i wspiane. Trafiły mi się w tym tygodniu wyjątkowej urody pomidory – zapewnił z melodyjnym akcentem charakterystycznym dla piekielników.

Katia nie miała pojęcia, po której stronie bramy się zaopatrywał – czy może importował pomidory z piekła – i nie miało to dla niej większego znaczenia. Był bogiem kuchni, a ona, odkąd Dora po raz pierwszy zabrała ją do jego lokalu na babski wieczór, była wyznawczynią jego kultu.

Z biodegradowalnymi pojemnikami na wynos na siedzeniu pasażera zajęchała pod kamienicę, która jeszcze wczoraj była „miejscówką Dory”, a teraz stała się – na razie tymczasową – miejscówką Katii. Kto by pomyślał! Zastanawiała się, jak zabierze się ze wszystkim, by nie narobić zbyt wiele hałasu. Nie chciała alarmować przyjaciółki. Namiestniczka była nadopiekuńcza i gdyby poznała powód, dla którego Katia postanowiła na jakiś czas przenieść się do mieszkania, jak nic wystarałaby się o specjalny kocioł w piekle dla Bączkowskiego. Nekromantka nie miała już siły na opowieści i wyjaśnienia. Postanowiła opowiedzieć wszystko Dorze po jej powrocie z Berlina.

Nagłe pukanie w boczną szybę sprawiło, że pisnęła i podskoczyła, uderzając udami o kierownicę. Po drugiej strony okna schylał się Miron, wyszczerzony w uśmiechu. Uchyliła drzwi, a on zapytał:

– Potrzebujesz pomocy? – Machnął dłonią w stronę tylnego siedzenia, upakowanego prawie do podsufitki.

Westchnęła. Darowanemu tragarzowi nie zagląda się w zęby, prawda?

– Chętnie, obrócimy raz... Tylko czy mogłoby to zostać między nami? – zapytała nieco skrępowana.

– Co dokładnie?

– Że tu jestem, że nocuję w swoim „nowym mieszkaniu”? – Wykonała palcami znak cudzysłowu.

– Ach, już ci powiedziała. – Uśmiechnął się łagodnie.

– Tak, mam nawet klucz. Ale nie chcę robić z tego wielkiej afery, jestem zmordowana i marzę tylko o prysznicu i łóżku, a wiesz, że Dora zareaguje... entuzjastycznie.

Skinął głową.

– O świcie wyjeżdża, lepiej, by przespała choć kilka godzin, bo uparła się jechać sama. Chodź, zrobimy szybki desant, jak wróci, będzie miała niespodziankę.

*

We dwójkę faktycznie dali radę wnieść walizkę, skrzynkę z bambetlami, bety i torby z jedzeniem na wynos za jednym razem. W ramach

podziękowania Katia wyłowiła z torby z logo Włoskich Grzeszków pudełko z cannoli – nadziewane kremem na bazie mascarpone, obtoczone w kruszonych pistacjach i obsypane pudrem, pachniały nawet przez karton. Zamówiła trzy, w sam raz dla przyjaciółki, jej narzeczonego i córki. Przeznaczenie.

Bez zagładania do środka zaciągnął się zapachem i szeroko uśmiechnął.

– Jesteś pewna? Nie chcę cię pozbawiać deseru po ciężkim dniu.

– Mam jeszcze tiramisu, nie bój żaby. Zrobisz dobre wrażenie i zwiedzisz jej instynkt. Bez cannoli na pewno zauważy, że coś przed nią ukrywasz – powiedziała.

Parsknął pod nosem i z pudełkiem w dłoni ruszył na wyższe piętro. Ledwie przekroczył próg, Dora wychyliła się znad oparcia kanapy i zapytała:

– Czy to Katia przed chwilą przekroczyła kręgi ochronne?

– Tak, jest w mieszkaniu. Ale potrzebuje czasu dla siebie. Przekupiła mnie cannoli, żebyśmy nie wspominał, że tu jest.

– Cannoli? Z Włoskich Grzeszków? – Wiedźma się ożywiła.

– A jest jakieś inne, o którym warto wspominać? – zapytał przekornie.

– Dobra, jesteście przekupieni. Salcia! Miron upolował cannoli – krzyknęła.

W niespełna trzydzieści sekund salamandra była już w salonie. Miron zajął do pudełka. Na szczęście leżały w nim trzy cannoli, bo nie był pewien, czy dałby radę wywalczyć choć kęs, gdyby dostali tylko jedno.

*

Katia zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Stała tak dłuższą chwilę. Dopiero gdy odsapnęła, zzuła kalosze, odwiesiła płaszcz i wniosła swoje rzeczy do sypialni. Marzyła o prysznicu, ale nie była pewna, czy ma dość energii, by nie zasnąć pod strumieniami ciepłej wody.

Siedząc na podłodze w sypialni, otworzyła pojemniki z jedzeniem. Makaron wciąż był ciepły, nie rozmiękł. Sałatka caprese smakowała jak

ambrozja, a jeśli pomidory pochodziły z piekła, warto było się tam po nie wybrać. Pochłaniała potrawy z przymkniętymi oczami. Nie miała nawet siły, by iść do kuchni po łyżeczkę do tiramisu, wyżerała je ze słoika bambusowym widelcem, którym chwilę temu jadła makaron i sałatkę. Wypiła pół litra wody i opadła z sił do reszty. Nie da rady się wykapać, nawet zmycie makijażu ją przerastało, choć zwykle skrupulatnie przestrzegała zasady spania z czystą twarzą. Jak na autopilocie zrzucała z siebie ubrania, nie kłopotząc się tym, by je poskładać i ułożyć na krześle.

Owinęła się wyciągniętym z walizki szlafrokiem i ulubionym kocem, i niczym puchate burrito zwała się na łóżko. Zasnęła, zanim przypomniała sobie o poduszce ortopedycznej, a także o tym, że naprawdę nie lubi wstawać i gasić górnej lampy, kiedy już się umości. Gdzieś na krawędzi snu słyszała, że dzwoni telefon, ale wyłowienie go z torby było całkowicie poza zasięgiem jej możliwości.

ROZDZIAŁ 15

Ciągnie wilka do lasu, a nekromantkę na cmentarz

Obudziła się w środku nocy, za oknem wciąż było ciemno. Przez chwilę nie wiedziała, co ją wyrwało ze snu, ale gdy oprzytomniała, poczuła się jak podczas potężnego ataku paniki. Wszystko w niej się trzęsło, oddychała za szybko i za płytko, lodowaty pot sprawiał, że puchaty szlafrok lepił się jej do pleców. Ręce i stopy miała tak wyziębione, jakby zatrzymało jej się krążenie. Usiadła i zakręciło jej się w głowie.

Dopiero teraz dotarło do niej, że całą sypialnię wypełnia fiolet, kłęby jej magii tłoczyły się wokół niej, jakby próbowały wziąć ją w objęcia. Co, do jasnej cholery? Odrzuciła koc i ostrożnie wstała. Podłoga okazała się cieplejsza od jej stóp. Katia powoli przeszła do łazienki. W drażniącym, zimnym świetle ledowej żarówki wyglądała jak trup. Jej skóra miała zielonkawy odcień, jak podczas ciężkiej choroby, twarz połyskiwała od potu, który mieszał się z makijażem z dramatycznym rezultatem, upodabniając nekromantkę do klauna z załamaniem nerwowym. Na policzku miała odcisnięty ślad poduszki, a to oznaczało, że na powłoczce musiały zostać plamy tuszu do rzęs i podkładu.

Wzdychając, odkręciła kurek prysznic. Z ulgą przywitała gorącą wodę. Wróciła do sypialni po kosmetyczkę, a potem weszła do kabiny. Strumienie wody zderzyły się z jej zimną jak marmurowy nagrobek skórą. Stała nieruchomo dłuższą chwilę, wciąż tak cholernie zmęczona, wreszcie zaczęła się doprowadzać do ładu. Nadal nie wiedziała, co jej dolega. Nigdy wcześniej nie czuła się tak dziwnie.

Czy to możliwe, że to jakiś rodzaj aklimatyzacji do Thornu, o której nikt nie raczył jej wspomnieć? Ostatni raz spędziła noc w alternatywnym mieście, mając pięć lub sześć lat. Wyciekło z niej tyle magii, że gdy ona i rodzice się obudzili, na podwórku stały martwe stworzenia, które nieświadomie wywabiała z ich miejsc pochówku. Były to prawie wyłącznie zwierzęta, ich dom znajdował się w znacznej odległości od jakiegokolwiek cmentarza.

Zamarła. Czyżby dziś w nocy obudziła coś przez sen? Na cmentarz było bliżej niż z domu jej rodziców, poza tym dysponowała mocą bez porównania większą niż w dzieciństwie. Cholera jasna! Szybko splukała włosy i ciało, zakręciła kurki i zaczęła się energicznie wycierać. Niemożliwe! Była dorosłą i kontrolującą swoją magię nekromantką, miała pieczęć, miała bariery ochronne...

A mimo to jej serce dygotało w piersi jak spłoszony królik. Bo istniały jeszcze inne zmienne, jak linie magiczne i magia Thornu, które mogły sprawić, że po okolicy szwendali się nieboszczycy, a w najlepszym razie lokalna fauna. Mało to martwych zwierzątek spoczywa w przydomowych ogródkach?

Drżączka, która ustąpiła pod prysznicem, wróciła. Katia ubierała się szybko, wyciągając na oślep ciuchy z walizki. Zbiegła po schodach i wypadła na ulicę kilka minut później. Zimny wiatr targał jej mokre włosy. Dopiero świtało, wciąż paliły się latarnie uliczne. Szła przez wymarłe miasto, rozglądając się za czymś, co powinno być martwe, a z jej powodu nie było. Nawet nie przyszło jej do głowy, że więcej sensu miałyby szybka przejażdżka po okolicy. Parła naprzód jak w transie. Najdziwniejsze, że z każdym krokiem czuła się lepiej. Drżączka znów ustąpiła, serce zwolniło.

Panika zniknęła, mimo to nekromantka szła dalej. Żadnych zombiaków, nieumarłych, ghuli, ożywieńców, upiorów. Ulice były puste dokładnie tak, jak można było się spodziewać o tej porze. Powinna wrócić do mieszkania, wysuszyć włosy, położyć się do łóżka i dospać jeszcze godzinę czy dwie, ale bała się, że czymkolwiek było to, co ją obudziło (starannie unikała nazwania tego po imieniu – atakiem paniki), znów ją dopadnie.

Telefon zawibrował jej w kieszeni płaszcza. Spojrzała na podświetlony ekran. Od wczoraj przybyło nieodebranych połączeń i wiadomości. Najnowsza była od Dory.

WSZYSTKO W PORZĄDKU?

Najwyraźniej albo narobiła hałasu na klatce, albo wypasione bariery ochronne na drzwiach wejściowych reagowały również na wychodzących. Odpisała:

JEST OK, NIE MOGĘ SPAĆ, CHODZĘ.

Nie umiała określić, jak się czuje z troską przyjaciółki. Od bardzo dawna była całkowicie samodzielna. Od śmierci taty nikt nie pytał jej, o której wraca, z kim się umawia, co porabia. A Dora reprezentowała typ kwoki. Gen wilczycy alfa sprawiał, że czuła się odpowiedzialna za bliskich, miała nieustanną potrzebę otaczania ich opieką. Katia nie była jedną z jej kulawych kaczuszek, ale najwyraźniej instynkt matki kwoki nie wybrzydzał. Owszem, podobała jej się myśl, że mogłyby się dużo częściej spotykać, wpadać do siebie na śniadania, regularnie spędzać wspólnie wolny czas. To były bez wątpienia plusy. Ale istniały też minusy.

Katia była mniej ekstrawertyczna i towarzyska niż Dora Wilk. Ceniła sobie swoją przestrzeń, swój spokój i swoje ciche wieczory. Lubiała wyłącznie kameralne spotkania towarzyskie.

Chybaby zwariowała, gdyby miała regularnie przebywać z bliskimi Dory – z jej stadem, jej wilkami, wampirami, pierzastymi i piekielnikami. Nie nadażała ze spamiętywaniem imion ludzi, którzy pojawiali się nagle w życiu przyjaciółki i w dziewięciu przypadkach na dziesięć już w nim zostawali. Uwielbiała Namiestniczkę, ale nie czuła się gotowa zamienić swoje spokojne i poukładane życie na chaos, jakim było życie towarzyskie Dory Wilk.

Kolejne wiadomości wysłał Adam. Dzwonił kilka razy, kiedy spała, wreszcie napisał:

HEJ, WSZYSTKO DOBRZE?

A gdy przez trzydzieści jeden minut nie dostał odpowiedzi, odezwał się znowu:

DAJ ZNAĆ, ŻE WRÓCIŁAŚ CAŁA I ZDROWA DO DOMU. ŻE NIE LEŻYSZ GDZIEŚ ZEMDLONA CZY Z ROZBITĄ GŁOWĄ. OK?

Po kolejnych trzydziestu minutach (była pewna, że je odmierzał, wychodząc z założenia, że to bezpieczny odstęp czasu między wiadomościami, pozwalający nie wyjść na natręta) napisał:

BYŁEM NA CMENTARZU, NIE ZNALAZŁEM CIĘ NIEPRZYTOMNEJ, ALE NIE DOBIJAŁEM SIĘ DO KOWALA. CZY POTRZEBUJESZ, BY CIĘ UWOLNIĆ Z PIWNICY SZALONEGO DOZORCY? MRUGNIJ, JEŚLI JESTEŚ ZAGROŻONA.

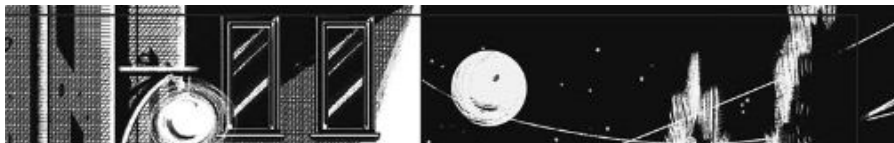
I znów, tym razem już siedemnaście minut później:

KATIU, MOŻESZ SIĘ NA MNIE WKURZAĆ, ROZUMIEM, ALE CZY MOGLĄBYŚ WYŚLAĆ MI EMOTKĘ ŻYCIA? MARTWIĘ SIĘ. ODEZWIJ SIĘ, GDY TYLKO PRZECZYTASZ WIADOMOŚĆ. PROSZĘ. I TAK NIE ŚPIĘ. ZAMARTWIAM SIĘ LOSEM JEDNEJ TAKIEJ NEKROMANTKI.

Więcej już nie napisał. Tę ostatnią wiadomość wysłał tuż przed północą. I pewnie powinna poczekać do rana, ale jej palce same wystukały odpowiedź:

JEST OK, PADŁAM ZMĘCZONA I NIE SŁYSZAŁAM TELEFONU. DZIĘKI, ŻE SIĘ MARTWISZ. NIGDY NIE PRÓBUJ ODBIJAĆ ZAKŁADNIKÓW Z PIWNICY KOWALA, JEGO BARIERY OCHRONNE USMAŻYŁYBY CIĘ NA CHRUPKO.

Kliknęła „wyślij”, zanim rozum doszedłby do wniosku, że to zupełnie bez sensu. Wsunęła telefon do kieszeni i odchyliła głowę. Po wcześniejszym zdenerwowaniu nie został ślad. Znowu czuła się sobą. I wciąż nie wiedziała, czym był ten dziwny stan. Skutkiem ubocznym magicznego nokautu z rana? Sumą wszystkich zebranych dziś kopniaków? No dobrze – atakiem paniki? Tak jakby dopiero teraz doszła do siebie po godzinie lunatykowania.





Najwyraźniej kiedy odpałał się jej tryb lunatyczki, kończyła na cmentarzu. Oczywiście. Patrzyła na czerwony ceglany mur otaczający nekropolię. Brama południowa była zamknięta, dodatkowe łańcuchy i

kłódka wskazywały, że Kowal przejmował się bezpieczeństwem umarłych jeszcze bardziej niż zwykle. Kiedy zmrużyła oczy i opuściła bariery ochronne, zobaczyła fioletową lunę, która gromadziła się nad cmentarzem.

Zaśpiewała szkocką piosenkę o powracaniu do domu i sama zaśmiała się z tego sentymentu, który zlepił w jej głowie cmentarz i dom. Coś w tym jednak było. Może zmieniać adres nieskończenie wiele razy, ale to w królestwie śmierci zawsze będzie u siebie. Już miała zawracać, kiedy usłyszała cichą odpowiedź cmentarza. Matka Ziemia nuciła jej piosenkę matki czekającej na syna rybaka, mającej nadzieję, że zdąży przed burzą. W ostatnich wersach syn wpadał w ramiona matki.

Katia uśmiechnęła się łagodnie. Owszem, czasami bogini ją przerażała, ale przez większość czasu ich bliskość była niezaprzeczalna. Jedyne, co musiała zrobić, żeby zapobiec nawrotom szaleństwa Matki Ziemi, było rozwiązanie zagadki zaginionych dziewczynek. Kiedy wrócą do swoich trumien, bogini znów przez większość czasu będzie ucieleśnieniem matczynej łagodności.

Szła wzdłuż muru cmentarnego, kierując się z powrotem w stronę starego miasta. A gdy mur się kończył, zaraz na rogu wyrastał Dom Ostatnich Pożegnań. Wszystkie okna były ciemne. Zresztą nie wiedziała, czy te w sypialni Adama wychodzą na ulicę, czy na podwórko na tyłach.

Pokusa, by zapukać i sprawdzić, była absurdalna, więc przyspieszyła kroku. I dobrze, bo docierała już do Starówki, kiedy telefon jej zawibrował. Wiadomość od Adama:

DZIĘKI ZA INFO! ZAPAMIĘTAM. MOŻEMY SIĘ DZIŚ SPOTKAĆ? MUSZĘ Z TOBĄ POROZMAWIAĆ O ZAGINIĘCIACH!

Sceptyczna strona Katii znów podniosła głowę. Nekromantka nie mogła wypierać, że Adam wciąż jest na liście podejrzanych i miał bezpośredni związek z dziesięcioma z dwunastu zaginionych dziewczynek. Zgodnie z logiką Dory miał dostęp do ofiar i możliwość, by wyciągnąć je z trumien bez zwracania niczyjej uwagi. Czy gdyby nie koszmary Agaty

Mitery, komukolwiek przyszłoby do głowy, by sprawdzać, czy groby są puste?

Katia bardzo nie chciała, by okazał się winnym, ale wciąż nie miała wystarczających dowodów jego niewinności, by skreślić go z listy.

ROZDZIAŁ 16

Kto się zajmie naszymi zmarłymi?

Wróciła do mieszkania przed siódmą. Zmęczona, zmarznięta i lekko zdezorientowana pierwszą nocą w Thornie podłączyła czajnik, zaparzyła dobrej herbaty i zabrała się do kwerendy. Była pewna, że w którejś z książek znajdzie informacje o liczach, choć nigdy dotąd nie czuła potrzeby dowiadywania się czegokolwiek na ich temat.

Po godzinie miała pewność, że wiele nie straciła. Cały proceder wydał jej się obrzydliwy, a do tego paskudny na poziomie etycznym. Pierwsze udokumentowane przypadki przeniesienia duszy między naczyniami, jak wówczas nazywano proces, wskutek którego powstawał licz, sięgały końca siedemnastego wieku. W kompendium, którym dysponowała, przedrukowano sporo fragmentów zarówno z opisującego ów proces traktatu, jak i z kilku niewiele młodszych dzieł, całość opatrzone zaś obszernymi komentarzami. Bynajmniej nie w duchu „dzieci, nie róbcie tego w domu”.

Cała ta osiemnastowieczna retoryka „wartościowego życia”, które należało za wszelką cenę przedłużyć kosztem „żyć jałowych”, mierzyła Katię. Zaznaczyła cytaty z traktatu *O rzeczach przejściowo martwych*, datowanego na tysiąc siedemset sześćdziesiąty ósmy rok, w którym autor, nekromanta o sporych osiągnięciach i fatalnej reputacji (co przez stulecia stanowiło normę w tym fachu i nadal w niektórych kręgach uznawane było za uświęconą tradycję), podpowiadał, jak szukać „zbędnych społeczeństwu naczyń, które można wypełnić duszą wartościową”. W jego przekonaniu nikt nie będzie płakał po robotniku, chłopie czy żebraku. W

sytuacji, gdy żadnego porządnego ciała nekromanta znaleźć nie mógł, w razie nagłej konieczności wolno mu było użyć ciała damy lekkich obyczajów, o ile zdołał znieść pomieszanie porządków płci (oczywiście o kobietach z magią śmierci szlachetny autor nie wspominał, nie dopuszczał nawet ich istnienia) przez miesiąc, a najlepiej trzy księżycy, bo zbyt częste zmiany „naczyni” mogły negatywnie wpływać na stan duszy.

I nie było najmniejszych wątpliwości, że choć w teorii liczył mógł próbować wykorzystać ciało martwe, pozyskane w kostnicy, to znacznie pewniejsze rezultaty dawało użycie podczas rytuału przejścia osoby żywej i zabitej przez nekromantę tuż przed przeniesieniem duszy z poprzedniego „naczynia”. Długi wywód o przewadze ciała niewystygniętego nad wystygniętym można było podsumować słowami: „Zalecamy kogoś zamordować, bo to bardziej efektywne”.

Katia nie mogła się nie zastanawiać, jak to było z Egonem Bremmerem. Ile to już lat się bujała na pożyczonych częściach? Ile osób zabił? Ile czasu minęło od ostatniego przeskoku? Bo wszystkie co do jednego źródła, jakimi dysponowała, były zgodne – maksymalny czas funkcjonowania w przejętym ciele wynosił dwadzieścia lat. Zalecano zresztą częstsze zmiany. Ile lat tak naprawdę miał Bremmer?

Włączyła laptop i udostępniła sobie wi-fi z komórki. Przejrzała swoje kontakty i wysłała kilka maili, mając nadzieję, że któryś z jej znajomych odpisze. W martwej branży nie było tłoczno, zawsze istniała szansa, że znało się kogoś, kto znał kogoś. Prawdopodobnie z Egonem Bremmerem dzieliły ją nie więcej niż dwa uściski dłoni. Metaforycznie, bo nie była to dziedzina, w której ludzie ochoczo ściskali sobie ręce. Nigdy nie wiadomo, gdzie te ręce były wcześniej i czy zostały potem umyte.

Wynotowała kolejne hasła do dalszego sprawdzenia. Potrzebowała jeszcze kilku książek. I paru innych rzeczy. W tym śniadania. „Martwa magia nie oznacza umartwiania się”, jak mawiał tata, kiedy wołał ją na posiłek. Miała to nawet wyhaftowane na makatce. Jeden z ostatnich prezentów, jaki zdążył jej podarować.

Podsokczyła na Wrzosa. Prądu nadal nie było, za to aż trzy furgonetki energetyki zastawiały pół ulicy, a wokół nich uwijali się elektrycy i serwisanci. Wyminęła ich, by dostać się do domu. Musiała wyminąć już nie tylko kupę żwiru, ale i rozstawione na chodniku skrzynki z narzędziami i siedzących na nich majstrów, którzy odprawiali tradycyjny rytuał „oczekiwania na objawienie, jak się zabrać do tego gówna”. Jeden młodszy powiódł za nią wzrokiem, ale gdy go na tym złapała, wbił spojrzenie w czubek swoich butów. I już wiedziała, że prądu tego dnia nie będzie. Awaria była grubsza, a majster miał nadzieję, że Katia nie zapyta, kiedy skończą.

Zza ogrodzenia nie docierały do niej żadne dźwięki – przynajmniej tyle. Cóż, młoty pneumatyczne wymagały prądu tak samo jak jej czajnik i bojler. Z tą różnicą, że ona musi czekać, aż naprawią trakcję, a im pewnie za kilka godzin dowiozą jakiś wypasiony generator.

Wiele lat temu, jako dwunastoletnia dziewczynka, była na szkoleniu magicznym w Trójprzymierzu. Któregoś dnia wybuchła wielka awantura. Jeden ze starszych chłopaków rzucił na swoich kolegów dręczycieli czarnomagiczną klątwę. Oczywiście Darni, nauczycielka starsza niż niesporczaki, rozbroiła ją, a potem zebrała wszystkich uczniów na pogadankę o tym, czemu nie można sięgać w złości po takie zaklęcia, nawet jeśli hormony i emocje buzują. Jej słowa Katia zapamiętała na zawsze:

– Nie chodzi o brak umiejętności. Chodzi o to, że gdy zaczniecie rzucać takie klątwy, każda kolejna będzie łatwiejsza. I trudniej będzie się powstrzymać. Może myślicie, że wasze życie jest ciężkie, a ludzie wkurzający. Poczekajcie na dorosłość! Musicie się nauczyć kontroli, by za kilka lat nie nokautować każdego, kto was zirytuje. A wiercie mi, będziecie zirytowani częściej, niż wam się mieści to w głowach. Dlatego dziś poćwiczymy uwalnianie złości bez przemocy.

Dwunastoletnia Katia myślała, że nie ma bardziej irytującej osoby na świecie niż Karol – trzynastolatek, który podrzucanie martwych zwierząt uważał za niezawodną metodę zalotów. A gdy kazała mu spadać, zaczął rozpuszczać o niej okropne plotki – na przykład taką, że zabiła własną

matkę i dlatego ma tylko tatę. Karol był upierdliwy, irytujący i zasługiwał przynajmniej na klątwę poplątania języka. Dziś miała pewność: to, co zrobiłaby Karolowi, bladło w kontraście z tym, co zrobiłaby swojemu nowemu sąsiadowi, gdyby tylko pozwoliła sobie na utratę kontroli. Darń byłaby nią głęboko rozczarowana.

Z ciężkim westchnieniem weszła do domu. Spakowała kilka książek. W lodówce nie znalazła nic do jedzenia, czekały ją więc zakupy.

Wystarczyło, że spojrzała na narożnik w salonie, a przypomniała sobie wizytę Agaty Mityry. Kobieta nadal czekała na odpowiedzi, a Katia nie zbliżyła się do nich ani odrobinę. Nie do końca wiedziała, co robi, ale czegoś jednak się nauczyła z seriali i filmów, a także dzięki obserwacji Dory przy pracy – potrzebowała zwizualizować pytania, by przyciągnąć odpowiedzi, przyda jej się też tablica, na której będzie mogła umieszczać kolejne dane, aż wszystko stanie się jasne, metaforyczne sznureczki skrzyżują się, łącząc pozornie osobne fakty i pozwalając jej zobaczyć coś, co teraz było przed nią ukryte. Tak, czekały ją zakupy.

*

Wpadła do sklepu papierniczego „na momencik”, wydała w ciągu pół godziny kilka stów i wróciła do Thornu. Myślała o zrobieniu zakupów spożywczych w realnym mieście, mimo to coś ją ciągnęło na drugą stronę bramy. Wytłumaczyła sobie, że woli mały sklepik w Thornie zamiast jednego z toruńskich marketów, ale po prawdzie czuła się w niewyjaśniony sposób oderwana od spraw cmentarza, na które powinna mieć baczenie – dziwny mechanizm, którego jeszcze nie rozumiała, ale który już ją podgryzał wyrzutami sumienia. Zamknęła samochód i wyskoczyła do spożywczego. Nic dziwnego, że burczało jej w brzuchu – dochodziło południe, a ona wciąż była przed śniadaniem.

*

Zanim ją to spotkało, myślała, że takie sytuacje to tylko tani chwyt hollywoodzkich scenarzystów. Do dziś czasem wracały do niej w koszmarach wspomnienia tamtej sytuacji. Zmieniają się osoby, zmieniają

słowa, ale nigdy nie zmienia się poczucie zażenowania. I nie zmieniają się mdłości z nerwów.

Miała wtedy dwadzieścia lat. Była w publicznej toalecie. Dostała okres o trzy dni za wcześnie, więc dzień nie był najlepszy, ale nie wiedziała, że dalej miało być tylko gorzej. Siedziała w kabinie, kiedy do łazienki weszły dwie dziewczyny. Rozmawiały, głośno i bez skrępowania, nawet nie sprawdziły, czy są w toalecie same. A ona, Katia, była głównym przedmiotem tej rozmowy.

Jej najbliższa koleżanka obgadywała ją przed wspólną znajomą. Katia słuchała w szoku, nawet nie zauważyła, kiedy łzy zaczęły jej spływać po policzkach. Zasłoniła usta dłonią, by nie wyrwały się z nich żadne dźwięki, bo chyba umarłaby z zażenowania, gdyby dziewczyny odkryły, że tu jest.

Koleżanka nie brała jeńców. W dwanaście i pół minuty oberwało się Katii za sposób bycia, urodę, figurę. Nigdy nawet nie zerknęła na chłopaka koleżanki, wbrew temu, co tamta wygadywała. Nie przespała się z prowadzącym ćwiczenia dla lepszej oceny i z całą pewnością nie wznawiała zasady, że cudzy chłopak zawsze słodszy niż własny.

Naprawdę myślała, że się przyjaźnią. Nie dostrzegła, że koleżanka jej nie znosi i jest zazdrosna właściwie o wszystko. Nawet o brak rodziców, co było jednocześnie absurdalne i bolesne.

Katia nie wyskoczyła z kabiny, nie zawstydziła plotkary, nie rzuciła jej w twarz, że jest dwulicową flądrą. Nie zrobiła nic. Prawie przestała oddychać, zażenowana i wystraszona. W absolutnej ciszy czekała, aż dziewczyny wyjdą z toalety. Potem odczekała jeszcze kwadrans, by na pewno nie wpaść na nie na korytarzu. Dopiero wtedy wyszła z kabiny, wyszorowała ręce. Zmyła rozmazany łzami tusz do rzęs. Doprowadziła się do porządku. I nigdy więcej nie odezwała się do żadnej z tych dziewczyn. Nie zdradziła im czemu, choć naciskały.

Potem wiele razy wracała w myślach do tej sytuacji. Wyobrażała sobie, co powinna zrobić, jak powinna zareagować, układała w głowie przemowy zimne i celne jak ostrze, w których wypunktowywała żalność koleżanki. W innym scenariuszu wychodziła i rzucała jej chłodne

spojrzenie, myła dłonie i bez słowa kierowała się na korytarz, obojętna na wyjaśnienia czy próby załagodzenia sytuacji. Czowała się okropnie ze wspomnieniem siebie skulonej na sedesie, umierającej z zażenowania, tłumiącej złość i połykającej łzy. Byłam dzieciakiem, myślała teraz, dziś by mnie to aż tak nie ruszyło.

Ale najwyraźniej jej życie niepostrzeżenie zmieniło się w slapstickową komedię klasy B. Bo nie mogła nawet kupić bułek, by nie skończyć na pełzaniu po sklepowej podłodze, byle tylko uniknąć konfrontacji z plotkarami.

Gdy zza regału z pieczywem, przy którym stała, usłyszała własne nazwisko, zamrugwała zaskoczona. Uczucie déjà vu było silne, choć musiała przyznać, że starsze mieszkanki Thornu nie miały w sobie nawet kropli tego jadu, jakim przed laty uraczyły ją studentki ASP.

– Kornatowska, też mi kandydatka! – rzuciła jedna z pogardą. – Pupilka Wilk, która chodzi na sznurku Romana, trzeba mieć naprawdę klapki na oczach, by uważać, że jest spoza układu czy że cokolwiek zechce zmienić. To tylko zasłona dymna!

Odpowiedział jej śmiech.

– Chciałabym zobaczyć, jak ktoś podchodzi do Dory ze sznurkiem i chce ją gdziekolwiek prowadzić – odparła druga. – Szybko zrozumiałby swój błąd. Wilk nikomu się wodzić za nos nie da. A Kornatowska jest najlepszą nekromantką, jaką tu mieliśmy. I wolę ją niż marionetkę Gardiasza.

– Tak? Taka dobra jest? To dlaczego nie weźmie cmentarza pod opiekę? Gdy mi ciotka z grobu wstała, Klaudia ściągała nekromantę z Łodzi. Wiesz, ile to kosztowało? Fortunę! Nie widać, by Kornatowska miała nasz interes na uwadze.

– A skąd niby wiesz, że nie chciała się tym zająć?

– Klaudia mi powiedziała! I stawkę rzuciła taką, że myślałam, że zemdleję. Jakby tej Kornatowskiej zależało na nas i naszych zmarłych, to by się z szyszymorą dogadała!

– Taaa, bo szyszymora słynęła z tego, że się z kimkolwiek dogadywała. Tylko z Katarzyną się trzymały, a jak przyszło co do czego, to wiedźma

nawet nie mrugnęła w jej obronie. Obie wiemy, że jeśli Klaudia brzydki się bawiła, to nie sama.

– Toteż mówię, tu się nic nie zmieni, udawanie, że jakaś panna przyjdzie i posprząta stajnię Augiasza, to farsa! Po co nam w ogóle te wybory? Kasa w błoto i udawanie, że decyzje jeszcze nie zapadły. Przecież Gardiasz się nie będzie szczywał z tą panienką!

– Gardiasz nie będzie miał wiele do gadania, gdy ją wybierzemy – odpowiedziała zacieklej druga kobieta. – Jeśli na czymś kanalii zależy, to na tym, żebyś uwierzyła, że tu się nic nie zmieni i lepiej zostawić mu wszystkie sznurki w ręce. A właśnie czas już coś zmienić. I na początek może się przyda trochę świeżej krwi.

– No nie wiem... Sama zobaczysz, dużo gadania, a jak przyjdzie co do czego, to nawet nie wystartuje. Listy kandydatów ciągle jakoś nie wywiesili, spotkań z mieszkańcami nikt nie zapowiada. Zobaczysz, w ostatniej chwili Gardiasz ogłosi, że z braku kontrkandydatów w Starszyźnie zasiądzie Bremmer, i utkniemy z kolejnym truchłem na stulecie!

– Odkąd Wilk została Namiestniczką, żywotność członków Starszyny już nie jest taka pewna – padła odpowiedź. – Ilu to już umarło? Dwóch, a nawet nie minęła dekada. I wcale nie powiedziane, że na tym skończyła. Mój stary mówi, że jest jak agentka chaosu, ale tu się akurat przyda trochę chaosu – zaśmiała się kobieta.

– Chaos! Co mi przyjdzie z chaosu? Mnie interesuje, czy jak mi ciotka znów wstanie, będę musiała ściągać nekromantę z Łodzi! A ona wstaje regularnie, dłużej jak trzy lata nie uleży! Ja się pytam, kto się zajmie naszymi umarłymi, a nie, kto tam się o stolki pożre!

– Już widzę, jak ci Egon za darmo ciotkę ulula. A Katia przynajmniej stawki ma uczciwe i nie obedrze cię tylko dlatego, że jesteś zdesperowana.

Nagle Katia usłyszała kroki, a głosy wydawały się zbliżać, więc zrobiła to, co podsunął jej instynkt: padła na kolana i na klęczkach przemknęła za róg regału, mając nadzieję, że jej nie zauważą. Zerknęła w górę i zobaczyła swoje odbicie w lustrze sklepowym. Złapała w nim spojrzenie sprzedawczyni, wyraźnie rozbawionej sytuacją. Poczwała, że twarz pali ją

żywym ogniem. Schowała ją między kolanami, jakby była w samolocie, który właśnie miał się rozbić. Wcale by nie protestowała, gdyby tak się stało.

Kobiety jej nie zauważyły. Rozmawiały jeszcze chwilę, płynnie przeszły do problemów, jakie ta pierwsza miała z jakimś stworzeniem uparcie rozkopującym jej grządki, najpewniej wilkołakiem. Druga poradziła jej, żeby zgłosiła sprawę do Namiestniczki, bo jeśli to wilki, to szturchnie alfę, a jeśli nie – i tak lepiej to sprawdzić, bo wiadomo, że po zimie dziwne rzeczy czasem z Wisły wychodzą. Zapłaciły przy kasie za swoje sprawunki i nie przerywając rozmowy, wyszły na ulicę.

Katia odetchnęła, a potem trzy razy uderzyła potylicą w półkę, bo teraz musiała stawić czoła sprzedawczynie, która nie tylko wszystko słyszała, ale też widziała, jak Katia się wydurniła. Kandydatka na stołek w Starszyźnie pełzająca w dziale z pieczywem, by uniknąć konfrontacji. Dobrze, że Thorn ciągle jeszcze nie dorobił się tabletołów!

Przez chwilę rozważała mało subtelną ewakuację, ale jej żołądek wciąż był pusty, a żenadometr wywaliło już poza skalę, wróciła więc po swój koszyk, wrzuciła do niego kilka bułek, masło, parę kubeczków serka wiejskiego i pasty jajecznej, po czym udała się do kasy. Jak na szafot.

– Przydałby się jeszcze ogórek. Albo pomidor. Może szczypiorek? Mamy świeże warzywa, o tam. – Sprzedawczynie wskazała najbliższe stoisko.

Katia wiedziała, że ma rację, ale twarz wciąż pulsowała jej żarem. Odchrząknęła i wykrztusiła:

– Może następnym razem.

Sprzedawczynie z łagodnym uśmiechem kiwnęła głową i dalej nabijała na kasę bułeczka po bułeczce, wyjątkowo powoli, jakby dawała Katii szansę na nawrócenie na drogę świeżych warzyw. Nekromantka jęknęła i odruchowo potarła gorące policzki.

– Może nie wynikało to z tej ich gadaniny – powiedziała nagle sprzedawczynie – ale ludzie cię potrzebują. I to, kto się zajmuje naszymi zmarłymi, ma dla nas znaczenie. A ty jesteś naprawdę dobra. I wiem, że ci zależy. Pamiętam.

Katii zaświtało. Spotkały się już kiedyś. Pieczętowała ciało jej ojca przed pogrzebem w Domu Ostatnich Pożegnań. Klaudia miała akurat gorsze dni i zabroniła jej wchodzić na teren nekropolii. Fochy szyszymory nie mogły jednak przeszkodzić Katii w zapewnieniu panu Stefanowi wiecznego odpoczynku, dlatego w noc po pogrzebie wspięła się po murze, by założyć wzmocnioną pieczęć już na nagrobku.

- Pani Joanno - powiedziała cicho - co pani myśli o Adamie Gawrońskim? Bo to z nim ustalała pani wszystkie szczegóły pogrzebu, prawda?

Sprzedawczyni skinęła głową.

- Jego ojciec już był na emeryturze, biedaczek. A Adaś to dobry chłopak, choć taki młody. Ma więcej empatii, niż miałoby mu to na dobre wyjść w tym fachu. Ale gdy stoisz nad trumną rodzica, nie możesz sobie wyobrazić nikogo lepszego, kto by cię przeprowadził przez ten koszmar. Od pięciu lat wysyłam mu kartkę na święta.

Katia zrozumiała intencje sprzedawczyni.

- Wezmę jeszcze ogórka - powiedziała, na co Joanna uśmiechnęła się łagodnie, po czym nabiła go na kasę.

- Nie przejmuj się gadaniem, Katiu, rób swoje. Gorzej, gdyby nikt nie gadał, bo to oznaczałoby, że ludziom na niczym już nie zależy - powiedziała i podała nekromantce paragon.

- Głupio mi, bo spanikowałam - przyznała Katia.

- Nie spanikujesz kolejnym razem. Głowa do góry. Pionierom zawsze trudniej niż owcom z ostatniego szeregu. - Ekspedientka mrugnęła do niej, jakby od teraz miały swój prywatny żart.

A Katia uświadomiła sobie, że nie musi szukać sklepu spożywczego na drugim końcu miasta, by nigdy więcej nie spojrzeć w oczy pani Joannie, która widziała ją, jak na czworakach umyka spłoszona przed plotkami.

ROZDZIAŁ 17

Pytania we wszystkich kolorach tęczy

Zabrało jej to więcej czasu, niż myślała, i wcale nie było takie proste. Wybrała największą, pustą ścianę w salonie. Przykleiła osiem dużych arkuszy papieru do tablic prezentacyjnych, tworząc płaszczyznę roboczą, a potem zabrała się do pracy.

Musiała uporządkować informacje i pytania. Od czasów szkolnych potrzebowała w tym celu kolorowych karteczek, mazaków, zakresłaczy i karteczek indeksowych. Gdy uczyła się do egzaminów, jej pokój wyglądał, jakby wybuchły w nim tęcza i dwa jednorożce. Przez chwilę wahała się, czy neonowy róż pasuje do tej sprawy, ale skoro pasował do chemii organicznej i rachunku różniczkowego, to jego niewinność już dawno została zbrukana.

Czerwonym flamastrem zapisała główne hasła: ofiary, wiek, data i przyczyna śmierci, data pogrzebu, dom pogrzebowy, nekromanta(?) i inne zabezpieczenia, motywacja, podejrzani, tropy do sprawdzenia, informatorzy. Sporo! Musiała dodać jeszcze dwa arkusze. A potem zaczęła wpisywać posiadane informacje. Każdej z zaginionych dziewczynek przypisała inny kolor flamastra.

Prawie godzinę później miała podstawowe dane. Zanotowała cechy wspólne poszczególnych ofiar, licząc, że to pomoże jej wyłonić jakiś wzór. Na razie nie wiedziała, co jest ważne, było za wcześnie na selekcję materiału. Sporo pól pozostawało pustych, ale dzięki temu mogła się zorientować, co musi ustalić w pierwszej kolejności.

Uporządkowała nazwiska chronologicznie: Julia Wójcik (6 lat), Kamila Czaplńska (7 lat), Antonina Kowalik (5 lat), Anna Pomurnik (5 lat), Zuzanna Pluskała (8 lat), Maja Brzeska (8 lat), Zofia Białowas (7 lat), Alicja Rages (6 lat), Marta Siewka (7 lat), Sonia Wodnik (10 lat), Karolina Zielonka (9 lat), Karina Mitera (8 lat).

Swoje nazwisko mogła dopisać w kolumnie „nekromanta i inne zabezpieczenia” przy trzech ostatnich oraz przy Zosi Białowas. W ich przypadku знаła też przyczynę śmierci. Zosia chorowała przewlekle, Sonia miała problemy z przebudzeniem mocy i zniecierpliwiona rodzina przeprowadziła rytuał, który miał ją ujawnić. Gwałtowny skok magii zabił dziewczynkę. Karolina Zielonka, uczulona na pszczele jad, została śmiertelnie pokąsana przez pszczoły. I wreszcie Karina, z wrodzoną wadą serca. Nic kontrowersyjnego. Ale przypadek Soni uświadomił Katii, że potrzebuje jeszcze jednej kolumny – magia. Może to nie przypadek, że wszystkie ofiary były akurat w wieku przebudzenia magicznego, a jedyna dziesięcioletka okazała się odrobinę spóźniona pod tym względem? Może sprawcy nie chodziło tylko o małe dziewczynki, ale o małe magiczne dziewczynki? Wiele rodzajów magii znika wraz ze śmiercią noszącej je osoby, inne gromadzą się w ciele i mogą mieć dodatkową wartość rytualną. Nie wiedziała zbyt wiele o magii Zosi, Soni i Karoliny, ale jeśli wierzyć babci Karinki, jej moc dopiero kiełkowała. Magia Soni była powiązana z żywiołem ognia i jeżeli zostało jej cokolwiek w ciele, to niewiele.

Przepisała z notesu daty urodzin i śmierci dziewczynek, ale dat pogrzebów nie znała. Wiedziała za to, kto zakładał pieczęcie na ich grobach. W dziesięciu liniijkach dwunastoliniijkowej kolumny umieściła dane Adama Gawrońskiego. W dwóch najdawniejszych pochówkach, sprzed ośmiu lat, czyli u Julii i Kamili – nazwisko Omara Kamala. Jego pieczęcie, podobnie jak te Adama, były nietknięte, a jednak ciała z trumien zniknęły.

Powinna uzupełnić rubrykę „podejrzani”, ale w tym momencie miała tylko jedno nazwisko. Dwa, jeśli się uprze przy hipotezie o rywalizacji między domami pogrzebowymi. Nie chciała jeszcze wpisywać Egona

Bremmera, bo na tym etapie śledztwa dysponowała tylko własną opinią i mało konkretnymi podejrzeniami, ale na pewno należało go sprawdzić.

Dodała jeszcze jeden arkusz i niebieskim flamastrem napisała: PYTANIA. Następnie zaczęła notować je na neonowych karteczkach i kolejno przylepiać pod nagłówkiem.

Jak ktoś mógł złamać pieczęcie bez ich złamania? Skąd wiedział, jak to zrobić? Skąd wiedział, gdzie znajdzie to, czego szukał? Po co komuś ciała dwunastu dziewczynek? Czy to koniec? Jak je wybrał? Co było w nich wyjątkowego? Wyjątkowe pochówki??? Co je łączy – poza Adamem i cmentarzem? Cechy wspólne: wiek, płeć, uroda, magia? Czy możliwe, że to ADAM?!?

Ręka drżała jej, kiedy naklejała ostatnią karteczkę. Wpatrywała się w jej krzykliwy, neonowolimonkowy kolor i czuła, jak barwa wypala się jej w siatkówce. To było coś, czego nie potrafiła przeskoczyć. Musiała zadać to pytanie i musiała poznać odpowiedź.

Serce podpowiadało jej, że to nie mógł być on. Rozum – że wielokrotnie dokonywała durnych wyborów w sferze damsko-męskiej, serce bowiem było niespecjalnie wiarygodne w ocenie charakterów, za to zwykle biło na tyle głośno, by zagłuszyć głos rozsądku. I musiała przyznać, że sama po części straciła do niego zaufanie. Dora żartowała, że zanim Katia się z kimś umówi, powinna przysłać go do niej na przesłuchanie – takie ze świeceniem lampą po oczach, wilczymi warknięciami i zaklęciem prawdomówności. Kolesię się wystraszy? Nie pasował i tak. Nekromantka musiała przyznać, że coś w tym było.

Gdyby miała wskazać na głównego winnego klęski, jaką było jej życie miłosne, musiałaby skierować palec w stronę własnej piersi. Chciała wierzyć, że miłość jest w zasięgu ręki. Mówią, że tego kwiatu jest pół świata, ale zaledwie garstka okazów z tego bogactwa flory była kompatybilna z magią Katii. Więc jeśli już trafiał się ktoś taki, miała tendencję do przymyknięcia oka na wiele innych rzeczy. Po prawdzie, na zbyt wiele.

Na przykład przegapiła fakt, że Anubis całkowicie inaczej rozumiał powiedzenie „dopóki śmierć nas nie rozłączy”, więc zabijał kochanki i je

mumifikował, by zawsze były pod ręką w życiu wiecznym, świeżutkie, piękne i młode. Przymknęła oko na to, że Gabriel (nekromanta, jak ona) miał zaawansowane objawy trupiej gorączki. A Marek – całkowicie ludzki i niemający pojęcia o istnieniu magii – był gołodupcem, który szukał bardziej sponsorki niż dziewczyny. Z kolei druid Shawn był na bakier z wiernością, a przyłapany na gorącym uczynku, tłumaczył się porywem chwili i emocjami po przeprowadzaniu rytuałów płodności. Może poryw trwał tylko chwilę, ale Katia po tym związku potrzebowała kilku tygodni antybiotykoterapii. Jej flora jelitowa dłużej wspominała Shawna niż ona. Zanotowała sobie wtedy w dzienniku, że „bliskość natury” nie może oznaczać braku kondomów, zwłaszcza gdy druid nie raczył jej poinformować, że ma przykry zwyczaj wsadzania swojego wcale nie tak magicznego, jak twierdził, kija w niesprawdzone miejsca.

Właściwie tylko z Omarem Kamalem (z którym była na kilku randkach, ale po prostu chcieli czegoś innego) oraz Witkacym (który oddał serce innej na długo, zanim się spotkali) pozostawała w przyjacielskich stosunkach i nie miała ochoty pochować ich w grobowcu swoich życiowych i uczuciowych porażek. Najlepsze, co mogła powiedzieć o bardzo wielu swoich byłych, to że dzięki zerwaniu z nimi miała okazję spróbować rzeczy nowych. I oczywiście była na tyle świadoma, by załapać, że jedyne, co ta banda popaprańców (z wyłączeniem Kamala i Witkaca) miała wspólnego, to zainteresowanie jej osobą. To z nią było coś nie tak.

Wszystko to teoretycznie nie miało nic wspólnego z nazwiskami wypisanymi na ścianie. Teoretycznie. W praktyce nazwisko Adama krzyczało na Katię z kolorowej karteczki. Był uroczym facetem, w którym mogłaby się zakochać do szaleństwa. I to właśnie czyniło go podwójnie podejrzanym – może nawet przemawiało przeciwko niemu bardziej niż to, że dziesięć z dwunastu dziewczynek mógł wyprawić na tamten świat. Bo jeśli go lubiła tak bardzo, że zaczynała o nim fantazjować i miała ochotę iść z nim na randkę, to CO Z NIM BYŁO NIE TAK? Czy możliwe, że był dziwakiem, który wykrada z trumien dziecięce ciała? A jeśli tak, po co? I gdzie one są?

Och, Katia miała ochotę złapać za miotłę i zastukać w sufit, by Dora zeszła tu i rzuciła na zgromadzone i wypisane krzykliwymi kolorami dane swoim namiestniczym okiem. Gdyby powiedziała: „To twój chłoptaş, idę po niego”, Katia uwierzyłaby jej. Gdyby widząc wszystko, co Katia zanotowała na ścianie, stwierdziła: „To nie wygląda dobrze, ale nie wydaje mi się, by to był on, bo widzisz, tu jest taki detal, który ci umknął”, też przyjęłaby to jako wiarygodną opinię. Bo Dora miała intuicję i doświadczenie. I nie patrzyłaby na Adama przez różowe okulary. Przeciwnie, wzięłaby go pod lupę nie tylko dlatego, że jego osoba łączyła dziesięć z dwunastu zaginionych dziewczynek, ale też dlatego, że na szali spoczywało serce Katii.

Nekromantka obiecała sobie zawołać Dorę przed swoją ścianę płaczu, kiedy ta wróci z Berlina, ale do tego czasu musiała uzupełnić mnóstwo danych i znaleźć przynajmniej kilka odpowiedzi.

I w tym właśnie momencie, kiedy stała zadumana, uderzając różowym mazakiem o wargę, zadzwonił jej telefon. Sięgnęła po komórkę, przekonana, że ściągnęła przyjaciółkę myślami, ale to nie imię Dory wyświetlało się na jej ekranie.

*

– Nie przeszkadzam? – zapytał, a coś w jego głosie podpowiedziało Katii, że wahał się, czy zadzwonić.

– Właśnie o tobie myślałam – odparła zgodnie z prawdą.

– Mam nadzieję, że coś dobrego? Cofam, nie odpowiadaj. Będę żył złudzeniami. Słuchaj, byłem na cmentarzu, rozejrzałem się i chciałbym z tobą porozmawiać. Miałabyś chwilę?

– Nawet dwie – odpowiedziała, bo przyszedł jej do głowy niecny plan.

– Zapraszam do mnie, jeśli jesteś w okolicy. Mogę też podjechać na drugą stronę bramy. Nie znam adresu, ale jeśli będzie ci wygodniej, to jestem mobilny, to znaczy... Rany, wiesz, co mam na myśli, prawda? Cholera, poprzednim razem tak mi dobrze szło gadanie przez telefon. Zaczynam podejrzewać, że to naprawdę był efekt eklerek i wina!

- Nie musisz jechać do Torunia. Jestem w Thornie i świetnie się składa, bo też chciałabym, żebyś rzucił na coś okiem.

Podawała mu swój nowy adres. Kolejny kwadrans krążyła przed obklejoną ścianą, z każdą minutą denerwując się bardziej. Kiedy poczuła szarpnięcie zakłęcia ochronnego na parterze, brzuch już ją bolał z nerwów. Komórka rozdzwoniła się głośno, jakby wystrzeliła jej fajerwerkami koło ucha.

- Hmm, słuchaj, czy mogłabyś zejść? Nie mogę przekroczyć progu - usłyszała w słuchawce.

Zakłęła pod nosem. Nawet nie zapytała Dory, jak dokładnie sformatowała krąg ochronny. Czy zatrzymywał każdego obcego, czy może trzymał zło po drugiej stronie? Może powinna zadzwonić do przyjaciółki i zapytać? Tyle że Adam stał na dole i czekał, a ona nie chciała, by cała ta sytuacja zrobiła się jeszcze dziwniejsza. Z ciężkim westchnieniem zeszła po schodach i powitała przedsiębiorcę pogrzebowego, który pocierał mocno zaczerwieniony nos.

- Zderzyłem się jak ze ścianą - powiedział zdezorientowany.

- Piętro wyżej mieszka paranoiczna matka nastolatki - wyjaśniła Katia. Nie wspomniała, że chodzi o Namiestniczkę.

- A no tak, matki i nastolatki, wiadomo - odpowiedział, a kiedy złapała go za rękaw i wciągnęła przez barierę, która tym razem go przepuściła, odchrząknął, wyraźnie spięty.

Wdrapywali się po schodach, a Adam wygłaszał nerwowy monolog:

- Choć właściwie nie wiem, jak to jest... Moi rodzice nigdy nie musieli się aż tak wysilać, by trzymać ludzi z dala ode mnie, wystarczył dom pogrzebowy na parterze i karawan na podjeździe. Gdybym był bohaterem amerykańskiego serialu, pewnie trafiłaby mi się w klasie gotka, która uważałaby, że ta cała czerni, pogrzeby i cień śmierci są obłędnie seksowne, ale niestety, w rzeczywistości prędzej trafisz na nekrofila, który próbuje się zatrudnić jako asystent w domu pogrzebowym, niż dziarską gotkę, która chciałaby się umawiać z synem właścicieli... Znowu za dużo mówię, prawda? I nawet nie mogę tego zwalić na wino i eklerki, od tamtego

wieczoru trzymam się od tych zdradzieckich substancji z daleka. Zamknę się już.

Katia szła przed nim, ukrywając uśmiech. Naprawdę miała nadzieję, że to nie on.

ROZDZIAŁ 18

Oko w oko z liczbami

Wprowadziła Adama do pokoju i czujnie obserwowała jego reakcję. Nie uprzedziła go, co zobaczy. Na wypadek, gdyby jednak okazał się przebiegłym złodem, a nie facetem, który potrzebuje eklerek, by swobodnie rozmawiać z dziewczyną.

Adam coś mówił, chyba pytał ją, czy od dawna mieszka w Thornie, ale gdy zauważył ścianę wyklejoną neonowymi karteczkami, umilkł. Podeszedł bliżej, z wyraźnym ociąganiem, jakby niepewny, czy nic na niego nie wyskoczy z tej ferii kolorów, i zawiesił wzrok na pierwszej kolumnie. Wyciągnął rękę i dotknął kilku nazwisk, a potem odwrócił się gwałtownie i powiedział:

– Muszę iść. Wrócę. Poczekasz na mnie? To ważne! – Po czym prawie wybiegł z mieszkania, zostawiając za sobą całkowicie zdezorientowaną Katię.

Wyjrzała przez okno akurat, gdy wyskoczył z klatki na chodnik. Wsiadł do auta (zbyt małego, by nadawało się na karawan, ale błyszczącego funeralną czernią) i ruszył z piskiem opon.

Co tu się właśnie wydarzyło? Czy naprawdę zamierzał wrócić? Czy w ogóle zauważył, że w kolumnie z podejrzanymi widniało jego nazwisko? Wydawał się całkowicie skoncentrowany na danych ofiar. Może powinna pojechać za nim? I o czym właściwie chciał z nią rozmawiać, kiedy zadzwonił?

Katia czuła, że w głowie jej się kręci.

Zrobiła więc jedyne, co mogła. Wróciła do sprawy. Czasami pytała Dory, jak to jest, że w całym szaleństwie, w które regularnie zmieniał się życie przyjaciółki, ta potrafiła myśleć logicznie i znajdować ślady zbrodni czy tropić zabójcę. Namiestniczka odpowiadała jej zwykle to samo – w powstałym chaosie śledztwo jest najlogiczniejszą i najbardziej przewidywalną częścią równania. Należy zadać właściwe pytania i znaleźć tropy, a gdy wszystko zrobi się dobrze, zostanie tylko jedna możliwa odpowiedź, jeden winny.

Katia mogła mieć nadzieję, że ta metoda przywracania ładu w chaosie zadziała i u niej, bo w tym momencie czuła się zdezorientowana. Chyba wolała proste nekromanckie sprawy – z grobu wstało coś, co powinno leżeć; ktoś nieładnie się bawił i mogła go namierzyć pieśnią. Jedno nie dawało jej spokoju (poza rolę Adama w tej historii) – w grobach, w których brakowało ciał, brakowało jeszcze czegoś: magii. Nie było jej ani odrobinki, sygnatury, echa zaklęcia. Nie da się użyć magii, nie zostawiając ani okruszka za sobą. Nie ma zaklęcia, które przepaliłoby ślady, nie zostawiając echa zaklęcia przepalającego ślady. To była absolutna podstawa zachowania magii – jej użycie zmienia otoczenie, w którym została użyta. Dora powiedziała kiedyś, że to łączy magię i kryminalistykę – przekonanie, że wynikiem każdego kontaktu, nawet przelotnego, są ślady. Środowisko zostawia ślad na użytkowniku, użytkownik zostawia ślad na środowisku. Czy będzie to odcisk palca, włókno z płaszcza, pyłek rośliny wyniesiony na butach, czy krople krwi, które połączą sprawcę i miejsce zbrodni, a przy okazji sprawcę z ofiarą – nie można (będąc w formie materialnej, jak dodałby Witkacy) przebywać w jakimś miejscu nawet krótki czas bez wprowadzania choćby minimalnej zmiany. Czasem tak niewielkiej, że zauważalnej jedynie dla technika kryminalistyki o sokolim oku – ale obecnej i niezaprzeczalnej.

Jeśli Katia nie znalazła śladu magii, może nie szukała go wystarczająco uważnie. A może ktokolwiek wykradł ciała, nie użył magii? Co pociągałoby za sobą zupełnie nowe pytania. Bo jak to się ma do faktu, że pieczęcie magiczne pozostały nienaruszone? Postanowiła jeszcze raz im się przyjrzeć. I porozmawiać z Kamalem, który pochował pierwsze dwie zaginione dziewczynki. Czy wydarzyło się coś, co sprawiło, że sprawca nie wrócił po

kolejne? Może Kamal lub któryś z jego ludzi coś widział lub w czymś przeszkodził?

Była jeszcze jedna sprawa. Po co komuś dwanaście ciał małych dziewczynek? A może na tym wcale nie koniec? I czy bezpieczne są inne ciała pochowane wcześniej, czy też złodziej potrzebuje świeżych?

Próbowała znaleźć odpowiedź, obłożona książkami przywiezionymi z domu. Wciąż nie odpuściła opcji, że za zniknięciami stał licznik, więc szukała także połączeń pomiędzy magią, która trzymała ducha i ciało Egona Bremmera przy życiu, a wszelkimi rytuałami uwzględniającymi wykorzystanie w ramach ofiary małoletnich, zwłaszcza dziewczynek, ze szczególnym uwzględnieniem rytuałów wymagających powtarzania co jakiś czas.

Spędziła tak blisko godzinę, co jakiś czas walcząc z mdłościami, bo zagłębiła się w naprawdę paskudne rejony kwerendy. Nie istniała biała nekromancja, samo obcowanie z magią śmierci raz-dwa przybrudziłoby każdą nieskazitelną szatkę. Ten obszar magii stanowił jednak spektrum i obszar pomiędzy tym, co z moralnego punktu widzenia było dopuszczalne dla Katii, a tym, co nie budziło oporów u kogoś innego, był niezwykle pojemny.

Nagle szarpnięcie kręgu ochronnego oderwało ją od opisu rytuału, który miał rzekomo leczyć raka i polegał na składaniu w ofierze narządów zabranych dzieciom. Serio, pomyślała Katia, wiele można powiedzieć o państwowym leczeniu, ale NFZ nie wymaga składania ofiar z dzieci, a wyniki terapii są bardziej przewidywalne od tego, co w zakresie leczenia onkologicznego oferuje magia śmierci albo jej kombinacja z magią sympatyczną.

Otworzyła drzwi. Na progu stał Adam z ręką uniesioną jak do pukania.

– Miałem dzwonić, ale tym razem mnie wpuściło – powiedział speszony.

Pod pachą dźwigał karton wypchany po brzegi papierami.

– Faktycznie wróciłeś, już miałam wysłać za tobą Namiestniczkę – zablefowała.

– Za mną? A po co?

Wbiła w niego uważne spojrzenie. Czy mógł kłamać aż tak przekonująco, z niewinnością wypełniającą te brązowe ślepka po same rzęsy?

- No wiesz, skoro jesteś podejrzanym i w ogóle.

- Podejrzanym? Ja? Żartujesz sobie?

Katia westchnęła i pozwoliła mu wejść do mieszkania, gdzie szybko wrócił pod ścianę krzyczącą kolorami. I tym razem faktycznie jej się przyjrzał, skupił uwagę nie tylko na rubryce z nazwiskami zaginionych dziewczynek. Przez dłuższą chwilę studiował informacje.

- Okej - powiedział w końcu - rozumiem, że to może wydawać się podejrzane.

- No nie wygląda to dobrze, musisz przyznać. Ile mamy domów pogrzebowych w Thornie?

Adam się zastanowił.

- Zależy, jak szeroko definiujesz to pojęcie - odparł. - Osiem, jeśli raczej wąsko, lub dwadzieścia, jeśli naprawdę szeroko.

- Widzisz, jeszcze więcej, niż myślałam. Ale tylko groby z twoimi pieczęciami są naruszone.

- I z pieczęciami Kamala. Ale myślę, że przed rozmową z nim warto przejrzeć teczki pogrzebów.

- Co to takiego? - zapytała. Słyszała tę nazwę po raz pierwszy.

Adam wyjął z pudełka opasły tekturowy folder i zaprezentował go Katii.



- Zakładam taką teczkę po pierwszym kontakcie z rodziną zmarłego, a czasami też z samym zainteresowanym, jeśli w grę wchodzi testament woli lub ktoś za życia chce zaplanować całą uroczystość pogrzebową. Potem umieszczam tu wszystko, co związane z pochówkiem. Dosłownie wszystko. Mogę ci powiedzieć, jakie były kwiaty, ilu gości przewidywano na stypie, kto niósł trumnę, czy zorganizowano czuwanie, czy była opieka nekromancka, czy podano jakiegokolwiek wymagania religijne lub rytualne. Mam nawet sprawozdanie kopania grobu, złożenia trumny, odbioru kamieniarskiego, specyfikacje dotyczące nagrobków i zabezpieczeń magicznych. Zwykle też taki folder zawiera dokumentację fotograficzną, ale to już zależy od tego, czy rodzina wyraziła na to zgodę.

Katia stała przez chwilę z półotwartymi ustami.

- I ty to wszystko trzymasz, nawet lata po pogrzebie? - zapytała wreszcie.

- Oczywiście. Mamy archiwum w piwnicy. Często rodziny do nas wracają. Byłoby z mojej strony mało profesjonalne, gdybym nie pamiętał choć podstawowych informacji. Dzięki tej dokumentacji już na pierwszym spotkaniu roboczym mogę zaoferować rodzinie coś lepszego niż bezosobową maszynę do chowania nieboszczyków. W pogrzebie bardziej chodzi o potrzeby rodziny niż o potrzeby zmarłego. Kiedy wkraczam do akcji, on zwykle przebywa już na innym poziomie bytu i ma w nosie, czy będę pamiętał, że dwa lata wcześniej chowaliśmy jego pradziadka, a kolorem żałoby w tej rodzinie jest biały, ale lilie w ich kulturze są uznawane za kwiaty przynoszące pecha. Nie chcę, by wdowa musiała mi drugi raz to tłumaczyć, bo ma wystarczająco wiele na głowie.

I to był moment, w którym Katia postanowiła wykreślić Adama z listy podejrzanych. Nic nie powiedziała, ale odruchowo dotknęła serca, które zakłuło ją jak wtedy, kiedy miała niecałe dziewiętnaście lat i siedziała na niewygodnym, zimnym krześle w domu pogrzebowym po drugiej stronie bramy, całkowicie zdruzgotana.

Pracownik właśnie próbował jej wcisnąć trumnę za sześć tysięcy złotych. Przekonywał ją, że tatuś na pewno chciałby odbyć ostatnią ziemską podróż w najlepszej trumnie, jaka istnieje, czyli właśnie tej, mahoniowej, z jedwabną wyściółką w kolorze łososiowym, na której tle będzie wyglądał

jak żywy. Jeśli jej nie stać, może wziąć towar na raty i spłacać je przez kolejne cztery lata.

Nawet na nią nie patrzył, zbyt skupiony na katalogu producenta trumien. Wyliczał zalety produktu, jakby próbował jej sprzedać samochód. Nic nie wiedział o jej tacie i kompletnie nie był zainteresowany tym, by się czegokolwiek o nim dowiedzieć. W młodziutkiej dziewczynie, która przysłała zapytać o koszty pogrzebu ukochanego ojca, widział tylko naiwniaczkę, z której zamierzał wycisnąć, ile się da. Oczy ją piekły, a gardło ścisnęło się w suchy węzeł. Miała ochotę krzyknąć.

Po opuszczeniu biura szła przed siebie, nie wiedząc, co zrobić. Była nastolatką, do cholery! Skąd miała wiedzieć, jak się to wszystko planuje, urządzi, wybiera? Jak się załatwia ten cały zasilek pogrzebowy i miejsce na cmentarzu? Czy powinna pochować tatę na cmentarzu komunalnym? Nagle znalazła się na niezbadanym, nowym dla niej terytorium. Owszem, spędzała na cmentarzach mnóstwo czasu, ale nigdy wcześniej nie musiała pochować nikogo bliskiego.

W końcu zadzwoniła do Jemioły, którą знаła ze szkolenia w Trójprzymierzu. Starsza niż kurz uzdrowicielka emanowała spokojną, babciną troską. Zawsze sprawiała wrażenie, że o uczniów troszczy się trochę bardziej niż pozostali nauczyciele. Kiedy odebrała, Katia wyrzuciła z siebie bezładny zlepek zdań, coś o cmentarzu, pogrzebie taty i o tym, że nie chciałby cadillaca, tylko coś dużo bardziej naturalnego! Wtedy nikt jeszcze nie słyszał o pogrzebach ekologicznych – kapsułkach, z których wyrastało drzewo, czy pochówkach z wykorzystaniem grzybów, które szybciej wprowadzały człowieka z powrotem w obieg pierwiastków w przyrodzie – ale wiedziała, że tata nie chciałby balsamowania ani szczelnej trumny, która utrzymywałaby pozory życia, powstrzymując rozkład. Mówiła do słuchawki przez kilka minut, płacząc, pociągając zatkanym nosem i wymachując rękami, niepompna, że ludzie obchodzą ją z bezpiecznym zapasem, bo nie wiadomo, czy jest szalona, czy naćpana.

A gdy wreszcie zabrakło jej słów i został jej tylko niepohamowany szloch, Jemioła westchnęła z głębokim współczuciem i powiedziała:

– Och, kochanie, niczym się nie martw, będę za kilka godzin, wszystko załatwimy. Czy tata chciał być pochowany w Toruniu, czy w Thornie?

Katia przez chwilę się wahała, a potem dotarła do niej prawda – gdyby nie ona i jej magia, tata nigdy nie opuściłby Thornu. Dlaczego od razu na to nie wpadła? Nie chciałby leżeć na jakimkolwiek cmentarzu po tej stronie bramy!

– W Thornie – odpowiedziała cicho.

– Znam kogoś, kto pomoże nam się uporać z transportem ciała i całą resztą. Przyjmij moje kondolencje, Katiu, i zaufaj mi. Przeraza cię to i czujesz się przytłoczona, ale przejdziemy przez to razem, krok po kroku. Będzie dobrze, nawet jeśli teraz trudno ci w to uwierzyć.

Miała rację, a wszystko wyszło tak, jak chciałby tata. Przynajmniej tak sądziła Katia. Nigdy nie rozmawiali o tym, jakiego pogrzebu by sobie życzył, miała wrażenie, że przez lata starannie unikał takich tematów, jakby nie chciał drażnić jej magii samą sugestią. Nigdy jej tego nie powiedział, ale już jako dziecko odnosiła wrażenie, że nie czuł się komfortowo z jej mocą. Ale też ją rozumiał. Jasnowidzenie także nie było łatwym kawałkiem magii, a ludzie czuli się w jego towarzystwie niezręcznie, jakby się obawiali, że ledwie na nich spojrzy, rzuci im w twarz, kiedy umrą, albo wywlecze ich najgłębiej skrywany sekret. Tata był jednak dyskretny, trzymał tajemnice cudzych losów zapisane na malutkich karteczkach, podobnych do tych, które można było znaleźć w ciasteczkach z wróżbą. Dopiero kiedy je zanotował i zwinął świstek w rulonik, wizje cudzej przyszłości go opuszczały i mógł znów spać spokojnie.

Jemioła nie przyjechała wtedy sama. Towarzyszyła jej wysoka nastoletnia wiedźma o włosach tak rudych, że wydawały się płonąć. Na początku niewiele rozmawiały, ale Katia natychmiast poczuła do niej sympatię. Jakby Dora wypełniła jakąś pustkę w jej sercu.

– Myślę, że lubię to miasto, chyba znajdę tu swoje miejsce – powiedziała po pogrzebie pana Kornatowskiego.

Jak to się wszystko dziwnie poukładało, pomyślała Katia. Wyminęły się na szkoleniu, które Katia ukończyła kilka lat wcześniej. Gdyby nie śmierć taty, koszarne konsultacje z przedsiębiorcą pogrzebowym i telefon do Jemioły, możliwe, że Dora nie trafiłaby do Torunia, nie zaprzyjaźniłyby się, nie zostałyby Namiestniczką, nie spotkała Mirona, nie zamieszkała w Thornie, a dziś Katia nie miałaby mieszkania po tej stronie bramy, nie

rozważałyby, czy kandydować do Starszyny... To dopiero lawina wydarzeń, wywołana przez jeden mały kamyczek!

- Przepraszam - usłyszała nagle i to słowo, ale też miękki, pełen współczucia ton wyrwały ją z zamyślenia.

- Za co? - zapytała zdezorientowana.

- Powiedziałem coś, co wywołało u ciebie przykre wspomnienia.

Ze smutkiem pokręciła głową i wyjaśniła:

- Ostatnio częściej wspominam tatę. Chyba przez przewodzkę do Thornu... Myślałam o tym, że nigdy nie chciał się stąd wyprowadzać, ale z moją magią nie bardzo mogliśmy tu zostać. A po śmierci wrócił do Thornu. Jest pochowany na Centralnym, a ja, choć bywam tam regularnie, ostatni raz odwiedziłam jego grób pół roku temu. Nekromancki odpowiednik szewca, który bez butów chodzi.

- Kto go chował? - zapytał Adam łagodnym, empatycznym tonem.

- Ibrahim Kamal, ojciec Omara. Czy to nie dziwne, że oba domy pogrzebowe, Kamalów i wasz, działają od pokoleń? I że obaj przejęliście biznesy po ojcach?

Adam skinął głową.

- Gdy dorastasz w domu pogrzebowym, pewne rzeczy wydają ci się oczywiste. Zawsze wiedziałem, że kiedy przyjdzie czas, to ja poprowadzę nasz Dom Ostatnich Pożegnań. Nie sądziłem tylko, że tak młodo. - Zamyślił się i jakiś cień przemknął przez jego twarz. - Pamiętam pana Ibrahima, zawsze był taki elegancki i uprzejmy. Miał w sobie jakieś ciepło, rzadko spotykane w tym fachu. Bywał w naszym domu, mama bardzo go lubiła, a z tatą łączyło go coś więcej niż relacja zawodowa. Bardzo przeżył jego śmierć. - Potarł twarz, jakby odpędzał nieprzyjemne wspomnienie, i już spokojniej dodał: - Omar ma wiele z ojca. Ja podobnie, wdałem się w swojego. Myślę, że to dla nas naturalna kolej rzeczy, że kontynuujemy ich dzieło.

- Nigdy nie przeszło ci przez myśl, by się zbuntować? Wynieść z Thornu, założyć gdzieś, sama nie wiem, kwiaciarnię, albo z plecakiem zwiedzać Europę tropem renesansowych mistrzów?

Uśmiechnął się rozbawiony.

- Nie, zawsze wiedziałem, że skończę w tej branży. Ale trzy razy wybrałem się na urlop do Włoch, więc można powiedzieć, że prowadzenie domu pogrzebowego nie wyklucza podążania tropem renesansowych mistrzów.

Niby mogła go teraz zapytać o fioletową poświatę magii śmierci, którą widziała wokół niego na cmentarzu, ale ugryzła się w język. Może kiedyś sam jej powie.

- Dobrze, zobaczymy, co poza tobą łączyło te dziewczynki - stwierdziła tylko i zaczęła składać książki leżące na stole, by zrobić miejsce na foldery.

Sięgnął po kilka leżących na blacie tomów, by jej pomóc, i odruchowo omiół wzrokiem tytuły.

- Myślisz, że ktoś mógł użyć ich ciał w taki sposób? - zapytał cicho.

- Mam nadzieję, że nie - odparła, a on w milczeniu skinął głową.

*

Gdzieś między jedną teczką a drugą zapytała Adama, o czym chciał porozmawiać, kiedy zadzwonił.

- Byłem na cmentarzu. Zamierzałem na spokojnie się przyjrzeć pieczęciom na grobie Kariny i na dwóch innych grobach, które wskazałaś pod wpływem zaklęcia. Na nich też były moje pieczęcie, nietknięte. I tak odkryłem, że zajmowałem się pochówkiem trzech zaginionych dziewczynek. Nie zapamiętałem innych nagrobków, przy których się zatrzymałaś, bo magia w którymś momencie była naprawdę przytłaczająca i bardziej skupiałem się na asekurowaniu ciebie niż robieniu notatek. Informacja, że pochowałem nie trzy, tylko dziesięć, uderzyła mnie jak młot między oczy.

Katia skinęła głową i uzupełniła datę pogrzebu oraz informacje o zabezpieczeniach magicznych o dane z teczki Zuzanny Pluskały.

- Naprawdę mnie podejrzewałaś? Pomyślałaś: tak, Gawroński wygląda mi na faceta, który wyciąga z trumien małe dziewczynki? - zapytał po dłuższej chwili.

- Nie chciałam tak myśleć. Ale im bardziej nie chciałam, tym bardziej musiałam brać to pod uwagę - przyznała.

Nie skomentował. A Katia zastanawiała się, czy to jest właśnie ta rzecz, która przekreśli wszystko, co mogło się między nimi wydarzyć.

*

Po dwóch godzinach przeglądania teczek i wynotowywania informacji Adam stanął przed ścianą i pomrukiwał coś pod nosem.

Katia rozłożyła na stole dziesięć wyjętych z folderów kolorowych kartek. Każdy wydruk stanowił miniaturową wersję plakatu, który w trakcie pogrzebu umieszczony był w okazałej ramie zaraz obok trumny. Na białym tle widniały zdjęcia dziewczynek, ich imiona i nazwiska, daty urodzin i śmierci oraz informacje, kto je żegnał – zwykle „nieutulona w żalu rodzina”. Czasem kursywą poniżej wypisany był jakiś pasujący cytat z Pisma Świętego czy innej świętej księgi, a w przypadku Karoliny Zielonki – cytat z *Kubusia Puchatka* o miłości, którą się czuje.

Katii rzuciło się w oczy jedno: każda z zaginionych była ponadprzeciętnie ładnym dzieckiem. Takim, do którego rodziców w centrum handlowym mógłby podejść łowca z agencji reklamowej i przekonywać, że mała ma potencjał, by zostać gwiazdą. Choć do siebie niepodobne, wszystkie reprezentowały pewien komercyjny typ urody. Jak laleczki – pomyślała Katia i poczuła się nieswojo z tą myślą. Czy to dlatego je wybrał? Czy był na pogrzebach i widział te zdjęcia wyeksponowane przy trumnach? Jeśli uroda miałaby być kluczowym łącznikiem, odpadała większość rytuałów nekromanckich i czarnomagicznych, bo o ile mogły mieć znaczenie płeć, wiek czy dziewictwo, o tyle wygląd nie odgrywał żadnej roli. Czyżby więc nekropedofil? Oby nie!

Pod pewnymi względami wołałaby czarną magię czy nekromancję. Wówczas prędzej czy później znalazłaby sposób, by wykryć magiczne ślady, albo pytałaby tak długo w tutejszym, dosyć hermetycznym w gruncie rzeczy środowisku, aż w końcu ktoś puściłby farbę, byle tylko przestała mącić wodę i przyciągać do ciemnych kątów uwagę normalsów czy Namiestniczki. Tak to działało. Wśród złodziei i czarnomagicznych lojalność nie istniała. Z pedofilami czy nekropedofilami sprawy przedstawiały się jednak dużo gorzej. Katia nawet nie wiedziałaby, kogo pytać o takie rzeczy.

Tymczasem Adam porównywał daty w kalendarzu w komórce z tymi w teczkach i dochodził do niewesołych wniosków. Ktokolwiek wykradł dzieci z ich grobów, miał inne możliwości. W większości z tych dziesięciu przypadków w tym samym tygodniu odbywały się inne pogrzeby: młodej kobiety, mężczyzny w średnim wieku, jedenastoletniego chłopca. Z jakiegoś powodu jednak sprawca wybrał ciała dziewczynek. Adam zauważył jeszcze coś. Dzień przed pogrzebem Karoliny Zielonki odbył się pochówek innej dziewczynki, siedmioletniej Amelii Kaczmarek. I dzięki notatce w kalendarzu Gawroński domyślił się, czemu to nie jej ciało zainteresowało złodzieja. Amelia i jej ojciec zginęli w wypadku samochodowym. Obrażenia były znaczne i mimo ukrycia większości z nich za pomocą makijażu i masy plastycznej, żegnająca najbliższych pani Kaczmarek nie zdecydowała się na pogrzeb z otwartą trumną. W przeciwieństwie do rodziców Karoliny.

Wpisując daty zgonów i pogrzebów w odpowiednie rubryki na ścianie, zauważył jeszcze jedną prawidłowość. Istniało niewielkie okienko czasowe, by ktoś mógł wykraść ciała z trumien bez łamania pieczęci domu pogrzebowego. Nawet jeśli był to fałszywy trop, zamierzał zmienić procedury i uszczelnić tę lukę.

– Muszę porozmawiać z Kamalem, ale chyba wiem, jak mógł wydobyć ciała bez łamania pieczęci – powiedział, przerywając Katii niewesołe rozważania.

– Mogę do niego pójść i zapytać, o co trzeba – zaproponowała. – Jeśli się dowie o twoim zaangażowaniu w sprawę, może to wpłynąć na reputację Domu Ostatnich Pożegnań.

Adam machnął ręką.

– Daj spokój, to w równym stopniu moja sprawa, jak i twoja. Chowałem te dziewczynki, obiecywałem rodzinom wieczny odpoczynek dla ich kochanych zmarłych. A ktoś sprawił, że te obietnice zostały złamane. Nie spocznę, póki się nie dowiem, kto za tym stoi, a dziewczynki nie wrócą do swoich grobów. Nie tylko Mitera wierzy, że dopóki tak się nie stanie, dusza nie zazna spokoju.

ROZDZIAŁ 19

Agitacja i wąskie okienko

Z samochodu Katia zadzwoniła do Kamala, by uprzedzić go o swojej wizycie. Kierowała się nie tylko uprzejmością – wiedziała, że jeśli obsługiwał właśnie żałobników z gatunku tych, którzy upatrują w nekromantce lewą rękę szatana czy przejaw upadku obyczajów, dopilnuje, by ich drogi się nie skrzyżowały. Tacy pojawiali się u Kamala całkiem często. Sporą część jego klienteli stanowiły rodziny konserwatywne i – niezależnie od obrządku – bardzo religijne.

O ile Dom Ostatnich Pożegnań służył z kameralnej, rodzinnej atmosfery, o tyle Dom Pogrzebowy Kamal i Syn, największy w Thornie i ostentacyjnie elegancki, specjalizował się w dużych, wystawnych pogrzebach. W rozłożystym piętrowym budynku mieściło się kilka sal ostatnich celebracji, od tych niewielkich, trzydziestoosobowych, po największą, zdolną pomieścić trzystu żałobników. Gdyby Kamal zechciał zmienić branżę, mógłby organizować huczne wesela. Miał też bowiem wystarczająco pojemne zaplecza, a na piętrze pokoje gościnne, ponieważ w wielu obrządkach rodzina czuwała przy zmarłym przez kilka dni, nie mogąc opuszczać domu, w którym umieszczono zwłoki. Kamal zapewniał więc przestrzeń do czuwania, odpoczynku, gotowania posiłków, a także łącznie rytualne, bo zdarzało się, że częścią obrządku były ablucje.

Kilka lat temu budynek rozbudowano o skrzydło, w którym mieściły się chłodnie i tak zwane zimne pokoje. Utrzymywano w nich temperaturę na tyle niską, by spowolnić rozkład, ale na tyle wysoką, by nie zamrozić

zmarłych na kość. Znajdowały zastosowanie, gdy uroczystości pogrzebowe trwały tydzień.

To te właśnie pomieszczenia Kamal wynajmował od kilku miesięcy miastu i Namiestniczce. Pośredniczyła w tym Katia, gdy okazało się, że miejscowa kostnica jest za mała, by pomieścić liczne ofiary znalezione w masowych grobach, ponadto jej archaiczne wyposażenie nie spełnia oczekiwań Bogny, doświadczonej medycy sądowej naznaczonej magią śmierci, a przy tym nowo zatrudnionej koronerki.

To było rozwiązanie tymczasowe – nowa kostnica miała się mieścić w piwnicy nowego komisariatu, tyle że remont budynku włókł się niemiłosiernie. Na razie więc Bogna pracowała kątem u Kamala i chyba oboje byli z tego zadowoleni. Kamalowi czochnało ego to, że był miastu niezbędny, wszem i wobec chwalono jego zasługi, a Dom Pogrzebowy oficjalnie uznano za najlepiej wyposażony. Wytargowany więcej niż przyzwoity czynsz z miejskiej kasy też nie zawadzał. Bogna miała do dyspozycji chłodnię i przestrzeń do pracy, plus towarzystwo człowieka, który sporo wiedział o magii i śmierci, a przy okazji był całkiem sympatyczny. Z kolei Dora była szczęśliwa, bo wreszcie dostała namiastkę normalności w postaci koronerki na etacie i schludnej, nowoczesnej sali sekcyjnej, a nie komórkę z drewnianym stołem i kolonią much. To, że wpadła na obecne rozwiązanie, Katia do dziś uważała za przebłysk geniuszu.

Zaparkowała obok dobudowanego skrzydła, przy wrotach dość szerokich, by zmieścić się w nich najmasywniejsza trumna. Od tej strony budynku nie było szyldu – ten, klasyczny i elegancki, wisiał nad głównym wejściem, od ulicy. Wysiadła z samochodu i patrzyła, jak Adam parkuje swoje czarne auto. Felgi i chromowane klamki błyszcząły w słońcu.

– Wchodzimy? – zapytał, zatraskując za sobą drzwi.

Pokręciła głową.

– Kamal już wie, że jesteśmy. Gdy będzie wolny, wyjdzie po nas – wyjaśniła.

Adam zmrużył oczy i chyba coś sobie układał w głowie, bo w końcu powiedział:

- Do mnie rzadko trafiają te naprawdę konserwatywne rodziny.
- Tak, Kamal ma dla takich oferty skrojone na miarę.
- Często się zdarza, że są, no wiesz... - Zawahał się, jakby nie wiedział, jakiego przymiotnika użyć.
- Nieprzyjemni? Uprzedzeni? Owszem. Do magii lub mojej płci, a czasem ich kombinacji.
- Ale nie Kamal, prawda?
- Oj, nie, pod tymi gładkimi trzyczęściowymi garniturami bije serce lewaka i feministy. Ale zna swoją klientelę.

Oparła się o maskę auta, a Adam przysiadł tuż obok. Gdyby czekanie miało potrwać dłużej, zabrałaby go na tył Domu Pogrzebowego, bo mało kto wiedział, że znajdują się tam przepiękne ogrody. Nawet teraz, choć wiosna budziła się z ociąganiem, było tam po prostu pięknie. Ogrody założyła babka Omara, która pochodziła z Persji i nigdy nie przyzwyczaiła się do polskiego klimatu. Najpierw założyła oranżerię, a potem, gdy już lepiej orientowała się w tym, jakie rośliny zdołają przetrzymać tutejszą zimę – ogrody. Katia szła o zakład, że współpracowała z jakimś zielonym kciukiem, bo efekty były powalające. Kamalowie często organizowali tam mniejsze, bardziej intymne ostatnie pożegnania. Jak pogrzeb taty Katii. Właśnie zakwitły magnolie o olbrzymich różowych pąkach. Zawsze gdy widziała magnolie, przypominał jej się tamten dzień...

- Wszystko w porządku? – zapytał cicho Adam.
- To tylko mały smutek, zaraz przejdzie. – Uśmiechnęła się blado. – Znów przypomniał mi się pogrzeb taty. Chyba ta wiosna i przeprowadzka wyciągają ze mnie sentymenty.

Pokiwał głową bez słowa.

Telefon zawibrował w kieszeni jej płaszcza. Zerknęła na podświetlony ekran i uśmiechnęła się pod nosem.

- Już do nas idzie – powiedziała.

I faktycznie, kilka minut później uchyliło się skrzydło drzwi, po czym z budynku wyłonił się Omar Kamal we własnej osobie. Jego gładko ogolona głowa lśniła w bladym świetle dnia. Był wysokim, postawnym facetem o

ciemnej karnacji i pięknych, bardzo wyrazistych brązowych oczach; uwagę zwracały jego nieprzyzwoicie wręcz długie rzęsy. Na podstawie tej urody można się było domyślić arabskich i egipskich korzeni, za to jego garnitury nieodmiennie krzyczały: „Wielka Brytania skolonizowała też mojego krawca”.

W sytuacjach oficjalnych emanował powściągliwą elegancją i szacunkiem, które działały jak balsam dla spowitej żałobą duszy. Prywatnie był sympatycznym facetem o nieco suchym poczuciu humoru.

Podszedł do nich sprężystym, energicznym krokiem, tak różnym od powściągliwego i niespiesznego chodu typowego dla przedsiębiorców pogrzebowych, że Adam aż uniósł brew. A gdy mężczyzna się pochylił i łagodnie objął nekromantkę na powitanie, wiedział, że nie tylko się lubią, ale i że coś musiało ich łączyć. Teraz czy kiedyś, nie miał pewności, poczuł jednak ukłucie zazdrości pod żebrami i oblał rumieńcem na samą myśl.

– Wybaczcie, że kazałem wam czekać, akurat miałem niezapowiedziane spotkanie – powiedział Omar. Spojrzał na Adama i podał mu rękę z życzliwym uśmiechem. – To co, Katiu? Teraz ty wpadasz agitować i zabiegać o mój głos? Moje ego jest dziś dopieszczone.

Katia popatrzyła na niego pytająco, nie rozumiejąc, o czym mówi.

– No, zdradź mi, czy to prawda – popędział ją Kamal z szerokim uśmiechem.

– Ale co konkretnie? – zapytała.

Mężczyzna parsknął pod nosem i powiedział:

– Minęłaś się właśnie z Egonem Bremmerem.

– Nie wiedziałam, że go znasz. – Skrzywiła się lekko.

– Nie znam. Dziś widziałem go po raz pierwszy. Specyficzny, nie sądzisz?

Zdaniem Katii to było niedopowiedzenie roku, ale zapytała, siłąc się na obojętny ton:

– Czego chciał?

– Mojego głosu, jak mówiłem. Właściwie zakładałam, że przede wszystkim chciał głosu Bogny, ale ta spojrzała na niego tylko raz i uznała, że musi być zupełnie gdzie indziej. Nawet przed wyjściem nie zdjęła fartucha sekcyjnego, takie zrobił wrażenie. I najwyraźniej nie lubi marnować czasu, bo skoro uciekła mu koronerka, zaczął maglować mnie. Odwołał się do męskiej solidarności i chyba założył, że z takim nazwiskiem muszę być konserwatystą pierwszej wody. – Omar parsknął na samą myśl.

– Nie kryje się z intencjami – skomentowała Katia.

– Z niczym się nie kryje. – Kamal pokiwał głową. – Nawet osłon nie nosi. Bogna od razu rozpoznała, że składa się z tego, co umarło, i z tego, co nie chce umrzeć. Nie znała terminu „licz”, ale jej magia uważa go za abominację. Co w sumie jest dziwne. Tacy jak on zwykle lepiej ukrywają rozkład i desperację.

– Może nie może? – podsunęła Katia.

– Jeśli tak, trzeba mieć na niego oko – stwierdził Kamal. – Wiesz, do czego takich jak on popycha desperacja.

Katia przytaknęła, zmartwiona. Gdy wpadła na Bremmera na cmentarzu, była zbyt rozproszona i zdegustowana, by przeprowadzić aż tak szczegółowe obserwacje.

– Więc lepiej mi powiedz, Katiu droga, czy plotki o tym, że startujesz w wyborach do Starszyny, nie są przesadzone – rzucił Kamal.

– Nie wiem jeszcze – powiedziała wymijająco.

– Czyli raczej tak. Nigdy nie byłaś kobietą, która miałaby kłopot z powiedzeniem stanowczego „nie”.

– Coś w tym jest. Ale i tak jesteś okropny! – zauważyła ze śmiechem.

– Jestem fantastyczny. A o mój głos w wyborach nie musisz się martwić. Nie znam lepszej kandydatki. Ale skoro nie przyszłaś agitować, co was sprowadza?

– Sprawy zawodowe, że tak powiem. – Katia skrzywiła się lekko. – Dotyczą też twoich zmarłych.

Kamal przeskoczył spojrzeniem między Katią i Adamem, zmarszczył brwi, jakby domyślił się, że wcale mu się nie spodoba to, co usłyszy, po czym powiedział:

- Wejdźmy do środka. Coś czuję, że to nie jest rozmowa na parking przed chłodnią.

*

W swoim gabinecie Kamal z miejsca zgubił tę odrobinę luzu, którą miał na parkingu. W sekundzie, w której zasiadł za okazałym biurkiem w swoim jednocześnie praktycznym i stylowym fotelu, cała jego postawa się zmieniła. Oparł łokcie na podłokietnikach, dłonie złożył w ostrą piramidkę z wskazującymi palcami dotykającymi brody i słuchał, w pełni skupiony. W dziwny sposób pomogło to Katii poczuć się pewnie, gdy zaczęła referować sprawę.

Unikała nazwisk ofiar, nie licząc tych, które Kamal znał ze swojej praktyki, nie wspomniała o Agacie Miterze, ale poza tym nie omijała szczegółów. Powiedziała o nienaruszonych pieczęciach, o wytrąceniu z równowagi Matki Ziemi, które może mieć daleko idące konsekwencje dla wszystkich w mieście, o dwunastu pustych trumnach i o tym, że w każdej z nich powinna się znajdować dziewczynka w wieku od pięciu do dziesięciu lat. Wspomniała, że na jej liście podejrzanych jest liczb – ze względu na magię, którą nosi, a także to, co zauważył Kowal: że kręci się po cmentarzu z wiadrami krwi. Oznacza to, że odprawia jakieś rytuały, a nie ma wielu miłych rytuałów wymagających użycia wiader krwi.

Adam co jakiś czas dorzucał jakiś detal, ale generalnie zostawił referowanie Katii. Jego wzrok umykał do obrazu Jacka Malczewskiego, przedstawiającego Śmierć jako dorodną, postawną brunetkę w kwiecie wieku, w granatowej sukience, z makami przy pasku, włosami upiętymi nad karkiem, kwiatami wetkniętymi między ciemne sploty i kosą niefrasobliwie opartą o ramię. Patrzyła w bok, w głąb obrazu, więc nie dało się dostrzec jej oczu, ale mógłby się założyć o własną rękę, że są zielone, dziwnie przejrzyste i nieco zbyt jasne, a spojrzenie przenikliwe, wywołujące dyskomfort. Jednocześnie, choć na obrazie miała poważną,

może nawet smutną minę, wiedział, że chętnie się uśmiecha, i kiedy to robi, jej oczy wydają się rozświecić od wewnątrz, a twarz zmienia się z przystojnej w absolutnie piękną.

Miał ochotę zapytać Kamala o dwie rzeczy. Po pierwsze, czemu wybrał akurat ten obraz. Nie pamiętał go z wizyty sprzed kilku lat, kiedy jeszcze gabinet zajmował Ibrahim Kamal. I po drugie, czy też ją widział? Czy jemu także pokazywała się od dzieciństwa? A jednak nic nie powiedział. Pocierał tylko palcami nasadę nosa i wpatrywał się w maki, różowy i czerwony, z czarnymi oczkami zerkającymi z wysokości talii Śmierci. I na białą chustę zatkniętą za pasek tuż obok. Chustę, która dla kogoś innego mogła być niewinną białą ściereczką, ale on wiedział, że jest czymś znacznie więcej.

– Adam, wszystko w porządku? – zapytała nagle Katia, dotykając jego ramienia.

– Co? A tak, oczywiście – odparł szybko, prostując się na krześle jak uczeń.

Kamal wpatrywał się w niego uważnie. Nie uśmiechał się. Może też miał ochotę zadać Adamowi kilka pytań? Nie, na pewno nie, pomyślał Adam, po prostu zwróciłem na siebie uwagę, bo zagapiłem się jak szczeniak, kiedy dwoje dorosłych rozmawiało o ważnych rzeczach.

– Czy domyślasz się, jak ktoś mógł się dostać do trumny, nie łamiąc twoich pieczęci? – zapytał, próbując odzyskać kontrolę.

Kamal jeszcze chwilę wbijał w niego te swoje wielkie ciemne oczyska, a potem westchnął i poprawił się na krześle, opierając łokcie na blacie biurka.

– To wcale nie jest takie trudne, jeśli ktoś dobrze zna nasze zwyczaje i ograniczenia.

Adam ledwie zauważalnie skinął głową.

– Czy pieczętujesz trumnę przed włożeniem do grobu? – zapytał.

Nie było to błahe pytanie i Kamal mógł go zbyć jakimś półsłówkiem, mimo to odpowiedział szczerze:

– Czasami. Rzadko. Jeśli pogrzeb jest przy zamkniętej trumnie. Jeśli odbywa się okazanie zmarłego, nie mam kiedy ani jak założyć pieczęci. Potrzebuję na to czasu i skupienia, którego zwyczajnie nie mam w trakcie uroczystości, przy świadkach, z kłębiącymi się dookoła emocjami.

– Ja podobnie. A pogrzeby przy zamkniętej trumnie są... rzadkie.

– Więc zostaje zabezpieczowanie grobu. Ale to wcale nie takie proste – przyznał Kamal.

– Chyba że składamy trumnę w już istniejącym grobowcu czy piętrowym grobie. Wtedy wystarczy, że założę pieczęcie po odejściu żałobników – dodał Adam.

– I tak to zwykle wygląda, nieprawdaż? Ale jest jedna sytuacja, kiedy wygląda to zgoła inaczej – dodał Kamal.

– W kwaterze dziecięcej! – Adam aż jęknął, gdy dotarło do niego to, co mu wcześniej umykało.

– A czemu akurat tam? – zapytała Katia, nie rozumiejąc.

– Bo w kwaterze dziecięcej zwykle nie ma grobowców, są pojedyncze groby – wyjaśnił Kamal. – Jest zresztą zwyczaj, by unikać chowania dzieci w grobach, w których już ktoś leży. W innych przypadkach decydujemy się na układ piętrowy albo układamy trumny obok siebie. Wystarczy, że dbamy o to, by się nie dotykały, a w przypadku pogrzebów żydowskich trumny mają być od siebie oddalone na szerokość sześciu dłoni. Choć jeśli idzie o groby dzieci, nawet takie zabezpieczenia uznaje się za niewystarczające.

– To przez ten cały potencjał nekromancki małych dzieci? – upewniła się Katia.

– Nie znam tego wyrażenia, szczerze mówiąc – odpowiedział Kamal.

– Na poziomie magii nekromanckiej dzieci są szczególnie trudnym przypadkiem. Nawet podstawowe pieczęcie nekromanckie mogą nie wystarczyć, by zabezpieczyć ciało dziecka. Dzieci za łatwo upiorzeją, za łatwo je opętać, bo zwykle nie mają barier typowych dla dorosłych. Często po prostu nie rozumieją śmierci wystarczająco, by do ich magii dotarło, co to właściwie znaczy, że nie żyją – wyjaśniła. – Dla mnie, jako nekromantki, która chce utrzymać martwym wszystko, co takie powinno

pozostać, to wyzwanie. Ale dla nekromantów, którym zależy, by martwe powstało i chodziło między żywymi, to potencjał.

– Okropne – powiedział cicho Adam.

– Jednak to nie magia wyciągnęła te dziewczynki z trumien. Nie ma najmniejszego śladu działań magicznych, zaklęć, uroków. Nawet uśpionych – dodała.

Kamal pokiwał głową.

– Nie to miałem na myśli – wyjaśnił. – Chodzi o to, że dzieci zwykle chowa się szybko. Dzień, góra dwa po śmierci. Dziecięce ciała szybciej się psują: mniej mięśni, więcej tłuszczu, rozkład postępuje gwałtowniej niż u dorosłego. Do tego w przypadku pogrzebów dziecka otwarta trumna jest właściwie normą.

Adam przejął pałeczkę.

– Poza tym najmłodszych zwykle chowa się nieco... prowizorycznie. To znaczy kopujemy dół, ale praktycznie nigdy nie ma czasu na wymurowanie konstrukcji. Osadza się tylko płytę na spodzie i wkłada dwie inne na sztorc, na krótszych bokach dołu. A potem nasadza się na nie pomnik. I dopiero na nim zakłada się pieczęcie domu pogrzebowego. Jeśli zrobi się wszystko dobrze, krąg ochronny jest zamknięty. Wszystkie elementy i płyty się stykają, dzięki czemu trumna tkwi wewnątrz czegoś w rodzaju kamiennej klatki Faradaya, chroniącej ją, wraz z jej zawartością, przed działaniem magii. I te pieczęcie są nietknięte.

– Ale istnieje okienko czasowe między złożeniem trumny a nasadzeniem pomnika, kiedy pieczęci nie ma? – domyśliła się Katia.

Obaj przytaknęli.

– Ile trwa takie okienko? – dopytała.

– Krótko, bardzo krótko. Nie mówimy o czekaniu na płyty nagrobne, pomniki i rzeźby, czy choćby tabliczki z imieniem. Sama konstrukcja podstawy, zwykle skrzynkowa, bo taką tradycyjnie montuje się na grobach w kwaterze dziecięcej, jest na miejscu nie później niż w dwadzieścia cztery godziny od pogrzebu – powiedział Kamal.

- Podobnie rozumowałem. I sprawdziłem: w przypadku tych dziesięciu pochówków, o których mówiła Katia, między umieszczeniem trumny w dole a założeniem pieczęci minęło maksymalnie czternaście godzin. Zwykle mieściliśmy się w dwunastu. Pogrzeb odbywał się późnym popołudniem, a montaż ramy nagrobka i założenie pieczęci miało miejsce o świcie.

- Musiałbym sprawdzić, jak to wyglądało w tych dwóch przypadkach, Julii Wójcik i Kamili Czaplińskiej, ale standard mam bardzo zbliżony do tego, który zaprezentował Adam – dodał Kamal. – W teorii nie powinno się nic wydarzyć. Po każdym pogrzebie Kowal zamyka wszystkie furty i magia kręgu cmentarza wystarcza, by ciała były bezpieczne.

- O ile ktoś nie ma klucza – zauważyła Katia.

Obaj przedsiębiorcy pogrzebowi westchnęli głośno, jakby ich myśli jednocześnie powędrowały do szyszymory. Lub Gardiasza. A kto wie, czy i licz nie paradował z nieoficjalnie zdobytym kluczem.

- To wszystko jest bardzo niepokojące – przyznał Kamal – i jeśli mogę wam jakoś pomóc, możecie na mnie liczyć.

- Ciągle się zastanawiam – odezwał się Adam – czy możliwe, żeby ktoś wślizgiwał się na pogrzeby i w ten sposób wybierał ofiary? Czy możliwe, że nie zauważyłem powtarzającego się gapia?

- Nawet gdybyś ty go nie zauważył, zauważyłby ktoś z żałobników – odparł Kamal. – Mówimy o pochówkach dzieci, tam wszystko jest dużo bardziej prywatne i intymne niż na pogrzebach dorosłych. Nie zakładasz przecież, że obcy facet to ktoś, kogo twoja pięciolatka poznała na placu zabaw.

- Więc skąd by wiedział, kiedy i gdzie szukać odpowiednich ciał? – zapytała Katia, bo nie dawało jej to spokoju.

Kamal smętnie pokręcił głową, bo odpowiedź nasuwała mu się sama.

- Sami o tym informujemy. Wieszamy klepsydry na tablicy przy bramie głównej, a tam podajemy mnóstwo informacji: wiek, płeć, datę pogrzebu. Nie podajemy może dokładnego miejsca, ale wiadomo, że dziecko będzie pochowane w kwaterze dziecięcej, a znalezienie świeżego

grobu w noc po pogrzebie jest łatwe, jeśli masz dostęp do cmentarza po godzinach zamknięcia.

- Cholera - wyrwało się Adamowi.

- Lepiej bym tego nie ujął - powiedział Kamal. - Na pewno nasza rozmowa wpłynie na to, jak odtąd będę podchodził do zabezpieczeń grobów. Może trzeba będzie zaprojektować tymczasowe pieczęcie, do czasu postawienia nagrobka? Albo wraz z trumną chować zaklęcia tropiące i alarmowe? Nie wiem, ale jestem wdzięczny, że mnie o wszystkim powiadomiliście.

Katia przypomniała sobie o jeszcze jednym pomysle, jaki przyszedł jej do głowy.

- Słuchaj, a czy ty lub twoi ludzie nie mieliście jakiegoś dziwnego spotkania, nie wypłoszyliście kogoś? Zastanawiam się, czemu po dwóch twoich pogrzebach złodziej na dobre przeniósł się do Adama.

Kamal zamyślił się i po chwili odpowiedział:

- Nic takiego nie przychodzi mi do głowy, ale zapytam później moich pracowników i dam ci znać. Choć obawiam się, że może istnieć jeszcze inne wyjaśnienie. Wcale nie wiem, czy dużo lepsze.

- Przyjmę wszystkie - zapewniła Katia.

- Pogrzeby Julii i Kamili mocno różniły się od innych przez to, jak szybko się odbyły i jak niewiele robiliśmy przy ciałach. Żadnej chemii, balsamowania, wyjmowania organów czy spuszczenia krwi. Zupełnie jak podczas pogrzebów naturalnych, a te już są specjalnością Adama. U mnie tego rodzaju pochówki stanowią góra dwa procent. Pogrzeby naturalne dzieci to w ogóle promil. Więc gdybym potrzebował nietkniętych ciał, nie szukałbym ich tutaj, tylko właśnie u Adama, zwłaszcza odkąd przejął biznes od ojca i postawił na takie ekologiczne usługi.

Adam nie wydawał się zachwycony tą linią rozumowania, ale nie mógł jej nic zarzucić.

Katia wstała pierwsza i powiedziała:

- Dziękuję za wszystko. Gdybyś cokolwiek usłyszał...

- Nadal mam twój numer - odparł Kamal i mrugnął.

Nekromantka wyszła z gabinetu. Adam ruszył za nią, kiedy Kamal pociągnął go za ramię do środka i zasłonił sobą drzwi.

– Myślisz, że jest podobna? – zapytał.

– Kto?

– Ona. – Wskazał na obraz. – Spotkałem ją raz, po tym, jak zmarł mój ojciec, tyle że nie pamiętam jej twarzy. Ale mówiła mi o tobie. Dziwne: przysłała po mojego ojca i mówiła o tobie.

– Wszyscy czasami źle sypiamy – odparł Adam wymijająco.

– Powiedz, bo nie daje mi to spokoju... Czy to prawda? Że twojego nie zabrała, choć był już jego czas? Przez ciebie?

– Żaden z nas nie ma wpływu na jej decyzje. – Adam wzruszył ramionami.

Kamal przytaknął odruchowo, a potem powiedział ciszej, prawie szeptem:

– Nie daje mi spokoju to, że może był jakiś sposób, że może mogłem coś powiedzieć, obiecać jej...

– To tak nie działa – uciął Adam. – Nic nie mogłeś zrobić. Nie możesz jej do niczego przekonać, nie masz nic, co mógłbyś jej obiecać, co byłoby dla niej warte życia. Czasem ma kaprys zrobić coś nieoczekiwanego, czasem używa słów, co do których nie jestem pewien, czy je rozumie. Ale nie mogłeś jej powstrzymać, kiedy przysłała po twojego tatę – podkreślił.

– A więc to prawda – wyszeptał Kamal. – To, o czym kiedyś rozmawiali nasi ojcowie. Byłem wtedy nastolatkiem, ty dzieciakiem, kiedy przyszedł do nas pan Gawroński. Podśluchiwałem. Myślałem, że może twój tata chce sprzedać mojemu wasz Dom Ostatnich Pożegnań... Prosił mojego ojca o radę. Jak ją trzymać od ciebie z daleka.

– I co usłyszał? – zapytał Adam, wciąż nie okazując śladu emocji.

– Że ostatnie, czego chcecie, to ją wkurzyć. I że dopóki nie robi ci krzywdy...

Adam milczał. Kamal przyglądał mu się z bliska, jakby miał nadzieję zobaczyć coś, co młodszy mężczyzna skrywał gdzieś głęboko, ale po chwili westchnął i zrobił krok w stronę ściany, by gość mógł wyjść z

gabinetu. W ostatniej chwili zapytał, cicho, jakby nie chciał, by słowa dotarły do nekromantki, która czekała kilka kroków dalej:

– Mówiłeś Katii?

Adam rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Źle mnie zrozumiałeś – zapewnił Kamal pojednawczo. – Nie grożę, że jej powiem. Myślę, że sam możesz to zrobić. Ona nie ucieknie. Sama ma swoje sekrety. I właśnie dlatego możecie do siebie pasować.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, lecz bez złości. Adam milczał, jakby bał się, że gdy otworzy usta, nawet by tylko powiedzieć „dziękuję”, wyleje się z nich zbyt wiele słów, które wolał zachować dla siebie.

– Życzę wam powodzenia – odezwał się Kamal i poklepał Adama po plecach, jakby podejrzewał, że czeka ich ciężka przeprawa.

Czy mówił o sprawie zaginionych ciał, czy o ich życiu prywatnym, Adam nie zamierzał pytać.

ROZDZIAŁ 20

Czarne skrzydła

Katia miała coś do załatwienia i zastanawiała się, jak spławić Adama tak, by nie poczuł się urażony. Zanim jednak cokolwiek powiedziała, ledwie wyszli na parking przed domem pogrzebowym, Adam odwrócił się w jej stronę i oświadczył:

– Przepraszam cię bardzo, ale muszę biec, jestem prawie spóźniony...
– Zerknął na zegarek, jakby potrzebował się co do tego upewnić, po czym sam sobie przytaknął. – Masz jakieś plany na późne popołudnie?

– Jak późne popołudnie? Już po szesnastej.

– Wczesny wieczór właściwie, ale to brzmiałoby zbyt poważnie. Nieistotne. Chodzi mi o to, że chętnie zjadłbym coś i ty pewnie też coś jesz, więc moglibyśmy właściwie razem...

– Coś skonsumować? – zażartowała, unosząc brew.

– Okej, sam się wyłożyłem. Zacznę jeszcze raz. Masz ochotę na kolację? W doborowym towarzystwie. W moim, gdybym nie wyraził się dość precyzyjnie – uściślił.

Katia nie mogła się nie uśmiechnąć. Zmiękczało ją, że język mu się płatał, ilekroć próbował zrobić na niej wrażenie.

– Znam jedno miejsce – odparła. – Mają eklerki.

Parsknął śmiechem.

– Jeśli poza nimi mają też wino, będę spokojniejszy o rozwój konwersacji.

– Zadzwoń i zaklepię nam stolik. Dziewiętnasta?

Rozpromienił się.

– Rezerwacja! Nie pomyślałem o tym! Świetnie, powinienem zdążyć, a gdyby cokolwiek się przedłużyło, zadzwonię, dobrze?

– Jasne, bez stresu. Zawsze możemy to przełożyć, jeśli masz coś do roboty. Przecież deadline nam w kark nie dyszy – zażartowała.

– Nam może nie, ale mojej klientce, z którą jestem umówiony na siedemnastą, dyszy. Przynajmniej ona jest co do tego przekonana. Od jakichś sześciu lat. Nic z tego dyszenia nie wynika, ale chce być gotowa.

– Musisz mi o tym opowiedzieć przy kolacji – rzuciła, a on znów się rozpromienił.

– O widzisz, i już mam przynajmniej jedną dobrą anegdotę, więc martwa cisza nad posiłkiem mi nie grozi! Umawianie się z tobą idzie zaskakująco gładko, podoba mi się.

– Podjadę po ciebie – zaproponowała. – Nie ma sensu jechać na dwa auta.

– Zwłaszcza gdy na starcie nastawiam się na picie wina na odwagę. Byłoby super, dziękuję!

Katia tylko parsknęła. Za dużo o tym wszystkim myślał, stanowczo za dużo. Ale to też było na swój sposób słodkie. Kiedy ostatni raz spotkała faceta, który tak się koncentrował na pierwszej randce, że prawie się potykał o swoje nogi? A Adam prawie to zrobił. Te jego długie, szczupłe nogi w uroczo wypchanych na kolanach sztruksach wydawały się średnio go słuchać, kiedy wreszcie wpakował się do auta. Pomachał jej jeszcze na pożegnanie, wykręcił i pognał na spotkanie z klientką, która się deadline'om nie kłania.

Katia wyciągnęła komórkę i bez większych nadziei wybrała numer Kowala. Przez te wszystkie lata zdołała się dodzwonić do dozorczy może dwa czy trzy razy. Zwykle nie słyszał telefonów albo je ignorował, a często połączenie uniemożliwiała magia cmentarza. Toteż prawie upuściła aparat, kiedy po dwóch piknięciach usłyszała kliknięcie i głos starego zrzędy.

– No już, rusz tyłek i przyjeżdżaj na cmentarz – burknął.

- Kowalu, to ja, Katia... - zaczęła, ale przerwał jej prychnięciem.

- A kto ma być, jak nie ty? Przecie wyczułem, żeś się tu o świcie kręciła. I lepiej, żebyś tu przyszła, i to raz.

- Coś się dzieje? - zapytała.

Przeklął. Nie zrozumiała słów, ale prawidłowo odczytała intencje.

- Nie będę gadał do tego durnego urządzenia! Chce porozmawiać, to przyjeżdża. Zresztą to twoja klientka, nie?

Katia nie traciła już ani sekundy. Dojechała pod Centralny w siedem minut i zaparkowała krzywo przed bramą główną, lecz zanim zdążyła wysiąść, zaraz obok zatrzymało się inne auto, ciemnowisniowy mercedes z przyciemnianymi szybami. Stanął tak blisko, że Katia musiała uważać, by wysiadając, nie stuknąć drzwiami o karoserię.

Z mercedesa wyskoczyła kobieta. Katia nie od razu ją rozpoznała. Spowita w warstwy brązowej i beżowej dzianiny, z mocno kręconymi włosami skłębionymi wokół głowy jak węże Meduzy i wyraźnym obłędem na twarzy, rozglądała się w panice, aż jej wzrok trafił na Katię i skupił się na niej jak jastrząb na kurczęciu.

- Widziałaś moją córkę? - Napięcie, którym emanowała, aż bolało.

- Nie widziałam, pani Ismeno, ale podejrzewam, że jest na cmentarzu - odparła uspokajająco nekromantka.

- Żyje? - zapytała matka Agaty Mityry, a jej głos drżał.

- Znajdźmy ją, co pani na to? - odpowiedziała Katia wymijająco. Nie była pewna, czy gdyby nie żyła, Kowal uznałby za wystarczająco ważne, by wspomnieć o tym przez telefon.

Stary zrzęda czekał na nią zaraz za bramą cmentarza. Prawie nigdy nie opuszczał jego granic. Mówiono, że tylko magia tego miejsca trzyma go przy życiu i gdyby wyszedł, jego ciało przypomniałoby sobie, że od stu lat powinno być martwe.

- No, jesteś - powiedział marudnie. - Idź z nią pogadaj, zanim Matkę Ziemię obudzi, albo cholera wie co. Bo że coś budzi, to pewne.

Ismena Mitera ruszyła biegiem, a Katia za nią. Pędziły arterią, kierując się do sektora dziecięcego, pewne, że właśnie tam znajdą Agatę. Im bliżej

były, tym lepiej rozumiały, co miał na myśli Kowal. Magia prześlizgiwała się po nich, gorąca jak oddech piekła. Czemu powietrze pachnie kapryfolium i jabłkami? – przemknęło Katii przez myśl, zanim przyspieszyła jeszcze bardziej, zmuszając mięśnie do wysiłku.

Agata Mitera klęczała przy pustym grobie. Błada jak jasny marmur, wyglądała niczym pomnik nagrobny, Madonna Dolorosa, choć bez martwego ciała udrapowanego na kolanach. Z ramionami uniesionymi nad głowę śpiewała coś w języku, którego Katia nie rozumiała, może starogreckim, ale emocje zakłute w pieśni uderzały jak kula wyburzeniowa. Rozdzierający ból, a do tego poczucie krzywdy i niesprawiedliwości tak potężne, że legła się z niego kłątwa. Nagle za Agatą pojawił się czarny cień. Wysoka, ciemna sylwetka, wciąż bardziej przejrzysta niż cielesna, rosła i rosła, a gdy rozwinęła potężne czarne skrzydła, wyglądała niczym cień anioła zagłady.

Zapach kapryfolium i jabłek stał się tak intensywny, że Katię zemdliło. Emocje Agaty i przywołanego przez nią bytu zalewały jej zmysły. Chciała uciec, schować się, płakać w bezpiecznym kątku! Nigdy wcześniej nie zetknęła się z czymś takim. I nagle ziemia pod jej stopami zadrżała, usłyszała cichutkie brzęczenie, a potem śpiew Matki Ziemi, zaniepokojonej tym, co zawitało w jej domenie.

Ismena Mitera rzuciła się na Agatę jak wściekła harpia.

– Nie! Nie wolno ci! Nie możesz, rozumiesz? Wracaj tu! Agato, do ciężkiej cholery, nie możesz tego zrobić! – A gdy córka nie zareagowała na jej słowa, spoliczkowała ją mocno, aż głowa Agaty odskoczyła. Ismena potrząsała rozpaczającą, zaciskając palce na jej ramionach, i powtarzała: – Wracaj tu, wracaj tu! Do cholery! Agato!

Skrzydlaty cień rozpląnął się w powietrzu, a wraz z nim ulotnił się zapach wiciokrzewu i owoców. Temperatura na powrót przypominała tę z przednówka, a nie gorący oddech Wezuwiusza.

Agata Mitera zamrugła, jej twarz nabrała kolorów. Znów bardziej przypominała żywą, choć śmiertelnie zmęczoną kobietę niż figurę nagrobną.

– Mama? – zapytała cicho, zdezorientowana.

– Agato, jak mogłaś, jak mogłaś... – powtarzała cicho Ismena, mocno tuląc córkę.

– Co się stało? – zapytała Agata, drżąc w objęciach matki.

– Prawie ją sprowadziłaś, rozumiesz? Musisz nad sobą panować, kochana! Wiesz, co by się stało, gdyby się tu teraz zjawiała? Nie chcesz za to odpowiadać, prawda? – Ismena mówiła twardym tonem, jakiego zwykle używa się w stosunku do dzieci, by w pełni zrozumiały swój błąd.

– Ja nie chciałam, przyszłam się pomodlić, nie wiedziałam...

– Wiem kochana, wiem. Wszystko będzie dobrze – zapewniała matka, wciąż gładząc Agatę po plecach i skłębionych włosach.

– Ona nie zazna spokoju, nie ma jej z tatą i resztą rodziny... W trumnie zostały obole, nigdy nie przewieziono jej przez Styks, błąka się samiutka. Musi być zrozpaczona... – wyrzucała z siebie Agata, a szloch utrudniał jej oddychanie.

– Po to masz nekromantkę, ona znajdzie naszą kruszynkę. I wtedy nie będę się sprzeciwiać – dodała, a Agata uniosła głowę i spojrzała w twarz matki, jakby chcąc się upewnić, że się nie przesłyszała. Ismena pokiwała głową i dodała: – Sama przekręcę klucz.

Agata się uspokoiła. Cokolwiek obiecała jej matka, przyniosło jej spokój, którego nie doświadczyła od dawna. Ismena pomogła jej wstać, bo chwiała się na nogach jak młody żrebak.

– Już dobrze, kochanie, chodźmy do domu – powiedziała, obejmując córkę w talii i pozwalając jej się wesprzeć na swoim ramieniu.

Mijając Katię, rzuciła przyciszonym tonem:

– Lepiej jej nie zawieź, nekromantko, inaczej będziesz miała to miasto na sumieniu.

Katia patrzyła za nimi, kiedy szły w dół arterii, i próbowała zrozumieć, co właściwie się wydarzyło. Matka Ziemia umilkła, gdy tylko zniknął skrzydlaty cień. W normalnych okolicznościach chciałyby ją przywołać i wypytać o to, czego doświadczyła, ale teraz nie był to najlepszy pomysł. Za dużo emocji, za słaba równowaga. Nie podejrzewała bogini o to, że ta

chciałaby ją skrzywdzić, ale mogłaby to zrobić przypadkiem, choćby dlatego, że nie w pełni kontrolowała teraz swoją moc.

Na pustym grobie Kariny nie było żadnych śladów rytuału. Cokolwiek przywołała Agata Mitera, nie potrzebowało bramy do tego świata. Wystarczyło zaproszenie.

ROZDZIAŁ 21

Zbyt wiele kluczy i załączek planu

Kował stał przy głównym wejściu groźny i posępny niczym burzowa chmura. Odprowadził spojrzeniem Ismenę i Agatę, po czym zamknął za nimi bramę, jakby chciał mieć pewność, że choć przez jakiś czas jego cmentarz pozostanie wolny od zamętu, jaki sprowadziły. Gdy Katia zbliżyła się do niego, wziął się pod boki, zmarszczył twarz, tak że przypominała wkurzoną suszoną śliwkę, po czym powiedział:

– Co to było o świcie? Wpada obejrzyć wschód słońca nad grobowcami? Wszystko się rozdygotało przez to twoje spazmowanie, i jak tu spać? Żeby jeszcze był w tym jakiś sens, gdyby zapukała, powiedziała coś miłego czy drożdżówki przyniosła, ale nie, tylko stoi, gapi się i trzęsie jak osika, a potem odchodzi jak potępiona dusza – burczał, mimo to patrzył na Katię uważnie. Gdyby go nie znała, pomyślałaby, że jest zmartwiony.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że pana obudzę. Nie mogłam spać i mnie przygnało.

Pokiwał głową, jakby takie nocne eskapady były czymś zupełnie normalnym.

– Się postara, przejmie cmentarz, to dostanie klucz i będzie mogła sobie wchodzić, kiedy zapragnie, choćby i o świcie – powiedział z przekąsem.

– Chwila: skoro wyczuł mnie pan, kiedy tylko podeszłam do murów, jak mógł pan nie wyczuć złodzieja ciała? – zapytała czujnie Katia.

Wyciągnęła z kieszeni notes, w którym zapisała daty pogrzebów każdej z dziewczynek. Dzięki Kamalowi i Adamowi mogła z dokładnością do kilku godzin określić, kiedy doszło do rabunku zwłok. Przedstawiła tę teorię Kowalowi, a on pokiwał głową i westchnął ciężko.

– Nie gadajmy na otwartym – powiedział. – Wejdźmy do mnie, lepiej nie rzucać takimi imionami na sucho – dodał i potrząsnął głową.

Katię zamurowało. Nigdy nie słyszała, by stary dozorca kogokolwiek zaprosił do domku. I wcale nie była pewna, czy chce przekroczyć tę granicę. Tu, na cmentarzu, był potężny, we własnych czterech ścianach mógł być zwyczajnie niebezpieczny. Ale potrzebowała go. I w gruncie rzeczy, choć wcale nie była pewna dlaczego, darzyła go zaufaniem. Może dlatego, że o ile nie dbał specjalnie o żywych i nie czuł się względem nich do niczego zobowiązany, o tyle zmarłymi się przejmował, a z Matką Ziemią i Śmiercią łączyła go bez wątpienia intensywna więź. One zaś szybko by się na nim poznały, gdyby okazał się kanałią.

Dlatego weszła za nim najpierw przez furtkę w niskim żelaznym ogrodzeniu okalającym budynek, a potem po dwóch stopniach na ganek.

Nie była pewna, czego się spodziewać po domku dozorczy. Pełnego gotyku czy zgrzebnego minimalizmu? Okazało się, że wewnątrz prezentuje coś pomiędzy. Kowal posiadał bardzo niewiele rzeczy, ale za to jakich! Aksamitne kotary (musiały pochodzić z tego samego źródła co baldachim na wózku golfowym), żyrandol z kryształkami, ceglaste ściany i stojące na stole chryzantemy w kryształowej wazie (która w poprzednim życiu mogła być bardzo dużym zniczem) czyniły przestrzeń – Katia nie wątpiła już, że to możliwe – minimalistycznie gotycką.

Na drewnianym blacie stała emaliowana miska pełniąca funkcję umywalki, a nad nią wisiał ozdobny mosiężny kran. Kowal schylił się ze stęknieniem i wyciągnął z malutkiej lodówki mieszczącej się pod zlewem litrową butelkę kwasu chlebowego.

– Wódki już nie mogę, wyciąga mi ciepło z kości – wyjaśnił.

– Nigdy nie nauczyłam się lubić wódki ani też pić bez zważania na to, że jej nie lubię – zapewniła Katia, a on się zaśmiał, jakby powiedziała dobry żart.

Nalał kwasu do dwóch szklaneczek z grubego musztardowego szkła (niewykluczone, że też kiedyś były zniczami) i wzniósł toast:

– Żeby udało się posprzątać ten bałagan. Bo jeśli Matce Ziemi odbije jeszcze bardziej, to chyba sobie sznur ukręcę na własną szyję!

– Za porządek – zgodziła się ostrożnie Katia i upiła łyk. Kwas był mocny, żytni i musował jak szampan.

Kowal wypił większość szklaneczki i postawił ją z głośnym stuknięciem na blacie, a potem opadł na jedno z dwóch krzeseł.

– Tak nie powinno być. Ludzie trafiają tu na wieczny odpoczynek, nie powinno im odbierać spokoju i mieszać w życiu wiecznym. To się nie godzi. I boli mnie, że go nie złapałem... Och, wiedziałem, że coś jest nie tak, słyszałem, jak z czasem pieśń Matki Ziemi dziwniejsza się robi, bardziej histeryczna i bolesna, ale... – Pokręcił głową i umilkł.

– Myślał pan, że to przeze mnie, przez to, że nie przejęłam cmentarza – powiedziała cicho Katia, a Kowal kiwnął głową.

– Tak zęm właśnie myślał. Że to z zaniedbania. Najpierw Klaudia nie troszczyła się jak trzeba, a potem młoda, płocha pannica odkładała to, co powinna wziąć na klatę. Byłem tam, w kwaterze dziecięcej. Wszystko obejrzałem. Próbowałem sobie przypomnieć, czy cokolwiek się wtedy działo, czy czegoś nie przegapiłem... Sprawdziłem w księdze cmentarnej, nic. Spokój, żadnych zakłóceń. A to może oznaczać tylko jedno. Ktokolwiek wykradł dzieciątka z grobów, miał klucz do którejś z furt lub bramy. I wcale mi się nie podoba, co to właściwie oznacza. Oj, nie podoba.

– Ile jest kluczy? – zapytała posępnie Katia.

– Teoretycznie trzy komplety. Jeden mam ja. Drugi należy do Gardiasza, jako pana umarłych, ale on nie bywa tu zbyt często. Za mało cierpienia i wycia potępionych dusz jak na jego gust, woli swój kącik w Zaświatach. Trzeci przypada opiekunowi cmentarza. Ostatnim była Klaudia. Tylko to nie takie proste. – Skrzywił się.

– Można dorobić te klucze? – zapytała Katia.

Pokręcił głową.

- Możesz wykonać duplikat, ale nie będzie miał magii klucza, który zamyka i otwiera okrąg ochronny wokół cmentarza - wyjaśnił. - Gdyby ktoś użył takiego duplikatu, wiedziałbym, bo choć otworzyłby zamek, musiałby przełamać krąg, by wejść, a potem wyjść. Wiem też, gdy panna wspina się po murze jak koza i błąka po cmentarzu, niby potępiona dusza - dodał i uniósł krzaczaste brwi.

- Nie wysypia się pan przeze mnie - przyznała zawstydzona.

Machnął ręką.

- Wiem, że wchodzi w dobrej intencji, robi, co należy, magia ją uznaje, ziemia i jej Matka ją wybrały. Dawno dałbym klucz, gdyby to była moja rola. - Jego twarz skrzywiła się w czymś, co chyba miało być uśmiechem, ale z braku treningu i doświadczenia grymas nie wypadł przekonująco.

- Myśli pan, że to Gardiasz? - zapytała z niepokojem Katia. Klaudia nie żyła, gdy wykradziono część ciała, więc to eliminowało ją z kręgu podejrzanych.

- Nieee, on ma ten swój swąd magii i stado dusz na łańcuchu. Matka Ziemia go nie znosi. Wiedziałbym.

- Więc jak ktoś mógł wejść czy wyjść niezauważony, na dodatek wynosząc ciała?

- Musiał mieć klucz. Niekoniecznie cały komplet, ale prawdziwy klucz z kompletem. Magia klucza jest jak peleryna niewidka dla moich zmysłów. Czuję, gdy coś łamie zasady czy krąg, klucz sprawia, że te zasady posiadacza nie obowiązują. I różnie z tego korzystają. Ojciec Klaudii, a i ona sama, nieraz przeciągali strunę, ale nigdy ich na tym nie mogłem przyłapać. Znajdowałem ślady po fakcie i echo ich sygnatur. Jak teraz, puste trumny, ani widu ani słyhu, kiedy ktoś po zmarłe przyszedł.

Katia nie wiedziała wcześniej, jak dokładnie działała magia kluczy. To nie było coś, czym posiadacze by się chwalili. Nie wiedziała nawet, że jej własne przełazenie przez mur wyrzywa Kowala ze snu, bo przecież by go uprzedzała, że zajrzy, żeby dokończyć pieczęcie.

- Czyli Gardiasz albo Klaudia mu go dali? - zapytała.

- Gdyby go ukradł, ryzykowałby, że magia go nie uzna. Musiał dostać od jednego z nich.

– Czyli wracamy do licza. – Zagryzła zęby, aż zgrzytnęły.

– Może. Kto wie. – Kowal wzruszył ramionami. – Mógłbym zmienić albo zakłać zamki. Nie wszystkie naraz, ale tak, mógłbym to zrobić.

– Tylko wtedy złodziej może się spłoszyć i nigdy nie dowiemy się, kim jest, ani nie odzyskamy ciała.

Kowal klepnął wypłowiwały materiał portek na udach.

– Ani dzieci, ani Matka Ziemia nie zasłużyły na takie traktowanie. Ona jest rozchwiana, sama wiesz, co się stanie, jeśli coś ją popchnie jeszcze dalej. – Głos mu zadrżał, jakby zadrapało go w gardle.

– Mam plan. Powiedzmy – odparła ostrożnie.

– No wreszcie! – Uniósł dłonie nad głowę.

– Będę potrzebowała pomocy. Pańskiej i Adama.

Zmrużył oczy.

– Pomocy? Skąd mam mieć pewność, że nie kombinuje panienka czegoś, za co mnie potem przyjdzie beknąć?

– Bo jest pan mądrym i domyślnym starcem? – podsunęła.

– Hola, hola! Mężczyznę w kwiecie wieku, jeśli już. Niech mówi, czego potrzebuje, a ja pomyślę, czy chcę za płocze panienki karku nadstawiać.

– Nie będzie tak źle – zapewniła Katia, ale zaraz zepsuła efekt, dodając: – Raczej.

– To się lepiej postara, żeby nie było. Niech uzna to za ćwiczenie. Jeśli uda się jej tak wszystko przeprowadzić, że nikt z nas za to nie beknie, nadaje się do Starszyny.

Katia westchnęła, a potem przedstawiła Kowalowi swój plan. Nie ukrywała niczego, i tak by się dowiedział. I jeśli teraz zechciałby wydać ją Gardiaszowi, mógł to zrobić. Ale Kowal pokiwał tylko głową i stwierdził:

– No, ciężka sprawa. Nie z mojej strony, bo mogę załatwić, czego ci trzeba, to nie problem. Ale niech się zastanowi... da radę? Bo to nie takie hop-siup i jeśli tylko widziała zakłęcie w księdze i myśli, że co to dla niej, to się boleśnie rozczaruje.

– Nie robiłam tego wcześniej, ale rozbrajałam zakłęcia, które rzucił ktoś inny. Choć były niechlujne, do pewnego stopnia spełniały swoją

funkcję. Widziałam nici magii, wiem, że mogę je upleść lepiej. Ale zgadzam się, nie będzie to łatwe. I bez cmentarnej ziemi, nasycanej magią od pokoleń, guzik wskóram.

Kowal znów pokiwał głową, niczym figurka pieska z tylnej półki samochodu. Zamyślił się i przez chwilę jego oczy były zupełnie nieobecne.

– Ja tam zrobię, co trzeba. Ale niech dogada to z Matką, bo to jej prawa łamie. Nie Starszyzna ci w razie czego tyłek przetrzepie, tylko ona. A jeśli ona się zgodzi, to i Starszyzna nie będzie miała nic do gadania.

Katia przytaknęła. Wiedziała, że wcale nie będzie to łatwiejsze niż użycie zwyrodniałej magii, po którą zamierzała sięgnąć.

– Porozmawiam z nią, zanim zacznę. To, co planuję, zajmie mi tydzień, najpewniej dwa.

I właściwie na tym mogłaby skończyć, pożegnać się i pojechać na umówione spotkanie, ale postanowiła zadać dozorczy nurtujące ją pytanie. Bo kto miał wiedzieć, jeśli nie on?

– Kowalu... Znasz Adama od dawna. Tak się zastanawiam, czy mogę mu zaufać?

Bo przecież nie mogła zapytać o to, co naprawdę chodziło jej po głowie. Zaśmiałyby jej się w twarz i rzucił coś o płochych kobietach czy naturze niewieściej.

– A czemu by nie? – zdumiał się starzec.

– Nie wiem. Boję się, jak zareaguje na cały ten plan.

Starzec popatrzył na nią uważnie, jakby próbował dojrzeć na dnie jej duszy wszystko to, co przemilczała, a potem westchnął i odpowiedział:

– No tak. Gawronscy to dobrzy ludzie. Nie boją się magii i wiedzą, jak to jest z martwą magią, że podziały na białą i czarną można o kant dupy potłuc, a jeśli ktoś twierdzi inaczej, kłamie i pewnie ma w piwnicy ołtarz zalany krwią. – Zamilkł. Stukał palcami o blat, jakby się zastanawiał, czy dodać coś jeszcze. – Z tym młodzikiem dostajesz, co widzisz – odezwał się w końcu. – Porządny z niego chłopak. Pracowity, uparty, tylko za miękki, wrażliwiec, tak to widzę. Młody jeszcze, może stwardnieje, bo na razie nasiąka emocjami jak gąbka, a potem chodzi struty i nosi cień cudzych

smutków. Niezdrowo. Ale u niego serce większe niż rozum, zawsze taki był. Pamiętam go jako takiego kilkuletniego szkraba, jak chodził za ojcem niby szczeniak, taki poważny i wielkooki. Naznaczony, tak o takich jak on się kiedyś mówiło. Są tacy, co mogą się wychować w domu pogrzebowym, a potem dorastają i zaczynają sprzedawać ubezpieczenia. Ale są też tacy jak ten dzieciak: patrzysz na przedszkolaka i wiesz, że zostanie w branży po kres swoich dni.

Dolał sobie kwasu chlebowego po samą krawędź szklanki. Gdy podniósł naczynie do ust, trochę ciemnej cieczy spłynęło mu po ręce, na stół. Wytarł plamę rękawem, a potem gołnął resztę kwasu naraz i odstawił szklankę z zadowolonym sapnięciem.

– Chcesz jeszcze?

Pokręciła głową. Jeszcze jedna szklanka i musiałyby skorzystać z toalety dozorczy, a na taki przejaw intymności nie była gotowa.

– Wiesz w ogóle, jak to się stało, że przejął dom pogrzebowy ojca tak młodo? – zapytał, a kącik jego ust drgał w uśmiechu, jakby miał w zanadru opowieść, lecz nie był pewien, czy powinien się nią podzielić.

– Poznałam tylko jego mamę. Mówiła, że są na emeryturze i przenieśli się pod miasto – odpowiedziała, a Kowal skinął głową.

– To wydarzyło się nagle. Jednego dnia rozmawiam ze starym Gawrońskim, dogadujemy jakieś detale obrządku, a następnego przychodzi młodziak i mówi, że teraz to on za wszystko odpowiada. Myślałam, że Zbyszka wzięła, ale zaraz słyszę, że jeszcze żyje, po prostu nagle postanowił, że czas już na emeryturę. Ledwie był po pięćdziesiątce, gdzie emerytura? No ale szybko się rozniosło, że faktycznie, jedną nogą był w grobie. I podobno młody utargował mu drugą szansę. Nikt nie wie jak, ale plotka stugębna głosi, że stary żyje na kredyt, który mu dzieciak załatwił. I że musiał wyjechać, bo tu za blisko Śmierci, jeszcze by sobie o nim przypomniała za szybko.

Katia milczała, zastanawiając się, jak, u diaska, załatwia się u Śmierci drugie szanse. Jakim rytuałem? Za jaką cenę? Czyim kosztem? Kowal tymczasem kontynuował opowieść w swoim niespiesznym tempie:

- Dużo było gadania, czy taki dzieciak sobie poradzi. Ledwie mu się wąs sypał. Czy ludzie mu zaufają? Czy nie pójda do innego domu pogrzebowego, do Kamalów chociażby? Niektórzy wróżyli, że wkrótce Dom Ostatnich Pożegnań sam zaliczy ostatnie pożegnanie. No bo też kto by pomyślał, że dwudziestosześcioletni gówniarz da radę?

W ustach Kowala dwadzieścia sześć lat było równie absurdalnym wiekiem, by prowadzić biznes, co dwanaście. Katia nawet nie wspomniała, że była młodsza, kiedy zarejestrowała firmę, a rozkręciła biznes i utrzymywała się sama jeszcze wcześniej.

- No ale trzeba mu przyznać, zmienił rzeczy na lepsze. Las Pamięci był jego pomysłem. Uparł się na niego i lobbował zawzięcie, zbierał głosy i podpisy, wiedział, jak przekonać społeczność i jaki nacisnąć guzik, by Starszyzna nie tylko się zgodziła, ale i zapłaciła za ziemię... - Kowal zamyslił się na chwilę, a potem powiedział: - Kto wie, czy gdyby nie ten Las Pamięci, to Matka Ziemia nie oszalałaby już do reszty przez te zaburzenia mocy i zaniedbanie cmentarza. Jakby młody wiedział, że trzeba jej tego kawałka zieleni. Widzę ją czasem, jak przechadza się między drzewami wyrosłymi z kapsuł... Kto by pomyślał, że można ludzi chować w jajku, z którego wyrosnie dąb czy brzoza? I że ludzie w Thornie są na to gotowi? I że ona znajdzie tam spokój, którego tak bardzo jej było potrzeba?

Kowal znów odpłynął myślami, palcem rysował po blacie lekko wilgotnym od kwasu. Katia nie była pewna, czy to wszystko, co miał do powiedzenia, więc czekała w milczeniu. A dozorca zdawał się toczyć w myślach jakąś rozmowę z samym sobą, bo nagle zwrócił się do niej, gotowy odpierać jej wątpliwości, słowami:

- To dobry chłopak jest. A że dziwny? Kto nie jest? I z tym, jak go namierzyła za dzieciaka, naznaczyła nawet, to czy się można dziwić? Sam bym nie uwierzył, jakbym nie widział. Bo że ona sobie igrza, wiadomo, ale żeby słuchała? Wchodziła w targi? No musi mieć jakąś słabość do szczeniaka, a przecie ulubieńcy bóstw całkiem normalni być nie mogą. Powinnaś sama o tym wiedzieć najlepiej, skoro innej śpiewasz, a ona odpowiada.

– Ale kto go namierzył? Matka Ziemia? – Nie zroszciała.

Parsknął śmiechem, jakby niechcący powiedziała znakomity żart.

– No co też, dziewczyno. Pani Śmierć! Sama Kostucha go sobie upatrzyła, mówią, że jeszcze w kołysce. Więc tak, jeśli masz łamać zasady martwej magii, ożywiać, co powinno być martwe, i mieszać w porządku rzeczy, dobrze go mieć po swojej stronie. Może jak ją wkurzysz, dla ciebie też coś utarguje?

Znów się zaśmiał, a potem wstał ze stołka i powiedział:

– Daj mi dzień, może dwa. Szybciej nie dam rady. Potem księżycyka będzie przybywać, a to zawsze pomaga. Dalibóg się uda i będzie koniec tego bajzlu, a ja się wreszcie wyśpię, bo z zawodzeniem Mateczki to mogę pomarzyć o drzemce. I jakby coś się działo, będę dzwonił.

– Nie byłam pewna, czy telefon tu działa – przyznała Katia.

– Jak chcę, to działa – burknął tylko.

Nekromantka opuściła dom dozorczy i cmentarz niewiele mądrzejsza, niż gdy tu wchodziła. W głowie kotłowały jej się myśli. Nie o tym, co zaplanowała. To już przetrwała, wiedziała, co musi zrobić, była prawie pewna, że sobie poradzi. Prawie, bo zawsze zostawało te dziesięć, no dobrze, trzydzieści procent ryzyka, że plan wypali jej w twarz, bo przecenila swoje możliwości. Ale jeśli tak będzie, pomartwi się o to później. Syndrom oszusta towarzyszył jej w wielu dziedzinach życia, jednak prawie nigdy nie dawał o sobie znać, jeśli szło o magię i umiejętności.

Więc opuszczając cmentarz, nie zamartwiała się swoją reputacją, wyzwaniem, na jakie się porywa, czy nawet zaginionymi z trumien dziewczynkami.

Myślała o tym, jak objawia się bycie naznaczonym przez Panią Śmierć, a co ważniejsze – jak się prowadzi z nią targi. I czy to coś, o co wypada zapytać przy kolacji, czy nastrój siędzie jak przebity suflet. Przypomniła sobie fioletową aurę wokół Adama, którą widziała pod wpływem zaklęcia. Kim on właściwie był?

ROZDZIAŁ 22

W winie prawda

Kiedy podjechała pod Dom Ostatnich Pożegnań za dwadzieścia trzy dziewiętnasta, równo osiem minut przed czasem, Adam przechadzał się po chodniku, szarpiąc niemiłosiernie krawat. W brązowym wełnianym garniturze z musztardową kamizelką w oliwkową kratkę, krawacie w ciut ciemniejszym odcieniu tego koloru i kremowej koszuli wyglądał jak profesor uniwersytecki z filmów fantastycznych (bo ci z prawdziwych uczelni rzadko ubierali się tak dobrze; element fantastyczny przejawiał się między innymi w tym, że akademicy mogli sobie pozwolić na tweedowe gajkerki). Ciemne, niesforne, kręcone włosy, masywny, nieco garbaty nos i wyraziste brązowe oczy upodabniały go do dziewiętnastowiecznego poety i Katia musiała przyznać, że cała ta kombinacja przypada jej do gustu bardziej niżby chciała. Może nigdy nie wyrasta się z wrażliwców, którzy między pogrzebami mogliby pisać wiersze. Albo lepiej, teksty piosenek! Nawet przypominał jej trochę Hoziera.

– Okej – upomniała się szeptem, parkując przy krawężniku, raptem parę metrów od niego. – Opamiętaj się, Kornatowska, albo zgubisz przy tym szczeniaczku serce, majtki i resztę zdrowego rozsądku.

Szczeniaczek, jakby wyczuwając jej wewnętrzną walkę, posłał jej uśmiech tak zabójczy, że gdyby nie siedziała za kółkiem, nogi by się pod nią ugięły. Niebezpieczny typ, bez dwóch zdań. I pełen tajemnic! – przypomniała sobie. Choć wcześniej przestała brać pod uwagę, że mógłby być zamieszany w tę sprawę, rewelacje Kowala nieco schładzały jej

entuzjazm. Co znaczyło tyle, że entuzjazm wciąż był gorący, ale można go było dotknąć... dokładnie tak, jak chętnie zrobiłaby to z Adamem, który właśnie wsiadał do jej autka, ledwo się w nim mieszcząc.

– Odsuń sobie siedzenie do tyłu – zaproponowała, bo kolana wbijały mu się w deskę rozdzielczą.

Przez chwilę po omacku szukał wajchy pod siedziskiem, garbiąc się i kuląc, aż w końcu Katia się zlitowała, pochyliła się i pociągnęła za nią, odsuwając fotel najdalej, jak się dało. Westchnął z ulgą i przestał przypominać połamaną kukielkę. A Katia przez chwilę miała widok na pocieszne skarpety w muchomorki.

– Urocze – skomplementowała. – To była jedna z pierwszych rzeczy, którą u ciebie zauważyłam – przypomniała sobie – miałeś skarpetki z Super Mario Bros. A potem z Jodą. I muminkami. I smerfami. Podejrzewam, że masz więcej kolorowych skarpet niż ja butów, a wierz mi, poprzeczka jest postawiona naprawdę wysoko. Masz w ogóle takie nudne, czarne?

Adam parsknął.

– Nawet jednej pary. Nie uznaję czarnych. Te śmieszne wzory to dla dzieci, naprawdę je lubią – powiedział, opadając wygodniej na oparcie fotela, jakby samo to, że zaczęła rozmowę na tak lekki temat, pozwoliło mu się rozluźnić.

Katia rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

– Musisz mi to wytłumaczyć, bo moja wyobraźnia może powędrować w niewesołe rewiry – powiedziała.

– Pedofilia czy ukrywane ojcostwo? – zapytał rozbawiony.

– Jeszcze chwilę temu jedna z tych opcji nawet by mi przez myśl nie przeszła, teraz obie zaczynają się rozgaszczać – odparła, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

– To całkiem proste. Chodzi o pogrzeby. Wszyscy są przybici, zwykle pogrążeni w żałobie i skupieni na tych wszystkich przyziemnych problemach związanych z czyimś zgonem. Czy wieniec od rodziny nie wygląda zbyt skromnie w porównaniu z tym od kolegów z pracy męża? Czy szwagierka przyjdzie na pogrzeb, choć nie potwierdziła? Czy pół godziny to nie za mało, by dojechać z cmentarza do lokalu, w którym odbędzie się

stypa? Kiedy trzeba powiadomić ubezpieczyciela? I właściwie dokąd pójść, żeby przepisać media na swoje nazwisko, bo przecież wszystko na męża, jeszcze prąd odetną! Jak on mógł nam to zrobić? Dzieci nawet nie będą go pamiętać, prosiłam, żeby poszedł zrobić badania, czterdziestolatek z zawałem, przecież tego można było uniknąć... Wiesz, jak to jest.

Katia skinęła głową. Pamiętała własną gonitwę myśli po śmierci taty.

– No i w tym wszystkim są dzieci. Zwykle niewiele rozumieją, boją się, wyczuwają emocje, ale nie potrafią ich nazwać ani zracjonalizować. Wiedzą, że stało się coś złego, ale żaden dorosły nie zwraca na nie uwagi. Nie mają odwagi zapytać, bo ledwie spróbowały, mama się rozplakała albo niewiele brakowało. Taty nie ma. A ciocia, pochlipując, mówi, że już nigdy nie wróci i leży w tej drewnianej skrzyni. Dzieciaki, zwłaszcza te malutkie, niewiele z tego rozumieją i popadają w coś na kształt stuporu. Czasem pomaga im, jeśli zobaczą coś wesołego, znanego, coś, co pozwoli im się uśmiechnąć mimo całego tego smutku. Dorośli nie patrzą mi na kostki, dzieciaki są znacznie bliżej podłogi. I jeśli moje głupie skarpetki pomogą im poczuć coś innego niż pustka i zagubienie, czemu miałbym nosić czarne i nudne?

– Jeśli tak na to patrzeć, czemu ktokolwiek miałby nosić nudne skarpetki? – zgodziła się Katia.

– Tylko trzeba uważać, jest kilka tematów tabu – powiedział z poważną miną, choć słyszała rozbawienie w jego głosie.

– Skarpetkowa cenzura obyczajowa?

– Raczej tematyczna. Na przykład większość superbohaterów uchodzi, ale nie Batman.

Katii zajęło chwilę załapanie dlaczego.

– Rozumiem. Harry Potter pewnie też niekoniecznie? – domyśliła się.

Skinął głową.

– Postacie, których rodzice nie żyją, są zakazane. Gdy się nad tym zastanowić, to naprawdę popularny trend popkultury i branży skarpetkowej – powiedział.

Katia rozbawiona pokręciła głową i zaparkowała pod restauracją.

Adam pochylił się, by zobaczyć szyld.

– Och, Włoskie Grzeszki! – zawołał i popatrzył na nią ze zdumieniem tak bezbrzeżnym, że przez chwilę zastanawiała się, o co chodzi.

Wracając od Kowala, zadzwoniła do Sajra i poprosiła o miły stolik dla dwojga. Próbowała sobie przypomnieć, czy Adam, proponując jej kolację, użył słowa „randka”, i była praktycznie pewna, że nie. Analizowała to intensywnie, przeglądając zawartość walizki pod kątem przydatności na tego rodzaju okazję. Nie przewidziała takiego rozwoju wydarzeń, a nie miała czasu jechać na Wrzosa, więc w końcu wybrała miękki sweter w kolorze wielbłądziej wełny z dekoltem w łódkę, odsłaniającym lewe ramię. Sięgał do połowy ud, więc z legginsami wyglądał jak urocza sukienka i pasował do kozaków. Nie spakowała więcej butów, miała jeszcze tylko dyżurne kalosze. Nie chciała, by pomyślał, że nie traktuje ich wyjścia jako czegoś szczególnego, więc pomalowała usta czerwoną szminką i założyła złote kolczyki – kółka z czaszeczkami w otoczeniu różyczek (żartobliwy prezent od taty, zamówiony u złotnika na jej szesnaste urodziny).

Wybrała Włoskie Grzeszki – elegancką restaurację z kapitalnym jedzeniem i romantycznym klimatem. Zwykle bywała tu z Dorą, to ona zresztą zabrała ją tu po raz pierwszy. Sajr był dobrym znajomym jej przyjaciela Leona, a to czyniło z jego interesu biznes niemalże rodzinny, więc Namiestniczka dbała, by kasa nie świeciła pustkami. Poza tym jako naprawdę fatalną kucharkę regularnie stołowała się na mieście.

Adam zamilkł i wcale się nie rwał do wysiadania z auta, więc Katia doszła do wniosku, że coś jest nie tak. Może nie lubi tej knajpki? Nie lubi włoskiego jedzenia? Miał tu kiepską randkę i nie chce przywoływać złych wspomnień?

– Coś nie tak? Wolałbyś inne miejsce? – zapytała spokojnie, choć jej żołądek jęknął na samą myśl. Od rana nic nie jadła i o ravioli Sajra fantazjowała nie mniej niż o Adamie.

– Nie! Po prostu wątpię, byśmy tu dostali stolik – odparł ze smutkiem.

– Mamy rezerwację – przypomniła.

Wbił w nią spojrzenie swoich szczeniackowych oczu, jakby obiecała mu co najmniej drugą bazę na tylnym siedzeniu.

- Jak? Na bogów, jak? Przecież tu się robi rezerwacje z dwutygodniowym wyprzedzeniem! Chciałem zabukować tu stolik dla rodziców, na ich rocznicę, ale pobrali się w połowie lutego, więc gorączka walentynkowa sprawiła, że miejsc nie było już od stycznia. Słyszałem o tej knajpie legendy!
- Aż przełknął ślinę.

- Wszystko to prawda, choć pewnie słowa nie oddały w pełni tego, jak wybitnym kucharzem jest Sajr - przyznała, znów rozluźniona.

- Czy on naprawdę jest... no wiesz? - zapytał nieco zmieszany.

- Piekielnikiem? Diabłem? Emerytowanym rotmistrzem piekielnej armii? Mistrzem pasty, bóstwem sosu pomidorowego, bohaterem moich mokrych snów o szpinakowych lasagne z beszamelem i podwójnym parmezanem? Tak, wszystko to prawda.

Adam roześmiał się i wreszcie był gotów wysiąść.

- Dobrze, że jednak założyłem krawat - powiedział cicho, kiedy zmierzali do wejścia.

- Sajr obsługuje moją przyjaciółkę, kiedy przychodzi tu po całym dniu kopania grobów, a smród rozkładu otacza ją jak chmura. Wprawdzie wnosi jej jedzenie na parking i jest wdzięczny, że nie chce wchodzić do środka, ale wierz mi, to bardzo wyrozumiały typ.

Adam przez chwilę sądził, że żartuje, a potem pokręcił głową.

- Masz dziwną przyjaciółkę, prawda?

- Nawet sobie nie wyobrażasz. Jest najlepsza, ale też szajba kroczy jej śladem, gdziekolwiek idzie. W każdym razie zna chyba każdego piekielnika w tym mieście i twierdzi, że bez wyjątku gotują wspaniale. Gdyby musiała zrezygnować z posiłków przyrządzanych przez piekielników, umarłaby z głodu.

- To mnie przekonuje bardziej niż pięć gwiazdek Michelina.

- Gdybym miała wybierać, komu zaufać w kwestii jedzenia: Dorze, czy producentowi opon...

Weszli do środka uśmiechnięci i wyluzowani. Takich zobaczył ich z końca sali Sajr. I z miejsca zapalił świece na czekającym na nich stoliku. Niby nie wspominała, że to randka, ale zakochane oczy tak pięknie lśnią w blasku świec.

Restaurację Sajra urządzono w ten sposób, że łatwo było zapomnieć o istnieniu innych gości. Przytulne boksy, drewniane parawany obwieszane roślinami i płócienne ekrany wydzielały kilkanaście niewielkich nisz, idealnych, by zjeść posiłek, zatonać w czyichś oczach i rozmawiać, jakby jutra miało nie być. Z ukrytych między zielenią głośników sączyła się muzyka o głośności odpowiedniej, by nie przeszkadzać w rozmowie, a przy tym zapewniającej intymność konwersacji. Tej sprzyjało też światło: miękkie i lekko przyćmione. W lokalu stało poza tym kilka długich stołów, dla grup większych niż dwu- lub trzyosobowe, ale reszta wystroju nie pozostawiała wątpliwości: Włoskie Grzeszki były restauracją wprost stworzoną do randkowania. Katia zaglądała tu przeważnie z Dorą – kto by pomyślał, że kiedyś faktycznie przyjdzie tu z facetem! Miała zasadę, by nigdy nie randkować w miejscu, do którego chciała potem wrócić. Większość swoich byłych wołała trzymać na odległość kija od szczotki. Dla Adama zrobiła wyjątek, bo do Sajra zamierzała wrócić jeszcze nieraz.

Nie potrafiłaby przyznać, co było lepsze – jedzenie czy rozmowa. Splatały się w jej głowie w jeden z najprzyjemniejszych wieczorów od dawna. Szokujące, od jak dawna! Adam, choć słabo oceniał swoje umiejętności towarzyskie, był naprawdę świetnym rozmówcą. Nawet zanim wypili po kieliszku wina i na długo, zanim choćby spojrzeli w kartę deserów, opowiadał ze swadą historie, które bawiły ją do łez. Nerwy, które dawały o sobie znać, gdy rozdygotana, nad walizką, szykowała się do wyjścia, uleciały i zostało tylko przyjemne musowanie w głowie. A co najlepsze – nie rozmawiali o sprawie pustych trumien. Choć to wcale nie znaczyło, że omijali tematy związane z ich profesją.

Adam zaczął od obiecaney anegdoty o spotkaniu z kobietą, która od ponad sześciu lat czuła, że jej godzina wybiła, nie ma więc chwili do stracenia i musi czym prędzej zadbać o szczegóły związane z pochówkiem – jeśli bowiem nie zdąży, zajmie się tym jej synowa.

– I od lat, średnio raz na dwa miesiące, umawia się ze mną na spotkanie, by dopieścić szczegóły albo całkowicie zmienić koncepcję swojego ostatniego pożegnania – opowiadał. – Za każdym razem spisujemy akt woli,

jak to się oficjalnie nazywa, a także drobiazgowy plan uroczystości, omawiamy detale, od wyboru trumny, przez dyspozycje dotyczące odzieży, muzykę, kwiaty, oprawę świetlną, aż po ostateczną wersję filmiku, który nagrała dla żegnających ją bliskich. Sumuję koszty, po czym sprawdzamy, czy jej fundusz opiewa na wymaganą kwotę, czy może musi coś dopłacić.

– Fundusz? – zapytała Katia.

– Puszka po szkockich herbatnikach, metalowa, z motywem tartanu i baranem na wieczku, równie upartym jak pani Daniela. Przyszła z nią prawie siedem lat temu. W środku były zwitki banknotów, które odkładała na czarną godzinę. Skończywszy siedemdziesiątkę, uznała, że tą czarną godziną jest bez wątpienia jej własny pogrzeb. I od tej pory skupia się wyłącznie na tym, by był idealny.

– Czy ma powody, by czuć ten oddech kostuchy na karku? Wiesz, choroba, niedawne owdowienie...

– A gdzie tam! Jest okazem zdrowia, jak nic dożyje dziewięćdziesiątki, a może i setki. Wdową jest od trzydziestu lat z okładem i raczej się za małżonkiem nie stęskniła. Ale lubi być przygotowana – wyjaśnił Adam i lekko wzruszył ramionami.

– No dobrze, ale przecież skoro wszystko macie zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach, to po co te aktualizacje woli? – dopytała Katia. Nie знаła pani Danieli, ale zaczynała tego żałować.

– Och, bo widzisz, moja droga, pani Daniela co kilka miesięcy doznaje objawienia i przeprowadza na żywej tkance planu prawdziwą rewolucję. Całkowicie zmienia koncepcję. Raz chce być skremowana. Innym razem oddaje ciało nauce lub magii. Pragnie zostać pochowana w rodzinnym grobowcu albo przeciwnie, chce choć po śmierci mieć odrobinę prywatności, której nie doświadczyła za życia. Jest jedyną osobą w tym mieście, która naciskała, bym stworzył newsletter i katalog online naszych usług, bo lubi wiedzieć, co w trawie piszczy. Stąd na przykład dowiedziała się o różnych opcjach ekologicznych i od kilkunastu miesięcy obraca w głowie ten właśnie pomysł.

– Osiołkowi w żłoby dano – podsumowała Katia.

– A i owszem. Bo gdy już wybrała doskonałą wiklinową trumnę i szatę pogrzebową z grzybnią wplecioną w osnowę, doczytała o istnieniu kapsuł pogrzebowych z sadzonkami drzew. I dziś właśnie dyskutowaliśmy, czy brzoza, czy może jednak dąb. Skłaniałaby się ku dębowi, bo to takie piękne i majestatyczne drzewo, ale brzoza ma bardzo konkretną przewagę nad królem lasu.

– Szlachetną biel i skojarzenia z prozą Iwaszkiewicza? – zgadywała Katia.

– Dobrze, na pewno by jej się spodobało. Otóż brzoza ma pyłki.

– Zdaje się, że wszystkie drzewa mają pyłki, to jakby stały element wyposażenia, nie?

– Zgadza się. Tyle że na pyłki brzozy uczulenie ma synowa pani Danieli. Z którą, cóż, nie żyją najlepiej.

– O bogini. – Katia aż zakrztusiła się łykiem wina.

– Właśnie. Myśl, że synowa będzie łzawić za każdym razem, gdy stanie nad jej grobem, jest pani Danieli, mówiąc oględnie, bardzo miła. Jak to pięknie ujęła: „Zapłaczę za mną bladź”.

Katia pokręciła głową z wrażenia.

– Ja muszę wiedzieć tylko jedno: jakim cudem potrafisz zachować powagę? – zapytała.

– To proste. Naprawdę mi zależy, by miała dokładnie taki pogrzeb, jaki sobie wymarzy. Staram się ją odwieść od pomysłów, za którymi stoi złośliwość, ale ostatecznie to jej życie, jej pogrzeb. Jeśli chce wykorzystać ostatnią chwilę na wbicie szpili synowej, proszę bardzo, kim jestem, by jej tego zabraniać? Gdybyś widziała, jakie ich wspólne zdjęcie wybrała do prezentacji wideo! Cóż, jeśli nie zmieni go podczas kolejnych wizyt, to będzie coś, o czym ludzie będą gadać latami!

Katia się zastanowiła.

– Hm, pracuję w branży, każdego dnia zajmuję się śmiercią, spędzam całe dni na cmentarzach, a właściwie nie zastanawiam się nad własnym pochówkiem – zauważyła. – Kiedy zmarł tata, długo mi zajęło ustalenie szczegółów, bo właściwie nigdy o tym nie rozmawialiśmy, nie wiedziałam, czego by sobie życzył, a bardzo nie chciałam wybrać czegoś, co by mu się nie podobało. Presja!

- Możesz się umówić na konsultacje. Przegadamy opcje, spiszymy akt woli. Nie musisz nawet przynosić forsy w puszcze po herbatnikach, bo konsultacje robię za frajer – powiedział z uśmiechem.

- Może rzeczywiście tak zrobię... - Zamilkła na moment. - Serio, powinnam się nad tym zastanowić. Przecież jeśli umrę i konieczność podjęcia wszelkich decyzji spadnie na Dorę, skończę z wilczymi dudziarzami albo czymś równie absurdalnym.

- Wilczy dudziarze, serio, jest coś takiego? Wiesz, z ich wrażliwym słuchem i w ogóle...

- Nie wiem, ale jeśli istnieją, ona ich znajdzie.

- Muszę kiedyś poznać twoją przyjaciółkę – stwierdził, śmiejąc się. - Zawsze kiedy o niej mówisz, robisz to takim zabawnym tonem. Wyczuwam głębokie przywiązanie z lekką nutą przerażenia i nastawienia: „Nic mnie już nie zdziwi, ale dlaczego?”

Parsknęła śmiechem.

- To całkiem dobrze oddaje stan faktyczny – przyznała. - Choć nie wiem, czy powinieneś sobie życzyć spotkania z Dorą. Jeśli przedstawiałam jej któregoś ze swoich chłopaków, to zwykle, cóż, kończyło się tym, że kopała mu tyłek albo rzucała mu w twarz groźby karalne. Może też zamknąć ich w celi i wyrzucić klucz. Nie nadużywa tej możliwości, ale ona zawsze tam jest. W sumie jednego z moich byłych naprawdę lubi, choć to dlatego, że dawniej byli partnerami. To skomplikowane.

- Co dokładnie? Relacja Dory z twoimi byłymi czy twoja historia randkowa?

- Czy muszę wybierać? - zapytała, szczerząc się w uśmiechu. - Ale bardziej to drugie. Pierwsze jest pokłosiem mojego pecha w sprawach damsko-męskich. Albo skłonności do podejmowania fatalnych wyborów.

- Och, kochana, jeśli myślisz, że wygrałabyś konkurs na najgorszą randkę w historii, muszę cię zmartwić. Już dawno wykasowałem konkurencję w tej kwestii – zapewnił z miną smutnego basseta.

- Tak ci się tylko wydaje, bo nigdy nie opowiedziałam ci o swoich perypetiach randkowych – powiedziała.

- Zakład? - rzucił nieoczekiwanie.

– Jasne! O co?

Adam rozejrzał się po stole i w końcu przesunął na środek bułeczki, które Sajr przyniósł jako przystawkę, wraz z oliwkami i oliwą czosnkową. W koszyczku, na wyściółce z białej serwetki, leżało kilkanaście jednokęsków, niewiele większych od orzecha włoskiego. Jeszcze ich nie spróbował, ale sam zapach wystarczał, by ślina napływała mu do ust.

– Dobra, więc tak, to jest pula. Każde z nas opowie jedną historię. Musi być prawdziwa, możemy ominąć imiona i nazwiska, ale reszta bez pozłotka. Kto przytoczy potworniejszą, wygrywa kulkę chlebka – zaproponował.

– Czy mówienie o swoich byłych nie przynosi pecha na randce? – upewniła się Katia.

Adam uśmiechnął się szeroko, słysząc, że „kolacja” płynnie przeszła w „randkę”.

– Ale wcale nie musimy mówić o byłych, skupmy się na randkach. Przyznaj, strach cię obleciał, że sam zjem wszystkie bułeczki.

– Och, po moim trupie! Co zresztą prawie się wydarzyło – oświadczyła Katia. – Umawiałam się raz z egipskim bóstwem śmierci, wiesz, kwintesencja chłopaka z branży. Całkiem mi na mózg i oczy padło. A ten świr szykował już sarkofag i resztę fantów potrzebnych do procedury mumifikacji. Owszem, chciał się ze mną ożenić, ale całe życie poślubne mieliśmy spędzić w Zaświatach, a ja, zakonserwowana, miałam na zawsze pozostać piękna i młoda.

Adam patrzył na nią z uwagą, jakby się spodziewał, że rzuci: „Żartowałam! Kto by się umawiał z Anubisem?”, to jednak nie nastąpiło. Wyjął bułeczkę z koszyka i ułożył ją uroczyście na jej talerzyku, mówiąc:

– Tego nie przebiję. Mam dobre historie, ale żadna nie dotyczy popieprzonej bogini.

– Spokojnie, to jedyny przypadek bóstwa w mojej historii randkowej, masz jeszcze szansę na bułeczkę – odparła i wrzuciła wygraną kulkę do ust. Gdy poczuła smak ukrytej w środku mozzarelli, utwierdziła się w przekonaniu, że stawka jest naprawdę warta gry.

– W zeszłym miesiącu świeża wdowa bardzo intensywnie się do mnie przystawiała, byle dostać zniżkę na usługę. Proponowała mi nawet spłatę

części należności poprzez seks oralny.

– Wow, dobre. Prawie tak dobre jak koleś z Tindera, który był gotów do działania, tylko jeśli tata na niego patrzył. I chciał, by był obecny, gdybyśmy... no wiesz. Zapewniał, że będzie ciemno i nawet go nie zauważę – powiedziała i już sięgała po kulkę, ale Adam uniósł rękę.

– No, to robi wrażenie, ale przebijam. Wspomniałem, że wszystko się działo w trakcie pogrzebu, w sali pożegnań, obok otwartej trumny?

– Bułeczka jest twoja – przyznała rozbawiona. – A skoro o pracy, raz facet umówił się ze mną tylko po to, by, od słowa do słowa, poprosić mnie o przysługę. Chciał, bym obudziła z martwych jego byłą, bo zamierzał jej nawymyślać. Rozumiesz, tęsknił.

Adam parsknął śmiechem i podsunął Katii koszyczek. A potem, naśladowując kobiecy głos, powiedział:

– „Jesteś słodki, ale po prostu mnie wzdryga, gdy pomyślę, że tymi samymi rękami dotykałeś trupów. To jak umawiać się z seryjnym mordercą! Zupełnie tak samo”.

Katia pokręciła głową, powtarzając: „Zupełnie tak samo”, i podała Adamowi bułeczkę.

– No dobra, to jest mocne, ostrzegam – powiedziała, unosząc palec. – Gorąca noc. Śpimy. Nad ranem do sypialni wkracza jego kot i wskakuje na łóżko. Tarza się w pościeli, cały uwalany ziemią.

Adam parsknął.

– Domyślam się, że nie przewrócił doniczki z kwiatkami?

Katia pokręciła głową.

– Byłoby lepiej, gdybym go nie wyciągnęła z grobu. Wciąż wyglądał jak żywy futrzak, ale rozkład już postępował... Cóż, byłam młoda, nie kontrolowałam jeszcze swojej magii.

– Dobrze, że nie był seryjnym, który na podwórku zakopywał ofiary, wtedy poranek okazałby się jeszcze bardziej krępujący – zauważył Adam.

– Masz rację, nie pomyślałam, że mogło być gorzej.

– No i kot, nawet martwy, to całkiem słodkie stworzenie. Jest znacznie mniej przyjemnie, gdy twoja dziewczyna wstaje rano, wchodzi do kuchni

nastawić ekspres do kawy, a tam siedzi Pani Śmierć i zaczyna ją przepytwać o plany na przyszłość w związku ze mną.

Katia zrobiła wielkie oczy.

– Żartujesz? I ona wiedziała, z kim rozmawia?

– Chyba nie chciała wiedzieć. Uznała, że to moja była, a może matka, która urodziła mnie bardzo młodo. Wróciła do sypialni, ubrała się i wyszła bez słowa. Otrząsnąłem się na tyle, by zrozumieć, że coś się stało, więc poszedłem do kuchni. A Pani Śmierć siedzi sobie przy stole, popija czarną jak grobowa ziemia kawę i mówi: „Ona nie jest dla ciebie. Zbyt delikatna”.

– To coś, co ma w zwyczaju? – zapytała Katia spokojnie.

– Można tak powiedzieć. Ma do mnie słabość. Wpada czasem. Wolę cię uprzedzić, bo ty byś ją pewnie rozpoznała. Nie zakładam oczywiście, że my... no mogę mieć tylko nadzieję, że może kiedyś, ale, no wiesz... – zaplątał się i zaczerwienił.

– Nie wiem, szczerze mówiąc, czy bym ją rozpoznała. Nigdy jej nie widziałam. Mnie odwiedza Matka Ziemia, inny aspekt bogini. Zwykle ją słyszę. Ale i widuję. Nie wpada do mnie na kawę, choć do warsztatu zaglądała więcej niż raz. No i cmentarze... ale tam to raczej ja wpadam do niej. Przyniosłabym jej nawet kiedyś kubek kawy, tylko boję się, jak podziałałaby na nią kofeina. Nie zawsze jest stabilna.

– Chyba żadna z nich nie jest, nie? Inna perspektywa – powiedział, jakby to było zupełnie normalne, że oboje co jakiś czas odbywają tête-à-tête z boginiami domeny śmierci.

– Za to nie dostaniesz bułeczki, bo to w sumie całkiem fajne, a nie żenujące – oświadczyła Katia i wrzuciła do ust kulkę nadziewaną mozzarellą.

Adam podał jej kolejną.

– A to za co?

– Za to, że cię ta historia nie odstraszyła, ani nawet nie zrobiła na tobie specjalnego wrażenia.

– A powinna? W sensie: odstraszyć? Dlatego mi ją opowiedziałeś?

Pokręcił głową.

- To ostatnie, czego bym chciał - odparł i uśmiechnął się tak łagodnie, że Katia poczuła, jak coś topnieje jej w środku.

Sajr przyniósł im dania główne - ravioli ze szpinakiem i ricottą, przyprószone parmezanem - więc przez dłuższą chwilę jedli, rozkoszowali się smakiem i prowadzili luźną rozmowę. Katia pomyślała, że dawno nie zdarzyło jej się czuć tak swobodnie na pierwszej randce. Bo tak właśnie myślała o tej kolacji. I miała wielką ochotę na kolejne.

*

Uniosła właśnie kieliszek do ust i wzięła łyk czerwonego wina, kiedy Adam poruszył drażliwy temat. Zaczął niewinnie:

- Czy mogę o coś zapytać? Może brzmieć nieco dziwnie - zaznaczył.

Spodziewała się, że - jak wielu mężczyzn, z którymi się spotykała - zagadnie o coś związanego z jej magią, z nekromancją, ewentualnie zauważy, że chyba nie ma wielu kobiet w jej fachu. Wzruszyła więc ramionami i powiedziała:

- Strzelaj!

- Co właściwie robiłaś przed świtem pod moim oknem? I czemu nie weszłaś?

Dobrze, że odstawiła kieliszek, bo pewnie wylałaby na siebie zawartość.

- Och - wykrztusiła nerwowo.

Adam nie naciskał, nawet na nią nie patrzył, dając jej czas na zebranie myśli. Spokojnie nabijał pierożek na widelec, pilnując, by równomiernie obtoczyć go w sosie.

- Skąd właściwie... - Urwała.

- Monitoring. Wzmocniłem zasięg kamer po tym, co mi powiedziałaś o zniknięciach. Niby złodziej kradnie zwłoki z cmentarza, ale strzeżonego... wiadomo. Zatrzymałaś się akurat na tyle długo, że trzasnęło ci fotki, algorytm rozpoznał różnicę i dostałem powiadomienie. Wygrzebałem się z łóżka i nawet wybiegłem przed budynek, ale już cię nie było.

Katia miała ochotę ukryć twarz w dłoniach, bo policzki jej pulsowały. Adam pokiwał głową, wyciągnął swoje wnioski, i powiedział:

- Na przyszłość po prostu wejdź. Nawet jeśli to tylko booty call, nie poczuję się wykorzystany. Jeśli cokolwiek innego, też możesz na mnie liczyć.

No dobrze, to już był talent! Potrafił ją rozbroić, nawet gdy była spanikowana!

- To nie całkiem tak - powiedziała ostrożnie, a Adam zrobił uroczą podkówkę. - Nie mogłam spać. Coś, sama nie wiem co, mnie obudziło. Byłam kłębkim nerwów, chyba nawet nie całkiem przytomnym... Zanim się zorientowałam, co robię, poszłam na cmentarz. Tam też nie weszłam. Postąpiłam, wchłonęłam trochę magii miejsca, dałam się, jak się potem okazało, przyłapać Kowalowi, a wracając, zatrzymałam się koło ciebie. I najwyraźniej tu też mnie przyłapano. Lepiej nie będę wszystkiego rzucać dla kariery włamywaczki, bo nie umiem się skradać, nawet gdy całe miasto śpi.

Adam pokiwał głową i zapytał:

- Miałaś już tak kiedyś?

- O co pytasz?

- O ten stan, w którym po nocy mantykujesz i wędrujesz na najbliższy cmentarz - doprecyzował.

- Chyba nie... Kiedy byłam bardzo mała, zdarzało mi się lunatykować, ale to nie było to samo. Wtedy zupełnie nie pamiętałam, co robiłam. Tata kilka razy złapał mnie, jak szłam w piżamie środkiem ulicy. Zamontował wtedy dodatkowy zamek w drzwiach, zbyt wysoko, bym mogła go otworzyć. Nie wiem, dokąd szłam, ale raczej nie na cmentarz. Wtedy zresztą raczej martwe rzeczy przychodziły do mnie, nie ja do nich.

Pokręciła głową, nie umiając wyjaśnić tego, co ją spotkało.

- Masz ostatnio więcej stresów niż normalnie? Poza tą sprawą z wykradzionymi dziewczynkami? - zapytał z troską.

- Można tak powiedzieć. - Westchnęła ciężko. - Miałaś kiedyś tak, że nagle wszystko się zmienia, a ty wcale tego nie chcesz i trzymasz się kurczowo tego, co było?

Adam uśmiechnął się niewesoło.

- Raz czy dwa.

- No tak. - Domyśliła się, co miał na myśli. - W porównaniu z przejściem domu pogrzebowego w tak młodym wieku moje zmiany życiowe nie są tak drastyczne.

- Mówisz o przeprowadzce do miasta po drugiej stronie bramy, z aktywnymi liniami magicznymi, po tym, jak przez większość życia mieszkałaś w Toruniu, dokąd przenieśliście się z tatą między innymi dlatego, że twoja magia wymykała się tu spod kontroli? O powrocie do Thornu, gdzie ostatni raz mieszkałaś z tatą, którego straciłaś jako młoda dziewczyna? - zapytał z niewinną miną, ale w jego oczach widziała współczucie.

- Gdy tak to ujmujesz... na boginię, masz rację - przyznała. - Koncentrowałam się na innych aspektach tej zmiany. Na tym, czy chcę, czy nie chcę kandydować do Starszyny. Czy chcę, czy nie chcę sprzedać domu po tamtej stronie. Czy zdołam mieszkać tu, a mieć pracownię tam, czy muszę znaleźć jeszcze miejsce na nią. I czemu jestem aż tak zła na Gardiasza, który wyciągnął jakiś archaiczny przepis z szesnastego wieku, mówiący, że członek Starszyny musi mieszkać w Thornie... Przecież to było do przewidzenia, od samego początku szukał sposobu, by mnie wyeliminować z wyścigu, a wcześniej, by storpedować pomysł Dory dotyczący wyborów.

- To oczywiście też jest wkurzające - stwierdził. - Paradoksalnie to, że mieszkałaś po drugiej stronie i byłaś całkowicie zanurzona w dwudziestym pierwszym wieku, sprawia, że zachowanie Gardiasza i reszty betonowych członków... to nie zabrzmiało dobrze, ale wiesz, o kim mowa... rzuca się w oczy bardziej. Ale jeśli mogę wyrokować - uśmiechnął się przeprasząco - gdyby szło tylko o złośliwość Gardiasza, dawno znalazłabyś sposób, by się z nim rozprawić. Na przykład napuściłabyś na niego Dorę Wilk. Wszyscy wiedzą, że między nim a Namiestniczką nie ma miłości, a biorąc pod uwagę jej osiągnięcia w kwestii uszczuplania liczebności Starszyny, można powiedzieć, że Gardiasz i tak żyje na kredyt.

Katia parsknęła.

- Nie wiem, czy zgodziłby się z tą interpretacją, ale jeśli któregoś dnia się dowiem, że gość nie żyje, zadzwonię do Dory, a potem do Witkaca, z

pytaniem, czy potrzebują alibi. Może nawet najpierw do Witkaca, bo ma pecha mu podlegać.



– Jeśli na czymś się znam – powiedział łagodnie Adam – to na żałobie. A ta nie dotyka nas tylko po śmierci kogoś bliskiego. Duża zmiana to także rodzaj śmierci. Umiera dotychczasowe życie i jakaś wersja nas samych. I czasem trzeba to odchorować, przebrnąć przez wszystkie etapy żalu. Nie da się przeskoczyć od razu do akceptacji.

Katia patrzyła na niego uważnie.

– Nie myślałam o tym, ale masz rację. Zaprzeczenie i gniew już za mną. Targowanie się chyba też. Kombinowałam i próbowałam stać w rozkroku, budować tu coś nowego, nie rezygnując z tego, co miałam tam. Jeśli moje nocne lęki to etap pustki, smutku i depresji, to w sumie nie tak źle – przyznała.

– Bo zaraz po niej następuje akceptacja. A wtedy zmiana przestaje być stratą, staje się możliwością. Tu tkwi jej przewaga nad faktyczną śmiercią, o której ciężko myśleć w ten sposób.

– Eloquentny z pana gość, panie Gawroński – powiedziała, unosząc brew – a nawet nie doszliśmy do deseru.

– Słyszałem legendy o tutejszych cannoli!

– Nie były przesadzone – zapewniła i pomachała do kelnerki.

Nagle oczy Adama zrobiły się większe i skulił się, prawie nurkując nosem w talerzu. Patrzył w stronę wejścia i Katia już miała zerknąć w tamtym kierunku, kiedy powiedział:

– Nie odwracaj się! Zachowaj spokój!

Trudno zachować spokój po czymś takim, mimo to Katia wsunęła się głębiej w trzewia boksu. I zanim Adam cokolwiek dodał, usłyszała głos, który sprawił, że nastroszyła się jak mały, ale bardzo agresywny jeżozwierz.

Znalazła szparę między liśćmi i ostrożnie rzuciła okiem. Nie przesłyszała się. Przy jednym z większych stolików, szczęśliwie znacznie oddalonych od ich boksu, zasiadł właśnie Gardiasz. I bynajmniej nie przyszedł sam. Towarzyszyły mu dwie kobiety. Jedną była Katarzyna, wiedźma powietrza i wody, członkini Starszyny – a niegdyś mentorka Dory, choć odkąd pokazała jej swoje prawdziwe oblicze, straciła ten przywilej. Drugiej Katia nie znała z imienia, ale kojarzyła twarz. Przepiękną zresztą. Widywała ją w Otchłani, siłowni i sali treningowej, którą

odwiedzała czasami za namową Dory. Była sukubem i właścicielką jednego z demonicznych przybytków rozkoszy. W Otchłani ćwiczyła walkę na noże i robiła młynki szablami tak szybkie, że ostrza zlewały się przed jej twarzą w srebrzyste dyski. Była nieoficjalnym, ale znaczącym graczem w mieście.

A za nimi do stolika podszedł Egon Bremmer, przeklęty licznik, cały w gładkich uśmiechach. Niech to cholera! Sądząc po liczbie nakryć, spodziewali się jeszcze dwóch osób. Katia nie miała ochoty czekać, by się przekonać, kto przy nich zasiądzie.

Wszystko trwało kilkadziesiąt sekund. Jeszcze jej nie dostrzegli, byli zajęci sobą, licznik właśnie rozbawił zgromadzonych i po restauracji poniosł się donośny śmiech Gardiasza. Czy Katia kiedykolwiek słyszała jego śmiech? Znała go od prawie dwudziestu lat i nie przypomina sobie, by dostąpiła tej łaski...

W tej samej chwili do ich boksów podeszła Mara, kelnerka. Wyglądała, jakby była z Sajrem spokrewniona, a może po prostu używali podobnego uroku, by ukryć swoje piekielne pochodzenie? Wyglądali jak członkowie wielkiej, sycylijskiej rodziny, co pasowało do Włoskich Grzeszków jak ulał.

- Czy mogę zaproponować państwu deser? - zapytała z miną sugerującą, że odmówienie go sobie byłoby prawdziwym błędem.

Adam nie odezwał się, zostawiając Katii pole do decyzji, choć wiedziała, że miał ogromną ochotę na coś słodkiego. Przymknęła oczy i powiedziała:

- Maro, potrzebuję twojej pomocy. Chciałabym zamówić deser na wynos, zapłacić za wszystko, a potem wymknąć się tylnym wyjściem tak, by nie zwracać niczyjej uwagi. Myślisz, że da się to zrobić?

Mara nie traciła czasu na wyjaśnienia, zapytała tylko:

- Czy nie chcemy zwracać uwagi konkretnego stolika?

- Szósta, po prawej.

Kelnerka zerknęła dyskretnie i skinęła głową.

- Bez problemu, kochana. Zajmę ich, a Sajr was wyprowadzi.

Odeszła, prawdopodobnie poszła szukać właściciela.

Katia miała wyrzuty sumienia, więc spojrzała na Adama i powiedziała:

- Przepraszam, wynagrodzę ci to, ale nie mam mentalnej energii, by się z nimi dziś mierzyć.

- Nie ma sprawy - odparł. - Jeśli tylko zabierzemy za sobą cannoli, pozostaniemy królami życia, nawet uciekając z restauracji przez kuchnię.

ROZDZIAŁ 23

Tak blisko, a jednak daleko...

Naprawdę uciekali! Mara i Sajr podeszli do zadania, jakby było to coś oczywistego, ot, jedna z wielu usług, które świadczyli klientom, z w pełni opracowaną procedurą. Jakby przynajmniej raz w tygodniu zdarzało się, że para szpiegów musi umykać przez zaplecze przed kontrwywiadem departamentu śmierci.

Mara zagadywała towarzystwo przy stoliku, prezentując bogatą ofertę win, stojąc przy tym tak, by zasłonić wejście do kuchni. W tym czasie Sajr przeprowadził Katię i Adama na zaplecze, gdzie wręczył im deser na wynos, życzył powodzenia i wypuścił tylnym wyjściem na zewnątrz. Wszyscy czworo bawili się przy tym przednio!

Uciekinierzy przemykali wzdłuż ściany budynku i między autami zaparkowanymi przed restauracją, aż dopadli samochodu nekromantki i wślizgnęli się do środka, chichocząc jak nastolatki. To było absurdalne – nic jednak nie stało na przeszkodzie, by skończyli kolację w środku i wyszli, mijając stolik Gardiasza. Przecież by się na Katię nie rzucił, co najwyżej zatrułby jej humor, wynajdując kolejny idiotyczny przepis rzekomo uniemożliwiający jej kandydowanie do Starszyny. Jeszcze do niedawna jakaś jej część chciałyby mu uwierzyć – konieczność dokonania w życiu znaczących zmian przerażała nekromantkę tak bardzo, że kusiło skorzystanie z wymówki, by tego nie robić. Teraz jednak wiedziała, że miał w zniechęceniu jej żywotny interes. A gdy zobaczyła na własne oczy, jak sobie spijają z dzióbków z Bremmerem, tym goręcej liczyła, że któryś z jej znajomych dogrzebie się

do czegoś kompromitującego w przeszłości licza. Nie tylko dlatego, że łatwiej będzie jej go pokonać, ale też dla czystej satysfakcji z pokrzyżowania planów Gardiaszowi.

Musowało jej w głowie, nie winem, lecz możliwościami i pokusą. Zerknęła spod rzęs na najbardziej uroczego przedsiębiorcę pogrzebowego w mieście i jeśli istniały jakieś argumenty przeciwko sięgnięciu po to ciasteczko, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Gdy tylko odpaliła silnik, radio ryknęło piosenką Mirandy Lambert. Katia jeszcze pogłośniła i śpiewała razem z nią Kerosene, wyjeżdżając z parkingu restauracji. Gdy ona deklarowała, wraz z blond bombą z Teksasu, że kończy z miłością, bo miłość skończyła z nią, Adam walczył z atakiem śmiechu. A gdy piosenka dobiegła końca i Katia ściszyła radio, powiedział rozbawiony:

– Nie zgadłbym, że akurat country.

– Och, bo nie tylko. Niewiele jest gatunków, w których nie znalazłabym czegoś dla siebie – odpowiedziała. – Ale akurat country to wynik reguły „jakiegoś pożytku”.

– Nie znam tej reguły – przyznał.

– Nic dziwnego, sama ją wymyśliłam, gdzieś w połowie liceum. Za każdym razem, gdy z kimś zrywałam albo ktoś zrywał ze mną, próbowałam czegoś kompletnie nowego. Raz to była grzywka, która okazała się całkiem twarzowa. Innym razem poszłam na zajęcia z garncarstwa i wsiąkłam na amen. Przez jeszcze inny zawód zapisałam się na kurs włoskiego, a kolejny zaprowadził mnie do odkrycia, że w sumie całkiem lubię country. Często jedyne, co pamiętam po zawodzie miłosnym, to właśnie co nowego odkryłam w ramach reguły „jakiegoś pożytku”.

– I te nowe wyzwania zawsze były udane? – zapytał rozbawiony Adam.

Katia wyszczerzyła się na samą myśl o niektórych co bardziej spektakularnych wtopach.

– Zdarzały się katastrofy. Na przykład nie ma takiego odcienia blond, w którym nie wyglądam jak rozkładające się zwłoki. Ale wciąż wolę wspominać lekcję, którą dała mi fryzjerka ratująca moje włosy po

domowym rozjaśnianiu, niż typa, przez którego zdecydowałam się na ten desperacki krok.

– Zapamiętam, by trzymać się z daleka od pudełek z rozjaśniaczem – obiecał solennie.

– Ale było też sporo zachwyków. Gdyby nie Marcinek wiarołomca, który zaprosił mnie na studniówkę, a potem tuż przed imprezą spił się z kolegami tak bardzo, że nie tylko po mnie nie przyjechał, ale pojawił się na balu z zupełnie inną dziewczyną jedynie po to, by wpaść z nią w ostrego ślimaka na parkiecie w trakcie poloneza, może nigdy nie trafiłabym na zajęcia z ceramiki i nie zakochałabym się w niej bez pamięci. Dziś mam firmę, która radzi sobie całkiem nieźle... Radziłaby sobie pewnie lepiej, gdyby to był miłszy kraj dla artystów i osób z jednoosobową działalnością gospodarczą, ale daję radę. Robię to, co kocham, i myślę, że potrzebuję tego rodzaju kreatywnej aktywności, wiesz, jako równowagi dla śmierci. Twórczość na szalce przeciwnej do rozkładu.

– Chciałbym kiedyś zobaczyć twoje prace – powiedział takim tonem, że z miejsca uwierzyła.

– Proszę bardzo. Może nawet mam coś, co ci się spodoba. Ostatnio zrobiłam kilka urn. Wyglądają jak słoje na ciasteczka... Ciągłe próbuję zrobić taką poważną i nobliwą, ale to jeszcze przede mną.

– Niektórym po prostu pasuje jako urna słoje na ciasteczka – powiedział z przekonaniem.

– Tak! – zawołała Katia z entuzjazmem.

Nie była pewna, kiedy atmosfera uległa zmianie. Jechali prawie pustą drogą, światła latarni rzucały długie cienie, a z głośników płynęła jakaś ballada miłosna. Oboje milczeli, ale nagle ta cisza między nimi stała się pełna napięcia, oczekiwania, jakby wiedzieli, co się za chwilę wydarzy. Gdy Katia zaparkowała przed Domem Ostatnich Pożegnań, odwróciła się w stronę Adama, a on patrzył na nią z intensywnością, od której przeszedł ją dreszcz. Nie była pewna, kto wykonał pierwszy ruch. W tle Dolly Parton zapewniała, że jej grzechy wcale nie są cięższe tylko dlatego, że jest kobietą, a dłoń Adama zanurzyła się we włosach Katii, jej twarz nagle

znalazła się tak blisko jego twarzy, że czuła na skórze muśnięcia jego oddechu. A gdy ich usta się zetknęły, odniosła wrażenie, jakby zamknął się obwód i przez ich ciała przepłynęła elektryczność, która rozświetliła w jej głowie wszystkie żaróweczki. Adam wcale nie całował jak miły chłopiec, oj nie. Dała się ponieść namiętności, ogarniającej jej ciało jak pożar. Nagle jej dłonie szukały ciepła jego ciała, a jego palce zsuwały się po jej odsłoniętym ramieniu. Przestała myśleć, był tylko on, te przekłete usta, zapach jego skóry i urywane oddechy, kiedy łaknęli dotyku bardziej niż powietrza.

Kto wie, jak daleko by się posunęli – może nawet zaliczyliby szalony seks na przednich siedzeniach samochodu zaparkowanego przed domem pogrzebowym – gdyby nie magia.

Podświadomie Katia poczuła aurę Adama ocierającą się o jej własną. Jego jasny fiolet przyciągał jej znacznie ciemniejszy, bardziej intensywny. To się zdarzało, jeśli magie były kompatybilne, a ona miała już partnerów z tej samej domeny magicznej, więc ledwie na to zwróciła uwagę. Kiedy jednak jej magia prześlizgnęła się po Adamie, ten zeszytniał.

Nagle bańka zmysłów prysła.

Odsunął się od niej, dziwnie blady. Czy on się trząsł? Spróbował coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową i odsunął się jeszcze bardziej, tak, że praktycznie wbijał się plecami w drzwi samochodu.

– Adam, wszystko w porządku? – zapytała, choć przecież widziała, że nie, nie jest w porządku.

– To... czułaś to? – wykrztusił.

– Magię? Tak, czasem tak robią, gdy są kompatybilne... Jeśli ci to przeszkadza, mogę założyć osłony – zapewniła, choć nadal nie pojmowała jego gwałtownej reakcji.

Gdyby był zielonym magiem czy inną niewinną duszyczką, zrozumiałaby, ale nosił przecież magię śmierci, jak ona. Czemu miał problem z jej mocą? Z czymś, czego nie mogła, ale i nie chciała zmienić. Była, kim była, jeśli mu to przeszkadzało – cóż...

– Ja nie... niemożliwe... – bełkotał.

– A i owszem, kochany, a i owszem – zapewniła i sięgnęła w stronę strzępków jasnego fioletu.

– Przepraszam, ja nie mogę. – Po omacku zaczął szukać klamki.

– Adam, przecież nic nie musimy robić – zapewniła spokojnie. Nastrój już i tak szlag trafił, ale przecież mogli pozostać na stopie przyjacielskiej. I następnego dnia swobodnie spojrzeć sobie w oczy. – Jeśli to dla ciebie niekomfortowe, zapomnij – dodała. – Rozumiem, że może budzić jakieś złe wspomnienia...

Spojrzał na nią gwałtownie, jakby trafiła go w czuły punkt.

– Co masz na myśli? – zapytał ostro.

– Nie wiem, Adam, nie wiem! Zgaduję! Próbuję zneutralizować tę bombę zażenowania, która się właśnie uzbraja! Pomyślałam, że może cokolwiek musiałeś zrobić, by wytargować życie ojca, uprzedziło cię do magii śmierci i niechcący przywołałam jakąś traumę, choć wiedziałeś, że jestem nekromantką. W przeciwieństwie do ciebie nie mam problemu z magią, twoją czy własną! – Starła się zachować spokój, ale mówiła głośniej, niż powinna, a dłonie musiała zacisnąć na kierownicy, by nie dźgnąć Adama palcem w piers.

– Ja muszę iść – wykrztusił, szarpnął za klamkę i prawie wypadł z auta, kiedy drzwi, na które napierał, gwałtownie się otworzyły. – Muszę już iść – powtórzył.

Ale nie szedł, prawie biegł, jakby chciał jak najszybciej znaleźć się możliwie jak najdalej od niej.

Zabolało.

Gdyby nie okazał się w tym momencie takim dupkiem, może zawołałaby za nim i podzieliła się deserem od Sajra, ale w tych okolicznościach sięgnęła przez siedzenie, zatrzasnęła drzwi i odjechała, zdezorientowana i nabuzowana złością.

Co się tu, do kurwy nędzy, wydarzyło? W jednej chwili mają na sobie za wiele ubrań i dyszą obietnicami, wpijając się nawzajem w swoje usta, a w następnej typ zachowuje się tak, jakby go uwiodła i nastawała na jego cnotę wbrew jego woli. Myślała, że się dogadują. Że są na tej samej stronie

i zmiierzają do happy endu. Teraz nie była pewna, czy w ogóle byli w tej samej książce. Co za bałagan!

I właściwie czemu płakała? Co za idiotyczny pomysł, by płakać? Przecież nic się nie wydarzyło. Głupi pocałunek to za mało, by złamać jej serce.

Cofnęła kilka piosenek w składance i przełykając łzy, śpiewała razem z Taylor Swift *All Too Well*. Och nie, jej zawód z Adamem nie miał startu do najsmutniejszej historii miłosnej w dziejach, ale właśnie dlatego tak bardzo pragnęła ją usłyszeć. Potrzebowała punktu odniesienia, by w porównaniu z nim to, co czuła, zmałało i stało się tylko drobną przykrością. Jej serce wciąż było całe. Prawda?

Nim piosenka dobiegła końca, czuła się lepiej. Niby tylko dziesięć minut, a najlepsza terapia świata! – pomyślała, parkując przed kamienicą, o której wciąż nie potrafiła myśleć jak o domu. Przynajmniej miała ze sobą pudełko cannoli.

ROZDZIAŁ 24

Brzydkie sekrety i nocne wezwanie

W mieszkaniu powitała ją pustka, przytłaczająca cisza i ściana obklejona kolorowymi karteczkami. I to nią powinna się zajmować, a nie bezproduktywnym gdybaniem. Co jej w ogóle przyszło do głowy?

Dora sądziła, że jej przyjaciółka jest optymistką szukającą księcia na białym koniu. Prawda, którą Katia ukrywała nawet przed sobą, była dużo mniej przyjemna. Tak naprawdę wcale nie wierzyła, że gdzieś tam czeka na nią szczęście. Wszystko się zawsze sypało. Albo dokonywała fatalnych wyborów, albo, kiedy udawało jej się wybrać całkiem nieźle, coś się musiało dokumentnie spieprzyć. Gdyby była jej pisana miłość, pewnie już by ją spotkała. Być może jedyne, co jest mi pisane, pomyślała, to wieczne uganianie się za mirażem. Nie użalała się nad sobą. Zwykle sam pościg za króliczkiem dawał wystarczająco dużo satysfakcji. Nie była męczennicą, randkowanie traktowała jako dobrą zabawę. Po prostu w jej przypadku nie prowadziło do trwałego związku.

Mogła sobie tłumaczyć, że to przez magię, która zniechęca, odstrasza, odpędza potencjalnych kandydatów. Czasami całkiem dosłownie, jak w przypadku Kamala, który nie przyjął dobrze informacji, że szanse na zajście w ciążę i jej donoszenie są w przypadku Katii mniej niż znikome. Magia śmierci i tworzenie nowego życia nie szły w parze. Może dlatego nekromantki w Europie można było policzyć na palcach obu rąk, choć nekromantów były setki, jeśli nie więcej. To stanowiło dla Kamala problem. Nie przypadkiem po śmierci ojca zostawił szyld „Kamal i Syn”.

Katia nie miała żalu, rozstali się w zgodzie i doceniała, że przedsiębiorca pogrzebowy jasno określił swoje oczekiwania, zamiast pozwolić im obojgu marnować czas na coś, co nie mogło się udać. Minęło ponad dziesięć lat i każde z nich nadal było singlem, a Kamal nie doczekał się potomka. Najwyraźniej w kwestii uczuć oboje mieli pod górkę.

Równie dobrze mogę odpuścić, pomyślała, bo inaczej czeka mnie tylko pasmo rozczarowań. I choć umiała żartować z tego, jak dobrze przećwiczone ma już kończenie związków, nie miałyby nic przeciwko zdrowej, partnerskiej relacji z dojrzałym emocjonalnie facetem, z którym mogłaby wiązać swoją przyszłość dalej niż do przyszłego czwartku. Czy wymagała od losu zbyt wiele? Cóż, najwyraźniej tak.

Dlatego lepiej zrobi, jeśli skupi się na pracy. Na magii. Na śledztwie. Na pułapce. Na wyborach. Na rewolucji w Starszyźnie. Na ukróceniu patologii w branży. Na kolonizacji Księżyca. Każdy z tych celów wydawał się bardziej dostępny niż zbudowanie względnie niepatologicznego związku. Więc nie, Katia nie była optymistką. Ale miała inne zalety.

Na przykład została cholernie dobrą nekromantką. Magia, w przeciwieństwie do miłości, była czymś, co do pewnego stopnia dało się kontrolować. Owszem, sporo zależało od tego, ile odziedziczyło się w genach, ale to był tylko fundament. Resztę zbudowała ciężką pracą, nauką i uporem. Dwadzieścia lat szlifowała umiejętności i inwestowała czas i pieniądze w kursy oraz najlepszych nauczycieli. Była dobra. I wierzyła, że złapie gada, który wykradał ciała dzieci, udaremniając im wieczny odpoczynek.

Dlatego o dwudziestej trzeciej, przebrana w legginsy i ciepłą bluzę (ogrzewanie w kamienicy najwyraźniej już wyłączono; cóż za optymizm!), siedziała na podłodze przed ścianą z informacjami. Jedząc cannoli, analizowała kolejny raz wszystko, co wiedziała. Dopisała też to, co udało się ustalić podczas rozmów z Kamalem i Kowalem.

Jej lista rzeczy do zrobienia liczyła w tym momencie trzy podstawowe punkty:

1. Pogadać z MZ.

2. Zbudować pułapkę.

3. Złapać gada.

Katia nie łudziła się, że będzie to łatwe, zwłaszcza punkt drugi, ale i tak było bardziej prawdopodobne niż opcja „i żyli długo i szczęśliwie, już jej niosą całun z welonem”.

Przypomniała sobie, że przez cały dzień nie logowała się na pocztę. Nie robiła sobie wielkich nadziei. Jej kontakty bez wyjątku mieszkwały w alternatywnych miastach, gdzie różnie bywało z dostępem do internetu, poza tym nie korzystano z niego tak często jak w realnych miastach.

Aż pisnęła, widząc dwie nowe wiadomości. Pierwszą wysłała znajoma szeptucha zaklinaczka, którą wiele lat wcześniej poznała na kursie poświęconym psychopompom. Były jedynymi dziewczynami na zajęciach, więc siłą rzeczy grawitowały ku sobie. Potem Tatiana wróciła do siebie do Krakowa i kontakt się rozluźnił, ograniczony do sporadycznych maili w duchu: „Co u ciebie? Musimy się znów spotkać! Tyle lat!”. Pochłonęła je codzienność, zresztą po zakończeniu kursu łączyło je niewiele. Teraz jednak dla Katii kluczowe było miasto pochodzenia Tatiany, a także, jeśli dobrze zapamiętała, szerokie kontakty jej matki w tamtejszej Starszyźnie i na uczelni.

Nie zawiodła się. Szeptucha, po dwóch akapitach uprzejmości i zapewnień, że na pewno kiedyś odwiedzi Katię w Toruniu, przeszła do rzeczy. Owszem, słyszała co nieco o Egonie Bremmerze. W sumie nic dobrego.

Miał reputację konserwatywnej skamieliny. Przez jakiś czas uczestniczył w szkoleniach magicznych jako instruktor, ale został zwolniony w atmosferze skandalu. Szczegółów Tatiana niestety nie znała. Matka wspominała tylko, że sprawę natychmiast wyciszono, bo liczył był w bliskiej komitywie z głową Starszyny i odpowiednikiem rektora na uczelni. Szepty na korytarzach sugerowały, że miało to coś wspólnego z molestowaniem studentek i wymuszaniem seksu jako warunku zaliczenia, ale Tatiana miała co do tego wątpliwości. Przede wszystkim dlatego, że jej dawna uczelnia nie podchodziła do oskarżeń o

molestowanie na tyle poważnie, by kogokolwiek z tego powodu zwalniać. Stare mury, stare obyczaje. Mentalność spod znaku: „czego się pannice spodziewały, pchając się do szkół?” wciąż miała się nieźle.

Nic dziwnego, że Tatiana tak wiele zaliczeń zdobywała w ramach wymiany w innych ośrodkach, także w Trójprzymierzu. Tam pierwsze skrzypce grały Juliana, Jemiola i Darń, na klub lubieżnych dziadów nie było zgody.

A po drugie (Tatiana wspierała się opinią matki, która miała nieprzyjemność znać Bremmera osobiście), liczył nie był specjalnie zainteresowany erotycznymi podbojami. Przynajmniej jeśli szło o młode kobiety, cokolwiek to dokładnie znaczyło. Matka nie rozwinęła tematu, wspomniała tylko, że to bardzo nieprzyjemny mężczyzna i lepiej trzymać się od niego z daleka.

Drugi mail napisał Filip, znajomy nekromanta z Wrocławia, jeden z nielicznych, z którymi Katia się dogadywała, głównie dlatego, że nie zdradzał objawów trupiej gorączki i miał silny kręgosłup moralny, co w tym fachu było niezbyt częste, za to konieczne, by uniknąć pokus. Filip nie znał Egona osobiście, ale owszem, słyszał o nim w bardzo niewesołym kontekście. Liczył, po tym, jak wydalono go z krakowskiej uczelni, próbował się zaczepić we Wrocławiu.

I może by mu się to nawet udało, ale plotki na temat rozstania z Wawelem były na tyle paskudne, że jego zakusy spotkały się z oporem środowiska. Filip nie znał szczegółów, był o dwieście lat za młody, by zasiadać w Starszyźnie miasta, a tym samym uczestniczyć w zamkniętych obradach w tej sprawie, ale echo niosące się po korytarzach sugerowało, że wydalenie Egona z uczelni było powiązane z zaginięciem dziesięcioletniego chłopca w Krakowie. Ciała nie odnaleziono.

Katia przeczytała mail dwukrotnie. Filip nie napisał tego wprost, jakby z góry zakładał, że mogłoby się to skończyć procesem, ale wyraźnie zasugerował pedofilskie inklinacje licza.

Czy Bremmer preferował chłopców, czy po prostu to do nich miał dostęp? Większość księży o skłonnościach pedofilskich też preferowałyby małe dziewczynki, gdyby tylko kręciły się po zakrystii. A że tradycyjnie

ministrantami są chłopcy... Jak się nie ma, co się lubi, to się gwałci, co się ma.

Tak czy inaczej, Dora musiała się o tym dowiedzieć. Niewiele rzeczy łatwiej uruchamiało w niej rozjuszoną harpię niż pedofilia i jeśli jeden zwyrodnialec właśnie osiedlił się w ich mieście, na pewno zainterweniuje. A co ważniejsze, jeżeli sprawę wyciszono, jako Namiestniczka zdoła dotrzeć do szczegółów skandalu.

Było późno, możliwe, że przyjaciółka już spała, a do tego prawie na pewno przebywała teraz w realnym mieście, ale Katia nie chciała czekać do rana. Wybrała numer i z duszą na ramieniu czekała na połączenie. Odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała znajomy głos.

– Wszystko w porządku? – zapytała Dora. Brzmiała na lekko zaspaną, ale przytomną.

– Nie wiem, myślę, że nie. Chyba mamy problem – powiedziała cicho Katia. – Chodzi o Egona Bremmera. Popytałam o niego znajomych z branży.

– I coś ci śmierdzi bardziej niż jego paskudna aura?

– Wygląda na to, że wyjechał z Krakowa w atmosferze skandalu. I są dwie opcje: albo molestował studentki, albo był zamieszany w zniknięcie chłopca. Choć może to tylko zasłona dymna i prawda jest jeszcze inna. Warto, by nieustraszona Namiestniczka Thornu przyjrzała się sprawie z bliska, z wrodzoną dociekliwością.

– Myślisz, że Gardiasz wie i zabawił się w biskupią ruletkę, przenosząc pedofila na własną parafię? – zapytała Namiestniczka, a w jej głosie słychać było napięcie.

– Nie wiem. Są blisko. Widziałam ich dziś, jak sobie gruchali we Włoskich Grzeszkach, z Katarzyną i tą demoniczną burdelmamą, która bywa w Otchłani.

– Rosaną? Ciekawe. Podrzucę temat Asowi, lubi mieć oko na takie rzeczy. Czy Bremmer może się Gardiaszowi do czegoś przydać? Jest potężny? – zapytała.

– To licz. Ich magia jest paskudna. Przeniesienie do nowego ciała i utrzymywanie go w formie wymaga ofiar, a wystarczająco świeże ciała też

na ulicy nie leżą. Może ktoś go złapał z ręką w kostnicy? Serio, nie mam pojęcia, czy Gardiasz ma z niego jakiś pożytek. Może wystarczy mu, że dzięki liczowi wyeliminuje w wyborach niewygodną kandydatkę.

– A jeśli faktycznie ma na niego haka w postaci skandalu pedofilskiego, może być pewny, że typ nie wyemancypuje się na stanowisku i będzie grał z nim w jednej drużynie.

– I z Katarzyną – przypomniała Katia.

– Tak, to interesujące. Klaudia nie żyje, Bruno nie żyje, może Gardiasz rozgląda się za nowym sojuszem albo chce mieć pewność, że w razie czego ktoś inny wylosuje krótszą słomkę ...

– Nie wiem, Dora. Sama wiesz, że knuć potrafi lepiej niż scenarzyści Mody na sukces. Z mojej perspektywy to wciąż nie mój cyrk, nie moje małpy. Ale mam puste trumny i zaginione dziewczynki, a licz pedofil jest dobrym podejrzanym.

– Dowiem się, za co go wywalili. Tylko to chwilę potrwa – zaznaczyła przyjaciółka. – Namiestnik na Wawelu ma sto dwadzieścia lat i jest technofobem jakich mało. Nie zadzwonię, nie wyślę maila, muszę zajrzeć do niego osobiście z butelką okowity.

– Jak twoje sprawy w Berlinie? – zapytała z nadzieją Katia.

– Nieźle. Jutro, najpóźniej pojutrze powinny się wyklarować. A w drodze powrotnej zahaczę o Kraków – zapewniła. – Dzwoni, gdyby cokolwiek się zmieniło albo gdybyś potrzebowała wsparcia.

– A co? Rzucisz wszystko i teleportujesz się z Berlina?

– Witkacy jest w mieście.

– Co mówi o naszym życiu fakt, że z ewentualną odsieczą ruszy szaman o znikomej wartości bojowej?

– Jeśli będziesz potrzebowała wartości bojowej, uderzaj do Leona albo Asa. Miron z Salcią pewnie siedzą w Piekło, ale reszta nie rusza się z Thornu.

– Jak nie narkomańskie nasienie, to piekielne nasiona, doprawdy, co z moją reputacją?

Dora parsknęła śmiechem.

– Nie gorsza niż zwykle, jak zawsze lepsza niż moja – odparła.

– Może niedługo... – Katia się zawahała.

To wystarczyło, żeby Dora nadstawiła uszu.

– Dobra, po prostu to powiedz, bez owijania w błyszczący papier – zażądała.

– Chodzi o sprawę... Chcę zastawić pułapkę na porywacza ciał. Ale będę musiała zrobić coś, co jest... no, delikatnie mówiąc, nielegalne.

– Komuś stanie się krzywda? – zapytała krótko Namiestniczka.

– Nie, ale prawa boskie tego zabraniają – przyznała Katia.

– Prawa którego dokładnie boga? Któregoś, z którym musimy się specjalnie liczyć?

– Twoja perspektywa jest niepodrabialna. Będzie sporo gadania, kiedy to się wyda. I być może dam Gardiaszowi do ręki naładowaną broń, jeśli się dowie.

– Czy to coś, czego Gardiasz osobiście zabronił? Wpisał do kodeksu?

– Nie sądzę.

– Więc nie jest to niezgodne z literą prawa. Ale czasem robisz, co musisz. Jeśli znajdziesz zawczasu dupochron, świetnie. Jeśli nie i sprawa się rypnie, załatwimy wszystko po kolei. Nie martw się, masz w swoim narożniku małą armię i nawet sobie nie ubrudzisz rączek.

– Czasami mnie przerażasz – powiedziała Katia, ale musiała przyznać w duchu, że jej ulżyło.

– Kochana, znamy się tyle lat. Doskonale wiesz, że gdybym chciała szybko pozbyć się trupa, zadzwoniłabym do ciebie. Mam nadzieję, że w odwrotnej sytuacji ty zadzwoniłabyś do mnie.

– Po co? Gdybym musiała się pozbyć trupa, po prostu zaśpiewałabym kołysankę ziemi, a ta sama by go połknęła, bez konieczności kopania.

Dora parsknęła.

– Źle dobrana metafora w rozmowie z nekromantką... ale wiesz, co mam na myśli.

– Jasne, i doceniam to każdego dnia.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza. Przerwało ją dopiero delikatne chrząknięcie.

– Jest jeszcze jeden drobiazg, o którym zapomniałam ci powiedzieć przed wyjazdem – odezwała się Namiestniczka. – Chodzi o mieszkanie, a dokładniej o naszą kamienicę.

– Czynsz jest jednak dwa razy wyższy i muszę dorzucić nerkę?

– Obejdzie się bez nerki, a czynsz jak ustaliłyśmy. Chodzi o bariery ochronne. Są solidne, choć dosyć specyficzne.

– Musiałam wprowadzić gościa, bo odbił się od progu.

– Wiem – przyznała Dora – poczułam obcą osobę przy barierach. To kompletnie nie moja sprawa i słowo daję, szanuję twoją prywatność. Zmienimy barierę, gdy tylko wrócę, jeśli oczywiście chcesz...

– Dora, wykrztuś to wreszcie – poprosiła Katia.

– Oj, no dobrze. Jeśli raz go wprowadziłaś, będzie mógł wejść do budynku już zawsze. Bariera go zapamiętała. Musiałam wykombinować coś takiego, żeby nie zbiegać po schodach za każdym razem, jak przychodzi Roman, Leon, Luc czy koleżanka Salci. To jak system alarmowy, w którym definiowane są osoby bezpieczne. Ty, Witkacy czy Joshua możecie wejść bez problemów, bo zakłęcie was uwzględnia. Są też wyjątki, czyli osoby zatwierdzone przez nas lub przez was. Status wyjątku powstaje właśnie przy przeprowadzeniu przez barierę.

– Czyli gdyby ktoś trzymał mnie na muszce, a ja bym go przeprowadziła przez próg, mógłby potem wejść, ile razy by chciał? – zapytała niewinnie nekromantka.

– Cholera, trzeba to doprecyzować – przyznała Dora. – Uszczelniliśmy system, odkąd zostaliśmy w budynku tylko my, jeśli nie liczyć ducha z parteru...

– Mamy ducha na parterze?

– Niegroźny. Witkacy z nim rozmawiał, nieistotne. Ważne jest to, że nie wiedziałaś, że wprowadzając kogoś, dajesz mu trwałą przepustkę. A to w sumie ważna informacja, powinnam ci to powiedzieć od razu.

- Dlatego spotkania służbowe odbywasz w Szatańskim Pierwiosnku - domyśliła się Katia.

- Głównie dlatego, że tak mi wygodnie, a Leon mnie dokarmia, ilekroć wpadnę, ale tak, to jeden z powodów.

- Zapamiętam - zapewniła Katia. - I dziękuję. Za mieszkanie i za to, że znalazłaś rozwiązanie, zanim sama zmierzyłam się z problemem.

- Nie ma za co. Jak ci się mieszka?

- Jest dobrze. Choć na krótką metę. Pracowni ceramicznej tu nie wcisnę. Ale znajdę coś innego.

- Sprzedajesz dom w Toruniu?

- Nie wykluczam tego. Na razie mi się to wszystko klaruje, ale przynajmniej minęła mi faza wyparcia.

Dora była na tyle delikatna, by nie przytaknąć.

Katia podłączyła do ładowania komórkę, której bateria ostrzegawczo popiskiwała, i wróciła do przeglądania notatek na ścianie z nadzieją, że zobaczy coś, co wcześniej jej umknęło.

Powinna się położyć spać, była zmęczona, bo poprzedniej nocy ledwie złapała trochę snu... ale właśnie przez tę poprzednią noc bała się zasnąć. Bała się, że wróci uczucie roztrzęsienia i odcięcia, które zabolalo ją bardziej, niż chciała przyznać.

Jednak to, że nie położyła się do łóżka, nie znaczyło wcale, że czeka ją spokojna noc.

ROZDZIAŁ 25

Już czas

Obudził ją wysoki, alarmujący dźwięk, przenikający ciało na wskroś i wprawiający kości w drżenie. Zerwała się z podłogi, na której przysnęła, opierając się plecami o kanapę, i przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest ani co się dzieje. W pokoju wciąż paliło się światło, a za oknem rysowały się pierwsze smugi różowawego świtu.

Rozpoznanie dźwięku zajęło jej kilkanaście sekund. Przy poprzednim spotkaniu z Matką Ziemią stwierdziła w duchu, że wołałaby prastare pieśni niż bezpośrednie groźby, i oto miała... Germańska pieśń wezwania do boju rozbrzmiewała w jej uszach wysokim zawrosciem trąb i rytmicznymi uderzeniami bębnow. Katia nie słyszała słów, ale nie musiała – znała ten utwór. Tradycyjnie śpiewany był przed bitwą przez wojowników, którzy godzili się z tym, że mogą nie wrócić do swych wiosek, do domów, ale mieli pewność, że ich synowie będą z nich dumni, wnukowie będą o nich głosić legendy, a wrogowie opowieściami o tym, co miało nastąpić – straszyc własne potomstwo.

Poczuła wezwanie, któremu nie potrafiłaby się oprzeć, nawet gdyby bardzo próbowała. Mogła tylko założyć kozaki, narzucić na bluzę płaszcz i ruszyć w stronę cmentarza. Wszystkie bramy i furty były jeszcze zamknięte, ale jeśli trzeba, przejdzie przez ogrodzenie. Gorąco liczyła, że Kowal nie sięgnął po dodatkowe zaklęcia ochronne, które usmażą jej tyłek.

Im bliżej była nekropolii, tym bardziej ogłuszający stawał się dźwięk w jej uszach. Aż dziw, że szyby w samochodach i oknach mijanych domów nie drżały, nie pękały w drobny mak, a spanikowani mieszkańcy nie

wybiegali na ulice... Cóż, niczego nie słyszeli. Nie licząc garstki magicznych związanych z domeną śmierci, pieśni zmarłych nie zakłócały spokoju żywym.

Zaparkowała z boku cmentarza, w miejscu, gdzie wcześniej pokonywała mur po godzinach zamknięcia, ale ku jej zaskoczeniu żelazna furtka stała otworem. Katia weszła na teren nekropolii i otoczyło ją ciepłe światło tysiąca świec, tworzące lunę nad pomnikami. Przywodziło na myśl Zaduszki, kiedy na każdym nagrobku stały dziesiątki zapalonych zniczy. Tyle że teraz nie widziała ani jednej świecy, mimo to blask zalewał wszystko wokół, wyciągając z pomników i rzeźb każdy szczegół. Szła alejką, rozglądając się czujnie. Nie wiedziała, gdzie powinna się kierować, a jednocześnie czuła, dokąd musi pójść.

Matka Ziemia czekała na nią z łagodnym uśmiechem. Znow wyglądała bardziej jak ludzka kobieta po czterdziestce, z ciemnobrązowymi falującymi włosami miękko okalającymi jej pełną, lekko zaróżowioną twarz. W bordowej sukience z grubego lnu i długiej pelerynie w kolorze wina z kapturem wykończonym rdzawym futrem, stała przed wejściem do ogrodu dumania z ramionami zaplecionymi na piersiach.

- Witaj, dziecko - odezwała się i Katia doceniła, jak ludzko i delikatnie brzmiał jej głos. Prawie przestała się bać, że nadszedł czas sądu i kary.

Odpowiedziała pochYLENIEM głowy. Nie domyślała się, jaki był powód wezwania, ale echo bitewnych bębnow wciAż niosło się po cmentarzu i wcale nie wpływało kojąco na jej nerwy. Jadąc tu, nie mogła wykluczyć, że jej czas dobiegł końca. To, że nie wiedziała o istnieniu deadline'u, nie znaczyło, że ten nie istnieje. Bogini miała prawo być zniecierpliwiona tym, że Katia wciąż nie znalazła wykradzonych dziewczynek i nie potrafiła wskazać winnego. I nie miało nic do rzeczy, że minęły raptem dwa dni.

- Poczekajmy jeszcze chwilę - powiedziała Matka Ziemia, wprowadzając nekromantkę przez pierwszy okręg kolumbarium.

Ogród dumania leżał w sercu cmentarza i był jednym z najpiękniejszych miejsc w całej nekropolii. Rozmieszczony na planie koła, składał się z sześciu okręgów, na których wyrastały kolumbaria z białego piaskowca, z czarnymi tabliczkami pokrytymi nazwiskami zmarłych

złożonych tu na wieczny odpoczynek. W centrum stała świątynia dumania – stylizowane na starożytne ruiny greckiej świątyni, tak popularne w osiemnastym wieku. Białe kolumny odcinały się od wiecznie zielonych krzewów, porośnięte obficie mchem kamienie były malowniczo rozrzucone po całym terenie ogrodu, a kilka wykutych z wapienia ławek z wysokimi oparciami, udekorowanymi wygładzonymi przez czas symbolami śmierci, zachęcało, by przysiąść na nich i zadumać się nad kruchością ludzkiego życia.

Idąc ramię w ramię z Matką Ziemią, Katia wolałaby o tym akurat nie myśleć, ale nic nie mogła na to poradzić. Choć pocieszała się, że bogini wydawała się spokojniejsza niż podczas ostatniego spotkania, wręcz pogodna, to przecież w kontaktach z bóstwami pewne było jedno – były zmienne jak marcowa pogoda, a gwałtowność reakcji nijak nie mieściła się w granicach zdrowego rozsądku.

– Jesteś dziś bardzo cicha – powiedziała nagle Matka Ziemia, rzucając Katii spojrzenie spod długich rzęs.

– Po prostu zmęczona – wymówiła się nekromantka i nawet zdobyła się na błądy uśmiech. Czułaby się lepiej, gdyby wiedziała, po co ją właściwie wezwano.

– To nie potrwa długo, tak myślę – stwierdziła bogini i przeszła jeszcze kilka kroków, by usiąść na stopniu świątyni dumania. Jej peleryna rozlała się po białym wapieniu jak wino. Albo krew. Katia złapała się na tym, że dociska dłoń do żołądka, próbując go uspokoić.

– Co konkretnie? – zdobyła się na pytanie.

Matka Ziemia spojrzała na nią zaskoczona.

– Co nie potrwa długo? – rozwinęła pytanie nekromantka.

– Ach. Czekanie – odpowiedziała bogini i uśmiechnęła się szeroko, jakby dezorientowanie Katii było rozrywką, której nie mogła sobie odmówić.

Katia usłyszała kroki za swoimi plecami. Odwróciła się gwałtownie i dostrzegła Kowala.

– Pani – powiedział cicho dozorca i pochylił głowę.

- Wszystko dobrze, dzieci, usiądźcie sobie. Dajmy im jeszcze kilka minut. Żeby nikt nam nie zarzucił, że jestem niesprawiedliwa, bo tego byśmy nie chcieli. - Zaśmiała się, jakby to był najlepszy żart w historii.

Katia i Kowal posłusznie opadli na wapienną ławkę, zimną i wilgotną od rosy. Starzec rzucił nekromantce pytające spojrzenie. Ostrożnie pokręciła głową. Echo trąb i bębnow bitewnych wciąż przetaczało się w powietrzu.

- Zwariować można od tego bębnienia - mruknął Kowal. - Zmarłego by z trumny wyciągnęło.

Katia odruchowo ścisnęła jego sękatą dłoń w geście otuchy.

- Słyszać je daleko poza cmentarzem - szepnęła.

Drgnął.

- Co ona robi? - zapytał półgłosem, a jego chude ciało, spowite warstwami wełny, bawełny i tweedu, drżało, jakby nagle ziąb zakradł mu się w kości.

- Spokojnie, dzieci - odezwała się Matka Ziemia. - To noc brania się za barki z losem i udzielania odpowiedzi na wezwanie, nie kary i przelewu krwi.

Katia pomyślała, że efekt uspokajający byłby dużo lepszy, gdyby w ogóle nie wspomniała o karze i krwi, ale nie zamierzała szkolić bogini z taktyki komunikacji ze śmiertelnikami.

Melodia tymczasem wzrastała, do trąbek i bębnow dołączyło przeciągłe, wibrujące wezwanie rogów, aż nagle, w najwyższym punkcie, wszystko ucichło, jakby ucięło ją nożem. Katia pomyślała, że było to najdłuższe - zerknęła dyskretnie na zegarek - dwadzieścia siedem minut jej życia. Tyle bowiem czasu minęło, odkąd obudziła się na podłodze w mieszkaniu.

- Nawet gdybyś była po drugiej stronie bramy, zdążyłabyś dojechać, prawda? - zapytała uprzejmie bogini.

Katia przytaknęła. Może nie o każdej porze dnia, ale tuż przed świtem, gdy miasto spało, na pewno.

- Doskonale. Kto miał usłyszeć, usłyszał. Kto miał dotrzeć, dotarł - oświadczyła Matka Ziemia. Wstała ze stopnia i otrzepała pelerynę z kurzu.

– Kowalu, ty już masz zobowiązania wobec tego cmentarza, więc jesteś tu dziś jako świadek. Czy przyjmujesz tę rolę? – zapytała.

– Oczywiście – zapewnił dozorca i skłonił głowę. Wyraźnie mu ulżyło.

– Katiu, dziecko drogie. Już czas – bogini zwróciła się do nekromantki.

– Czekałam długo, zmarli czekali długo. Starczy już. Czy bierzesz na siebie odpowiedzialność za ten cmentarz, za tych zmarłych i ich wieczny odpoczynek? Czy przysięgasz ich chronić przed zakusami tych, którzy chcieliby zakłócić ich spokój? Czy zrobisz wszystko, by harmonia pieśni tego miejsca nigdy nie została zakłócona?

Katia odruchowo wstała, ale nie potrafiła wykrztusić słowa.

– Zjadłaś własny język, dziewczyno? – zapytała po chwili bogini, ale uśmiechnęła się zachęcająco.

– Nie, to znaczy nie zjadłam, po prostu nie spodziewałam się... To nie takie proste, przecież wybory, decyzje, Gardiasz... – płątała się Katia.

Matka Ziemia machnęła lekceważąco ręką.

– Nie interesują mnie gierki Starszyny, ich decyzje nie dotyczą mnie ani moich zmarłych. Klaudia nie pełniła funkcji opiekunki nekropolii dlatego, że należała do Starszyny. Zdaje się, że było odwrotnie: dopiero gdy cmentarz ją przyjął, Starszyna dała jej stołek. To nie ma znaczenia, czy będziesz, czy nie będziesz Starszą, nie o tym teraz rozmawiamy – oświadczyła z mocą.

– Nie przyjmą tego dobrze – szepnęła Katia.

– Kto dokładnie? – zapytała bogini, splatając ramiona na piersi.

– Gardiasz. I Egon Bremmer, który rości sobie prawo do tego cmentarza – wyjaśniła Katia.

– Gdyby jego roszczenia miały podstawy, już by tu był. Jeśli nie usłyszał pieśni, nie ma magii odpowiedniej, by przejąć cmentarz w opiekę. A jeśli ją usłyszał i zignorował, nie nadaje się do tej roboty tym bardziej – ucięła bogini. – Nie oglądaj się przez ramię, Katiu, patrz w swoje serce. Czy jesteś gotowa, by wziąć na siebie ten obowiązek? I przyjąć konsekwencje tego czynu?

Katia przymknęła powieki. Myśli kotłowały jej się pod czaszką. Oczywiście wiedziała, jakie będą konsekwencje. Każdy nekromanta to

wiedział. Jeśli przyjmie rolę opiekunki tej nekropolii, pozostaną trwale związane. Zawsze będzie czuła w kościach pieśń tutejszych zmarłych. Nie opuści już tego miasta. Nawet dłuższe wakacje będą wywoływać nieprzyjemne odczucia. Może nawet dom po drugiej stronie bramy stanie się zbyt odległy, a gdy tylko uda się do Torunia, zimny kolec martwej magii będzie ją szturchał raz za razem, nawołując do powrotu. Dlatego nigdy nie związała się z żadnym cmentarzem w Toruniu. Dlatego wahała się od tak dawna, czy powinna się związać z tym. Miała trzydzieści dwa lata, a jej życiem rządził chaos. Czy była gotowa związać się z tysiącami umarłych, skoro nie potrafiła się związać z jednym żywym?

Bogini patrzyła na nią z uwagą, jakby zaglądała jej pod skórę, do serca, do głowy. Katia poczuła, że ściska ją w żołądku bardziej niż kiedykolwiek.

– A jeśli mnie nie przyjmie? Jeśli nie jestem godna? – zapytała cicho.

– Przekonamy się. Ryzyko jest częścią wyzwania.

Jeśli jej nie przyjmie, może tego nie przeżyć. Może też być nieprzytomna przez kolejne dwa tygodnie. Może wreszcie odejść z cmentarza z własną magią strzaskaną jak pokruszony lód, a w jej duszy już na zawsze pozostanie chłód odrzucenia, który rozpozna każdy, kto choćby zerknie na jej aurę. Ale czy miała wyjście? Czy naprawdę mogła odmówić Matce Ziemi? I nekropolii, która od zbyt dawna była zdana tylko na siebie, do tego stopnia, że jej pieśń chwiała się na wykradzionych nutach?

– Tak, chcę spróbować – powiedziała Katia cicho.

– Doskonale. – Matka Ziemia aż zatarła dłonie. – Kiedy tylko będziesz gotowa. Byle szybko, bo nie mamy całego dnia – dodała i mrugnęła zawadiacko.

*

Katia, klęcząc na podłodze świątyni dumania – okrągłej, wykonanej z promieniście ułożonych kamiennych płyt, które zbiegały się wokół okręgu pośrodku – za pomocą miedzianych prętów wyrysowała pięć wierzchołków pentagramu. Rozsądny mag otoczyłby się kręgiem ochronnym, ale nekromanci nie byli rozsądni, zwłaszcza tacy jak ona, związani z żywiołem

ziemi, dla których byłyby to ograniczeniem dostępu do mocy wyczuwanej pod stopami.

Od kilku minut kiwała się w milczeniu, zasłuchana w melodię nekropolii, jedyną i niepowtarzalną. Chór tysięcy głosów i sygnatur. Zamknęła oczy, a pod powiekami wybuchały jej jaskrawe rozbłyski magii. Bała się, lecz jednocześnie czuła się gotowa bardziej, niż wyobrażała sobie, że może się czuć. Magia wyrwała się z niej, chętna, by przyłączyć się do chóru.

Gdy zaczęła śpiewać, nie myślała o słowach; może ich nie było, może magia sięgnęła po dźwięki starsze niż języki, które Katia знаła. Śpiewała jej dusza, jej magia. Z każdą sekundą moc w niej wzrastała, aż wierzchołki pentagramu świeciły w niebo jak reflektory. Wyśpiewywała wszystkie emocje, aż stała się pusta. Strach odchodził fala za falą, ból i samotność wsiąkały w kamienie pod jej stopami. Aż zostały tylko euforia, ufność, oddanie, miłość, odwaga. Oto była lepszą wersją siebie niż kiedykolwiek wcześniej. Jej głos niósł się szeroko jak fala po rzuceniu kamienia w sam środek jeziora, rozchodził się po całej nekropolii, docierając w każdy jej zaułek, do każdego grobu i grobowca. A gdy dopływał do zewnętrznych murów, wracał do niej echem.

Nie wiedziała, czy śpiewała minuty, czy godziny. Pieśń płynęła, aż serce Katii stało się puste, a dusza lekka. W gardle jej zaschło i nie była pewna, czy potrafiłaby teraz cokolwiek powiedzieć. Zresztą nie było już słów do mówienia. Umilkła. Mogła tylko czekać, słuchać i mieć nadzieję, że to wystarczy.



Sekundy spadały jak kamienie. Każdy oddech wyrywający się z piersi Katii wydawał się zbyt głośny w przedłużającej się ciszy. Zaciskała dłonie na miękkiej tkaninie płaszcza, a łzy spływały po jej twarzy. Cały świat skurczył się do tego cmentarza. Wszystko straciło wagę, liczyło się tylko oczekiwanie na odpowiedź.

I nagle uderzyła w nią fala energii tak intensywna, że jej zęby i kości zadygotały od wibracji. Nie pamiętała, by podniosła się na nogi, ale teraz stała, a magia odrywała ją od kamiennego podłoża, wypełniała ją jak wściekła, wzburzona rzeka. Rozrywała ją od środka, zbyt gwałtowna, zbyt silna! Każda komórka ciała Katii pełna mocy!

I wtedy pojawiła się melodia. Najpiękniejsza, najdziwniejsza, najbardziej skomplikowana. Nigdy nie zdołałaby jej zapisać na papierze nutowym, zaaranżować na orkiestrę czy chór. Wypełniała ją cała, warstwy dźwięków, harmonia niemożliwa!

Katia płakała ze wzruszenia, śmiała się w głos, a potem szlochała spazmatycznie, gdy euforia zmieniała się w ból, bo wszystko stało się zbyt intensywne, by mogła to w sobie pomieścić czy objąć rozumem. Ale nekropolia nie chciała jej skrzywdzić, rozpoznała cierpienie i wycofała się łagodnie. Zmniejszyła natężenie magii bombardującej nekromantkę dźwiękami, jakby przykręciła gałkę potencjometru. Ból odpłynął bez śladu. Zamiast niego przysłała troska.

– Już dobrze – wyszeptła Katia. Po czym złożyła obietnicę: – Jestem wasza, a wy jesteście moi.

I stało się. Poczuła, jak jej własna magia i magia cmentarna splatają się i zmieniają nawzajem, by już nigdy nie być takimi jak do tej pory.

Opadła miękko na posadzkę, jakby u ramion miała kopułę spadochronu albo skrzydła.

Była wyczerpana, ale i pełna energii.

Była sobą, choć nie taka sama.

Odepchnęła się dłońmi od szorstkich białych kamieni i wstała chwiejnie, jak nowo narodzony żrebak. Odetchnęła głęboko. Powietrze smakowało słodko, a jej nozdrza wypełnił ciężki zapach lilii. Wytarła oczy rąbką bluzy, bo rzęsy miała sklezione od łez.

Spojrzała w górę – niebo było już całkiem jasne, choć wciąż lekko różowiło się wschodem słońca. Odwróciła się, szukając wzrokiem Matki Ziemi i Kowala. Stali kawałek dalej, poza granicą ruin świątyni. Bogini uśmiechała się promiennie, jakby właśnie dostała najlepszy prezent. Kowal, prosty jak struna, wydawał się młodszy i mniej... marudny?

Katia na wciąż drżących nogach podeszła do nich, zeskoczyła z podwyższenia i natychmiast musiała usiąść, bo jej błędnik przez chwilę nie rozumiał, że wcale nie spada w otchłań, a różnica wysokości między posadzką świątyni a żwirową alejką obok jest nie większa niż pół metra. Schowała głowę między kolanami i kilka razy odetchnęła głębok.

Już dobrze, jest dobrze, powtarzała w duchu. Przeżyłam. Nekropolia mnie przyjęła. Nie stało się najgorsze, nie stało się nic złego... Wciąż nie docierało do niej, czego właściwie doświadczyła i co to znaczy w szerszej perspektywie, ale nie musiała nad tym myśleć, nie teraz. Odepchnęła się od kamiennego stopnia i stanęła wyprostowana przed boginią. Ta poklepała ją po ramieniu, jak dziecko, które świetnie się spisało.

– Nie mogłabym być z ciebie bardziej dumna! – powiedziała tylko, a Katii znów zwilgotniały oczy.

Zamrugnęła gwałtownie. Ze świstem wypuściła powietrze.

Myśl! Nie rozklejaj się jak makaron zostawiony zbyt długo na gazie, zrugęła się w myślach. Miała przed sobą boginię w doskonałym humorze – czy mogła sobie wyobrazić lepsze warunki, by zadać nurtujące ją pytanie?

– Jest coś, co muszę zrobić, by znaleźć dziewczynki i ich porywacza – powiedziała cicho.

Bogini popatrzyła na nią z uwagą, a kącik jej ust wciąż drgał w uśmiechu. Katia przedstawiła jej swój plan, a ta pokiwała głową i powiedziała:

– Pomogę ci, kiedy przyjdzie czas. Tylko pamiętaj, żeby nie ulec złudzeniu, że jesteś kimś więcej niż nekromantką i opiekunką tego miejsca.

– Kim innym miałabym być? – zdumiała się Katia, bo nie była pewna, czy rozumie Matkę Ziemię.

- Boginią, moja droga. Bo wtedy to będzie ostatnie, co zrobisz w tym życiu. I to nie ja tego dopilnuję, a ktoś, z kim nie da się tak miło dyskutować jak ze mną. - Znów się uśmiechnęła, ale w jej oczach nie było już ciepła czy humoru. Było za to ostrzeżenie, które Katia zamierzała wziąć sobie głęboko do serca.

- Kiedy chcesz zacząć? - zapytał Kowal.

- Od razu.

Skinął głową.

- Przygotowałem pierwszą partię.

Maszyna ruszyła, pomyślała Katia. Musiała przyłożyć dłoń płasko do brzucha, by uspokoić nerwy. Nie czas na nie. Miała zadanie do wykonania.

ROZDZIAŁ 26

Praca jej rąk

Dochodziła siódma. Wrzosa spowijała cisza, za wcześnie było na dhałasy ekipy remontowej, pokrzykiwania sąsiadki na krnąbrnego tłustego psa, który rabatę uważał za miejsce stworzone do tarzania się. Nadal nie mogła podejść bezpośrednio pod swoją bramę ze względu na blokującą ją hałdę żwiru, zaparkowała więc kawałek dalej, na chodniku, na którym i tak w odległości paru metrów stał ciężki sprzęt i całkowicie wypełniony kontener na gruz.

Wyciągnęła z bagażnika wiadro ziemi cementarnej i pchnęła furtkę. Przez lata uwielbiała ten moment, kiedy wracała z targów rękodziela czy szkolenia, i wchodziła na podwórko – schylona, bo nie chciała obcinać coraz niżej wiszących gałęzi wiśni – i zanim jeszcze docierała do drzwi, czuła to przyjemne łaskotanie w tyle głowy. Była w domu. Tym razem nie łaskotało. Pomyślała tylko, że mogłyby już wrócić prąd i woda, bo potrzebowała ich w pracowni. Tyle. Może kiedyś będzie miała dość czasu, by to wszystko przeanalizować, teraz jednak czuła tylko smutek i ssanie w żołądku.

Weszła do domu. Pstryknęła włącznik i korytarz załało światło. Dobre i to. Przed zabraniem się do pracy musiała coś zjeść. Znała się na tyle, by wiedzieć, że jeśli to odłoży, zapomni o posiłku i przez długie godziny w pracowni będzie ciągnąć na oparach. Przy zwykłej ceramice nie byłoby to niebezpieczne, ot, niezbyt rozsądne, ale dziś zamierzała zużyć mnóstwo magii i jej organizm odczułby to dużo bardziej, jeśli byłaby osłabiona.

W szafkach i lodówce nie znalazła wiele, ale to, co w nich zostało, starczyło na solidne śniadanie. Ugotowała torebkę ryżu i jajka, dorzuciła tuńczyka, posiekała kilka ostatnich pomidorków koktajlowych, korniszonów, oliwek i ostatnią łodygę selera naciowego, doprawiła gotowym sosem czosnkowym oraz garścią szczypiorku i pietruszki. Zaparzyła też dzbanek herbaty. Siedziała przy kuchennym stole i jadła posiłek z wielkiej miski na sałatkę, nawet nie pomyślała, by przełożyć go na talerz. Pochłonęła wszystko, choć gdyby ją ktoś zapytał, nie umiałaby nawet powiedzieć, czy smakowało.

Myśłami była już przy czekającym ją zadaniu. Miała tak naprawdę dwie opcje: paskudną i obrzydliwą. Właściwie obie były obrzydliwe, ale jedna bardziej. Katia przebrała się w roboczy kombinezon, związała włosy i z ostrym, poświęconym nożem oraz wiadrem ziemi przeszła do pracowni. Zwykle włączyłaby muzykę albo radio, ale dziś potrzebowała maksymalnego skupienia.

Mieszała glinę z ziemią cmentarną, pilnując proporcji. Glina była bardziej elastyczna, ale nie trzymała magii; ziemię, tłustą i ciężką, magia przesycala na wskroś. Za dużo pierwszej – golem będzie tylko figurką bez magii, za dużo drugiej – rozpadnie się, wysychając, i Katia nie zdoła nadać mu kształtu. Mieszała więc i ugniatała na drewnianym blacie, aż czerwonawa glina i czarna ziemia cmentarna połączyły się w gładką ciemnobrązową masę. Odkładała na bok każdą z wyrobionych kul i zabierała się do przygotowania kolejnej porcji, aż na dnie wiaderka nie został już nawet okruszek. Oto na blacie miała kilkanaście kul, każda wielkości jej głowy.

Teraz jeszcze krew...

Tworzenie golemów było czarną magią. Wymagało ofiary. Jednej, by golem powstał, większej liczby, by przetrwał. Kobieta, którą kiedyś złapali z Witkacym na lepieniu golemów, składała w ofierze zwierzęta, najpierw małe, potem coraz większe, bo magia była żarłoczna, a jej twory kruche i nietrwałe. Kiedy weszli do tamtego mieszkania, podłogę i meble pokrywały rozkładające się twory z ledwie wyczuwalnymi iskrami życia, a na ołtarzu wałały się gnijące truchła szczurów, królików, kotów. Kobieta

była całkowicie oddana idei zbudowania sobie mężczyzny, który kochałby ją aż po grób, i Katia szła o zakład, że gdyby jej nie złapali, w okolicy wkrótce zaczęłyby znikać dzieci.

Ofiary napędzały magię niezbędną do ożywienia tego, co nigdy żywe nie było – tworzenie golemów stało więc oczko wyżej niż nekromancja, za sprawą której temu, co martwe, przypominało się, że kiedyś żyło, wstawało więc z grobu, a w codziennych praktykach Katii – temu, co wstało z grobu, przypominało się, że jest martwe i powinno sobie dać spokój z chodzeniem. W uproszczeniu.

Golem natomiast potrzebował magii i esencji życia, które mogły zaanimować nieożywioną dotąd glinę. A gdy zrobiło się wszystko jak należy, glina była wystarczająco nasycona życiem, żeby zadziałało na nią zaklęcie animacji. Katia nie potrzebowała, by jej golem chodził czy mówił. Ale musiał wyglądać jak żywy. Musiał zwieść drapieżnika, przekonać go, że jest ciałem siedmioletniej, uroczej dziewczynki, wartym tego, by się włamać na cmentarz i wykopać trumnę.

Wbrew temu, co się mogło wydawać, łatwiejsze było animowanie niż uzyskanie pozoru prawdziwości. Golemy, które robiła kobieta na Żwirki i Wigury, nie wyglądały ludzko, były kanciaste, nieforemne, nie zwiodłyby nikogo. Ale popijały herbatkę i wymachiwały ramionami, gdy w telewizji leciał mecz.

Katia potrzebowała mnóstwo magii, by jej twór wyglądał jak dopiero co zmarłe dziecko. Nie zamierzała kupować tuzina królików ani krowy. Zostawało jej jedno – złożenie w ofercie siebie. Na szczęście nie musiała to być ofiara całościowa. Wystarczyła krew lub zęby – jakaś część jej, która nosiła jej DNA i magię. Do zębów była bardzo przywiązana. Nacięła więc przedramię, wystarczająco daleko od żył, by nie skończyło się niezaplanowanym samobójem, ale dość blisko, by spowodować obfite krwawienie. Nóż był cienki i bardzo ostry, więc brzegi rany zasklepiły się za szybko. Musiała je ścisnąć, otwierać nacięcie od nowa, aż krew znów ściekała po ręce. Pod wieloma względami najbardziej męcząca część całego procesu.

Zbierała krew do porcelanowej miseczki, żałując, że nie potrafi pobrać sobie krwi schludniejszą metodą, ale gdyby poprosiła o pomoc Konstancję, dawną partnerkę Witkaca, z zawodu pielęgniarkę, pytaniom nie byłoby końca. Jako niemagiczna matka nastoletniej szamanki Konstancja do magii podchodziła bardzo nieufnie.

Katia uzbierała jakieś sto pięćdziesiąt mililitrów i na razie musiało jej to wystarczyć. Nakleiła opatrunek na ranę, po czym przeszła do drugiej części zadania, póki krew była świeża i nosiła pamięć życia. Nekromantka brała kolejno każdą kulę gliny, robiła wgłębienie, pipetką odmierzała płyn i znów zagniatała, aż krew, ziemia i glina połączyły się w jednolitą masę. Kule na powrót były bardziej rdzawe niż brązowe.

Gdy skończyła, upiła kilka łyków wody z butelki. Etap przygotowań miała za sobą, teraz zaczynała się sztuka. Przeniosła kule na duży blat i zaczęła je formować, tak by przyjęły kształt dziecięcego ciała.

Kiedyś ta magia nie była zakazana. Nekromanci i mistycy lepili golemy z różnych powodów, ożywiali bryły ziemi i czynili z nich obrońców, strażników, narzędzia do wymierzenia sprawiedliwości.

A potem, prawie sto dwadzieścia lat temu, pojawiła się pewna nekromantka, Sulema. Była potężna, szanowana, zasiadała w Wysokiej Radzie, jak nazywano Starszyznę w jej mieście. I pewnie zostałyby po niej tylko wspomnienie ważne dla takich dziewcząt jak Katia – nielicznych nekromantek, które miałyby w niej wzór i inspirację – gdyby nie to, że, nie mogąc donosić ciąży, postanowiła stworzyć sobie dziecko.

Zbudowała najdoskonalszego golema, a potem tchnęła weń życie. Nie jego pozór, jak u ghulów czy zombiaków, ale prawdziwe, nieodróżnialne od każdego innego. Dała córce na imię Ehani, pieśń, bo powstała z magii i pieśni, które zmieniły zwykłą glinę w ludzkie ciało.

Bogowie byli wściekli i potraktowali czyn Sulemy bardzo osobiście. Uznali, że złamała prawo ludzkie i boskie, i brutalnie ją osadzili.

W dziennikach, które pisała w celi śmierci, zanotowała, że nie chodziło wcale o prawo, ale o zazdrość – zdołała bowiem zrobić coś, co dotąd uchodziło za domenę wyłącznie boską. Spalono ją na stosie, u jej stóp leżała jej córeczka stworzona z gliny i magii. Obie związane, nie

mogły sięgnąć ku sobie, objąć się po raz ostatni, nim śmierć zakończy ich wspólną historię. Sulema przeklęła swych oprawców, ale w kronikach nie zapisano słów jej przekleństwa. Jedno było pewne – zakazano praktyki budowania golemów, zwłaszcza tych, które byłyby tak ludzkie i tak żywe, by rozgniewać bóstwa.

Historię Sulemy Katia poznała jako nastolatka, podczas szkolenia. Darń używała jej przykładu jako ostrzeżenia – oto, drogie dziecko, gdzie zaprowadzi was łamanie zasad. Oczywiście młodziutka nekromantka odebrała to zupełnie inaczej. Przeczytała wszystkie dostępne teksty o dziewiętnastowiecznej buntowniczej, jej magii i zakazanym rytuale, który kosztował ją życie. Niczym Prometeusz, Sulema wykradła bóstwom nie ogień, lecz życie. Fascynacja Katii trwała jeszcze długo po zakończeniu szkolenia i nawet po latach mogłaby napisać całe tomiszcze o Sulemie, Ehani, magii i rytuale, który zakończył ich życie.

Nie sądziła, że kiedykolwiek sięgnie po rytuał opisany skrupulatnie przez Sulemę w jej dziennikach, zbyt cennych, by je spalono razem z autorką. Nie miała jej motywacji. Nie wiedziała, czy chce mieć dzieci, i nie czuła się źle ze świadomością, że być może nigdy nie zostanie matką.

Ale teraz, patrząc na dzieło swych rąk, zastanawiała się, czy Sulema odczuwała tę samą euforyczną pasję, kiedy spod jej palców wyłaniało się ciało pulsujące jej magią, ciepłe jej krwią...

Straciła poczucie czasu. Zmieniała bryły gliny w rzeźbę, szczerze nasycając magią każdą warstwę. Czuła rwanie pleców od pochylania się nad stołem, po kilku godzinach ugniatania i wygładzania drżały jej obolałe ręce, wreszcie przyszedł ćmiący ból głowy, gdy zużywszy zbyt wiele magii, odpaliła protokół migrenowy. To wszystko nie miało jednak znaczenia. Nie liczyło się nic poza gliną i wysiłkiem, by nadać jej kształt, nadać jej sens i pozór.

Nie zauważyła, kiedy zapadł zmierzch. Zorientowała się, że uciekł jej cały dzień, kiedy w pracowni zrobiło się na tyle ciemno, że nie widziała wyraźnie własnych dłoni, wciąż ugniatających materiał. Zamrugła, bo w pierwszym momencie myślała, że szwankują jej oczy. A potem zapaliła światło i w ostrym blasku żarówki oceniła swoje dzieło.

Brakowało jej gliny. Wciąż nie stworzyła głowy i rąk, ale nie miała już wystarczającej ilości magii, by przelać ją w swoje dzieło. Z westchnieniem oparła się ciężko o krawędź stołu. Jej usta i gardło wyschły na wiór, mięśnie drżały od wysiłku. Ale to tylko ciało. Gorsze było to ćmiące uczucie pustki pod mostkiem. Zawroty głowy sygnalizowały, że docierała do kresu sił, wiedziała, że jeśli przesadzi, straci świadomość na zbyt długo... Stroniła od praktyk, za pomocą których magiczni jej rodzaju zwykle reperowali siły i moc – była wybrakowaną nekromantką, o sumieniu zbyt wrażliwym, by odprawiać czarne rytuały. Zwykle po prostu żerowała na cudzych zaklęciach, kiedy kładła do grobów rozmaite twory. Nauczyła się też sięgać do linii magicznych i ładować baterie magią cmentarza i ziemi (okruchy magii spływały w jej żyły nawet podczas pracy w glinie), ale dziś zużyła zbyt wiele mocy, by to mogło wystarczyć.

Odepchnęła się od stołu. Musiała się położyć, zanim zemdleje. Zgasiała odruchowo światło i przeszła z pracowni do domu. Potrzebowała kąpieli, ale nie miała siły. Jakby na ostatniej kresce baterii złapała z kuchni butelkę wody i poczłapała do sypialni. Zdołała jeszcze rzucić brudny kombinezon z przemoczonymi rękawami, po czym padła na pościel.

Głowa pulsowała jej tępym, natrętnym bólem. Powinna wziąć ketonal czy tabletki na migrenę, nie miała jednak siły wstać. Owinęła się kołdrą i narzutą, bo zaczęła się trząść z zimna. Naprawdę oddała za wiele magii.

Nie zasnęła. Zapadła się w ciemność pozbawioną snów. W nicość, przedsiónek śmierci. Dla kogoś innego uczucie to mogłoby być przerażające, ale nekromantce niosło ukojenie. Jakby, mimo zmęczenia, zdołała dotrzeć do domu.

Nie zarejestrowała tej myśli, więc nie mogła się zastanawiać, co to właściwie znaczy, że myśląc o domu, myśli o Thornie. I nie o mieszkaniu załatwionym przez Dorę, ale o cmentarzu. Jakby miała tam swoją przytulną kryptę.

ROZDZIAŁ 27

Serce nie jest gratisem od firmy

Nie zaciągnęła rolet, więc obudziły ją pierwsze promienie słońca wdzierające się pod powieki z przemocą trzylatka, który wie, że gdzieś schowano jego zapas żelków. Z jękiem przewróciła się na plecy. Czuła się koszmarnie. Jakby ostatni tydzień spędziła, pijąc z rosyjskimi trenerami tańczących niedźwiedzi.

Osobiście nie doświadczyła tej przyjemności, ale Darni, jej mentorka z Trójęprzymierza, utrzymywała, że nigdy w życiu nie miała tak koszmarnego kaca jak po tego rodzaju przygodzie. Jej złota rada na koniec szkolenia brzmiała: „Nigdy nie pijcie z rosyjskimi trenerami tańczących niedźwiedzi”. Katia wzięła ją sobie do serca, podobnie jak wiele innych nauk Darni i jej siostry Jemioly, ale najwyraźniej nie zdołało jej to ustrzec przed łupiącym bólem głowy, nadwrażliwością na światło i mdłościami.

Przesadziła. Wydrenowała się nie tylko z magii, ale także z w pełni ludzkiej energii życiowej. Odwodnienie bynajmniej nie pomagało. Zastaniając dłońmi łzawiące oczy, pomyślała o tym, co udało jej się wczoraj osiągnąć. A udało się sporo. Fragmenty wyrzeźbionej już z grubsza sylwetki musiały podeschnąć, zanim będzie mogła je poskładać i doszlifować. Nim to się stanie, powinna skoczyć na zakupy po drugiej stronie bramy. Toruń był cywilizowanym i przyzwoitym miastem, ale nie kupiłaby tu serca dla golema. Zrobiła w myślach listę ziół i składników niezbędnych do zaklęcia transformacji.

Kiedy tylko przestaną jej tańczyć w głowie trzy pijane hipopotamy, będzie mogła się do tego zabrać... Oż cholera. Spróbowała usiąść i

natychmiast ją pokarało ostrą błyskawicą bólu prosto w oczodół. Przykryła twarz poduszką i wymacała w szufladce szafki nocnej bryłę kryształu. Wsunęła ją pod poduszkę i przystawiła do czoła. Nie musiała, mogła ją trzymać i pozwalać aurze ściągnąć zmagazynowaną w niej magię, ale chłodna, gładka powierzchnia była jak kojący okład. Gdyby pamiętała przed zaśnięciem, żeby ułożyć kryształ blisko głowy, może byłaby dziś odrobinę mniej zmarnowana. Nie planowała zasypiać, ale jej ciało miało własny plan na uporanie się z wypaleniem mocy.

Sygnał SMS-a obudził ją prawie dwie godziny później. Katia ściągnęła poduszkę z twarzy. Kamień wciąż leżał na jej czole, ciepły i całkowicie pozbawiony magii. Czowała się ciut lepiej. Usiadła ostrożnie, mdłości minęły. Głowa wciąż bolała, ale po ludzku, hipopotamy przestały skakać i ketonal powinien załatwić sprawę. Sięgnęła po komórkę, którą wczoraj zapomniała podłączyć. Dwanaście procent baterii, a ładowarka została w mieszkaniu w Thornie. Katia Kornatowska, mistrzyni planowania, bogini organizacji, cesarzowa rozsądnych decyzji życiowych!

SMS był od Dory. Załatwiła swoje sprawy w Berlinie i jeszcze dziś planowała dojechać do Krakowa, dorwać lokalnego Namiestnika. Miała też jakiegoś wampirzego informatora na uczelni, który mógł jej uchylić rąbka tajemnicy w sprawach akademickich, choć dopiero nocą. Katia odpisała krótko:

DZIĘKI, CZEKAM NA SYGNAŁ, JAK POSZŁO.

Po chwili wysłała jeszcze jedną wiadomość.

PRZEJĘŁAM WCZORAJ CMENTARZ W THORNIE. GARDIASZ MOŻE SIĘ WŚCIEC.

Dora odpisała natychmiast.

JUŻ WIE?

Katia wystukała krótkie:

POWINIEN, JEŚLI NIE MA GŁOWY W DUPIE.

Na co Dora odpowiedziała:

CZYLI MAMY KILKA DNI, NIM ZAUWAŻY.

Katia parsknęła śmiechem. Nadal zastanawiała się, czemu Gardiasz i Egon nie stawili się na cmentarzu na wezwanie Matki Ziemi. Nie wierzyła, że mieli wystarczająco dużo sił i magii, by oprzeć się wezwaniu. Nie wiedziała, co właściwie znaczyłoby, gdyby nie słyszeli wezwania. Będzie musiała się temu przyjrzeć w wolnej chwili.

Zwlokła się z łóżka. Potrzebowała gorącego prysznica. Po kilkunastu godzinach pracy była obolała i zeszywniała, mięśnie pleców i barków pozbijały się w twarde węzły. Oczywiście ciepłej wody nie było. Nawet nie poczuła się zaskoczona. Umyła twarz i zęby, odświeżyła się i założyła czyste dżinsy, koszulkę, rozpinany sweter. Spakowała trochę ubrań do drugiej walizki. A że była idiotką skończoną (lub optymistką, zależy, jak na to patrzeć), wrzuciła tam między innymi kilka sukienek w stylu „niezobowiązująca kolacja”, a nawet „bardzo zobowiązująca kolacja” oraz pasujące buty. Jakby po tym, co się wydarzyło, mogła się w najbliższych dniach spodziewać, że zaliczy jakąkolwiek bazę.

Zamiast kombinować ze śniadaniem, postanowiła zjeść coś dobrego w Thornie – może pójdzie na śniadanie do kawiarni albo po drodze do Kociołka zajrzy do piekarni. Potrzebowała zakorzenić się w ciele czymś miłym i pysznym. I kawy, tej potrzebowała bardziej niż tlenu!

Upewniła się, że zamknęła dom i pracownię na wszystkie zamki, po czym ruszyła do auta. Wrzuciła do bagażnika puste wiadro i walizkę. Już ruszała, kiedy nagle przed maskę wyskoczyła pani Krystyna, sąsiadka mieszkająca dwa domy dalej. W narzuconym na koszulę nocną długim dzierganym płaszczu z resztek kolorowej włóczki (zawsze kojarzył się Katii z piosenką *Coat of Many Colors* Dolly Parton) opierała się o maskę, a pan Teofil, absztyfikant Krystyny, rocznik tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi, machał do Katii intensywnie, jakby to ona w tym towarzystwie niedowidziała.

Wysiadła zaniepokojona. Jako najmłodsza mieszkanka ulicy czuła się odpowiedzialna za swoich sąsiadów, dlatego chroniła ich chociażby przed

draniami, którzy zamierzaliby wyciągnąć z nich oszczędności życia metodą na wnuczka.

– Słyszałaś, kochana? – zapytała konspiracyjnym tonem pani Krystyna.

– Co dokładnie?

– Bączkowski! On wcale nie chce kupić twojego domu!

– Jak to? – zdziwiła się. Przecież rozmawiała na ten temat z nim, z jego prawnikiem i z nasłanym przez nich agentem nieruchomości, a co najmniej dwóch majstrów sugerowało, że taka młoda, delikatna kobieta powinna przystać na ofertę dla własnego dobra.

– To znaczy chce, ale nie tylko! – wykrzyknęła podekscytowana pani Krystyna.

– Bo chce też nasze! – dodał pan Teofil.

Katia zmarszczyła brwi. Wyburzony dom po pani Halince stał po lewej stronie jej działki. Po prawej mieszkał pan Branicki. Zgodził się sprzedać Bączkowskiemu swoją działkę, przez co aneksja domu Katii stała się dla inwestora logicznym posunięciem. Dom pani Krystyny sąsiedował z posesją Branickiego, a pan Teofil zajmował jeszcze kolejny. To dawało ciąg pięciu działek. Co on chciał tu budować?

Sąsiedzi Katii zamierzali się tego dowiedzieć.

– Kręcił się tu wczoraj taki chłopaczek, chyba architekt, już ja go wezmę w obroty! Przez ten żwir na ulicy parkuje mi przy bramie, nawet nie zauważy, kiedy wyskoczę z krzaków – powiedziała hardo pani Krystyna.

– Podzwonię do urzędów, ciągle mam tam jakieś znajomości – zaproponował pan Teofil, który przez czterdzieści trzy lata pracował w sądzie, w dziale ksiąg wieczystych.

Katia przyznała, że to znakomity pomysł. Nawet jeśli zdecydowałaby się sprzedać dom, chciała mieć pewność, że jej sąsiedzi będą bezpieczni. Kiedy byczkowaty majster groził jej, że się potknie, wracając samotnie po nocy, mogła prychnąć i rzucić mu mordercze spojrzenie, ale jeśli by zaczął grozić seniorom, szybko by się przekonał, że każdy człowiek nosi w sobie

załążek przyszej śmierci, a nekromantka może w tę iskierkę podmuchać, nachuchać, aż iskierka przestanie być zapowiedzią odległej przyszłości.

– A państwo, pani Krysiu, panie Teofilu, chcecie sprzedać swoje domy?
– zapytała Katia.

– Jakby rzucił w nas milionami, to kto wie – zastanowił się pan Teofil.

– Tylko ta przeprowadzka! Aż mnie wzdryga na samą myśl. Pakowanie tego wszystkiego, tych przydasiów wszelakich! I ten bałagan po. I to noszenie. No nie wiem – przyznała pani Krystyna. – Jakby mi się spieszyło do przeprowadzki, już dawno mogłabym się przenieść do Teofila.

– Bobyś mogła, duszko, mówiłem ci, że ściągnę wnuki i raz-dwa się z tym uporają.

– No nie wiem. Może lepiej ty do mnie? Mam lepsze, wzniesione grządki. I łazienkę remontowałam raptem osiem lat temu, a twoje kafelki i armatura pamiętają prezydenturę Wałęsy...

– Są ponadczasowe! Eleganckie! – bronił się absztyfikant.

Przez ostatnie lata Katia słyszała tę rozmowę wiele razy, pożegnała się więc z sąsiadami i wsiadła za kierownicę. Gdzieś między łapaniem zwyrodnialców wykradających ciała z trumien a wbiciem klina w układ władzy w Thornie musiała znaleźć chwilę, by wykombinować, co może zrobić dla swoich sąsiadów na Wrzosach, by jesień ich życia nadal przebiegała gładko. Zanotowała w pamięci, by w wolnej chwili zadzwonić do Jacka, prawnika, z którym kiedyś przez chwilę się umawiała. Spiknęła ich jego siostra i choć zupełnie nic z tego nie wyszło, to przez kilka lat była awaryjną partnerką Jacka na weselach. Świetnie tańczył, był szarmancki i bardzo doceniał, że dzięki towarzystwu Katii unika męczących rozmów ze swoimi krewniczkami, nieznośnie skupionymi na jego kawalerstwie.

*

Katia miała czarny pas w zakupach. Potrafiła wejść do butiku, zerknąć na ubrania na wieszakach, ocenić wszystkie w ułamku chwili i wziąć do przymierzalni jedyną rzecz, która pasowała na nią jak ulał. Doszła do takiej wprawy, że z czasem zaczęła kupować ciuchy bez przymierzania, i nigdy się nie zawiodła.

Niestety, zupełnie nie przekładało się to na zakupy w sklepach innych niż odzieżowe. Telefon wybierała pół roku, aż któregoś dnia Dora wręczyła jej pudełko z komórką nieznanego firmy, mówiąc:

– Wilcza technologia, działa po obu stronach bramy.

Katia nie dyskutowała, wzięła aparat z wdzięcznością i odhaczyła z listy wiszące tam od pół roku zadanie.

Z kupnem kamiennego serca dla golema poszło jej szybciej niż z komórką, ale bez porównania wolniej niż z wyborem kreacji na wieczór.

Kociołek był niewielkim, lecz świetnie zaopatrzonym sklepem magicznym. W praktyce oznaczało to, że każdy metr kwadratowy pozostawał zagracony do granic możliwości, ale, musiała przyznać, był w tym chaosie porządek, którego nie spodziewałaby się, patrząc na roztrzepaną, eteryczną wiedźmę za kontuarem. Miała włosy w dwunastu kolorach plus naturalne odrosty barwy piaskowego blond, a do tego fantastyczny makijaż ze skrzydełkami pazia królowej naklejonymi w kącikach oczu. Czarny eyeliner gładko przechodził w krawędź skrzydełka, a kości policzkowe podkreślał połyskujący przy każdym ruchu brokat. W fioletowej sukience z nieskończonej liczby cieniutkich warstw tiulu, z haftowanym gorsetem zbierającym je w wąską talię, wyglądała jak bohaterka baśni o elfiej księżniczce, która zabłąkała się między śmiertelników i bawiła się tak dobrze, że postanowiła zostać na dłużej.

Najwyraźniej miała do Katii jakieś pretensje, choć nigdy wcześniej się nie spotkały. Kiedy Katia była tu ostatnio, za kontuarem stała starsza kobieta, być może, sądząc po rysach, krewna dziewczyny. Co niewiele zmieniło, bo z tamtą Katia nigdy nie miała zatargów i zawsze odnosiły się do siebie życzliwie.

Przez dłuższą chwilę próbowała nie zwracać uwagi na rozdrażnienie młodej wróżki, bo musiała się skoncentrować na wyborze odpowiedniego kamienia. W wysuwanej gablotce, na bordowym aksamicie leżało ich dwadzieścia cztery. Każdy był właściwych rozmiarów i zdołałby pomieścić odpowiednio dużo mocy. Były tam cytryny, od bladej żółtych po niemal pomarańczowe, kryształ górskie, gładkie i nieregularne, kwarc różowy wielkości piąstki niemowlaka, fiołkowe ametysty i krwiste jaspisy,

tygrysie oko połyskujące pięknym, niemal złotym blaskiem i awanturyn tak blade, że zdawał się ledwie szeptem zieleni. Katia brała każdy do ręki i próbowała określić, czy to ten właściwy, ale nie szło jej najlepiej. Wciąż czuła na sobie natrętne spojrzenie dziewczyny. Westchnęła ciężko i zamknęła oczy. Przesuwała dłoń nad zbiorem, starając się znaleźć kamień, który do niej zawoła. Na próżno. Wspomniana w opisie rytuału „intuicja nekromanty” ewidentnie pozostawała u niej uśpiona.

Może powinna ściągnąć Witkaca? Kamienie były ważne dla magii jego córki, więc musiał się podszkolić w tej dziedzinie. Pewnie wystarczyłyby mu rzut oka i wiedziałby bez cienia wątpliwości, że właśnie kamień X jest najlepszy do zmagazynowania i zogniskowania magii podczas tego konkretnego rytuału. Ona tymczasem dotykała każdego, sapała nad nimi, szukała w nich czegoś, co umykało jej postrzeganiu. Sfrustrowana odsunęła się o dwa kroki, wpadając na regał apteczny pełen drewnianych szufladek z czarnymi etykietami i widniejącymi na nich nazwami ziół.

- Byłoby łatwiej, gdybyś powiedziała, czego szukasz – odezwała się dziewczyna. Mówiła podniesionym głosem, choć stała niecałe dwa metry od Katii.

- Byłoby łatwiej, gdybym wiedziała – mruknęła Katia, patrząc na zawartość gablotki jak na jadowitego węża.

- Afirmacja, ochrona, wzmocnienie? – zapytała dziewczyna, która może i nie lubiła Katii, ale najwyraźniej była profesjonalistką w swoim fachu.

- Rodzaj baterii. Musi pomieścić zaklęcie i uwalniać moc przez dłuższy czas – odparła cicho nekromantka.

- Animacja? – zapytała wróżka i uniosła brew. Doskonale wiedziała, z kim rozmawia i jaką magią włada klientka.

- Iluzja – zaprzeczyła Katia.

Skrzydełka w kącikach oczu dziewczyny zadrżały, jakby motylki zrywały się do lotu.

- To nic dziwnego, że nie możesz wybrać. Te są bierne, służą do ogniskowania czy wzmocniania kręgu, ale nie nadają się do zaklęć iluzji.

- Rzadko korzystam z kamieni – przyznała nekromantka.

- Najwyraźniej - mruknęła dziewczyna i podeszła do gablotki. Zasuwała szufladkę wyłożoną bordowym aksamitem i wyciągnęła inną.

Na granatowej wyściółce leżało sześć kamieni, większych i, co ważniejsze, wywołujących zupełnie inne odczucia. Spora, nieregularna bryłka kryształu, prawie idealnie kulisty ametyst, różowy rodonit w czarne cętki, czerwony agat z prążkami przypominającymi słoje drewna, granatowy sodalit z białymi żyłkami oraz...

- Och! - wykrzyknęła Katia i zanim się spostrzegła, jej palce zaciskały się na kamieniu księżycowym. Był rozmiarów kurzego jajka, a jego powierzchnia opalizowała delikatną brzoskwińową poświatą.

- Oczywiście musiała wybrać najdroższy - westchnęła wróżka.

Katia podeszła do kasy, ściskając go w dłoni. Na kontuarze leżały już torebki z odważonymi ziołami, od których zaczęła, wiedząc, że to łatwiejsza część wyzwania. Położyła kamień obok ziół i czekała, aż dziewczyna nabije wszystko na kasę.

Ta jednak stała z zaplecionymi na piersi ramionami i nadąsaną miną.

- Nie dostaniesz tego za darmo! - wybuchła wreszcie.

- Yyy, wiem. To sklep, a ja przyszłam zrobić zakupy - powiedziała zdezorientowana nekromantka.

- Nie obchodzi mnie, czy będziesz w Starszyźnie, czy nie! Nie możesz przychodzić tu i zabierać, co ci się podoba! - piekliła się dziewczyna.

- Nigdy bym tego nie zrobiła. - Katia wyciągnęła z torby portfel, by wzmocnić swój przekaz.

Ekspedientka zamrugnęła, a skrzydełka motyli zamigotały. Spojrzała na Katię, jakby ją widziała po raz pierwszy. Policzki i czubek nosa pokryły jej się czerwienią, od której srebrny brokat odcinał się jeszcze ostrzej niż od bladej skóry.

Zaczęła nabijać produkty na kasę, a gdy skończyła, Katia zapłaciła bez mrugnięcia okiem. Kamień, choć nietani, był wart swojej ceny. Sprzedawczyni włożyła go do papierowej torebki i podała nekromantce razem z pakunkami ziół.

- Przepraszam - wykrztusiła w końcu.

– Nie ma za co – zapewniła Katia.

– Myślałam, że będziesz jak ona: wpadniesz, splądrujesz mi półki, pomachasz przywilejem i tyle zobaczę zysk.

– Ona?

– Katarzyna! To jest po prostu nieuczciwe! Czemu ma dostawać wszystko za darmo? Czy ja z hurtowni dostanę towar za darmo, jeśli powiem, że ukradnie mi go głowa Starszyny? – fuknęła oburzona wróżka.

Katia się z nią zgadzała. Ale nie mogła ukryć zaskoczenia. Katarzynę było stać na to, by kupić w Kociołku, cokolwiek zechce, a jej konto i tak nie doznałoby znaczącego uszczerbku.

– Próbowalaś... – zaczęła, ale zamilkła, bo co właściwie dziewczyna mogła zrobić? Zabronić Katarzynie wstępu i rozwścieczyć Panią Ognia i Wody? Złożyć skargę do Starszyny i naiwnie liczyć, że rozpatrzy ją ktoś inny niż Katarzyna?

– Złożyłam skargę. Została odrzucona bez słowa wyjaśnienia. – Dziewczyna zdawała się czytać w myślach Katii.

Nagle nekromantce przyszło coś do głowy.

– Widzę tylko dwa rozwiązania – powiedziała i uśmiechnęła się szelmowsko.

– O, są jakieś? – zainteresowała się wróżka.

– Po pierwsze, możesz zainstalować kamerę i nagrać zdarzenie. A potem zanieść taśmę Namiestnicze i zgłosić, że ktoś podszywa się pod głowę Starszyny i próbuje ją skompromitować. Namiestniczka na pewno poczuje przymus wyjaśnienia sprawy i pokaże Katarzynie to nagranie. Sprawi jej to dziką frajdę i jak ją znam, przyłoży się, by zawstydzić Panią Ognia i Wody. Może tamta zastanowi się dwa razy, zanim znów ogłosi twój sklep.

– A drugie rozwiązanie? – zapytała wróżka.

– Wystaw fakturę Starszynie za wszystko, co zabrała Katarzyna. Trafi na biurko Romana, bo to on zajmuje się finansami Starszyny. I zapewne wykaże upierdliwość, bo nie lubi się rozstawać z gotówką bez wyraźnego powodu. Przypomni Katarzynie, że to miasto nie jest jej folwarkiem i za

swoje zakupy powinna płacić z własnej kieszeni – wyjaśniła Katia. – Nigdy nie przepadał za feudalizmem, bo za jego trwania był chłopem – dodała.

– Podoba mi się twój tok rozumowania – przyznała wróżka. – Może faktycznie to dobry pomysł, żeby wpuścić tam trochę świeżej krwi. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewniła z bladym uśmiechem nekromantka. Najwidoczniej od agitacji wyborczej po prostu nie sposób uciec.

Opuściła Kociołek nieco zmieszana, ale na swój sposób spokojniejsza. Miała serce golema. I jeden głos więcej.

Na szczęście w piekarni nikt nie zakładał, że chciałyby bułeczki za darmo, nie dopytywano jej też o program wyborczy. Piekarz, postawny krasnolud, koncentrował się na zachwalaniu jeszcze ciepłych wypieków, a że była głodna i nie mogła się zdecydować, wzięła po jednej drożdżówce i bułeczce z każdego rodzaju. Wydawał się bardzo zadowolony.

Musiała się napić kawy i zjeść rzetelne śniadanie, dopiero potem mogła jechać na cmentarz. Nie spodziewała się, że przed kamienicą zobaczy karawan z logo Domu Ostatnich Pożegnań. Karawan, który najwyraźniej na nią czekał.

Przez ułamek sekundy rozważała wyminięcie go i pojechanie prosto na Centralny. Ale ciekawość i pragnienie kofeiny wygrały z pokusą ucieczki.

ROZDZIAŁ 28

Sprawy serca i śmierci

Zaparkowała kawałek dalej, by dać sobie te dwadzieścia kroków przewagi. Wypuściła powietrze i powiedziała cicho:

– Jesteś dorosłą kobietą, zachowuj się.

Czy była też dorosłą, urażoną kobietą? Jasne. I miała prawo czuć się urażona. W końcu facet zwieńczył udaną randkę paniczną ucieczką, mało butów nie pogubił.

Szła w stronę karawanu wyprostowana i pewna siebie. Nawet jeśli w środku trochę się trzęsła, wiedziała, jaka jest stawka. Spróbowali, nie wyszło, bywa. Nie pierwszy i zapewne nie ostatni chłopak z branży. Ich randkowanie mogło dobiec końca, zanim się na dobre zaczęło, ale współpraca zawodowa będzie trwała jeszcze długo. Poza tym potrzebowała Adama do zrealizowania planu.

Szyby karawanu były lekko zaparowane, nie widziała więc, czy Adam na nią patrzy, ale zakładała, że owszem. Kiedy jednak podeszła naprawdę blisko, zobaczyła, że Gawroński śpi na fotelu kierowcy, z odchylną głową, przykryty sztruksową marynarką jak kocykiem.

Co, na bogów i ciężkie poranki Hadesa?!

Zastukała w szybę, raz, drugi i trzeci, aż wreszcie ocknął się z głębokiego snu. Natychmiast zaczął się wyplątywać z rękawów marynarki, jednocześnie szarpiąc za klamkę i próbując opuścić szybę. Prawie wypadł ze środka, jakby jego nogi wciąż jeszcze spały i nie zarejestrowały tego, że czas zrobić krok. Wyprostował się gwałtownie, przyglądał elektryzujące się od ocierania o fotel włosy i przez długie sekundy patrzył na Katię,

otwierając i zamykając usta, jak rybka, która bardzo chce coś powiedzieć, ale całkiem zapomniała, że nie potrafi mówić.

Katia zlitowała się i zapytała spokojnie:

– Czemu śpisz w karawanie pod moim domem?

Adam się zaczerwienił.

– Nie planowałem spać, tak wyszło... Szukałem cię, byłem na cmentarzu, potem wróciłem tu i pomyślałem, że poczekam, żebyśmy się nie wyminęli.

– Spędziłeś tu całą noc?

– Najwyraźniej – przyznał i poruszył głową, próbując rozciągnąć zeszytyniały kark.

Katia usłyszała chrupnięcie stawów.

– Po co?

– Chciałem ci wyjaśnić, przeprosić, no wytłumaczyć, rany... Katia, przepraszam, zachowałem się jak szczeniak i jestem ci winny przeprosiny...

Pokręciła łagodnie głową. Nie miała energii na tę dramę, a rana wciąż była świeża, więc zasłoniła się profesjonalną wspaniałomyślnością.

– Nic mi nie jesteś winny, Adasiu. Znałam ryzyko. Wiem, jak moja magia działa czasem na ludzi. Mogło ci się wydawać, że z tobą będzie inaczej, bo jesteś oswojony ze śmiercią, ale cóż, zareagowałeś instynktownie i nie mogę nawet być zła, bo to zdrowy instynkt. A teraz wiemy, na czym stoimy, i dobrze. Możemy puścić tamten wieczór w niepamięć i wrócić do relacji służbowych, bez pretensji czy kłótni, bo nie zapędziliśmy się na tyle daleko, by nie mogło się obyć bez jednych i drugich – powiedziała oficjalnie.

Adam westchnął.

– To jednak nie jest takie proste, naprawdę musimy porozmawiać. Dasz się zaprosić na kawę? Moje szare komórki jeszcze śpią i obawiam się, że bez kofeiny spierdolą to dokumentnie.

– Wejdz – zaprosiła go na górę – mam kawę i bułeczki. A gdy już sobie wszystko wyjaśnimy, chciałabym cię prosić o przysługę.

– Cokolwiek chcesz.

– To bardzo duża przysługa. Nie zgadzaj się, zanim nie wypijesz kawy.

*

Nie była pewna, czy to zasługa Dory, czy Romana, który szykował to mieszkanie dla przyszłego lokatora, ale lokum okazało się rajem dla kawosza. W szafce znalazła turecką kawiarkę, francuską praszkę, litrowy dzbanek do dripa, elektryczny spieniacz i dwa gatunki kawy w hermetycznych słoikach. Pomyśleć, że wcześniej nawet nie zajrzała do tej szafki i zadowolila się neską!

Adam poszedł się odświeżyć, więc miała czas, by zaparzyć kawę i przygotować śniadanie. Kawiarka pyrkała cicho na kuchence, a Katia, smarując bułki masłem, zastanawiała się, czemu nie chciał odpuścić, przyklepać gładkiej wymówki, którą mu podetknęła pod nos, tylko nalegał na wyjaśnienia. Czy mógł powiedzieć cokolwiek, co sprawiłoby, że jego paniczna ucieczka wydałaby się mniej przykra? Przypomniiał sobie, że zostawił żelazko na gazie? Albo złożył śluby czystości i był o włos od ich złamania, więc zwiął, by się ubiczować w swojej ciemnej piwnicy, tuż przy lodówkach na zwłoki? I czemu, do cholery, pokroiła w plastry aż cztery pomidory? Nie znosiła rozmiękczonych, utaplanych w soku pomidorów, a tak skończą, jeśli nie zjedzą ich od razu. Lepiej, żeby ten gapeusz lubił pomidory bardziej niż całowanie nekromantek, pomyślała z odrobiną złośliwości.

– Nie przestraszyłem się twojej magii – usłyszała nagle za swoimi plecami.

– Adaś, nie ma sprawy. Ludzie nie lubią, gdy coś im przypomina o ich śmiertelności. Rozumiem – zapewniła ze spokojem.

– Gdyby to śmiertelność była problemem, pewnie łatwiej umiałbym to wyjaśnić. Ale chodzi bardziej... sam nie wiem, jak to nazwać, bo zwykle nie mówię o tym głośno, a w myślach nazywam to „tą rzeczą”...

Opadł na krzesło przy wyspie, oparł łokcie na blacie i przeczesał nerwowo włosy, które z miejsca odbiły się od czaszki sprężynami; musiał przed chwilą je zwilżyć, bo przestały się zabawnie puszyć. Patrzyła na jego

pobladłą z nerwów twarz i czekoladowe oczy, w których można było zatonać, i westchnęła. Postawiła przed nim kubek z kawą i talerz kanapek, a sama usiadła naprzeciwko.

Przez chwilę po prostu pili kawę, jakby to w niej, niczym w winie, miała kryć się prawda.

– To nie jest łatwe. Nikomu o tym nie mówiłem, nawet moi rodzice wiedzą ułamek tego, co zaraz usłyszysz. I byłoby lepiej, gdyby wszystko, co ci powiem, zostało między nami. Ludzie mogą dziwnie reagować, jeśli dowiedzą się, kto się zajmuje ich zmarłymi bliskimi. Mogliby nie zrozumieć, skoro sam nie wszystko do końca rozumiem, a ona nie śpieszy się z wyjaśnieniami.

– Ona? – zapytała odruchowo Katia.

– Pani Śmierć. Zgodziła się, bym ci to wszystko opowiedział.

– Musiałeś ją zapytać o zgodę?

– Nie musiałem, ale tak jest lepiej. Nie lubię jej denerwować. I chciałem ją dopytać o parę rzeczy... Wcześniej nie przyszły mi do głowy, ale po naszej... randce poznanie kilku odpowiedzi wydało mi się kluczowe.

Patrzyła na niego bez słowa, próbując wszystko sobie poukładać. Jakim cudem ich randka była czymś, co należało omawiać z Panią Śmiercią? I jakie, u diabła, pytania mu się nasunęły po tym, jak ją pocałował, że musiał szukać odpowiedzi akurat u Śmierci?

Adam sapnął, poczochnął włosy i zaczął swoją historię:

– Wszystko się zaczęło naprawdę dawno, więc wybacź, że się cofnę praktycznie do mojego życia płodowego. – Uśmiechnął się błado, ale oczy miał wypełnione niepokojem. Wyraźnie się bał, jak Katia przyjmie jego opowieść. – Już w czasie ciąży mama miała złe przeczucia. Koszmary nawiedzały ją prawie co noc. Czasami budziła ojca, mówiąc, że coś jest ze mną nie tak. Nie ruszałem się. To była jej pierwsza ciąża, więc lekarz i tato ją uspokajali, zwłaszcza że żadne z badań prenatalnych nie potwierdzało jej obaw. Ale ona wiedziała. Gdy odeszły jej wody, dwudziestego drugiego lipca wieczorem, po całym dniu letnich burz i lepkiego upału, modliła się, by urodzić zdrowego i silnego chłopaczka. Tyle że na podmianę było już

chyba za późno, bo nie byłem ani zdrowy, ani silny. Przyszedłem na świat cichy, siny i wiotki. Położna nie mogła znaleźć pulsu. Ona i lekarz, który odbierał poród, nie wiedzieli, jak długo nie oddychałem ani od jak dawna miałem niedotleniony mózg. Robili masaż serca, sztuczne oddychanie, pocierali mnie ciepłymi ręcznikami, licząc, że wrócę do żywych.

Umilkł, jakby nerwy zdławiły mu głos.

– Jak widać im się udało – powiedziała Katia, by zachęcić go do dalszej opowieści.

– Nie całkiem. Urodziłem się martwy. Powinienem być martwy. – Pokręcił głową, jakby nawet teraz nie do końca to pojmował. – I zdecydowanie nie powinienem pamiętać tego, co się wydarzyło w sali porodowej... A mimo to pamiętam. Widziałem rodziców, położną i lekarza, jego oddech wypełniał moje płuca, unosił mi klatkę piersiową. Byli prawie bezbarwni, szarzy. A w kącie stała ona.

Adam wziął głęboki oddech, jakby szykował się do skoku na głęboką wodę. Katia go nie ponaglała.

– Nie wiem, czy odpłynąłem od ciała, czy lekarz zamierzał się poddać, ale kipiała najpiękniejszym fioletem i czekała. A ja wiedziałem, że nikt poza mną jej nie widzi. Najdziwniejsze: wiedziałem, kim jest. Nie bałem się, bo czemu miałbym się bać utraty życia, skoro nigdy właściwie nie żyłem? Patrzyłem na nią i wyciągałem do niej ręce. Chciałem, by mnie przytuliła, było mi zimno... Wahala się, widziałem to w jej oczach, ale w końcu wzięła mnie w objęcia. Zostawiłem za sobą chude i sine ciało, które lekarz wciąż próbował napęcznieć życiem. Przytuliłem się do jej miękkiej szaty i zacisnąłem dłoń na ciepłym palcu, kiedy dotknęła nim mojego policzka. Nie wiem, co zobaczyła w moich oczach. Ja w jej spojrzeniu zobaczyłem żal. I wahanie. A potem odłożyła mnie z powrotem do ciała. Znowu zrobiło mi się zimno, więc się rozplakałem, wylem jak mała syrena. I już nie byłem martwy.

Odruchowo sięgnęła do jego ręki. Zacisnęła palce na lodowatej skórze.

– Miałem może dwa lata, kiedy znowu ją spotkałem. Mało kto wie, że Pani Śmierć, w takim czy innym swoim wcieleniu, przychodzi czasem na pogrzeby. Zwykle nikt jej nie widzi. Ale ja widziałem. Poznałem ją od

razu, wyrwałem się mamie i pobiegłem do niej, wczepiłem się palcami w jej szatę i zawołałem: „Opa!”. Zawahała się, a potem mnie podniosła. I dopiero wtedy zobaczyli ją moi rodzice. Mama rzuciła się w moją stronę z płaczem, tata coś mówił, pamiętam tylko, że był wystraszony. A ja pogłaskałem ją swoimi obślinionymi, brudnymi dłońmi po policzkach i nazwałem „ciocią”.

Umilkł i zerknął na Katię, jakby sprawdzając, czy mu wierzy. Nie miała powodów, by nie wierzyć. Ale rozumiała obawy. Ile osób dałoby wiarę, że Matka Ziemia wpada czasem do niej na pogawędkę?

– Domyślałem się, że to nie był ostatni raz, kiedy ją widziałeś – powiedziała.

– Odwiedzała mnie regularnie. Faktycznie była trochę jak ciocia. Często przynosiła mi prezenty: coś słodkiego albo naprawdę fantastyczną ómę w słoiku czy czaszkę kruka, bo widziałem taką u kolegi i zapragnąłem identycznej.

Głośno przełknął ślinę. Katia wciąż trzymała go za rękę, ale chyba nawet tego nie czuł.

– Rodzice nie wiedzieli o tych odwiedzinach. Wołałem tak. W tamtym czasie byłem jeszcze raczej normalnym chłopcem. Trochę dziwnym, trochę śmiesznym, który nazywa ciocią Panią Śmierć. Uwielbiałem jej fiolet, ale sam nie miałem go za wiele. Może odrobinę, na aurze pasmo tu czy tam, pamiątkę po skomplikowanym porodzie. Potem wydarzyło się jednak coś, po czym już nie byłem normalnym chłopcem, a fioletu miałem dużo więcej. Tuż przed moimi siódmymi urodzinami... – Umilkł, gdy gardło ścisnęło mu się od emocji.

Katia nie puszczała jego dłoni. Rozumiała już, skąd wzięła się fioletowa poświata, którą dostrzegła na cmentarzu.

– Jak umarłeś znowu? – zapytała cicho.

– Utopiłem się na kamionkach. Zaplątałem się w korzenie drzewa leżącego na dnie, nie mogłem wypłynąć. Słyszałem krzyki kolegów, że mam się nie wygłupiać, ale nic nie mogłem zrobić. Chłopcy wystraszyli się i uciekli. Zostałem sam. Unosiłem się na powierzchni twarzą do dołu, płuca miałem pełne wody. Światło zgasło. Znalazła mnie, wyciągnęła. Było

za późno, by znów mnie wepchnąć do ciała, wiedzieliśmy to oboje. Patrzyliśmy na to sine i zimne ciało. Nawet nie rozpoznawałem swojej twarzy. – Znów przeczesał palcami włosy, które zaczynały przypominać węzowe sploty Meduzy. – Śmieszne, co w takiej chwili przychodzi ci do głowy. W mojej nie było żadnych mądrych słów, oświecenia czy zrozumienia.

– Miałeś siedem lat, nikt nie oczekuje od małego chłopca oświecenia – zauważyła Katia.

– W sumie racja. W tamtym momencie... nie przeszkadzało mi, że jestem martwy, nie bałem się tego, przecież byłem z ciocią. Ale nie mogłem znieść tej niesprawiedliwości, że przypadnie mi tort urodzinowy. Przyjęcie było już za trzy dni. Mama zamówiła w cukierni mój ulubiony, ale na pewno zapomnieliby go odebrać, pochłonięci przygotowaniami do pogrzebu. Jako dziecko wychowujące się w zakładzie pogrzebowym rozumiałem, jak angażujące i czasochłonne jest organizowanie tych wszystkich rzeczy związanych z ostatnim pożegnaniem. Nie mogłem odżalować tego tortu!

– Mali chłopcy często myślą żołądkiem – wtrąciła Katia.

– To chyba prawda – odpowiedział z bladym uśmiechem. – Pani Śmierć zapytała, co to jest tort. Bywała na nieskończonej liczbie pogrzebów, ale nigdy nie miała okazji uczestniczyć w przyjęciu urodzinowym. Więc jej opowiedziałem. O biszkopecie, o kremie śmietankowym, o malinach, lśniącej polewie czekoladowej, o zimnych ogniach i prezentach. Słuchała i kiwała głową. A ja zapytałem: czy możemy poczekać? Czy możesz zabrać mnie dopiero po urodzinach? Będziemy mogli zjeść tort! Naprawdę nie rozumiałem, o co ją dokładnie proszę. Myślałem tylko o urodzinach, bo zaprosiłem wszystkie dzieci z klasy i bałem się, czy zechcą przyjść. Gdy mieszkasz w domu pogrzebowym, nie każdy chce cię odwiedzać... I ten tort! Bo widzisz, w poprzednich latach mama sama piekła mi tort i nigdy jej nie wychodził. A to krem się zważył, bo lipcowy upał, a to galaretką się nie ścięła, a to ciasto nie wyrosło czy akurat zepsuł się piekarnik. Więc ten tort z cukierni na przyjęcie z zaproszonymi gośćmi to była dla mnie wielka sprawa!

– Nie wspominając już o tym, że jesteś łasuchem.

– Oj tak. W każdym razie Pani Śmierć wysłuchała mojej opowieści i stwierdziła, że to wszystko nie może się po prostu zmarnować, poza tym bardzo chciałyby spróbować tortu. Nie wiem, co dokładnie zrobiła, ale nagle poczułem mnóstwo magii, otoczył mnie fiolet gęsty jak wata cukrowa. Nagle znów byłem w ciele, wykasływałem wodę, a ona klepała mnie po plecach, mówiąc, że już dobrze. Nie powiedziałem o tym nikomu. Myślałem, że zaraz po urodzinach umrę znowu, już na zawsze, że to tylko przedłużenie na te kilka dni, żebym mógł mieć przyjęcie i tort.

– Ale nie wróciła po ciebie.

– Och, wracała, nadal wpadała regularnie, ale w rozmowach nigdy nie wspominaliśmy o tamtym dniu. Jakby to się nigdy nie wydarzyło. A jednocześnie wiedziałem, że dokonała się we mnie nieodwracalna zmiana. Widziałem swój fiolet, taki sam jak jej. Czy twój. Nie stałem się nagle magiczny, ale... wyczuwałem różne rzeczy. Nic wielkiego.

– A Pani Śmierć nigdy ci nie powiedziała, co dokładnie wtedy zrobiła?

– zapytała Katia cicho.

– Nie. Pytałem. Ale przykładała palec do ust i odpowiadała: ciii, to nasza mała tajemnica. Widywałem ją często. Już nie tylko na pogrzebach czy cmentarzu. Wpadała do mojego pokoju, by podpytać, czy zaprosiłem kogoś na potańcówkę w szkole. A czasami chciałem, by przyszła, i myślałem o tym intensywnie, a ona się pojawiała. Byłem takim młotkiem... Wiesz, że sprowadziłem ją kiedyś, żeby mi wytłumaczyła łacińską koniugację? Nauczycielka nazwała łacinę martwym językiem, więc uznałem, że nikt nie zna jej lepiej niż moja ciocia...

– I mówi po łacinie? – Katia nie mogła ukryć rozbawienia.

– Mówi. Ale nie znosi tłumaczyć gramatyki. To dla niej „po prostu jest, jak jest”. Wiele lat później, gdy byłem już dorosły, tata miał udar. Byliśmy na cmentarzu, w trakcie przygotowań do pogrzebu. Nagle, w pół słowa, zrobił się biały jak ściana i upadł. Próbowałem go ratować, wezwałem pogotowie, ale już nie żył, widziałem, że jest za późno. Ona stała obok, żeby go zabrać. I pierwszy raz się z nią pokłóciłem. Bo wcale nie musiała.

Mogła go zostawić, jak kiedyś mnie! Próbowwała mi wytłumaczyć, że to nie takie proste, że są zasady, a ja słyszałem tylko jedno: zabierze mojego tatę.

Spojrzał w oczy Katii, jakby obawiał się jej reakcji na tę część historii. Znowu zachęcająco ścisnęła go za rękę.

– Może ty będziesz wiedziała, co właściwie wtedy zrobiłem, bo ja tego nie rozumiem. Nie wiem, skąd w ogóle przyszło mi to do głowy. Sięgnąłem po fiolet w jego ciele i pochłonałem każde pasemko, każdą kropeczkę. Mnie to nie zrobiło różnicy, i tak nie byłem całkiem żywy. Jednak tacie owszem. Jego serce znów zaczęło bić. Był słaby i gdy wreszcie dojechała karetka, ratownik powiedział mi, że powinniśmy się przygotować na najgorsze. Ale ja wiedziałem, że najgorsze nie nastąpi. Byłem gotów zabrać każde nowe pasemko fioletu. Tata doszedł do siebie. Tyle że to wcale nie oznaczało końca kłopotów...

– Równowaga została zachwiana – szepnęła Katia.

Skinął głową.

– Najwyraźniej. Nie mógł już przebywać ze zmarłymi. Jakby w ich towarzystwie jego ciało przypominało sobie, że powinno być martwe. Poprosiłem Panią Śmierć o pomoc. Przyszła i wyjaśniła mu, że żyje pożyczonym czasem i jeśli chce, by tak pozostało, lepiej niech trzyma się z daleka od nieboszczyków. Bo jeśli przy którymś pojawi się śmierć inna niż ona, rozpozna go jako jednego z tych, którzy powinni już być w Zaświatach, i go zabierze. Dlatego przejąłem zakład pogrzebowy, a rodzice przenieśli się na wieś, żyją radosnym życiem emerytów i cieszą się kradzionym czasem. Nie rozmawiamy o tym, co zrobiłem, ani o tym, że nie jestem w pełni żywy.

Katia przetrawiała opowieść. Nigdy nie słyszała o człowieku, który potrafiłby to, co Adam. Mimo to mu wierzyła. I rozumiała więcej, niż sądził.

– Co dokładnie cię wystraszyło, kiedy się całowaliśmy? – zapytała spokojnie.

– Twoja magia... Bałem się, że jestem dla niej jak ożywieniec, zombie czy ghul, i robi to, co zwykle robisz z ożywieniami: ulula i koniec pieśni.

Parsknęła.

– Moja magia nie uważa cię za ożywionego trupa. Rozpoznaje w tobie martwą magię, ale nie traktuje jej jako abominacji. Jesteś dla niej kimś takim jak ja: człowiekiem z martwą magią. I faktycznie cię zaczepiała, ale nie po to, by cię, jak to ładnie ująłeś, ululać, ale żeby... cholera, to krępujące... żeby być bliżej. Aury magicznych w czasie zbliżenia często się splatają, zaczepiają, mieszają. To intymne i pewnie powinnam mieć ciasno zatrzaśnięte bariery, ale skoro ty swoich nie zatrzasnąłeś...

– Nie mam barier, bo nie umiem ich ustawić. Pamiętaj, jestem tylko nie całkiem martwym, ale ludzkim chłopcem – zaprotestował.

– Kochany, może nie powinnam tego mówić, skoro ona ci nie powiedziała, ale ten statek odpłynął, gdy miałeś siedem lat. Normalny chłopiec zmarł, obudził się magiczny chłopiec. Masz martwą magię. Ona cię nie animuje, jak ożywieńców, bo śmierć podzieliła się z tobą swoimi siłami witalnymi... czy też awitalnymi, i teraz jesteście blisko związani. To taki magiczny odpowiednik przeszczepu szpiku czy transfuzji.

– Ach. Nie wspomniała o tym. – Wyraźnie przejęty, zmarszczył brwi.

– Pewnie nie chciała, byś panikował albo czuł się zobowiązany. Ale musi cię naprawdę lubić, bo takie dzielenie się sobą jest ekstremalnie rzadkie. Oddała ci kawałeczek siebie i ten kawałeczek wróci do niej dopiero po twojej śmierci.

Adam patrzył na Katię oszołomiony.

– To wyjaśnia wiele, prawda? – wyszeptał wreszcie.

Skinęła głową.

– I żeby było jasne: jeśli kiedyś znów będziesz miał ochotę mnie pocałować, nic ci nie grozi. Nie ululam cię ani nie wyciągnę z ciebie martwej magii, bo ona jest częścią ciebie.

– Dobrze wiedzieć! Czy masz coś przeciwko, by przetestować tę hipotezę? Wiesz, żebyśmy mieli pewność...

Nie miała nic przeciwko. Tym razem poszło im dużo lepiej.

ROZDZIAŁ 29

Nekromantka w szybkim wybieraniu

Katia przedstawiła Adamowi swój plan. Jeśli cokolwiek go w nim zaskoczyło, nie dał tego po sobie poznać. Z miejsca przeszedł do planowania pochówku.

- Kwiaty i trumna nie są problemem, przygotowanie wszystkiego tak, by wypadło wiarygodnie, to betka. Ale jest kwestia rodziny. Ktoś musi chować to dziecko, ktoś musi uczestniczyć w pogrzebie. Całość musi wypaść na tyle wiarygodnie, by sprawca nie zauważył różnicy między tym pochówkiem a poprzednimi. Nie wiemy, na jakim etapie namierza potencjalną ofiarę: czy dopiero na cmentarzu, czy gdy pojawiają się klepsydry. Czy w przypadku golema otwarta trumna wchodzi w grę?

- Nie zauważysz różnicy - zapewniła Katia. Tym się nie martwiła. Niestety Adam miał rację w kwestii żałobników.

Sęk w tym, że większość jej znajomych w mieście była raczej rozpoznawalna. Sprawca, kimkolwiek był, skojarzy Namiestniczkę, koronerkę czy szamana. Poza tym to raczej musieli być ludzie, jak w przypadku poprzednich wykradzionych dziewczynek, więc odpadali piekielnicy, pierzaści, wilki czy wampiry... Lista znajomych nagle stopniała.

- Być może mam rozwiązanie. Będę musiał tylko podzwonić i poprosić o przysługę - powiedział Adam po chwili.

- Nie chcę, żebyś narobił sobie długów - zaprotestowała.

- O nic się nie martw - zapewnił. - Potrzebujemy ludzi, którzy nie będą zadawać wielu pytań, za to mają zamiłowanie do dramy. Moja mama jest jedną z tych kobiet, które należą do miliona klubów i kółek zainteresowań.

W tym do lokalnej amatorskiej trupy teatralnej. Myślę, że zdoła wciągnąć swoich znajomych na pokład, jeśli ją poproszę. Są całkiem dobrzy, jeśli akurat nie porywają się na Szekspira.

– Brzmi fantastycznie – przyznała.

Adam zanotował sobie w kalendarzu wszystkie detale, którymi musiał się zająć, a potem odłożył długopis i odchrząknął.

– Słuchaj, czy mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

– Chodzi o to wezwanie na cmentarzu...

– Poczujesz je. – Tu ją zaskoczył!

– Taaaa, akurat byłem z Panią Śmiercią. Powstrzymała mnie, mówiąc, że to nie mnie woła nekropolia, choć przymus był naprawdę silny... Byłem tam wczoraj. Coś się zmieniło. Wszędzie czułem ciebie i twoją magię.

– No tak – odparła Katia, nie wiedząc, co właściwie powinna powiedzieć.

– Pani Śmierć powiedziała mi, że przejęłaś cmentarz, że jesteś teraz jego matronką i opiekunką.

Katia przytaknęła.

– Chodzi mi o to... Nie będziesz miała z tego powodu kłopotów? Wiesz, z Gardiaszem i resztą?

– Może. Nie wiem. Matka Ziemia nie dała mi wielkiego wyboru. Poza tym wezwanie było otwarte, sam je poczujesz, a nikt poza mną się nie zjawił.

– Żartujesz? Gardiasz i licz nie odpowiedzieli na wezwanie? Oddali ci cmentarz bez dyskusji?

– Albo nie usłyszeli pieśni.

– Co otwiera całkiem inną puszkę Pandory, prawda?

Przytaknęła.

– Nie wiem, co z tego wyniknie. Nawet jeśli spróbują wykorzystać to przeciwko mnie w wyborach albo zakwestionować moją nową funkcję, jestem gotowa na pojedynek.

– Kłóciliby się nie tylko z tobą, ale i z Matką Ziemią.

– Nikt nie może im zakazać bycia idiotami, to ich konstytucyjne prawo – zauważyła.

Dzwonek telefonu przerwał ich rozmowę. Na ekranie komórki Katii wyświetliło się imię Dory. Odebrała.

– Hej, daję tylko znać, że dojeżdżam do Krakowa i mam umówionych kilka spotkań, więc wkrótce powinnam coś dla ciebie mieć – powiedziała Namiestniczka.

– Świetnie, dzięki wielkie.

– Nie ma sprawy. Dzwonię też, by cię uprzejmie poprosić o wstrzymanie się z chryją do mojego powrotu.

– Jaką znowu chryją?

Dora westchnęła.

– Miałam sen. Jeden z tych snów. Jestem pewna, że szykuje się chryja, więc muszę być na miejscu. Myślisz, że czemu wymeldowałam się z hotelu o piątej rano i nawet nie zjadłam śniadania? Wiem, że w moich ustach brzmi to nieco absurdalnie, ale czuję, że powinnyśmy działać zgodnie z prawem, inaczej coś bardzo mocno ugryzie cię w pupę. I nie chodzi mi wcale o wybory.

– Co dokładnie ci się śniło, Dora? – zapytała zaniepokojona nekromantka.

– Nie pamiętam szczegółów, zostały wrażenia i wspomnienie wściekłego Gardiasza, który zamyka dziób tylko dzięki plikom papierów. Poza tym widziałam coś jakby czarne skrzydła i miecz. Nie wiem, czy to Abaddon, ani dłaczego, na bogów, miałyby się zaangażować w twoją sprawę anioł śmierci i zniszczenia, ale spróbuję się z nim skontaktować po powrocie do miasta, bo nie podoba mi się to, co widziałam. Ktoś umrze, jestem pewna, i bardzo bym nie chciała, żebyś to była ty.

– Nie zamierzam dać się zabić – zapewniła Katia, ale w żołądku poczuła zimną kulę.

– Będę przed wieczorem, proszę cię tylko, byś do tego czasu trzymała się z daleka od Gardiasza.

– Nie wiem, jak się powstrzymam, już tęsknię za jego zielonkawą karnacją i pogodą ducha – mruknęła nekromantka.

– Katia!

- Doro kochana, powiem ci to, co zawsze mi powtarzałaś, będąc na moim miejscu. Nie mogę obiecać niczego poza tym, że zrobię wszystko, co jest konieczne, i nic ponad to.

- Auć, no dobra, to musi mi wystarczyć.

Nagle coś zaczęło tłuc się w głowie Katii, aż pisnęła z bólu.

- Muszę kończyć - powiedziała i szybko się rozłączyła. Skuliła się, bo całym jej ciałem wstrząsały dreszcze, a wnętrzości skręcały się w bolesny węzeł.

- Katia, co się dzieje? - zapytał Adam, a do niej dotarło, że leży na podłodze zwinięta w kłębek. Nawet nie pamiętała, kiedy upadła.

- Nie wiem - wysapała. Narastało w niej poczucie, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie tak. - Na cmentarzu... - jęknęła, zdjęła nagłym niepokojem - muszę tam jechać!

- Zawiozę cię - zaproponował, pomagając jej wstać.

Zgodziła się, bo nie była pewna, czy zdoła prowadzić. Coś jej się stało z oczami. Nagle wszystko widziała przez fioletowy filtr śmierci. Mdłości i ból mijaly, ale niepokój pozostał, a magia napierała na nią tak, jakby zza rogu miała wyskoczyć armia zombie!

Im bliżej byli cmentarza, tym czuła się lepiej, jakby ból stanowił formę ponaglenia.

Adam o nic nie pytał, nie próbował zagadywać. Zaparkował karawan przed bramą główną i wysiadł za nekromantką, która prawie w biegu wyskoczyła z auta i ruszyła na cmentarz. Nie zwalniała przez pierwsze cztery kwartały, biegła arterią, nasłuchując i czekając na sygnał. Miała cichą nadzieję, że jest o krok od złapania sprawcy i magia prowadzi ją do kwatery dziecięcej, ale nagły impuls kazał jej skręcić. Między pomnikami mignął spłoszony Profesur, jak nazywał go Kowal. Pomykał, łopoczając płachtą papieru.

Katia zignorowała go, szukając źródła alarmu. Poza lekką zadyszka nie czuła już żadnego dyskomfortu - jakby jedyne, co musiała zrobić, by minąć, to przybyć na cmentarz i odpowiedzieć na wezwanie. Bo już wiedziała, że to wezwanie. Jej wzrok nadal nie wrócił do normy, wciąż patrzyła na świat przez soczewki martwej magii. I dzięki temu w jednej chwili zrozumiała,

czemu musiała się tu zjawić. Jeden z grobów, kilkadziesiąt metrów w lewo od głównej arterii, tuż przy kępie brzoź, emanował magią, której nie powinno tu być.

Dotarła do grobu, akurat kiedy starsza kobieta zaczęła się wygrzebywać ze swojego miejsca spoczynku. Miała pod osiemdziesiątkę, była nieco zasuszonej i pomarszczona, ale czego się spodziewać po kimś, kto nie żył od trzydziestu czterech lat?

Na grobie wyczuła kilkanaście pieczęci – nekromanckich i założonych przez pracowników domów pogrzebowych, za dwie odpowiadał najprawdopodobniej kapłan lub szaman... i najwyraźniej żadna nie zdołała powstrzymać Danuty Lubickiej od wstania z martwych. Co ciekawe, Katia zauważyła też mrugające na czerwono światelko nowoczesnego alarmu, który zapewne wysyłał teraz komuś powiadomienie, że starsza pani znów postanowiła pójść na przechadzkę. Wszystko wskazywało na to, że nekromantka ma do czynienia z recydywistką.

– Halo, pani Danuto, gdzie się pani właściwie wybiera? – zapytała Katia, wciąż niezauważona przez staruszkę, która skrupulatnie odkopywała swoje nogi w podziurawionych, brudnych rajstopach.

Staruszka tylko pomrukiwała coś pod nosem, więc Katia zawołała głośniejsze:

– Pani Danuto! Proszę w tej chwili przestać!

Kobieta zamarła i uniosła głowę. Wbiła w Katię wodniste oczy, bardziej białe niż niebieskie.

– A kim pani jest? – zapytała uprzejmie. A więc miała świadomość i nie była plujem czy pośledniejszym ożywieńcem.

– Jestem nekromantką i pilnuję porządku na tym cmentarzu. Co oznacza, że między innymi powstrzymuję zmarłych od wychodzenia z grobów, w których powinni leżeć grzecznie po wsze czasy – odpowiedziała Katia.

– Och, to cudownie! Bardzo ważne, by zmarli nie włóczyli się po ulicach. I jak miło, że taką odpowiedzialną funkcję pełni kobieta! Za moich czasów by ci, dziecko, nie pozwolili.

- Mogliby próbować. Pani Danuto, wszystko pięknie, miło się gawędzi, ale mogłaby mi pani powiedzieć, czemu właściwie wychodzi pani z trumny? I czemu przerywa sobie pani wieczny odpoczynek?

- Jaki odpoczynek! Dziecko, ja mam tyle rzeczy do zrobienia! Wiosna idzie, okna się same nie umyją. I trzeba nastawić zakwas na barszcz, mój Henryczek nie zje byle jakiego barszczu. Pastowanie podłóg trwa i trwa, ale jest tego warte! W maju zawsze przyjeżdżają dzieci, muszę się uwinąć z porządkami, zanim się pojawią, bo szkoda tracić rodzinny czas na pranie czy prasowanie - mówiła z przekonaniem, a jej martwa, pomarszczona twarz na chwilę się ożywiła.

- Pani Danuto, pani nie żyje. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale nie musi pani myć okien dla Jezuska czy innych bóstw, zakwas i pasta do podłóg nie są więcej pani problemem. Już się pani nasprzątała za życia, czas odpocząć - tłumaczyła Katia jak dziecku.



– Odpocząć? Ale co ja mam robić? – zdumiała się pani Lubicka i załamała ręce. Brzoskwińskie rękawy utyłanej ziemią garsonki wisały luźno na jej kościstych ramionach.

– Pani Danuto, to, co wszyscy. Ciało poleży w trumnie, a duch, jeśli mu pani pozwoli, odejdzie w Zaświaty. – Katia zerknęła na tabliczkę nagrobną i dodała: – Gdzie pewnie czeka już na panią pan Henryk i zapewne narzeka na tamtejszy barszcz, bo przecież nikt mu tam porządnego nie ugotuje.

– Henryczek nie żyje? – zapytała wstrząśnięta Lubicka.

– Zmarł niecałe trzy miesiące po pani – odpowiedziała Katia.

– Och, biedaczek! Pewnie nie mógł sobie sam beze mnie poradzić... Z tęsknoty mu serce pękło!

– Niewykluczone – przyznała nekromantka. Jak głosił napis na nagrobku, spędzili ze sobą ponad pięćdziesiąt lat. Możliwe też, że Henryczka rzeczywiście zabił brak porządnego barszczu, albo poślizgnął się na wypastowanej podłodze. Katia nie wnikała, małżeństwa spędzające ze sobą pół wieku stanowiły zupełnie osobną kategorię magicznych, o której wiedziała niewiele.

– To powiedz mi, dziecko, jak ja mam do niego trafić? Bo jeśli on tam jest, to czemu ja się ciągle kręcę tutaj? Przecież nie będę sama dla siebie zakwasu robiła...

Katia westchnęła.

– Pani Danuto, pani się grzecznie położy w trumnie, ja zaśpiękam kołysankę i wróci pani do stanu nieożywionego. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z naturalną kolejną rzeczy, pani duch opuści ciało już ostatecznie i uda się do Zaświatów, gdzie powinna pani przebywać od trzydziestu lat. A jeśliby się nadal kręcił w pobliżu, zadzwonię po szamana i on panią przeprowadzi przez Bramę. W porządku? – zapytała.

– Tak, tak, oczywiście, nie chciałabym robić nikomu kłopotu.

– Doskonale – przyznała Katia z ulgą, widząc, że kobieta przestała odkopywać swoje nogi. Zamiast tego zsuwała się z powrotem w głąb grobu, do trumny, z której po trzydziestu latach pewnie niewiele zostało. Z niej też zresztą powinno pozostać dużo mniej, ale musiała być starannie zabalsamowana.

Nekromantka wyciągnęła z torby miedziany pręt i zaczęła śpiewać, ogniskując magię na rozkopanym grobie. Przez chwilę jeszcze słyszała nucenie dobiegające spod powierzchni, jakby pani Danuta powtarzała za nią słowa kołysanki, lecz niebawem umilkło. Katia skończyła i westchnęła z ulgą. Poszło całkiem dobrze. Teraz potrzebowała łopaty.

Adam i Kowal stali kilka metrów za nią. Najwyraźniej nie tylko Katia poczuła zakłócenie mocy. Stary dozorca podał nekromantce wiekowe narzędzie, a ona sprawnie zaczęła przerzucać walającą się wokół ziemię w obręb ramy z lastryka. Następnie uklepała ją, wypowiadając zaklęcie. A potem założyła pieczęć nekromancką z prawdziwego zdarzenia. Miała nadzieję, że pani Danuta zazna wreszcie spokoju, bo wizja wieczności z poczuciem, że gdzieś tam czekają okna do umycia i podłogi do wyfroterowania, była co najmniej przykra.

– Co się tu dzieje? – usłyszała nagle obcy głos.

– Już nic. Wszystko jest na swoim miejscu – zapewniła.

– Co pani robi z grobem mojej ciotki? – zapytała agresywnie pani w średnim wieku.

A Katia, zażenowana, rozpoznała ten głos.

Odwróciła się. Ostatni raz widziała tę kobietę całkiem niedawno, w sklepie, gdzie ukrywała się przed nią i jej koleżanką, pełzając w dziale pieczywa. O chwile chwały!

– To, co powinno zostać zrobione, gdy ktoś, kto powinien w nim leżeć, próbuje zeń wyjść – powiedziała i wróciła do splatania węzłów pieczęci.

– Ona tam jest? Na pewno? Nie poszła nigdzie? – upewniła się kobieta, a z jej głosu zniknęły agresja i podejrzliwość.

– Jest, bez dwóch zdań. Byłam tu, zanim zdołała się odkopać – zapewniła nekromantka.

Kobieta z ciężkim westchnieniem opadła na ławeczkę przy nagrobku.

– Jak dobrze... Zwykle przybiegam, gdy tylko usłyszę alarm, ale jak na złość byłam u dentysty. Ciocia miała demencję, to chyba dlatego nie może zapamiętać, że nie żyje. Bałam się, że znów będę ją kilka godzin ganiać po mieście. Ostatnim razem znalazłam ją przed szkołą podstawową. Poszła

odebrać syna z lekcji, choć kiedy umarła, Andrzej miał prawie pięćdziesiątkę, a teraz sam leży dwie alejki dalej.

– Demencja może napędzać problem – przyznała Katia. – Dusza mogła być zbyt zdezorientowana, by iść w stronę Bramy. Ale znajdziemy rozwiązanie.

– Tylko żadnej dekapitacji! – zastrzegła kobieta. – Ciocia pewnie i tak by wstała, ale byłoby jeszcze gorzej.

– W tych okolicznościach dekapitacja nie byłaby uzasadniona – orzekła nekromantka. – Myślę, że jeśli przez jakiś czas ciocia będzie pamiętać, że mąż czeka na nią w Zaświatach, może podążyć do Bramy o własnych siłach. Jeśli nie, wezwę szamana, który z pewnością ją przeprowadzi.

Kobieta westchnęła ciężko.

– Ile mnie to wszystko będzie kosztowało? – zapytała zrezygnowana.

– Nic. Przejęłam ten cmentarz pod opiekę i czas, by pani Danuta odpoczęła na dobre – odpowiedziała Katia. Nie zapytała, ile za usługę wołali sobie nekromanta z Łodzi, Klaudia czy Gardiasz, których pieczęcie rozpoznała. Pewnie nie chcieli się już zajmować tą sprawą, bo pani Danuta psuła im statystyki.

– No czas był najwyższy. – Kobieta sapnęła z ulgą. – Proszę robić, co do pani należy, a może być pani pewna, że mieszkańcy to zauważą.

Katia nie zapytała, czy to znaczy, że ma jej głos, albo czy zmieniła zdanie co do tego, kto chodzi na czym pasku. Nie chciała kusić losu.

*

– Czy to zawsze jest takie... intensywne? – zapytał Adam, wciąż zaniepokojony.

– Z panią Danusią poszło gładko, żadnego odrąbywania głowy czy neutralizowania czarnych zaklęć. Po prostu starsza pani zapomina, że nie żyje – wyjaśniła Katia.

– Ja nie o tym... Wcześniej poskładało cię jak scyzoryk, zrobiłaś się blada jak świeżutki trup i stało ci się to coś z oczami – powiedział Adam.

Katia przymknęła powieki. Wszystko dookoła wciąż emanowało fioletem, a jej oczy zdawały się przesłonięte kataraktą.

- Nigdy wcześniej nie byłam związana z cmentarzem w taki sposób. Byłam opiekunką cmentarzy w realnym mieście, ale nie splatałam z nimi swojej magii – przyznała.

- A nie czytałaś nic na ten temat, zanim to zrobiłaś? – zdziwił się.

- Nie przesadzaj, chłopcze, jakby wszystko wiedziała, toby się w życiu na to nie zdecydowała – zrugął go Kowal. - Potrzebujesz więcej ziemi? – zapytał.

- Kolejne wiadro – przytaknęła. - A najlepiej dwa.

Kowal odszedł, pomrukując coś pod nosem o panienkach, które lepiej karmić niż im kopać grobową ziemię.

- Zapytasz Matkę Ziemię, czy to było normalne? – dociekał Adam. Nadal wyraźnie się martwił.

Skinęła głową. Rozumiała jego niepokój. Sygnał ją znokautował. Czy gdyby była sama, zdołałaby dojechać tu samochodem, czy też musiałaby biec pieszo? Może dałoby się to jakoś wykalibrować.

Katia po raz ostatni sprawdziła pieczęcie i rozejrzała się po cmentarzu. Coś jeszcze szturchało jej magię. Coś plugawego... Podążyła za impulsem, który z każdym krokiem stawał się silniejszy. Adam szedł za nią w milczeniu.

Kilka minut później stali przed grobowcem. Okazały grobowiec rodzinny Stanisławskich, utrzymany w stylu klasycystycznym, pochodził z końca osiemnastego wieku i został wzniesiony z kremowego piaskowca. Po obu stronach dekoracyjnej żelaznej furtki wyrastały trzy kolumny korynckie. Przez pręty Katia widziała niewielkie pomieszczenia z miejscem na urny i tablice pamiątkowe, a także schodki wiodące do krypty. Zgodnie z informacją na tablicy ostatnią osobę pochowano tu dwadzieścia siedem lat temu. Dlaczego więc ślad śmierci był tak świeży? I dlaczego na podłodze i schodku widziała krople krwi? I czemu, do cholery, cały grobowiec emanował magią tak plugawą, że gdy tylko dotknęła kolumny, miała wrażenie, że jej dłoń jest lepka od śmierdzącego, magicznego szlamu? Kłódka na furtce była zupełnie nowa, nic, z czym by sobie nie poradziła z małą pomocą piły do metalu...

- Lepiej, żeby nic głupiego nie przyszło ci do głowy, panienko – usłyszała za sobą głos Kowala.

- Pan też to czuje? - zapytała wstrząśnięta.

- Co mam nie czuć. Dłuższy czas już taki jest. Mogę ci nawet powiedzieć, kto się tu kręci. Ale co poradzę? Ma zgodę rodziny i wolno mu do grobowca wchodzić. Za to ty nie masz i złamałabyś prawo - przypomniał.

- Licz? - zgadła.

Skinął głową.

- Jak tu robi bałagan, to pal lichu, zgodzili się, to mają. Ale anioł rodziny Jontów na to nie zasłużył - powiedział i wskazał secesyjną anielicę wyrastającą na lewo od grobowca. Wiotka i śliczna jak z obrazka, trzymała w dłoniach czaszkę, a długie włosy i szata spływały po jej delikatnym ciele, układając się w misterne fale.

Katię kusilo, by wrócić tu po zmroku i zajrzeć do grobowca, ale przypomniała sobie, co mówiła Dora. Wszystko zgodnie z literą prawa.

- Zajmę się tym - szepnęła.

Czy to możliwe, pomyślała, że zaginione dziewczynki były tu cały czas? Że nigdy nie opuściły terenu cmentarza?

ROZDZIAŁ 30

Trupy w szafie licza

Dora Wilk dotarła do Thornu zmęczona, głodna i wkurzona. Irytacja towarzyszyła jej jeszcze w Krakowie, gdy rozmówiła się z Namiestnikiem z Wawelu i jego żoną, całkiem niezłe poinformowaną w kwestii tego, o czym ludzie i nieludzie od lat szeptali po korytarzach. Kiedy licz opuścił ich miasto, mieli powody świętować ten fakt szampanem. Dora wcale im się nie dziwiła, wiedząc już to i owo, wściekła, że teraz jest to jej problem. Bo że czekają ją problemy, wiedziała po pierwszym telefonie Katii. Senne koszmary tylko ją w tym przekonaniu utwierdziły. A po tym, co usłyszała teraz, nie mogła przestać się zastanawiać, jak zminimalizować zasięg gówna, które wcześniej czy później obryzga ulice Thornu.

Zamierzała dać Katii swoje pełne wsparcie, a tymczasem zaczęła szykować armaty. Jeszcze z drogi zadzwoniła do Romana i wprowadziła go w temat. Wampirzy Książę był żywo zainteresowany, jak to określił, „nowym truchłem Gardiasza”, jak też faktem, że miałyby ono wylądować w Starszyźnie.

– Jeśli możesz nie zabijać go publicznie, będę wdzięczny – powiedział tylko.

– Zabijać? Tak od razu? Nie tylko koty bawią się jedzeniem – zażartowała. – Zobaczę, co się da wygrzebać, zanim do tego dojdzie.

– Papiery mają być, że mucha nie siada, a nakaz przeszukania da się wyciągnąć ze Starszyzny. Nie sądzę, by Gardiasz chciał nadstawiać głowę

za licza, jeśli wywlecemy wszystko na światło dzienne – zapewnił wampir.

– Dobra, wszystko zgodnie z przepisami – zapewniła.

– I szturchnij nekromantkę, żeby wreszcie zgłosiła kandydaturę. Niby ma jeszcze czas, ale wolałbym, żeby się ludziom nie utrwaliło, że liczą to jedyny kandydat. Zrobi się z tego smród, jeśli będziesz musiała go zabić.

Dora zawsze doceniała praktyczne podejście Romana, więc zapewniła, że dołoży wszelkich starań, choć nie będzie Katii ponaglać.

– Jeśli dobrze oceniam sytuację, ona już wprawiła maszynę w ruch – powiedział wampir. – Cmentarz śpiewa jej imię. Teraz tylko kilka formularzy i apopleksję Gardiasza mamy jak w banku. Ach, nie mogę się doczekać!

Skoro wiedział Roman, czy wiedzieli też Pan Umarłych i Katarzyna? Dora cieszyła się, że wraca do miasta. Nie martwiła się o Katię, pewna, że przyjaciółka poradzi sobie śpiewająco, ale na niektórych członków Starszyny trzeba czasem warknąć, by pamiętali, że głupota ma konkretną cenę i konsekwencje.

*

Katia siedziała wraz z Adamem na podłodze w salonie, planując pogrzeb, kiedy poczuła szarpnięcie kręgów ochronnych. Po chwili na schodach rozległ się tupot buciorów, a zaraz potem usłyszała pukanie do drzwi. Zerwała się i otworzyła przyjaciółce.

– Na boginię, jak ja się cieszę, że wróciłaś – powiedziała, obejmując ją na powitanie.

– To tęsknota za moją wspianiałą osobą czy obawa, że za chwilę zaczniesz się zamieszanie i wolisz mieć strasznego, złego wilka pod ręką? – zażartowała Dora, zerkając nad ramieniem nekromantki na faceta, który przyglądał się jej z ostrożną rezerwą. Wysoki, chudy jak szczypiorek, z sięgającymi do ramion puszącymi się włosami, z wyrazistymi oczami szczeniaka i lekkim śladem zarostu wyglądał znajomo... Przez chwilę mrużyła oczy, próbując sobie przypomnieć, skąd go kojarzy.

- Pogrzeb pana Ludwika - podrzucił, domyśliwszy się, co znaczy jej mina.

- Ach, oczywiście. Nie poznałam bez mundurka - powiedziała Dora, bo w wypchanych na kolanach spodniach z szarej flaneli i czarnym T-shircie wyglądał młodziej niż ostatnio. Wtedy, to jest przed kilkoma tygodniami, grzebał Ludwika Wrońskiego, jej poprzednika na stanowisku Namiestnika Thornu.

Katia poklepała Dorę po ramieniu, a gdy wyczuła jej napięte mięśnie, szepnęła:

- Jego oszczędź, pomaga mi.

Dora zaśmiała się cicho.

- Daj znać, jeśli zmienisz zdanie.

- Opowiedz mi wszystko, czego dowiedziałaś się o liczu - poprosiła nekromantka.

- Wejźmy na górę, Miron dzwonił, że już wrócili od dziadka i czekają z obiadem - zaproponowała, a widząc, że Katia się waha, dodała: - Umieram z głodu, a to dłuższa historia, więc albo opowiem ci nad żarełkiem, albo wrócę tu za czterdzieści minut.

Katia zerknęła na Adama, a on wyprostował się gwałtownie.

- Ja mogę poczekać, albo sobie pójdę, zobaczymy się później i w ogóle... Nie chcę przeszkadzać... - wymamrotał szybko.

Dora zostawiła tę decyzję Katii, sama tylko powiedziała:

- Indyjskie, starczy dla małej armii. - I ruszyła do drzwi.

Wkrótce dobiegły ich ciężkie kroki, szcęk zamka, pisk nastolatki i śmiech.

Katia westchnęła.

- Możesz iść ze mną, gdyby cię tam nie chciała, wiedziałbyś. Tylko uprzedzam: Dora ma największe serce na świecie, ale jest też nadopiekuńczą i nieco rąbniętą wilczycą alfa. Z kolei Miron to diabeł i potrafi być... intensywny. A Salcia jest salamandrą i jeśli choć spojrzysz na nią krzywo, nikt nigdy nie znajdzie twojego ciała. Są moją rodziną. I jeśli Dora zacznie cię grillować, jesteś zdany na siebie. Nie da się wykluczyć, że

zapędzi cię do komórki na węgiel, by zapytać, jakie masz wobec mnie plany. Czuj się uprzedzony.

Adam parsknął:

– Macie tu komórki na węgiel?

– Już nie, Dora przerobiła je na zbrojownię.

Może i trochę go dręczyła, ale jedno nie ulegało wątpliwości: jeśli nie umiałby zaakceptować rodziny jej przyjaciółki, wszelkie widoki na związek rozwiałyby się jak fatamorgana.

*

Jeżeli Adam został wrzucony na głęboką wodę, nie dał tego po sobie poznać albo naprawdę dobrze pływał. Szybko wyczuł energię panującą między członkami stada i doskonale zrozumiał niewerbalny przekaz – nawet młodzieńca salamandra rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Zdawało się mówić: „Jeśli skrzywdzisz ciocię Katię, będziesz miał ze mną do czynienia”, a w jej źrenicach przelotnie mignął ogień. Adam skinął głową, biorąc je sobie do serca. Na szczęście po tej pierwszej minucie niewerbalnej presji wiedźma, diabeł i mała salamandra okazali się całkiem przyjaźni.

Jedli i rozmawiali, Dora odpowiadała na pytania o Berlin i „sukces rekrutacyjny”, cokolwiek to znaczyło, a gdy wszyscy uporali się ze swoimi porcjami, wiedźma powiedziała:

– Dobra, to teraz ta mniej apetyczna część. Licz.

– Co to jest licz? – zapytała Salcia, sięgając po jeden z ostatnich placków nan.

– Coś z departamentu cioci – odpowiedziała Dora.

– To stworzenie, zwykle człowiek, które korzysta z czarnej magii i magii śmierci, by pozostać przy życiu o wiele dłużej, niż powinno – wyjaśniła Katia.

– Jak zombie? – upewniła się dziewczynka.

– Zombie nie mają świadomości ani rozumu. Licz zostaje sobą. Zwykle mało uroczym sobą, bo to paskudny rodzaj magii i mili ludzie nie

decydują się na taki krok.

– Ale jest martwy?

– Generalnie tak, choć to skomplikowane. Jest martwy, ale animuje go martwa magia – tłumaczyła Katia. – Może się przenieść do cudzego, ukradzionego ciała, jeśli z jakiegoś powodu musi opuścić własne. A czasami zostaje we własnym, ale składa różnego rodzaju ofiary, by podtrzymać je przy życiu, bo jego licznik już się zatrzymał.

Dziewczynka pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Zasada przeciwwagi sił. Martwe ciało dąży do martwoty, trzeba dużo energii, by utrzymać je przy życiu.

– Otóż to – przyznała z dumą Katia.

– Czyli licz to czarnoksiężnik? – porządkowała wiedzę dziewczynka.

– Niekoniecznie, ale czasami tak – odparła nekromantka. – Jeśli sam się zmienił w licza, jest to bardzo prawdopodobne. Ale równie dobrze mógł skorzystać z pomocy. Wtedy wystarczy, że dokarmi zaklęcie raz na jakiś czas.

– Ale czy wtedy nie jest zależny od stwórcy? Jak młody wampir od Księcia? – zapytała dziewczynka.

Katia przytaknęła i powiedziała zaskoczona:

– Masz rację, kochanie, o tym nie pomyślałam, ale faktycznie taka relacja może występować.

– Super – oświadczyła dziewczynka i zerwała się z krzesła, bo gdzieś w mieszkaniu rozległ się sygnał komórki. – Mamo, mogę do Lakshmi? Czeka na dole.

– Tylko pamiętaj, że jutro szkoła – powiedziała Dora ze spokojem.

Chwilę później małe ogniste tornado trzasnęło drzwiami i z donośnym tupotem pokonywało schody.

– Wow, mnie w szkole nie uczyli takich rzeczy – powiedział Adam, szczerze zdumiony.

– U niej w szkole też nie uczą wszystkiego, ale ma ciotkę, która podsuwa jej wartościowe książki. Dzięki nim zgłębia interesujące ją zagadnienia. – Dora nie kryła dumy.

- I akurat trafiło na magię śmierci?

- Ma magicznych z tej domeny w najbliższej rodzinie - wyjaśnił Miron, zbierając naczynia ze stołu.

Na swój sposób miało to sens.

- Dobra, to skoro mała już nie słucha, możesz powiedzieć, co ustaliłaś?
- zapytała Katia.

Dora skinęła głową i wyciągnęła z torby notes. Zaczęła go kartkować i opowiadać:

- No więc jest coś na rzeczy z przeniesieniem na inną parafię. Żona Namiestnika Wawelu zgadza się z twoją opinią, że nikt nie wyleciałby z uczelni, gdyby chodziło tylko o molestowanie i uprzykrzanie życia studentkom. Po wyjeździe licza Namiestnik odetchnął z ulgą, bo miał go na celowniku z powodu zniknięć trzech chłopców w ciągu ostatnich pięciu lat. Z dwoma z trzech licz był widziany wcześniej. I pozostawał w relacji z ich rodzinami, na tyle dziwnej, że według Namiestnika rodziny mogły oddać mu chłopców. Żadna nie zgłosiła zaginięcia, zrobili to dalsi krewni lub nauczyciele.

- Kto nie zgłosiłby zaginięcia własnego dziecka? - zapytał cicho Adam.

- Na przykład członkowie sekty Nowe Światło - odpowiedziała Dora, a widząc, że nazwa nic nie mówi chłopakowi Katii, wyjaśniła: - To specyficzny rodzaj kultu zgromadzonego wokół, powiedzmy, mistyka o nazwisku Amon Lucius. Jakies sześćdziesiąt lat temu doznał objawienia „ścieżki światła” - Dora przewróciła oczami - która miała gwarantować wybrańcom życie wieczne.

- Nieśmiertelność? - upewnił się Adam.

- A widzisz, nie całkiem. Raczej powracanie i odradzanie.

- Liczowo to brzmi - mruknął Miron.

- Co ciekawe, od dobrych dwudziestu lat nikt nie widział Amona Luciusa i nie wiadomo, czy umarł, czy żyje, w swoim lub cudzym ciele. Nie są to pytania, na jakie sekta chciałaby odpowiadać, jej członkowie izolują się od niewiernych - zauważyła Katia.

- Dużo ich jest? - zapytał Miron.

Dora wzruszyła ramionami.

– Sporo. I nie tylko w Krakowie. W Toruniu nigdy nie zapuścili korzeni, ale już w Trójprzymierzu mają osadę na granicach wampirzego terytorium i kilka razy ścierali się z Gajuszem. Mają mocne plecy, minęły lata, a Gajusz wciąż nie zdołał się ich pozbyć.

– Mówi się, że sporo ważnych ludzi korzysta z ich „ścieżki”, by przedłużyć sobie życie, ale nigdy nie udało się nikogo złapać za rękę – dodała Katia.

– Czy Bremmer może być jednym z nich? – zapytał Adam.

– Jest liczem dłużej, niż istnieje sekta, ale kto go tam wie. Nie zdziwiłabym się, gdyby upiekł na ich nowym świetle własną pieczeń, niczym biali kolonizatorzy na legendach rdzennych mieszkańców – powiedziała Namiestniczka.

– Jeśli członkowie Nowego Światła naprawdę oddawali mu dzieci na ofiarę – Katia skrzywiła się na samą myśl – skąd je bierze teraz, gdy mieszka w mieście bez siedziby sekty?

– Namiestnik Wawelu nawet nie brał pod uwagę takiego scenariusza, zakładał tradycyjną pedofilię, ale ja bym nie wykluczała żadnej z tych opcji – przyznała Dora. – Bremmer ma wysoko postawionych kolegów i dopiero przy trzecim chłopcu zrobił się smród na tyle duży, że rektor zmuszony był podjąć konkretne kroki. Dał Egonowi urlop dziekański i wysłał go w świat do czasu, aż sprawa przyschnie. Nieprędko to nastąpi, bo dalsze rodziny pierwszych zaginionych chłopców i molestowane studentki trzymają wspólny front i nie pozwolą zapomnieć władzom uczelni, że nie jest tam mile widziany. Stąd przeprowadzka.

– I Gardiasz uznał, że ta perła w koronie stworzenia zasługuje na stołek w Starszyźnie. – Katia nie kryła obrzydzenia.

– Ma w tym swój interes. Licz jest konkurencją dla ciebie, poza tym łatwiej będzie nim manipulować – zgadywała Dora.

– Albo Gardiasz jest jego stwórcy i wystarczy, że wskaże, na którą bramkę Licz ma grać – podsunął Miron.

Katia i Dora wymieniły spojrzenia. Zdecydowanie warto byłoby sprawdzić ten trop.

– Jeśli został stworzony, może w ogóle nie mieć własnej magii śmierci. Jest tylko słoikiem, który ktoś inny napełnił fioletem – zauważyła nekromantka. – Wtedy nie usłyszałyby wezwania Matki Ziemi i nie mogłyby przejąć cmentarza czy wziąć udziału w pojedynku nekromanckim. I faktycznie, wybory byłyby jedyną szansą dla kogoś takiego jak on, by dostać przydział.

– Niechcący wystawiliśmy mu piłkę? – zapytała Dora.

– Gdyby nie referendum i wybory, Gardiasz już by mu podsunął stołek pod dupę. Tymczasem ciągle jeszcze mamy szansę zablokować tę kandydaturę – powiedziała Katia.

– Lub, jeśli się nie da jej zablokować, pokonać gada w wyborach – dorzucił Adam.

Dora uśmiechnęła się do niego.

– Dobra, dobra, wypełnię formularze i złożę wnioski z moją kandydaturą. – Katia uniosła ręce w geście poddania.

Dora wstała do stołu i z szuflady komody wyciągnęła teczkę. Podała ją Katii.

– Wszystko wypełnione, poza adresem i twoim podpisem – powiedziała zadowolona.

– Dora!

– No co? Byłam przygotowana! Gdybyś się rozmyśliła, papiery po prostu poszłyby do kosza, a tak masz z głowy nudne uzupełnianie rubryczek. Znajdziesz tam listy rekomendacyjne dwóch członków Starszyny i dwóch urzędników publicznych. Podpisz, a ja od razu zaniosę całość do Romana.

– Roman napisał mi list? – zapytała zaskoczona nekromantka.

– On i Borys, jeszcze przed referendum. Plus ja i Bogna, gdy tylko uprawomocnił się jej status koronerki Thornu. Wszyscy czekaliśmy z zapartym tchem, aż wreszcie pogodzisz się z tym, co nieuchronne – odpowiedziała Dora z rozbawieniem i podsunęła przyjaciółce formularz z miejscem na adres i podpis.

Katia w milczeniu patrzyła w rubryki wypełnione zamaszystym pismem Namiestniczki. A potem wpisała swój adres – adres Cmentarza Centralnego. Złożyła podpisy we wszystkich niezbędnych miejscach. Dora z piskiem radości skakała wokół stołu.

– Mamy to! – zawołała, unosząc ręce nad głowę.

– Powiedzmy – mruknęła Katia, zawstydzona.

– Masz co najmniej trzy głosy w tym pomieszczeniu, licząc ani jednego, nie może się nie udać – zapewnił Adam.

Jego logika miała luki, przez które można było przejechać karawanem, ale nie zamierzała się czepiać. Najważniejsze, że podjęła decyzję. Dora, zbierająca teraz papiery z powrotem do teczki, dopilnuje, by nie stchórzyła.

ROZDZIAŁ 31

Serce w glinie i rozmowy od serca

Katia wiedziała, że coś nadchodzi. Czuła to w kościach. Jakby powrót Dory do miasta był tym elementem, którego los potrzebował, by machina ruszyła, i wkrótce miało dojść do kumulacji. Nekromantka nie ludziła się, że zdoła zasnąć z tak pobudzoną magią, więc nawet nie próbowała. Po kolacji u przyjaciółki zostawiła ją z zadaniem specjalnym – znaleźć rodzinę opiekującą się podejrzanym grobowcem i zdobyć od niej zgodę na wejście do środka. Gdyby jeszcze Namiestniczka zdołała przekonać Romana do przeszukania domu licza! Na to jednak, bez konkretnych dowodów czy choćby poszlak, nie było szans.

Katia zostawiła Dorze swoje domysły jak kość do ogryzania i z kolejnym wiadrem ziemi cmentarnej wróciła do pracowni. Przez całą noc uwijała się jak w ukropie. Nasyciała magią każdy centymetr rzeźbionego ciała, osadziła mu też w piersi kamienne serce, by mogło gromadzić jeszcze więcej magii, a w odpowiednim momencie, gdy golem będzie na to gotowy – wchłonąć i utrzymać zakłęcie transformacji.

Na razie nie robiła niczego nielegalnego. Po tym, jak dopełni dzieła, nie będzie już takie przejrzyste i nie wykluczała, że Gardiasz zacznie dyszeć jej w kark, ale nie zamierzała się tym teraz przejmować. Miała zadanie do wykonania.

Były chwile, gdy zastanawiała się, czy nie żyłoby się im wszystkim lepiej, gdyby Gardiasza spotkało coś nieprzyjemnego – był bóstwem, ale nie nieśmiertelnym. Wystarczyło jednak, że zaczęła się zastanawiać, jakie inne bóstwo mogłoby trafić na jego miejsce, i natychmiast odechciewało jej się zmian. Czasami lepszy diabeł znany. Kiedyś zapytała Dory, dlaczego

właściwie Katarzyna ciągle chodzi po ziemi po tym, jak w paskudny sposób zawiodła pokładane w niej zaufanie. Przyjaciółka milczała chwilę, a potem powiedziała:

- Wiem już, czego się po niej spodziewać. A ona wie, czego może spodziewać się po mnie. Nigdy już jej nie zaufam. Za to zrobię, co trzeba, by nie mogła nikomu więcej zaszkodzić. Jeśli to oznacza, że muszę osłabić jej pozycję w Starszyźnie, cóż, zrobię to. A potem zobaczymy.

Katia mieszała, ugniatała, wałkowała, rzeźbiła, a magia wsiąkała w glinę. Nekromantka nawet nie zauważyła, że jej wzrok znów jest martwy, fiolet wypełnia pracownię gęstymi kłębam, a wciąż niekształna, ale coraz bardziej humanoidalna sylwetka na stole emanuje lawendową poświatą.

Nie słyszała dobiegających z zewnątrz hałasów i kłótni. Przegapiła moment, w którym zaczęło się ściemniać i powinna zapalić lampy. Pracowała bez wytchnienia. Co jakiś czas przerywała na minutę, odsuwała się od stołu i zerknęła krytycznie na swoje dzieło. Upijała kilka łyków wody z butelki, po czym wracała do gliny, pozwalając jej szeptać do siebie, kierować swoimi palcami, by odnalazły krzywizny i wklęsnięcia, które z nieforemnej czerwonej bryły wydobędą kształt dziecka.

Dzień przepłynął jej między palcami, zbliżał się wieczór. Może czas kończyć na dziś? Warstwa, którą dołożyła na torsie, by ukryć serce, była dosyć gruba, musiała podeschnąć. Podobnie uda i łydki. Zbudowała je wokół zmiętych gazet i kul z folii, a potem rozcięła na pół, by podeschły i stwardniały. Jutro, może pojutrze, zdoła je połączyć z powrotem i zespolić z tułowiem. Golem miał już także głowę, ale wciąż gładką. Katia czekała z nadaniem jej rysów do ostatniej chwili. Wiedziała, że praca nad resztą ciała byłaby trudniejsza, gdyby dziewczynka miała twarz.

Choć nie robiła tego wcześniej, jej magia w jakiś dziwny sposób rozpoznawała proces, prowadziła ją, szturchając intuicję. Może to znaczyło, że postępuje słusznie. A może wręcz przeciwnie – magia była podekscytowana tym, że nekromantka wreszcie zapuszcza się w ciemne rewiry i będzie więcej okazji do zabawy.

Po osiemnastej Katia była tak padnięta, że z trudem stała przy stole. Jej dłonie drżały z wysiłku. Uświadomiła sobie, że odkąd tu przyjechała z

wiadrem ziemi cementarnej, minęły dwadzieścia cztery godziny. Była głodna, zmęczona i wyczerpana na poziomie magicznym.

Przykryła golema folią spożywczą, by sechł równomiernie, po czym wytarła dłonie w ścierkę i przecięła podwórko, kierując się do domu. Umyła dłonie i opryskała twarz wodą, włączyła czajnik (dzięki bóstwom za prąd i wodę w kranie!), po czym zaczęła grzebać w szafkach i w lodówce w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Niestety jedyne zakupy, jakie ostatnio robiła, leżały w lodówce w Thornie.

Wzdychając, wyciągnęła paczkę suchego makaronu z sosem w proszku, kupionego na czarną godzinę, ustawiła garnek z wodą na kuchence i nagle zeszytniała. Wyczuła za sobą czyjaś obecność. Jej magia biła na alarm, a kłęb fioletu owinał się wokół niej niczym kokon. Odwróciła się ostrożnie, przekonana, że stanie oko w oko z Matką Ziemią.



Z jej gardła wyrwał się pisk przerażenia, kiedy dotarło do niej, że to nie sylwetka Matki Ziemi odbija się na tle okna podmalowanego zachodem słońca.

Nigdy wcześniej jej nie widziała, ale rozumiała już, czemu Adam nie mógł oderwać wzroku od obrazu Malczewskiego w gabinecie Kamala. Podobieństwo było uderzające!

Ciemnowłosa kobieta była niewiele wyższa od Katii. Krzepka, zaokrąglona, o zarumienionych zdrowo policzkach, nie pasowała do większości wizerunków śmierci utrwalonych w kulturze. Nie miała też na ramieniu kosa, co Katia przyjęła z ulgą. Wpatrywała się w nekromantkę, a jej jasnozielone tęczówki bardziej przypominały odcieniem fluorescencyjne wskazówki zegarka niż młodą trawę. Katia czuła się nieswojo, kiedy próbowała spojrzeć jej w oczy, więc szybko przeskoczyła spojrzeniem na wpięte za uchem kwiaty. Początkowo uznała, że to hibiskus, ale nie, to były malwy o ciemnobordowych, prawie czarnych kielichach wypełnionych kremowymi pręcikami.

– Pisnęłaś tylko raz i nie próbujesz się targować, uznaję to za dobry początek – powiedziała Pani Śmierć, a kącik jej ust drgnął w najdelikatniejszym uśmiechu.

Katia ugryzła się w język, zanim wspomniała, że ważniejsze jest, jaki będzie koniec. Nawet przy Matce Ziemi, która nie kryła się z sympatią do Katii i na swój sposób ją faworyzowała, lepiej było trzymać język za zębami, a co dopiero przy Pani Śmierci, która... Katia mogła mieć tylko nadzieję, że bogini nie uznała jej za niegodną swojego pupilka i nie przyszła rozwiązać problemu w sposób wiadomy.

Bogini wsunęła dłonie do kieszeni ukrytych w fałdach obszernej spódnicy i powiedziała:

– Nie przyszłam po ciebie. Chciałam tylko ci się przyjrzeć. Upewnić się. Może zamienić kilka słów. Napić się, jeśli masz cokolwiek dobrego. – Spojrzała wymownie.

Jak na zawołanie czajnik zaczął radośnie gwizdać.

– Kawa czy herbata? – zapytała Katia.

Dora była absolutnie przekonana co do tego, że boginiom nie odmawia się herbaty, a poznała ich więcej niż Katia. Matka Ziemia nigdy nie wyrażała

zainteresowania ludzkim jedzeniem czy piciem, jednak nekromantka widziała, ile potrafi pochłonać Faoliarna, kiedy odwiedzała praprawnuczkę, więc najwyraźniej wiele zależało od preferencji bóstwa.

– Kawa. Czarna, gorzka, mocna – poprosiła Pani Śmierć i rozsiadła się na kanapie. Bose stopy ułożyła na pufie i czekała, aż Katia dojdzie do siebie.

Nekromantka tymczasem przygotowała kawę dla Pani Śmierci i herbatkę z melisy dla siebie. A żeby odwlec chwilę, w której będzie musiała wrócić do salonu, wrzuciła makaron i sos do gotującej się wody i przez parę minut zapamiętała mieszała. Następnie wyłączyła palnik i zostawiła danie pod przykryciem, by makaron doszedł i wchłonał część sosu. Z filiżankami przeszła do pokoju, wciąż zachodząc w głowę, co się właściwie dzieje i czemu zawdzięcza tę wizytę. A także czy powinna napisać Adamowi, że jego szalona ciotka właśnie siedzi na jej kanapie i przegląda kolorowy album o ceramice funeralnej.

Postawiła filiżankę na stoliku przed Panią Śmiercią, a sama usiadła na drugim końcu kanapy, starając się, by wypadło to naturalnie, nie jak desperacka próba zachowania dystansu.

Pani Śmierć sięgnęła po kawę, upiła łyk, przymknęła oczy i mlasnęła z zadowoleniem.

– Znakomita. Ktokolwiek wpadł na pomysł, by wypalić ziarna kawy, zmielić, a potem zalać wodą, miał przebłysk geniuszu, który potrafię docenić – powiedziała po chwili.

Katia dyskretnie podmuchała melisę i spróbowała upić łyk, zanim dostanie zawału.

– A więc spotykasz się z moim chłopcem – stwierdziła Pani Śmierć.

– Myślę, że raczej obydwójce rozważamy tę możliwość – odparła ostrożnie nekromantka.

– A co tu rozważać? To świetny chłopak i byłabyś głupia, myśląc, że możesz trafić lepiej – rzuciła ostro bogini, wyraźnie zirytowana.

– W relacjach międzyludzkich pośpiech nie jest wskazany – odpowiedziała Katia, siląc się na spokój. – Są dość skomplikowane.

Pani Śmierć westchnęła przeciągle.

- To samo mi powiedział. Naprawdę, co w tym skomplikowanego, nigdy nie zrozumielem... Powiedział ci - zmieniła nagle temat.

- Rozmawialiśmy - przyznała ostrożnie Katia.

Pani Śmierć odstawiała filiżankę z głośnym stuknięciem.

- Powinnaś wiedzieć, moja panno, że w obliczu śmierci wszystko jest czarno-białe i nie warto próbować zamydlać obrazu. Powiedział ci o tym, co go spotkało, kim jest.

- Myślę, że sam nie do końca rozumie, kim jest - odpowiedziała Katia cicho.

- Ale ty rozumiesz - domyśliła się Pani Śmierć.

Nekromantka kiwnęła głową.

- I co? Czy to stanowi dla ciebie problem? - dopytywała ostro.

- Nie, to jest najmniejsze z moich zmartwień.

- Powiesz mu?

- Nie wiem. Powinam? Skoro Pani się z tym nie spieszyło...

- Daj spokój formalnościom, nie jestem tu z królewską wizytą - burknęła Śmierć, a potem dodała: - No nie składało się.

Uciekła spojrzeniem, a Katia zrozumiała, że choć wszystko w obliczu śmierci jest czarno-białe, to nic nie jest takie w relacji Pani Śmierci i Adama.

- Mam mu powiedzieć? - zapytała.

- Jeśli zapyta wprost, a ty nie będziesz miała wątpliwości, że potrzebuje tej wiedzy. Nie chcę, by się tym zamartwiał. - W głosie bogini pobrzmiwała miękkość, której nekromantka nie spodziewała się usłyszeć. - Nie planowałam tego - dodała.

Oczywiście, że nie planowałaś, pomyślała Katia. Ale też nie spieszyłaś się z wyjaśnieniem Adamowi, co właściwie zmieniło się po tym, jak wyłowiłaś go z wody i przywróciłaś do świata żywych. Nie wiedział, że na poziomie magicznym jest teraz przedłużeniem Pani Śmierci, bo oddała mu kawałek siebie, okruczeństwo swojej magii. I że dotąd tylko jeden rodzaj magicznych dzielił ze Śmiercią taką więź - kosiarze. Tyle że Adam nie zabijał, przeciwnie, odroczył wyrok wiszący nad jego ojcem.

- Gdybym zauważyła, że nadużywa tej mocy, musiałabym interweniować, ale on rozumie to aż nadto dobrze - powiedziała cicho Pani

Śmierć.

– To dobry człowiek – przyznała Katia, choć „człowiek” było w tym momencie bardziej metaforą niż odzwierciedleniem stanu faktycznego.

– Powiedział mi, co się stało, gdy cię pocałował. Nie musicie się bać, nie zdołasz wyciągnąć z niego tego, co mu dałam – dodała bogini.

Katia kiwnęła głową i znów upiła łyk melisy, parząc sobie język.

Pani Śmierć zamyśliła się, skubiąc frędzle u paska sukienki.

– On się martwi, zawsze się za dużo martwił. Mówił mi, że nie możesz spać. Ale tu pewnie mogłaś? – powiedziała nieoczekiwanie.

Katia musiała przyznać, że tak właśnie było.

– Mieszkania nie sprawdzają się dla takich jak ty. Musisz mieć korzenie w ziemi, by chronić cię jej magia. To dzięki więzi z ziemią magia śmierci nie miesza ci w głowie, jak tym, którzy w końcu zapadają na trupa gorączkę. Poszczyło ci się, że masz więcej niż jeden dar, a pracując z gliną, wzmacniasz aspekt mocy powiązany z ziemią. Mądrze. Wspomnij o tym Adasiowi, on będzie wiedział, co zrobić – powiedziała prawie pogodnie.

– Czemu sama mu nie powiesz?

Pani Śmierć rzuciła jej wymowne spojrzenie i głośno westchnęła.

– Bo prosił, żebym się nie wtrącała. A to mógłby uznać za wtrącanie się. Miałam cię też nie wystraszyć, ale nie wyglądasz na przestraszoną.

– Nie nazwałabym tego strachem – przyznała Katia.

Była skonfundowana i zestresowana, ale faktycznie, Pani Śmierć postarała się nie być przerażająca.

– Doskonale, gdyby pytał, to mu właśnie powiedz. – Wstała z kanapy, wypić resztę wciąż gorącej kawy na jeden łyk i powiedziała: – Na mnie już czas. Wyśpij się, póki możesz.

Po czym bez wyjaśnienia, co właściwie miała na myśli, zniknęła. Puff, i nie było po niej śladu, tylko kanapa jeszcze chwilę emanowała skondensowanym fioletem, a powietrze w pokoju było chłodniejsze niż zwykle.

Katia podniosła filiżankę po kawie. Zimną jak kostka lodu.

Przez moment przyglądała się miejscu, w którym jeszcze chwilę temu stała Pani Śmierć, i pomyślała, że Dora miała rację. Do takich dziwactw po

prostu trzeba się przyzwyczaić, bo alternatywą jest szaleństwo.

Oswajając się z myślą, że właśnie odbyła pogawędkę z Panią Śmiercią, zjadła makaron (absolutnie obrzydliwy), dopiła melisę, a potem zrzuciła ubranie i wślizgnęła się pod kołdrę. Wciąż słyszała słowa Pani Śmierci: wysypij się, póki możesz. Woląla nie myśleć, co to właściwie oznacza.

ROZDZIAŁ 32

Ten cmentarz jest za mały dla nas dwojga

Otworzyła oczy, nie wiedząc, co ją obudziło. W sypialni było całkiem ciemno, dzięki czemu zauważyła rozbłyśki błękitu na drugim końcu pokoju. Wygrzebała się spod kołdry i sięgnęła po komórkę. Numer nieznanym, za krótki na normalne połączenie. Odebrała. Początkowo słyszała tylko szumy i trzaski.

- No, panienko, zbieraj się, jeśli chcesz się przyjrzeć gadzinie z bliska - rozległo się po drugiej stronie.

- Kowal? - upewniła się, bo głos był tak zniekształcony, że ledwie rozpoznawalny.

- No przecież nie Święty Mikołaj. Ciekawiło cię, czy ma swój klucz, więc założyłem na zamki małe pułapki. No i ma. Mogę ci nawet powiedzieć, że jest z kompletu Gardiasza. Licz pojawił się z baniakiem krwi i zniknął w grobowcu.

- Zaraz będę - zapewniła Katia, zbierając ubranie z podłogi.

- Pośpiesz się, panienko, bo zaczyna śmierdzieć jak z rzeźni w sierpniu - mruknął Kowal i się rozłączył.

Katia szybko naciągnęła na siebie brudny od gliny kombinezon, skarpety i buty. Już z samochodu zadzwoniła do Dory, mając nadzieję, że przyjaciółka nie śpi o w pół do pierwszej w nocy. Namiestniczka odebrała po drugim dzwonku.

- Jadę na cmentarz, licz coś tam wyczynia, Kowal czuje smród czarnej magii - rzuciła Katia do słuchawki.

- Czekać na ciebie czy jechać od razu swoim? – zapytała Dora.
- Bądź gotowa za osiem minut!
- Urodziłam się gotowa – zaśmiała się Dora.

I faktycznie, gdy Katia zajechała pod kamienicę, przyjaciółka stała już na chodniku, z mieczem wystającym zza ramienia, kaburą pistoletu przy pasku i miną zdeterminowanego stróża porządku. Katia odetchnęła. Mogła sobie poradzić z magią, ale jeśli liczyć wyciągnąłby spluwę, byłaby w kropce.

Po drodze podzieliła się z Dorą informacjami, które przekazał jej Kowal. Namiestniczka też nie próżnowała i miała już garść informacji o właścicielach grobowca.

- Grobowiec należy do rodziny Stanisławskich, pracującej dla Gardiasza od trzech pokoleń. – powiedziała. – Z niewiadomych przyczyn zapadli się pod ziemię, więc nie dostanę od nich bezpośredniej zgody. Ale jeśli przyłapiemy gada na gorącym uczynku, nie potrzebuję pozwolenia na wejście do środka. Uzasadnione podejrzenie przestępstwa i wchodzimy.

Katia zaparkowała przy bocznej furtce kwartału szóstego, skąd było najbliżej do grobowca.

- Przejdziemy przez ogrodzenie, będzie szybciej, niż gdybyśmy miały biec przez cały cmentarz – powiedziała, wyciągając z bagażnika pokrowiec z prętami, których używała do ogniskowania mocy, i łopatę, tak na wszelki wypadek.

- To chyba nie będzie konieczne – odparła Dora, wskazując na furtę, która stała przed nimi otworem. – Cmentarz chyba naprawdę się cieszy, że cię widzi – dodała rozbawiona.

Katia pogładziła z wdzięcznością pręty furty.

Ledwie przekroczyła granicę cmentarza, poczuła dwie rzeczy: smród czarnej magii, o której mówił Kowal, oraz sięgający głęboko niepokój wynikający z zaburzenia harmonii. Coś zakłócało melodię nekropolii. A głęboki pomruk ziemi sygnalizował, że zauważył to ktoś prócz Katii.

Ruszyła biegiem do grobowca, wiedząc, że przyjaciółka za nią podaży.

Furta prowadząca do wewnętrznej izby była uchylona. Ciemne kłęby magii i smrodu, które otaczały grobowiec, nie dawały się pomylić absolutnie z niczym. I nagle ciszę nocy rozdarł niemal zwierzęcy wrzask. Dziecko!

Katia na nic już nie zważała, wpadła do środka i prawie poślizgnęła się na kałuży lepkiej i śmierdzącej krwi. Złapała się kutej balustrady krętych schodów, które prowadziły do krypty. Stopnie były tak wąskie, że ledwie mieściły się na nich jej stopy w kaloszach. Schodziła pod ziemię, w ciemność tak gęstą i nieprzeniknioną, że nie widziała nic. Jej oczy przeskoczyły naturalnie w tryb martwego wzroku, ale fiołkowa poświata niewiele zmieniała. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Czasami krypty były prostymi jednoizbowymi konstrukcjami z wnękami na kości w ścianach, ale zdarzało się też, że pod ziemią kryły się niemalże jednoosobowe mieszkania – zwłaszcza w grobowcach w kwaterze wampirzej.

Wymacała ostatni stopień przechodzący płynnie w nierówną kamienną podłogę. Przez kilka sekund stała otoczona ciemnością niemal namacalną – gęste powietrze obklejało jej twarz. Zapach magii był silny, duszący. Żołądek Katii buntował się w odpowiedzi na smród rozkładu i szcurzych odchodów. Nagle usłyszała szelest i szuranie, a tuż przy podłodze mignęło światło. Dora stała na schodach zaraz za nią, więc Katia odwróciła się i szepnęła:

– Drzwi, jakieś trzy kroki na lewo. Za nimi pewnie jest główna izba.

Dora poklepała ją po ramieniu. Katia dałaby teraz sporo za wilczy wzrok przyjaciółki, choć podziękowałaby za wzmocnienie węchu. Odór narastał; na pierwszy plan wybijał się teraz smród odchodów, najprawdopodobniej ludzkich.

Bezszelestnie nacisnęła klamkę i gwałtownie otworzyła drzwi. W blasku świec zobaczyła coś, czego początkowo nie umiała zrozumieć. Spodziewała się wykradzionych z trumien ciał, ołtarza czy czarnoksięskiej nory. Nic nie mogło ją przygotować na to, co ukazało się jej oczom. Licz pochylał się nad chłopcem. Klęczący na podłodze i skuty łańcuchami dzieciak miał nie więcej niż dziewięć lat. Wychudzony, brudny, zaciskał

palce na baniaku i łapczywie chleptał krew, która spływała mu po brodzie i szyi.

*

Od trzech dni nic nie jadł i nie pił, pomyślał liczyć, więc nic dziwnego, że rzucił się na wołową juchę jak na ambrozję. Im więcej wypije, tym łatwiej będzie z niego wyciągnąć to, czego potrzebuje.

Nagle dzieciak zamarł i zapatrzył się w coś za liczem. Krew wsiąkała mu w brudny podkoszulek i kapała na podłogę. Co za marnotrawstwo! Jakby dało się dostać galon w pierwszym lepszym spożywczaku!

Liczył się odwrócić, wyczuwając za sobą czyjąś obecność. Myślał, że to dozorca, cholerny, wścibski staruch, wpakował się, gdzie go nie proszono, ale ku swojemu zaskoczeniu zobaczył tę gówniarę, która kręciła się po cmentarzu. Jakby takie jak ona miały tu czego szukać! Dziwadło! Nekromantka, słyszał to kto! Liczył prychnął z pogardą, a potem ryknął na kobietę:

– Wynocha! To miejsce prywatne!

Zwykle wystarczyło krzyknąć na gówniary, by spłoszone umykały pod spódnicę matek, ale ta się tylko wyprostowała, rzuciła mu opętane spojrzenie i stwierdziła zimno:

– Coś ci się, kurwa, pomyliło. Wynoś się z mojego cmentarza!

W liczu się zagotowało. Będzie mu rozkazywać? JEMU? Brak szacunku to jedno, ale to już bezczelność!

– Twój? Dobrze sobie! – oświadczył i sięgnął do złotej koperty zegarka wiszącego przy guziku kamizelki. Trzymał tam coś specjalnie na takie okazje. Zacisnął palce na gładkim metalu i czerpał ukrytą w nim magię.

Dopiero teraz zauważył, że nekromantka nie jest sama. Stała za nią ta druga, na którą Gardiasz wiecznie się pieklił. Ruda wiedźma, suka z piekła rodem. Namiestniczka, też coś! Baby w tym mieście naprawdę nie znały swojego miejsca. Ze złością pomyślał o tym, że musiał wyjechać z Krakowa. Tam wszystko było poukładane jak należy.

- Jeśli jeszcze tego nie wiesz: chuja może masz, ale magii za grosz - stwierdziła ruda, opierając się o futrynę i przytrzymując drzwi szeroko otwarte.

Licz nie zamierzał dyskutować z żadną z tych wariatek. Klątwa z zegarka oplotła już jego palce, gotowa do użycia. Cisnął nią w tę całą nekromantkę, pewny, że zaraz będzie mógł wrócić do przerwane go rytuału. Jeszcze dwa, góra trzy karmienia i wyciągnie ze szczeniaka wszystko, co ten ma do zaoferowania. Na jakiś czas będzie miał spokój z tym cholernym cmentarzem i rzeźnikiem, który kazał sobie płacić za krew jak za zboże.

Tyle że klątwa nie doleciała. Ta cholerna martwa wiedźma wyciągnęła przed siebie miedziany pręt jak różdżkę, schwyciła pajęczynę klątwy i coś zanuciła, a wysokie dźwięki odbiły się od niskiego sklepienia, rozbijając zaklęcie. Trudno, bez niego też sobie poradzi. Szarpnął za ukrytą pod połą płaszczka nahajkę i zamachnął się na nekromantkę. Celował w twarz, bo nic tak nie uczy panienek moresu jak blizna przez środek twarzy. Tyle że Wilk wyszarpnęła mu nahajkę z dłoni. Poruszała się tak szybko, że ledwie zarejestrował jej ruch. Czemu nie pałą tu tego tałatajstwa na stosach?

Nekromantka mierzyła go spojrzeniem, które zupełnie mu się nie podobało.

- Nie jesteś tu mile widziany. Twoja zgoda na przebywanie na tym cmentarzu zostaje oficjalnie cofnięta - oświadczyła.

Chciał się jej zaśmiać w twarz, ale nagle poczuł, jak lodowate macki magii oplatają go i popychają do wyjścia. Złapał się łańcucha, którym chłopiec był przykuty do ściany, i próbował walczyć z naporem magii. Pot zaperlił mu się na czole. Co za urok?!

- Masz minutę, by wypierdalać, albo zabiorę ci tę resztkę życia, która ci się tli w sercu, i ululam w wolnej kwaterze, nikt nigdy cię nie znajdzie - dodała dziewczucha.

Lodowate macki wtargnęły pod płaszcz, jakby wywachały iskrę, która trzymała licza przy życiu.

Zrozumiał, że teraz nic nie poradzi. Nie przyznałby się do tego, ale przerażało go to, co wyczuł od tej gówniary. Nie podobało mu się, gdy

sięgnęła swoją magią do jego aury, pokazując, że może w każdej chwili spełnić swoją groźbę. Iskra, którą niemalym wysiłkiem podtrzymywał przez dekady, nagle zamigotała, jakby zaraz miała zgasnąć albo przeskoczyć z jego ciała na jej różdżkę. Niepokojące!

Uznał, że nie będzie się wyklócał z dwiema wariatkami. Pozwoli Gardiaszowi przywrócić tu porządek. Szarpnął za obrożę na szyi chłopca, podrywając go na nogi. Może i się kończył, ale starczy mu jeszcze na dopełnienie kolejnego cyklu. Potem poszuka nowego, nic trudnego, los zawsze wpychał mu w ręce jakieś dzieciaki. Szczeniak zapiszczał z bólu, gdy zniecierpliwiony licz szarpał się z przyczepem łańcucha. Przecież nie będzie go dźwigał!

– Nie zrozumieliśmy się – powiedziała chłodno nekromantka. – Ty wypierdalasz, on zostaje.

– To moja własność!

– Zabawne, bo posiadanie ludzi na własność jest w tym mieście surowo zabronione – oświadczyła Dora.

– On już dawno nie jest człowiekiem. Nawet nie jest żywy, nie do końca! – zaperzył się licz.

– Ty też nie bardzo, co? Możemy w każdej chwili rozwikłać ten dylemat za pomocą miecza. Jest dość ostry, by głowa stoczyła ci się z karku po jednym ciosie – powiedziała ruda wiedźma, a licz się wzdrygnął, gdy w jej dłoni błysnęła stal. Gardiasz nie przesadzał, rzeczywiście była diabelskim nasieniem!

– Raz... Dwa... – odliczała nekromantka.

Licz nie czekał, aż dojdzie do trzech.

– I tak jest już prawie pusty – powiedział i popchnął chłopca na ścianę.

Wyminął szalone jędze i pomknął po kręconych schodach w górę, na powierzchnię. Nie chciał okazać strachu przy babach. Nie wiedział, że Namiestniczka bez trudu wyczuwała go swymi wilczymi zmysłami.

Na zewnątrz grobowca wpadł na dozorcę. Cholerny starzec stał tam, w ciemności, z miotłą niczym z halabardą. Licza ubodło, że nie dostrzegł w jego oczach ani odrobiny szacunku.

- To jeszcze nie koniec - burknął.

Dozorca uderzył miotłą o ścieżkę, aż zazgrzytał żwir. Nagle martwa magia otoczyła licza jak kaftan bezpieczeństwa. Wzdrygnął się, czując, jak jej zimne macki znów sięgają do jego iskry. Spanikował. Biegł przez cmentarz z łopotem płaszcza, dociskając dłonie do piersi, jakby mógł ochronić iskrę przed fioletem.

Wróci tu. Gardiasz ma wobec niego plany i na pewno pomoże mu znaleźć innego chowańca. Tak tego nie zostawi! A teraz nie uciekał, to był po prostu odwrót dla przegrupowania sił. W końcu to przede wszystkim problem Gardiasza, prawda?

*

Chłopiec zamarł. Kulił się przy podłodze i wlepił w dwie kobiety spojrzenie wielkich, całkowicie białych oczu. Bo w jednym liczył miał rację. Nie był już w pełni człowiekiem. I nie był w pełni żywy.

ROZDZIAŁ 33

Życie, śmierć i to coś pomiędzy

Wyplątały dzieciaka z łańcuchów, wyniosły na powierzchnię i zawiozły do Sanktuarium. Jemioła czekała na nich w progu, z zatroskaną miną. A kiedy spojrzała na chłopca, krew odpłynęła jej z twarzy.

- Połóż go tutaj - poprosiła, wskazując Dorze kozetkę przykrytą śnieżnobiałym prześcieradłem.

Katia aż się skuliła w sobie, widząc, jak wychudzony jest chłopiec. No i to jego milczenie! Nie odezwał się, o nic nie pytał, nie reagował, kiedy Dora uwalniała go z łańcuchów i wynosiła z krypty. Teraz wodził za nimi całkiem białymi oczami, więc chyba widział, ale ile rozumiał, a także jak wielkie szkody wyrządził mu liczą, mogła tylko zgadywać.

Nie wydał z siebie nawet piśnięcia, kiedy Jemioła delikatnie obmywała go mokrym ręcznikiem z zaschniętej krwi i opatrywała mu rany. Jakby całkiem odłączył się od posiniaczonego ciała poodcieranego łańcuchami i obrozą. Ta kompletna bierność mogła być jego mechanizmem przetrwania, mogła też znaczyć, że uwolniły go za późno. Po minie Jemioły Katia domyśliła się również, że to nie fizyczne obrażenia chłopca są największym powodem do niepokoju.

Po kilku minutach Dora wyszła z pokoju, wzdychając ciężko. Katia nie wytrzymała wiele dłużej. Chłopiec miał w sobie jakieś złamanie i ciężar jego białego spojrzenia wypalał piętno w duszy. Rozejrzała się po korytarzu, szukając przyjaciółki. Młody pielęgniarz wskazał jej drzwi na wewnętrzny dziedziniec Sanktuarium. Dora przechadzała się

kamienistymi alejkami między krzewami róż i rozmawiała z kimś przez telefon. Nagle zatrzymała się, zamknęła oczy i krzyknęła:

– Niech ich cholera jasna i sprawiedliwość boska pochłona!

Schowała komórkę i przez chwilę stała nieruchomo z dłońmi wciśniętymi w kieszenie i twarzą uniesioną ku niebu, oddychając głośno, jakby próbowała odpędzić płacz.

– Wszystko w porządku? – zapytała Katia, podchodząc do przyjaciółki.

– Czy cokolwiek jest w porządku? – sarknęła Namiestniczka. Zerknęła na nekromantkę oczyma pociemniałymi z bólu i złości. – Zadzwoiłam do Krakowa, do żony tamtejszego Namiestnika, bo w przeciwieństwie do tego technofoba ona odbiera telefony. Powiedziałam, że znaleźliśmy ich zgubę i muszę się skontaktować z rodziną dzieciaka...

– Jesteś pewna, że to ten zaginiony chłopiec z Wawelu?

– Tak, widziałam jego zdjęcia. Sporo się zmienił przez te kilka miesięcy, ale to na pewno on. W każdym razie to nie ma znaczenia. Nie chcą go. W ich oczach nigdy nie zaginął. Oddali go i nie wezmą z powrotem. Według żony Namiestnika będzie lepiej, jeśli do nich nie wróci, boby go zabili.

– Jakby zostało mu wiele życia do odebrania – mruknęła Katia.

– Jest tak źle? – zapytała Dora.

– Nie wiem. Moja magia uważa, że jest złamany. Ani żywy, ani martwy. Nie mam pojęcia, czy Jemioła może to naprawić.

– Czy wiesz, co on mu robił? – zapytała cicho Namiestniczka.

– Czytałam o pasującym rytuale – odparła Katia. – Kojarzysz wiedźmie chowańce?

Dora przytaknęła.

– Stworzenia połączone z wiedźmą magią, biorące na siebie echo niektórych zaklęć.

– Mogą chronić wiedźmę, ale też pomagają jej gromadzić magię i energię.

– I zwykle jest to bardzo bliska, serdeczna relacja – zauważyła Namiestniczka.

– To prawda. Tyle że w nekromanckich zaklęciach rzadko jest miejsce na serdeczność. On go w coś zmieniał, nie jestem pewna w co, bo krwią się karmi wiele stworzeń, ale myślę, że chodziło o zwielokrotnienie potencjału magicznego. Licz się nim karmił, jego magią, jego energią życiową. I wziął cholernie wiele. Bez krwi i rytuału przemiany chłopiec dawno by nie żył.

– Ale rytuał nie jest skończony, prawda?

– Tak sędzę. I nie wiem, co to znaczy dla chłopca. Mały nie jest już w pełni żywy, nie jest już nawet w pełni człowiekiem.

– Na boginię... – jęknęła wiedźma. – Żałuję, że nie zabiłam skurwiela na miejscu.

– Jest gorzej, Dora – powiedziała cicho Katia. – To, co zrobił... nie jest zakazane. Jeśli ma dowody na to, że rodzina chłopca mu go oddała z własnej woli... Jestem praktycznie pewna, że Gardiasz o tym wiedział i dał mu zielone światło.

– To jest popieprzone!

Katia skinęła głową.

– Świat idzie do przodu, ale martwa magia niekoniecznie się przejmuje zmianami cywilizacyjnymi i kulturowymi.

– Dzieci dla niektórych wciąż nie mają praw – szepnęła Dora.

– Martwi też. Kobiety ledwie co.

– Po prostu fantastycznie. I Gardiasz chce wprowadzić tę skamielinę do Starszyzny.

Katia zastanawiała się, co liczył mógł robić z wykradzionymi dziewczynkami, skoro coś takiego zrobił z chłopcem...

– Czas przeszukać ten grobowiec. I jego dom – orzekła Namiestniczka.

– Powiadomię Romana. A potem upewnię się, że każdy usłyszy o tym, kogo Gardiasz sprowadził do miasta. Powinni przecież poznać prawdę o kandydacie do Starszyzny.

– Nie zdołasz powiadomić każdego mieszkańca Thornu.

– Ja nie. Ale wiem, komu o tym powiedzieć, by rozeszło się jak pożar buszu. Mogą sobie twierdzić z Gardiaszem, że to legalne i nie zrobili nic

złego, ale ludzie niekoniecznie się z tym zgodzą. To, że coś nie jest zakazane, nie oznacza, że jest właściwe czy że powinno być tolerowane w cywilizowanym mieście.

– To dlatego kazałaś mi działać zgodnie z literą prawa? Budujesz wizerunek cywilizowanej nekromantki i dwóch barbarzyńców?

– Nic nie muszę budować, takie są fakty. Ale z Gardiaszem zawsze jest ta sama śpiewka: broni tradycji, gdy mu wygodnie, czepia się litery prawa, jeśli miałoby mu to wiązać ręce. Gram z nimi w tę gierkę na tyle długo, by unikać ciosów i łapać piłkę, nim wpadnie do bramki.

– Czy ja w ogóle chcę wchodzić na to boisko? – Katia się skrzywiła.

– Nie musisz, ale wtedy koszulka przypadnie liczowi. Czy z nim w drużynie przeciwnej gra zmieni się na lepsze?

– Jesteś obrzydliwie rozsądna – stwierdziła nekromantka.

– Nie wiem, czy ktokolwiek by się z tobą zgodził, ale przyjmę to jako komplement. Chciałabym jeszcze dziś wrócić do grobowca, może znajdę coś, co dodatkowo wywrze nacisk na Romana i Katarzynę. Dwa podpisy na nakazie przeszukania wystarczą.

– Poczekaj z tym do rana – poprosiła Katia. A widząc upór w oczach Dory, wyjaśniła: – Matka Ziemia jest rozdrażniona, cmentarz świeżo naruszony, to nie jest dobry czas, by wbijać tam po zmroku. Poza tym nie powinnaś sama wchodzić do grobowca. Jeśli licz zostawił jakieś martwe niespodzianki, przyda ci się zaprzyjaźniona nekromantka.

– I kto tu jest obrzydliwie rozsądny? – zapytała Namiestniczka.

– Masz więcej czasu, by pougniatać Romana, a on Katarzynę. To nie konkurs łapania pcheł. Nie mam ochoty przez kolejne lata konserwować twoich rozkładających się zwłok ani być na każde zawołanie Mirona, bo na przykład odpadło ci ucho.

– Nie mówisz poważnie!

– Matka Ziemia wytarła mną podłogę, przeczołgała tak, że straciłam przytomność, a nie chciała mi zrobić krzywdy. Traci wyczucie. Lepiej, bym sama wprowadziła ją w to, co się wydarzyło dziś na cmentarzu.

– A jeśli znów cię przeczołga? – zapytała Dora z troską.

- Ja przeżyję, ty niekoniecznie. Spotkajmy się o ósmej rano przed wschodnią furtką. Będę czekała zwarta i gotowa.

- Dobra - zgodziła się niechętnie wiedźma. - Skoczę do Romana ze zdjęciami chłopca. O wiele trudniej będzie mu odwlekać decyzję, kiedy je zobaczy. Czas ostrożnego politykowania już minął.

*

Jemiola skończyła oględziny i zawołała pielęgniarza, by umył i przebrał chłopca w piżamę. Musiała się zastanowić, co może dla niego zrobić. Pierwszym odruchem było nakarmienie go - kości prawie przebijały mu się przez skórę - ale nie była pewna, czy nie pogorszyłyby to jego stanu. Może kroplówka? Na bogów, nie wiedziała.

Pocierała skronie, czując obezwładniające zmęczenie. Próbowwała uleczyć chłopca, pompowała w niego moc, ale bez jakichkolwiek rezultatów. Magia spływała po nim jak po kaczce. Jemiola mogłaby się wydrenować, a nawet nie zdołała uzdrowić jego skaleczeń.

Musiała zaakceptować paskudną prawdę - mimo intensywnych działań magicznych aura chłopca się nie zmieniła. Tylko w jednym przypadku obserwowała taką reakcję - gdy na leczenie było już za późno. Chłopiec oddychał, poruszał się, rozglądał oczami bez tęczówek, ale na poziomie magicznym nie był żywy. Nie był też martwy, nie całkiem. Nie animowała go martwa magia, jak wampiry czy inne typy nieumarłych. Tkwił pomiędzy i stara uzdrowicielka nie umiała stwierdzić, czy jest to stan permanentny, czy może niteczka zakołysze się w jedną ze stron. Mogła tylko czekać. Nienawidziła uczucia bezradności.

Uniosła głowę, słysząc czyjeś kroki. Katia zatrzymała się w progu, widząc pustą kozetkę.

- Czy on...?

Jemiola pokręciła głową.

- January zabrał go do łazienki. Nie umiem mu pomóc - przyznała zbolalym głosem. - Czy ty... czy twoja magia mogłaby cokolwiek...

- Niestety, jestem bezużyteczna - odparła Katia z zalem.

- Nie mów tak. Może bogowie mają to dziecko w opiece.

- Jak dotąd niespecjalnie się wykazali, prawda?

- Dajmy im szansę, by zrozumieli swój błąd.

Na tym polega problem z bóstwami, pomyślała Katia. Dla większości z nich jeden mały chłopiec nie jest wart zachodu. Ale może mogła przekonać jedną boginię, że warto ruszyć dla niego palcem.

ROZDZIAŁ 34

Jedno małe niezycie

Cisza na cmentarzu nie jest niczym dziwnym, ale zdarzały się dni takie jak ten, kiedy była tak gęsta i pełna napięcia, jakby nawet upiory wstrzymały oddech w oczekiwaniu.

Na co? Tego Katia nie była pewna, kiedy szła alejką między białymi grobowcami, zdającymi się świecić jak ogryzione i wygotowane kości.

Wydawało jej się, że czuje na sobie czyjeś spojrzenie, i odwróciła się, niemal pewna, że ujrzy Kowala, ale zobaczyła tylko gwałtownie poruszające się gałęzie cisów.

Z westchnieniem frustracji poszła przed siebie, do świątyni dumania. Miała przeczucie, że przynajmniej na razie powinna spotykać się z Matką Ziemią z dala od miejsca zbrodni.

Usiadła na kamiennej ławce przy stopniach wiodących do malowniczych ruin i zanuciła pieśń przywołania. Przy trzeciej zwrotce poczuła, że coś się zmienia, magia cmentarza rośnie, a ją otacza bańką fioletu. I gdy ta prysła milionem iskier, nekromantka ujrzała Matkę Ziemię stojącą pośrodku świątyni dumania w powłóczystej sukni w kolorze miodu. Z wysoko upiętymi włosami i podzwaniającą przy każdym ruchu biżuterią, prezentowała się w całym swym boskim majestacie, jakby na ten wieczór odrzuciła pozór człowieczeństwa. Szeroko rozpostarła ramiona, a jej dłonie pokrywała czarna farba. Przejechała palcem przez środek czoła, wzdłuż grzbietu nosa, w poprzek ust, aż do brody, zostawiając smugę czerni. Była w żalobie. Katia nie wiedziała: z powodu zaginionych dziewczynek czy chłopca.

- Złapałaś winnego? - zapytała bogini.

- Powstrzymałam potwora, nim zabił chłopca. Dziś musi mi wystarczyć taki sukces - odpowiedziała Katia głosem ciężkim od zmęczenia.

- Opowiedz - rozkazała Matka Ziemia, krążąc po kamiennej posadzce świątyni.

Katia potarła powieki. Szelest sukni i podzwanianie biżuterii składały się na hipnotyzującą melodię. Nagle poczuła spokój. I zaczęła opowiadać.

- Może powinnaś mu odebrać iskrę - powiedziała bogini, gdy opowieść dobiegła końca.

- Może - przyznała przygnębiona Katia. - Ale to jego własna iskra, nie magia, którą ktoś wszczepił w jego martwe ciało. Nie przywróciłabym go śmierci, ale mu ją zadała.

Bogini patrzyła na swą podopieczną z dziwnym wyrazem twarzy, jakby miała przed sobą zagadkę logiczną, w której brakuje jakiegoś elementu, i ta niekompletność ją zaskoczyła.

- Czy to robi aż taką różnicę? - zapytała.

Katia poderwała głowę. Poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

- Oczywiście, że tak! - zawołała. Nerwy zacisnęły gardło i jej głos zabrzmiał irytująco piskliwie.

- Wytłumacz - powiedziała Matka Ziemia z łagodnością, której nekromantka się nie spodziewała.

Podeszła kilka kroków, a Katię otoczył znajomy zapach gleby po deszczu. Kojarzył jej się z bezpieczeństwem i nadzieją. Odetchnęła więc głęboko i zaczęła mówić:

- Ten chłopiec tu był, myślę, że od tygodni, na naszym cmentarzu, na naszej ziemi. I działa mu się krzywda, straszna, zapewne nieodwracalna. A ja nie wiedziałam! Niby go z Dorą uratowałyśmy, ale to nieprawda. Nie mam magii, która zdołałaby mu pomóc. Mogłabym go jedynie zabić. On ma tylko dziewięć lat!

Katia czuła, jak po jej twarzy spływają łzy.

- Ludzie robią ludziom straszne rzeczy. Dzieciom też - odparła łagodnie Matka Ziemia.

- Wiem! Nie jestem dzieckiem, nie jestem naiwna! Ale chciałabym, żeby miał szansę! Rodzina go sprzedała. Nikomu na nim nie zależało na tyle, by go szukać. Gdyby nie tata...

Głos Katii się załamał. Bo nagle w losie chłopca dostrzegła odbicie własnego. Może niedokładne, bo jej się poszczęściło. Jej matka nie mogła znieść tego, że Katia jest abominacją. Dzień, w którym ujawniła się jej magia śmierci, nie był dniem, w którym rodzicielka odeszła, ale od tego momentu przestała ją kochać i traktować jak córkę. Nekromantka wciąż doskonale pamiętała brutalne słowa, które padły, kiedy matka uznała, że nie potrafi już żyć z nią pod jednym dachem. Wrzucała swoje rzeczy do walizki i jednocześnie wylewała z siebie całą nienawiść, którą zgromadziła w stosunku do Katii. Dorosła Katia mogła tylko zgadywać, jak to się stało, że matka wdała się w romans z nosicielem martwej magii, a jej zdecydowane sądy nie przeszkodziły w migdaleniu się z nim za plecami męża. Musiała wiedzieć. To nie jest coś, co da się ukryć. Nawet jeśli nie miał trupiej gorączki, która raczej rzuca się w oczy, trudno utrzymać szczelne bariery, kiedy jest się z kimś naprawdę blisko.

Katia próbowała się dowiedzieć, kim był jej biologiczny ojciec, jak się nazywał, skąd pochodził. Kiedy po szkoleniu w Trójprzymierzu miała już w garści kompletny skan i sygnatury własnej magii, poszła do archiwisty z nadzieją, że znajdzie w starych dokumentach kogoś na tyle podobnego, by mógł się okazać jej krewniakiem. Nie znalazł. Pokazał jej skany innych martwych magów i nekromantów, bez nazwisk, tylko sygnatury, by sama mogła się przekonać, że jest kompletnie inna, osobna, całkiem sama.

Rodzina matki też wykreśliła Katię bez żalu. Gdyby to od nich zależało, mogłaby umrzeć z głodu w sierocińcu. A jeśli napatoczyłby im się typ taki jak licz, pewnie by ją sprzedali. Nie dla forsy, lecz by się jej pozbyć, zmasać ją z powierzchni ziemi, udąć, że nigdy nie istniała.

Nie skończyła w ten sposób tylko dlatego, że jej matka lepiej wybrała męża niż kochanka. Tomasz Kornatowski miał niewiele magii, ale był bardzo dobrym człowiekiem. Nekromantka pamiętała, jak przyszedł do

niej tamtej nocy, kiedy matka odeszła. Katia płakała w poduszkę, nie całkiem rozumiejąc wszystkie wykrzyczane jej w twarz słowa, ale rozumiała, że mama jej nie chce, tata nie jest jej tatą, a ona sama jest przybłądą i obrzydliwością. Wciąż miała w uszach maminy wrzask: „Kto mógłby kochać coś takiego?!”

Tata usiadł na brzegu jej łóżka, głaskał rozczochną główkę i wstrząsane szlochem plecki. W końcu powiedział:

– Może i nie jestem twoim ojcem, Katuszka, ale nie przestałem być twoim tatą. Damy sobie radę, robaczku, damy sobie radę.

– Nie zostawisz mnie? – wychlipała w przemoczoną łzami poszewkę.

– Nigdzie się nie wybieram, kochanie.

Nie kłamał. Został z nią najdłużej, jak mógł. Zajął się nią, wychował, przewrócił swoje życie do góry nogami, zadbał o jej edukację, o to, by miała szczęśliwe dzieciństwo. I ze wszystkich sił starał się nie dać po sobie poznać, że ma złamane serce. Nigdy nie dał jej odczuć, ile go to wszystko kosztowało. Jeden człowiek wystarczył, by jej życie ułożyło się pomyślnie. Jeden człowiek dzielił ją od losu chłopca, który leżał w Sanktuarium zawieszony między życiem a śmiercią.

– Och, Katiu – powiedziała cicho Matka Ziemia, jakby usłyszała myśli nekromantki.

– Od prawie tygodnia szukamy zaginionych dziewczynek, codziennie bywam na cmentarzu, ale pierwsze słyszę o żywym chłopcu do odnalezienia. Może gdybym go znalazła szybciej, miałby szansę – wyszeptwała.

– Może nadal ma.

– Jemioła jest bezradna – odpowiedziała Katia.

– Zależy ci na tym dziecku. – Matka Ziemia pogładziła Katię po ciemnych włosach, tak znajomym gestem...

– Wszystkim nam powinno zależeć – szepnęła nekromantka.

– Zajrzę do niego i zobaczę, czy mogę cokolwiek zrobić. Ale jeśli dla niego za późno... poproś twój chłopca, by sprowadził do niego Panią Śmierć. Nie ty powinnaś odbierać mu iskrę.

– Zawieźć cię do Sanktuarium? – zapytała nekromantka.

Matka Ziemia uśmiechnęła się i zniknęła.

Katia musiała dać znać Jemiole, zanim ktoś w Sanktuarium dostanie zawału. Wystukała wiadomość na ekranie komórki, a potem wróciła do auta. Była zmęczona, tak cholernie zmęczona.

Dopiero kiedy zaparkowała przed mieszkaniem, przypomniała sobie słowa Pani Śmierci. A więc jej problemy ze snem wynikały z tego, że nie mogła sięgnąć ziemi korzeniami. Może powinna pojechać na noc do domu po drugiej stronie bramy? Nie miała na to siły. Zrezygnowana weszła po schodach i już kwadrans później leżała pod kołdrą.

Oczywiście dręczyły ją koszmary. Ale czy po dzisiejszych przeżyciach mogła ich w ogóle uniknąć? Nie lunatykowała. Może jej ciało było zbyt zmęczone, by zwlec się z łóżka. Kilka razy budziła się z krzykiem, w przepoconej pościeli, dezorientowana i przerażona. Rano nie pamiętała żadnych obrazów. Tylko cieniutki, ledwie słyszalny głosik chłopca, proszący, by zabrała mu iskrę, bo życie za bardzo go boli. Na boginię!

Weszła pod prysznic ledwie po szóstej. Chwilę jej zabrało, nim znów poczuła się jako tako funkcjonującą, żywą przedstawicielką gatunku ludzkiego.

Przed siódmą dostała wiadomość od Jemioły. Chłopiec dożył świtu. Matki Ziemi nikt u niego nie widział. To nie znaczy, że jej tam nie było, pocieszała się Katia, ale też nie dawało jej wielkich nadziei na happy end.

ROZDZIAŁ 35

Cuchnące sekrety

Na cmentarz dojechała parę minut po siódmej – sporo przed umówionym spotkaniem z Dorą, ale chciała się przyjrzeć kilku kwestiom sama, w świetle dnia.

Atmosfera nekropolii była szczególna. Cisza aż dzwoniła w uszach. Nie żeby na cmentarzu zwykle było gwarno, ale w tej ciszy było coś nienaturalnego, Katia nie słyszała nawet szeptów magii ani echa harmonii. Jakby martwa magia wstrzymała oddech po tym, jak opiekunka nekropolii wprowadziła z krypty porwanego chłopca.

Szła arterią, a jej magia sondowała przestrzeń naokoło. Nekromantka nie umiała jeszcze, tak jak Kował, wyczuwać całego cmentarza, ale próbowała wyłapać jakiegokolwiek dysonanse. Bo kto powiedział, że jest tu tylko jeden taki grobowiec? Wyczuła ślad zaklęcia po lewej, ale gdy podażyła w tamtą stronę, znalazła tylko świeże kwiaty przy grobie młodego mężczyzny. Na wstążce, którą ozdobiony był bukiet, widniało wykaligrafowane zaklęcie. Nic mrocznego czy niewłaściwego, ot, odpowiednik „dobrej podróży, obyś trafił bezpiecznie do domu Pana i spotkał wszystkich bliskich, którzy trafili tam przed tobą”. Ruszyła dalej, w stronę grobowca Stanisławskich.

W oddali bieliła się anielica rodziny Jontów. Teraz, gdy Katia ujawniła tajemnicę sąsiadującego z nią grobowca, jej delikatne rysy wyrażające smutek i uniesione w niebo oczy wydawały się bardziej wymowne niż kiedykolwiek wcześniej.

Przystanąła, czując na sobie czyjeś spojrzenie. I... strach? Rozejrzała się. Zza płyty nagrobnej z różowego marmuru wyzierała para rozszerzonych niepokojem oczu.

- To nie jest dobry dzień na badania na cmentarzu - powiedziała głośno nekromantka.

- A co się stało? - zapytał Profesur, wyłaniając się zza nagrobka.

- Naruszenie regulaminu, czarnomagiczne. Lepiej, by pan spędził kilka dni w bibliotece, a nie tu.

- Ktoś został złapany? - zapytał i aż się wzdrygnął.

- Tak - odpowiedziała, nieco na wyrost - ale wciąż nie zneutralizowałam śladów, głupio byłoby w coś wdepnąć w imię kariery uniwersyteckiej.

Skinął głową, nagle pobladył. Patrzyła, jak zbiera z ławki torbę, a z nagrobka arkusze papieru kopiowego i kolorowe kawałki kredy. Minutę później rączym truchtem zmierzał do najbliższej furtki. Kierowana ciekawością, Katia podeszła do nagrobka, na którym pracował. Czemu potrzebował robić odbitki? Litery wciąż przecież były czytelne. Nie było w nim też nic wyjątkowego, ot, typowy grób z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Przyzwoita, acz pozbawiona polotu praca rzemieślnicza, nieco wyblakłe złocenia w rowkach liter. Maniła Stavro, lat siedemdziesiąt dwa, żona, matka, babka. Nie wiadomo, czym zajmowała się na co dzień. Katia nie widziała w nim nic wyjątkowego, na cmentarzu było wiele ciekawszych. Kowal miał rację, akademicy to osobna kategoria szajby. Pokręciła głową w zadumie i wróciła na główną alejkę.

Skierowała się w stronę grobowca. Nie ona jedna wpadła na taki pomysł tego ranka. Kowal krążył wokół mogiły z posępną miną.

- Jesteś wreszcie - mruknął, kiedy ją zobaczył.

- Też się cieszę, że cię widzę - odpowiedziała uprzejmie, a on tylko prychnął.

- Musisz coś zobaczyć - rzucił, a jego oczy pociemniały z emocji.

Zaprowadził ją na tył grobowca, gdzie rozgarnął drobny jasny żwir i wykopał dołek głęboki na kilkanaście centymetrów. I właśnie w nim

znalazł coś, czego nie powinno tam być – a jednocześnie co wyjaśniało tak wiele.

Katia kucnęła koło dołka i przesunęła otwartą dłoń nad pozieleniałym metalem, który spoczywał na dnie.

– Myślisz, że obiega cały grobowiec? – zapytała cicho.

– Taaa, przygotowali się wcześniej. To nie jest robota licza, ani też nic świeżego. Myślę, że leżało w ziemi co najmniej trzydzieści lat. Skorodowało, utleniło się, ale wciąż działa. Jakbym miał zgadywać, pamięta czasy ojca Klaudii.

Katia wcale nie chciała tego robić, ale nie miała wyboru. Dotknęła jednego z ogniw i poczuła, jak lód przepelza na jej palce. Odruchowo puściła metal i wytarła dłoń o nogawkę.

– Może sprawdzimy, co się stanie, jeśli przerwie się łańcuch? – zaproponowała.

Kowal cofnął się bez słowa i podał jej szpadel.

– Tylko jak coś wybuchnie, to będzie wina panienki – powiedział.

Odszedł kilka kroków, schronił się za fałdami szaty anielicy i tylko zerkał, jakby nie chcąc nic stracić z nadchodzącego przedstawienia.

Katia zacisnęła palce na trzonku szpadla, a potem z całej siły uderzyła w ogniwo. I jeszcze raz. I jeszcze. Aż dołek wypełniły odłamki metalu. Kucnęła i ostrożnie odsunęła je na bok, by ostatecznie przerwać ciągłość. Nie nastąpił wybuch, nie rozbrzmiały trąby anielskie, nie spadł deszcz ognia... a jednocześnie nic nie było już takie samo.

Kowal przeklął ciężko i splunął na żwir przez lewe ramię.

*

Wcześniej wyczuwała czarnomagiczne zaklęcia dopiero, gdy dotknęła grobowca, teraz nie dałoby się ich przegapić. Gdy przerwała łańcuch, złamała krąg ochronny, który trzymał magię w ukryciu. Kowal miał rację, krąg musiał mieć nie mniej niż trzydzieści lat. I był wielokrotnie odnawiany, ładowany, podkarmiany magią i ofiarą krwi. Ostatnio może dwa lata temu. Gdyby został porządnie zakonserwowany, nic by nie przeciekało, nie zauważyłaby, że coś się działo w grobowcu, nawet gdyby

stała na stopniach prowadzących do krypt. A liczyłaby dalej robić swoje. I inni także. Bo to nie była jego sprawa. Katia rozpoznała sygnaturę magiczną tego, kto ustawił krąg. Nie Gardiasz, jak sądziła w pierwszym momencie, on bowiem nigdy nie zaniedbałby odświeżania zaklęć. Krąg nosił sygnaturę Klaudii. Gdyby żyła, pewnie pamiętałaby, żeby to zrobić. Czy możliwe, że to nie Gardiasz stworzył licza, ale właśnie szyszymora? Nie, była za młoda. Za to jej ojciec...

Kowal wyczuł ją pierwszy.

– Twoja klientka jest przy pustym grobie – powiedział.

– Agata? – upewniła się.

Skinął głową.

– Idź do niej, zanim sprowadzi coś, czego nie powinno być w tym świecie – mruknął.

– Niech pan nie wchodzi sam do środka – zastrzegła.

– Jakby mi się spieszyło, by wdepnąć w tę kałużę plugastwa – burknął.

Nie przesadzał. Katia też najchętniej odpuściłaby sobie tę wątpliwą przyjemność.

Pobiegła do kwatery dziecięcej i faktycznie, zastała Agatę przy grobie Kariny.

– Znalazłaś ją? – zapytała cicho Mitera.

– Jeszcze nie, ale nie przestaję szukać – zapewniła nekromantka.

– Słyszałam, że masz podejrzanego.

– Za wcześnie, by mieć pewność.

– Ale nie było jej tam, gdzie ten martwy chłopiec?

Katia nie zapytała, skąd Mitera wie o chłopcu.

– Nie, nie było.

– Nie wiem, ile jeszcze mogę czekać – szepnęła kobieta.

– Proszę o cierpliwość, wiem, że to trudne, ale ja się nie poddam i wiem, że znajdę pani córeczkę.

Kobieta w milczeniu pokiwała głową. Bez słowa odstała od pustego grobu, wyminęła Katię i szła alejką do bocznej furty, sunąc jak zjawą.

Katia czekała na Dorę w umówionym miejscu, dumając nad niedawnym odkryciem. I jego konsekwencjami. Kiedy chwilę przed ósmą Namiestniczka zaparkowała na chodniku, Katia westchnęła. Nie będzie to łatwa przeprawa.

I choć wszystko w niej wrzało, gdy o tym myślała, czuła, że liczowi może się upiec. Coraz bardziej wątpiła też w to, że to on stał za zniknięciem dziewczynek. Zyska pewność, jeśli Namiestniczce uda się dostać nakaz i przeszukają siedzibę licza, ale gdzieś z tyłu głowy tłukła jej się myśl, która wcale jej się nie podobała – licz nie był jedynym drapieżnikiem, który polował na Cmentarzu Centralnym.

Prowadząc przyjaciółkę do grobowca Stanisławskich, podzieliła się z nią najnowszymi informacjami i domysłami. Dora nie przerywała, choć mruzczała do siebie, co sądzi o nekromantkach, które bez wsparcia przerywają kręgi ochronne.

– Przecież byłem z Kowalem – zaprotestowała Katia.

– No, to wszystko zmienia, jak nic przyszedłby ci z odsieczą. Gdyby cię odrzuciło w tył i rozbiłabyś głowę o jeden z pomników, zająłby się tobą troskliwie jak matka.

– Na pewno byłby bardziej czuły od mojej – odcięła się Katia. – I wierz mi, nie warto lekceważyć Kowala i jego miotły. To dozorca, nie tylko z nazwy. Cmentarz jest z nim związany bardziej niż ze mną. Ja nie wyczuwam jeszcze każdej osoby, która wchodzi na teren nekropolii.

– Następnym razem po prostu daj znać, że zaczynamy wcześniej – poprosiła Namiestniczka. – I tak nie spałam. Byłoby mi smutno, gdybym zastała cię w kałuży krwi.

Katia skinęła głową. Nie sądziła, by po związaniu z nekropolią groziło jej tu jakieś niebezpieczeństwo, ale Dora nie uwierzyłaby w to bez niezbitych dowodów.

*

Zeszły pod ziemię. Plugawa magia była jak zimna, śliska maź, która pokrywała wszystko wewnątrz grobowca. Już poprzedniego dnia wrażenie było intensywne, dziś przytłaczało i odpalało odruch ucieczki. Całkowicie

naturalny, biorąc pod uwagę okoliczności. Dora złapała się balustrady na wąskich, kręconych schodach i aż się wzdrygnęła, czując osad, jaki został jej na skórze po kontakcie z drewnem poręczy.

– Ile lat to trwało? – zapytała cicho.

– Co najmniej trzydzieści. Licz był tylko ostatnim użytkownikiem lochów ohydy.

Przeszukiwały skrupulatnie wszystkie wnęki w ścianach, skrzynię pod kamiennym blatem, każdy kąt. Nigdzie nie znalazły wykradzionych ciał.

Co nie znaczy, że poszukiwania były bezowocne.

Sprawdziły dokładnie wymienione na tablicach pamiątkowych nazwiska i daty śmierci osób oficjalnie pochowanych w tym grobowcu. Szybko zauważyły, że nie zgadza się liczba czaszek. Odkryły siedem nadliczbowych – dorosłych mężczyzn i jedną młodej kobiety. Oficjalni lokatorzy krypty mieli swoje podpisane imiennie wnęki, one były natomiast stłoczone na półce, ułożone w stosik. Bogna pewnie potrafiłaby określić, jak długo tu leżały i ile czasu minęło od śmierci, Katia mogła tylko stwierdzić, że są już całkiem suche, bo większość tkanek miękkich dawno się rozłożyła. Nie musiała też być antropolożką sądową, by się domyślić, że ludzie, do których należały, zmarli od ciosów tęym narzędziem – na potylicach widniały gwieździste pęknięcia.

W kącie krypty leżał stos niedbale porzuconych kości, najprawdopodobniej pasujących do tych czaszek. Było ich na tyle dużo, że antropolog z pewnością ułożyłby z nich kompletne szkielety.

Znalazły też ślady świec, zaschnięte i luszczące się plamy krwi zmieszanej z kurzem, symbole na ścianach i na podłodze. Dość, by się domyślić, jakie rytuały przeprowadzano tu przez lata.

– Myślisz, że to Klaudia? – zapytała cicho Dora.

– Też. Nie była sama. Krwawiły tu co najmniej trzy osoby z magią powiązaną ze śmiercią. – Katia wskazała na ścianę pokrytą rysunkami wykonanymi krwią. Przypominały paleolityczne malunki naskalne.

– Pewnie jej ojciec. Może i Gardiasz. Pięknie, kurwa, pięknie. – Wiedźma z frustracją przetarła twarz. – Czy masz cokolwiek, co wiąże to miejsce z liczem?

- Poza tym, że przyłapałyśmy go tu na spijaniu energii życiowej dziecka? – zapyta Katia z nieodgadnioną miną.

- Tak, poza tym. – Dora się skrzywiła. – Według Romana szanse na to, że zdołamy go przyskrzynić akurat za to, są nikłe. Powołają się z Gardiaszem na przepisy z siedemnastego wieku. Dzieci czy kobiety nie cieszyły się wtedy specjalnym poważaniem.

- Ani martwi. Po tej sprawie Witkaca z latarniami miałam z Gardiaszem nieprzyjemną dyskusję na ten temat. Jego zdaniem z duchami i zwłokami można robić, co się chce, i nikt nie może tego zabronić. Oczywiście wyskoczył z jakimś starym kodeksem z czasów, kiedy wiedźmy skwierczały na stosach.

Dora zazgrzytała zębami i wyznała:

- Czasami przed zabiciem go powstrzymuje mnie tylko brak pewności, czy w ogóle da się go zabić. Ale naprawdę są dni, kiedy mam ochotę to sprawdzić.

- Można. Ale nie w ludzkim wymiarze. Trzeba by go zwabić do Zaświatów – powiedziała Katia.

Dora przez chwilę patrzyła na nią z uwagą.

- No co, nie tylko ty możesz marzyć. Zrobiliśmy z Witkacym research. Hipotetyczny.

- Daj znać, gdybyście potrzebowali pomocy z pozbyciem się hipotetycznego ciała. Znam parę wiecznie głodnych wilków.

- Jestem pewna, że łatwiej go zabić niż strawić, więc nie skazywałabym żadnego miłego i pomocnego wilka na skręt kiszek.

Wróciły do przeglądania zawartości krypty. W każdym kącie wały się jakieś rzeczy, w jednym zakrwawiona szmata, w drugim stos kości, w trzecim... Katia wyniosła bliżej schodów i źródła światła pognieciony plik papierów. Były sztywne od krwi, zaschniętej i kruszącej się pod wpływem dotyku. Ta krew osypywała się na czubki kaloszy jak makabryczny brokat. Nekromantka zaczęła rozwijać kłęb, ostrożnie rozdzielając kartki. Kilka z nich pochodziło z gazet, ale część zapisano ręcznie. Zwróciła uwagę na notatki do rytuału, o którym czytała, a który był zakazany przez ostatnie sto lat. Poza tym wpadły jej w oko dwie kartki cienkiego papieru listowego.

Czarny atrament wciąż był wyraźny, krew mu nie zaszkodziła – może był galusowy? Rozpoznała charakter pisma – miała w domu kilka listów od Klaudii, tych pochylonych w lewo wykaligrafowanych liter nie sposób było przypisać komukolwiek innemu. Przeczytała pierwsze kilka akapitów.

– Chciałaś coś na licza, to masz. Prawie trzy lata temu umówił się tu z Klaudią na „ostre ładowanko”.

– Nie przyszpilisz go oskarżeniem o uprawianie seksu na cmentarzu. Obawiam się, że Gardiasz mógłby się poczuć osobiście zaatakowany.

Katia spojrzała na nią rozbawiona.



- Skarbie, nie o takie ładowanko mi chodzi. Przygotowała ofiarę, całościową, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Była przekonana, że „ten młody, pełen magii męzczyzna wystarczy co najmniej na pięć lat, jeśli będziesz użytkował zasoby w sposób rozsądny” – przeczytała z kartki.

- Pada nazwisko? – zainteresowała się Dora.

- Nie. Ale przyjrzałabym się Stanisławskiem. Byli związani z Gardiaszem z powodu jakiegoś starego długu krwi.

- Czyli niewiele się różnili od niewolników.

- Na pewno nie mogli mu odmówić żadnej przysługi.

- Według Romana to trwało od pokoleń. Nie pamięta, kiedy ostatni raz widział kogoś z rodziny, a ten wampir ma pamięć słonia.

- Może już nikt nie został? Prokreacja nie jest szczególnie pociągająca, jeśli twoje potomstwo ma wylądować na kontrakcie niewolniczym u Gardiasza.

- Temu też się przyjrę – zapewniła Dora. – Ale to, co znalazłaś, wystarczy Romanowi, dokładnie czegoś takiego potrzebował. Dowodu na to, że licz nie zabłąkał się tutaj przypadkiem, choć rączki ma czyściutkie.

- Ten gad nie ma czystych rąk od ponad stu lat – powiedziała cicho Katia.

- Zajrzyjmy mu do szafy, może trzyma tam jakieś świeże trupy – zaproponowała Dora, wkładając list do torebki na dowody.

*

Katia szła o zakład, że niewiele znajdą w mieszkaniu licza. Bremmer mógł być idiotą, ale przebiegły Gardiasz nie tolerowałby zostawiania na widoku czegokolwiek, co mogłoby go obciążyć.

Lokatora nie było w domu – Roman, na prośbę Dory, jeszcze wczoraj zadzwonił do licza i umówił się z nim na spotkanie, by „porozmawiać o potencjalnej przyszłości w szeregach Starszyny”.

- Nie odmówi, od tygodnia próbuje się dostać na audiencję – powiedział Książę wampirów, kiedy Dora wyraziła powątpiewanie, czy to zadziała. – Ale wiedz, że będziesz moją dłużniczką. Spędzenie z tym typem choćby kwadransa jest z mojej strony poświęceniem ponad miarę.

- Następnym razem zabiorę cię na miejsce zbrodni - zaproponowała półżartem.

- Jeśli będzie ciekawe, wpadnę - stwierdził łaskawie.

Oficina, w której mieściło się mieszkanie licza, wyrastała jak huba na tyłach kamienicy należącej do Gardiasza. Dora wolała nie myśleć, co znalazłaby w głównym budynku, gdyby kiedykolwiek dostały nakaz przeszukania siedziby Pana Umarłych.

Mieszkanie było prawie puste, w przestronnych pomieszczeniach stały nieliczne meble. Dora i Katia przetrząsały wszystko w pośpiechu. Namiestniczka nie wyraziła tej obawy wprost, ale spodziewała się w każdej chwili stanąć oko w oko z Gardiaszem. Roman mógł zarzucić sieć na Bremmera, ale gdyby zaprosił do siebie Pana Umarłych, ten od razu wiedziałby, że to pułapka. Nienawidzili się od dawna; Dora podejrzewała, że Gardiasz najchętniej widziałby Romana - animowanego martwą magią - w roli swojej marionetki.

Licz mieszkał tu już od kilku tygodni, jednak lokum prezentowało się nieprzytulnie i surowo. Może to tylko przejściowa nora? Gdyby faktycznie został członkiem Starszizny, mógłby dostać kamienicę po Klaudii... Czy to nie podejrzane, myślała Namiestniczka, że Gardiasz stawia na tak niepewną kartę? Ciekawe, co też może mieć na licza.

Nawet nie przeniósł ubrań do szafy - choć na wieszakach, tkwiły w staroświeckim kufrze podróżnym. Kilka książek, sześć litrowych butelek alkoholu niewiele słabszego od spirytusu. Żadnego jedzenia, za to kolekcja mocnych orientalnych perfum na bazie drzewa sandałowego i kadzidła. Odkorkowała jedną buteleczkę i powąchała zawartość. Zakasłała. Zapach był nieznośnie intensywny, miała wrażenie, że oblepił jej nos jak guma arabska.

- Wszystko w porządku? - zawołała Katia z łazienki.

- Te perfumy podpadają pod broń biologiczną. Można by ich użyć jak gazu musztardowego - odpowiedziała Dora, wycierając nos w bawełnę T-shirtu.

- Coś orientalnego? - zapytała Katia, wchodząc do pokoju z łazienkowym koszem na śmieci.

– No, straszne. – Dora się wzdrygnęła.

– Znalazłaś też coś w rodzaju formaldehydu? – zapytała nekromantka.

– Spirytus, dużo.

Katia ciężko westchnęła.

– Jestem już właściwie pewna, czemu licz trzyma się blisko Gardiasza i spełnia jego życzenia.

Przechyliła kosz tak, by Dora mogła zobaczyć jego zawartość. I poczuć smród.

– Zaczął gnić. Nawet gdyby wysał całą grupę przedszkolaków, nie pomogłoby mu to na długo. Musi zmienić ciało.

– A to nie takie hop-siup – domyśliła się Dora.

– Delikatnie mówiąc. Nie wystarczy świeży trup, na to już za późno. Licz potrzebuje uwolnić energię w czasie rytuału.

– Energię? Jak magię?

– Energię jak życie. Będzie musiał kogoś zabić, żeby w tym ułamku chwili, kiedy dusza opuszcza ciało, a ono jeszcze nie ogarnęło, że nie żyje, przeskoczyć i je zasiedlić.

– Jak często musi to robić?

– Gdyby regularnie przeprowadzał rytuał, o którym pisała Klaudia, nie musiałby tego robić wcale. Świeża porcja energii i magii utrzymałaby go w dobrej formie. Ale albo po jej śmierci nie umiał tego zrobić sam, albo za długo zwlekał, albo uszkodził ciało w inny sposób. Ono się nie zagoi, będzie gnić, aż zgnije do reszty.

– Nagle te jego rękawiczki i fulary nabierają sensu – powiedziała Dora.

Katia przytaknęła. I zrozumiała, że nie znajdzie u licza dziewczynek. Nie mógłby ich w żaden sposób wykorzystać podczas rytuału.

– Bez dwóch zdań jest popaprany, ale to nie on wykrada ciała z trumien. Jeśli nie możesz go dorwać za chłopca, to nic na niego nie masz, dopóki nie spróbuje kogoś zabić.

– Roman wspomniał, że nic, co leży w naturze licza, nie może być przedmiotem oskarżenia, bo podpadłoby to pod rasizm. Ale zabijanie nie jest częścią jego natury. I jest w tym mieście surowo zakazane.

Katia pokiwała głową, ale myślami błądziła gdzieś daleko.

- Co teraz zrobisz? - zapytała cicho Namiestniczka.

- Teraz, moja droga, przejdę do fazy proaktywnej i zastawię sidła - odparła.

- Czy chcę wiedzieć, czym jest dla nekromantki „faza proaktywna”?

- Och, kochana, to nic nadzwyczajnego: zaczynamy od trupa, dorzucamy pogrzeb i wszystko się wyjaśnia na cmentarzu - odpowiedziała Katia i mrugnęła do przyjaciółki.

ROZDZIAŁ 36

A glina ciałem się stała

Tej nocy nie zmrużyła oka. Pojechała prosto do pracowni i lepiała dalej. Przez krótką chwilę, kiedy miała nadzieję, że złapały typa odpowiedzialnego za zniknięcie dziewczynek, myślała, że może nie będzie musiała kończyć golema. Nie żałowałyby poświęconego wysiłku, bo uniknęłyby największego wyzwania – a im dłużej obracała temat w głowie, tym gorzej się czuła z tym, co musi zrobić.

Więc lepiała. Związała serce z glinianym ciałem. Umieściła w komorze klatki piersiowej urządzenie namierzające – bardziej z ostrożności, niż by na nim polegać; silniejsza magia i elektronika rzadko szły ramię w ramię, więc nie wiedziała, czy nadajnik w ogóle przetrwa ostatni etap tworzenia golema.

Nie czuła upływu czasu, czuła za to upływ magii. Glina chłonęła ją jak gąbka. Katia scalała elementy, mocowała części ciała. Glina wciąż nie do końca stwardniała, ale nie było to przeszkodą, raczej ułatwieniem. Nekromantka poświęciła sporo czasu, by wyrzeźbić idealną twarz – i zaskoczyło ją podobieństwo glinianej buzi do rysów córki znajomych. Maja miała już jedenaście lat, a jej gliniana podobizna wyglądała na nie więcej niż osiem, ale Katia i tak poczuła się nieswojo. Jakby w charakterze przynęty używała prawdziwej dziewczynki.

Otrząsnęła się, ze zmęczenia mieszało jej się już w głowie. To nie była żywa dziewczynka. Ale będzie żywa przez ułamek sekundy, a potem znów stanie się martwa. I to był ten element całego przedsięwzięcia, który naprawdę niepokoił Katię i wytrącał ją z równowagi. Żeby stworzyć

idealną podróbkę martwego dziecka, musiała stworzyć żywe dziecko i odebrać mu iskrę. Nagle na stole przed sobą nie widziała już małego golema podobnego do Mai, ale chłopca, który w Sanktuarium walczył o życie.

Bezwzględnie potrzebowała przerwy. Musiała odetchnąć. Napić się wody. Ochłodzić głowę. Wyszła z pracowni i skierowała się w stronę domu. Noc była jasna – bardzo niewiele brakowało do pełni, patio z jasnych płyt i ściany budynku wydawały się świecić. Rozrzucone po podwórku lampki – małe kule na baterie słoneczne – jarzyły się mdłym, prawie białym światłem. Było za zimno, by przyciągały ćmy czy inne owady. Katia nie umiała stwierdzić, czy jej wzrok znów pokrywa mgiełka martwej magii, czy gałęzie drzew faktycznie wyglądają jak halloweenowe dekoracje.

Opadła na krzesło ogrodowe, oparła stopy na siedzisku i przez chwilę siedziała nieruchomo, jak skulony i bardzo nieszczęśliwy ptaszek. Krzesło było zimne i wilgotne, jeszcze wczoraj pokrywała je cieniutka warstwa śniegu. Roboczy kombinezon nie chronił przed wilgocią ani chłodem, ale nie miała siły wstać i wejść do domu. Patrzyła na drzwi pracowni, które wydawały się promieniować magią przelaną po drugiej stronie.

– Jeśli powiedziałaś A, trzeba powiedzieć B. A być może zaśpiewać cały alfabet – stwierdziła cicho, próbując dodać sobie jeśli nie odwagi, to przynajmniej determinacji. Chciała złapać typa, który zabrał dziewczynki! A żeby to zrobić, musiała odebrać iskrę dziecku... Ciężko jej to nawet bardziej, niż sądziła. – Czemu mnie nie zawołałaś? – usłyszała nagle za plecami.

Odwróciła się tak gwałtownie, że prawie spadła z krzesła. Wczepiła się palcami w podłokietniki, próbując złapać równowagę.

– Co ty, jak... – Ugryzła się w język, gdy dotarło do niej, jak bogini mogła odebrać jej słowa.

Ale Matka Ziemia nie wyglądała na urażoną. Uśmiechnęła się tylko, bardzo z siebie zadowolona, jakby zaskakiwanie nekromantki czyniło jej noc słodsza, po czym powiedziała:

- Nigdy nie mówiłam, że będziemy się widywać wyłącznie na cmentarzach. Po prostu wolę je od innych miejsc. A skoro Pani Śmierć mogła się pofatygować do twojej pracowni, to czemu i ja nie miałabym tu zajrzeć?

Katia mogłaby wskazać co najmniej kilka powodów, ale uznała, że rozsądniej będzie ich nie podawać. Nie chciała zrazić do siebie bogini.

- Mówiła ci o wizycie? - zapytała. Tym samym zmieniła temat na bezpieczniejszy. A przynajmniej taką miała nadzieję.

- Wiesz, że niewiele brakowało, by przez tego chłopca straciła swoją pozycję... a może i całą resztę? Mówili, że zgubiła obiektywizm, że jest za blisko ludzi - powiedziała Matka Ziemia, przechadzając się bosą po zimnych kamieniach.

Może to jednak nie jest wcale bezpieczny temat, pomyślała Katia.

- Moim zdaniem - kontynuowała Matka Ziemia - prawdziwym problemem są te bóstwa, które chcą ingerować w życie ludzi, nie znając ich, nie mając z nimi żadnych więzi, nie widząc w nich dziwacznych, być może niezbyt mądrych, ale na swój sposób fascynujących stworzeń, od których można się wiele nauczyć. Może niekoniecznie o świecie, ale nierzadko o sobie. Czasami takim jak my brakuje perspektywy. Zapominamy, że coś jest wielką sprawą tylko dlatego, że nam przychodzi z łatwością.

Katia milczała, nie wiedząc, co właściwie mogłaby odpowiedzieć.

- Czy golem jest już gotowy? - zapytała Matka Ziemia pozornie bez związku.

- Skorupa i serce tak. Została tylko... - Musiała odchrząknąć, bo ścisnęło ją w gardle.

- Iskra - dokończyła bogini. - Pokaż mi go.

Katia posłusznie zaprowadziła ją do pracowni i z dystansu, na jaki mogła sobie pozwolić w niewielkim pomieszczeniu, obserwowała, jak Matka Ziemia dokonuje inspekcji jej dzieła.

Bogini pogładziła palcem gładki, po dziecięcemu zaokrąglony policzek.

- Bardzo dobra robota - przyznała.

A potem położyła otwartą dłoń tam, gdzie pod warstwą gliny kryło się kamienne serce, pochyliła się i dmuchnęła w rozchylone usta dziewczynki. Po chwili magia rozjarzyła rzeźbę pulsującym światłem. Glina zmieniała się, rdzawy kolor ustępował, robił się coraz jaśniejszy, różowawy, prawie biały. Nagle wyrzeźbione starannie włosy rozsypały się miękkimi falami na blacie stołu, a powieki zatrzepotały. Pozór życia był tak wiarygodny, że Katia mimowolnie spodziewała się zobaczyć ruch unoszonej oddechem klatki piersiowej.

Zamrugnęła, bo oto przed nią leżała najprawdziwsza dziewczynka. Miała lekko zarumienione policzki, zupełnie jakby spała.

- Troszkę za dużo, prawda? - powiedziała Matka Ziemia i przesunęła dłonią nad dzieckiem.

Zmiana nastąpiła w jednej chwili. Dziewczynka nadal wyglądała jak ludzkie dziecko, z miękką skórą i syrkimi włosami, ale nie było cienia wątpliwości, że jest martwa. Jej ciało nabrało ciężaru, sztywności, których przed chwilą nie było. Rumieniec zbladł, a usta zsiniały.

Katia objęła się ciasno ramionami, jakby próbowała utrzymać ciepło we własnym ciele. Jakby się bała, że Matka Ziemia z rozpędu zabierze witalność również jej.

- To wystarczy, nie sądzisz? - zapytała bogini, patrząc z zadowoleniem na swoje dzieło.

- Nawet z bliska nikt nie pomyślałby, że to cokolwiek innego niż zwłoki małej dziewczynki - powiedziała Katia i przeszedł ją dreszcz.

Bogini spojrzała na nią uważnie.

- Nie sądziłam, że to jeszcze robi na tobie wrażenie. Od tylu lat obcuje z śmiercią.

Katia nie umiała jej tego wytłumaczyć. Może chodziło o to, że to było dzieło jej rąk, ale przez chwilę wyglądało jak żywe dziecko? Może przypominała jej się historia Sulemy? Czy jej córeczka wyglądała równie wiarygodnie jak dziewczynka na stole?

- Nie myśl o tym, nie idź tą drogą - powiedziała łagodnie Matka Ziemia. - Musiałabym interweniować i nie sprawiłoby mi to przyjemności. - A potem, jakby chcąc odwrócić uwagę Katii od niewesołych myśli, które tłoczyły jej się w głowie, dodała: - Odwiedziłam twojego małego podopiecznego w Sanktuarium.

- Jemiola mi pisała, że żyje. Dziękuję - odparła nekromantka.

Matka Ziemia ze smutkiem pokręciła głową.

- To nie jest takie proste. On nie będzie już żywy, jego iskra prawie dogasła...

- Co to oznacza?

- Nie zdoła żyć wśród żywych, w świecie żywych.

- Jaką ma alternatywę? - zapytała cicho Katia.

- Nie jest pierwszym dzieckiem, które spotkało coś takiego. Porozmawiam z Kowalem, od dawna wspominał, że chciałby kogoś na wychowanie, żeby kiedyś przejął jego obowiązki.

- Kowal? Czy on sobie da radę z małym chłopcem?

- Jego ojciec dał sobie radę z nim, kiedy spotkało go coś bardzo podobnego.

- Czyli to prawda, że Kowal nie może opuszczać cmentarza - powiedziała cicho Katia.

- Nie wiem, czy nie może. Na pewno nie chce.

Nekromantka milczała, zastanawiając się, czy chłopiec chciałby takiego substytutu życia.

- To wszystko, co mogę mu dać. Jeśli wolisz, może go odwiedzić Pani Śmierć - dodała łagodnie bogini.

- Nie, spróbujmy. Na odwiedziny Śmierci nigdy nie jest za późno.

Matka Ziemia skinęła głową i pochyliła się nad golemem, po czym pocałowała go w czoło. A Katia poczuła pocałunek na swojej skórze. Wzdrygnęła się zaskoczona. Bogini zachichotała i zniknęła.

Katia przez chwilę stała przy stole, bojąc się sprawdzić. W końcu dotknęła opuszkami przedramienia dziewczynki. Skóra była gładka, zimna, całkowicie ludzka. Na szczęście nekromantka nie poczuła dotyku

na własnym ciele. Odetchnęła głośno, a potem sięgnęła po komórkę. Dochodziła piąta rano. Może powinna poczekać? Nagle ekran rozbłysnął, a aparat zawibrował jej w dłoni. Na jasnym tle wyświetliło się imię Adama.

- Właśnie miałam do ciebie dzwonić - powiedziała.

- Tak właśnie słyszałem - mruknął i była pewna, że jeszcze kilka minut wcześniej spał.

- Rozumiem, że nie tylko Matka Ziemia miesza się w tę sprawę? - odgadła.

- Zgadza się. Nawet nie wiem, skąd Pani Śmierć zna tyle szczegółów...

- Najwyraźniej nasze nadprzyrodzone ciotki rozmawiają - powiedziała nekromantka.

Westchnął.

- To jest niepokojące. Ale i na swój sposób... sam nie wiem, pocieszające.

- Co dokładnie?

- Że jest symetria w tym szaleństwie. Więc skoro już nie śpię, jak mogę ci pomóc?

- Przynęta gotowa, trzeba ją dyskretnie przetransportować do Domu Ostatnich Pożegnań.

- A tam dyskretnie! Trzeba to zrobić jak zwykle, karawanem. Nie wiadomo, kto i kiedy patrzy.

- Moi sąsiedzi na pewno, więc nie chciałabym, żeby widzieli, jak z mojego domu wynoszone jest ciało dziecka.

- Spokojnie, nawet się nie domyślą. My, przedsiębiorcy pogrzebowi, mamy swoje sposoby. Wyślij mi adres.

ROZDZIAŁ 37

Pułapka pogrzebowa

Pogrzeb był piękny. Adam nie odwałął fuszerki nawet dla golemów. W dwa dni zdołał przygotować uroczystość z prawdziwego zdarzenia, spełniającą jego wysokie standardy.

Katafalk, na którym stała biała trumna z uchylonym półwiekiem, tonął w kwiatach. Od zapachu lilii lekko zakręciło Katię w nosie. Gromnica rzucała ciepły blask na twarzyczkę wyłaniającą się z satynowych falbanek poduszki i koronek zdobiących karczek białek sukienki, w którą Adam ubrał golema. Nekromantka nie dociekała, skąd miał te wszystkie rzeczy i ile go ta cała impreza kosztuje, bo gdy tylko o tym wspomniała, rzucił jej urażone spojrzenie. Z głośników sęczyły się dźwięki kwartetu smyczkowego, chyba Vivaldi; Katia była zbyt skupiona na obserwowaniu zebranych w kaplicy ludzi, by wsłuchiwać się w melodię.

Adam zorganizował wspaniałych żałobników. Wystarczyło, że szepnął słówko mamie, a ta ściągnęła znajomych ze swoich kół zainteresowań: teatralnego, czytelniczego, kryminalnego i cholera wie, ile jeszcze ta kobieta miała hobbyistycznych kręgów towarzyskich, w każdym razie stawili się wszyscy i znakomicie wcielali się w swoje role. Najtrudniejsze – członków najbliższej rodziny – odgrywali rzecz jasna członkowie kółka teatralnego. Katia uśmiechnęła się pod nosem na wspomnienie słów pani Marysi:

– Skoro Kamila potrafiła wcielić się w Medeę tak doskonale, że jej mąż czuł niepokój, ilekroć zostawiał ją potem z dziećmi, da sobie radę z rolą matki w żałobie. Dawid jest znakomitym aktorem, aż szkoda, że nie ma

okazji, by pośpiewał; gdybyś go usłyszała w roli Judasza z Jesus Christ Superstar, klaskałabyś, aż by ci dłonie opuchły!

Katia tylko zamrugła zaskoczona, bo nie miała pojęcia, że w Thornie amatorski teatr wystawia antyczne sztuki i musicale. Ale po kilku minutach obserwowania Kamili i Dawida nabrała całkowitego zaufania do ich umiejętności. Kilkanaścioro członków trupy teatralnej wspierało ich w rolach pogrążonych w smutku krewnych. Mama Adama wspomniała, że większość z nich przygotowała sobie karty postaci, by „w pełni zrozumieć ból, który odczuwają”. Członkowie pozostałych kółek zainteresowań nie nurzali się w metodzie Stanisławskiego jak prosięta w kałuży, ale zachowywali należytą powagę.

Katia musiała tylko obserwować, czy na pogrzebie pojawi się ktoś spoza listy. Martwiła się, czy zdoła zapamiętać wszystkich zaproszonych gości, ale Adam stał z jej lewej strony, a pani Maria z prawej i szeptali, gdy tylko pojawiła się nowa twarz.

– To pani Sława, stała bywalczyni pogrzebów. Wpada właściwie na każdy, a gdy nie pojawiła się na jednym, poszedłem sprawdzić, czy czasem nie jest chora. Okazało się, że skręciła nogę – powiedział szeptem Adam, widząc, że Katia zwróciła uwagę na starszą kobietę w toczku z woalką z włoskiej koronki. – Chodzi na te pogrzeby na wszelki wypadek, gdyby nie zjawił się nikt poza najbliższą rodziną. Chyba ma nadzieję, że kiedy przyjdzie jej kolej, ludzie zrobią jej tę uprzejmość i zjawią się, by ją pożegnać.

Celebrans, pan Ludwik, prowadził świeckie nabożeństwo, rozwodząc się nad straconym potencjałem i przedwcześnie zerwanym kwiatuszkim, cały przejęty i w emocjach, bo – jak wyjaśnił Katii Adam – nie miał pojęcia, że to maskarada, a nie prawdziwy pogrzeb, i autentycznie bolał nad śmiercią dziecka. Pan Ludwik nie miał za grosz talentu aktorskiego i gdyby cokolwiek zachwiało jego przekonaniem, że to prawdziwa uroczystość, plan natychmiast wziąłby w łeb.

Po kilku minutach od rozpoczęcia obrządku drzwi do kaplicy się uchyliły i do środka wkroczyli Kamal wraz z Bogną. Usiedli w jednej z ostatnich ławek. Zaraz za nimi pojawiły się Dora z Salcią. (Obecność

dziewczynki miała zapobiec przekonaniu, że Namiestniczka jest tu służbowo). Obie w czarnych dżinsach i sweterkach pod skórzanymi kurtkami, z rudymi włosami splecionymi we francuskie warkocze i z piegami na nosach, wyglądały na rodzone matkę i córkę, choć łączyła je więc wyłącznie emocjonalna. Katii nie przyszłoby do głowy, by się temu dziwić. Kiedy była mała, wszyscy mówili, że ma oczy po tacie.

Kolejnych dwóch spóźnialskich znał Adam, podobnie jak pani Sława bywali na większości pogrzebów, choć bardziej ze względu na poczęstunek podczas stypy niż z troski o liczebność konduktu.

Do końca uroczystości nie pojawił się już nikt nowy.

Wygląda na to, że nie obejdzie się bez drugiego aktu, pomyślała Katia.

*

Kondukt pogrzebowy przemierzał alejkę cmentarną powoli i z dystynkcją. Na przedzie pochodu pracownicy Adama nieśli białą, dziecięcą trumnę. Zwykle zmarły spoczywał na ramionach czterech, a nawet sześciu mężczyzn, jeśli był wysoki czy ciężki, ale tym razem wystarczyli Kajtek i Banach. Za nimi szli żałobnicy, z wieńcami i wiązkami kwiatów, śpiewając psalm. Na razie Katia nie zauważyła żadnych podejrzanych osób czy gapiów.

Wyprzedzili z Adamem kondukt i pierwsi dotarli na miejsce pochówku, by się upewnić, że wszystko jest gotowe.

Dół w kwaterze dziecięcej już czekał. Otoczony był zieloną włókniną, obok leżały dwie poprzecznie ułożone belki i sznury do opuszczania trumny. Katia wyczuła czyjaś obecność. Rozejrzała się i zauważyła Kowalą, częściowo ukrytego za pniem drzewa. Stał z zaplecionymi na piersi ramionami, posępny. Nie był zachwycony tą hucpą, szczególnie faktem, że na jego cmentarzu spocznie golem. Uspokoilo go dopiero to, że Matka Ziemia nie tylko o wszystkim wiedziała, ale i sama pomogła stworzyć owego golema. Zgodził się więc i wskazał miejsce pochówku.

Odkąd Katia była związana z cmentarzem, coraz częściej myślała o nim jako o bycie w jakimś stopniu świadomym. Tak jak dziś, gdy cisza wydawała się gęstsza, jakby magia nekropolii też zamarła w oczekiwaniu.

Kruki, wrony i sroki gęsto obsiadły okoliczne gałęzie. Miejscowe czarne koty rozciągały grzbiety na nagrobkach i pomnikach, pozornie niezainteresowane, ale Katia wyraźnie czuła ich spojrzenia, gdy wodziły wzrokiem za nią i za Adamem. Nagle dwa kocury wystrzeliły zza pomnika z okrutnym wrzaskiem i przecięły alejkę, wściekle prychając. Coś je wystraszyło? Stała na palcach, przeczesując wzrokiem okolicę. W nienaturalnej ciszy dobiegło ją ledwie słyszalne szuranie. Poszła w stronę, z której dobiegał głos, napędzana podejrzeniami, i westchnęła, widząc Profesura zgiętego w pół nad arkuszem papieru, który dociskał do płyty nagrobnej i skrupulatnie pokrywał czarnym węglem. Zamarł, spojrzał w jej stronę. Kiwnął głową i podjął przerwana czynność.

Wróciła na miejsce pochówku, słysząc zbliżający się orszak.

Pół godziny później trumna została złożona w grobie i przysypana ziemią, a kopiec przykryto włókniną i wieńcami. Na drewnianym paliku Adam przyczepił tabliczkę trumienną: „Aleksandra Bieńczyk, lat 8”. Takie imię i nazwisko dostał golem.

Żałobnicy wkrótce się rozeszli. Dora i Salcia podeszły do Katii i Adama.

– Ktoś zwrócił waszą uwagę? – zapytała Namiestniczka.

– Nikt, kogo nie powinno tu być – powiedziała nekromantka.

– A jeśli nie połknie haczyka? – zmartwiła się Dora.

– Nie wiem, czy się oprze. Wszystko zostało skrojone pod jego preferencje. Okaże się dziś w nocy.

– Chcesz, żebym się zaciąła razem z tobą? – zapytała Dora.

– Bądź pod telefonem – poprosiła Katia. – Nie ma sensu, żebyś siedziała w aucie całą noc. Mamy nadajnik w golemie, mamy ukrytą kamerę, nie zakradnie się niezauważony.

Dora pokiwała głową.

– Nie złapcie go za szybko. Pozwólcie mu zanieść ciało do kryjówki, może dzięki temu znajdziemy pozostałe. Golem wytrzyma, nie rozpadnie się, jeśli zechce go wyciągnąć z trumny?

– Golem wytrzyma, ile musi. Dopóki nie zwróć go ziemi, będzie w takiej formie jak na pogrzebie – zapewniła nekromantka.

- Złap go, ciociu – szepnęła Salcia i mocno uściskała Katię – inaczej mama nabawi się bruksizmu od tego wściekłego zgrzytania zębami.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek zabraknie ludzi przyprawiających ją o zgrzytanie zębami – odpowiedziała szeptem Katia.

- To prawda – przyznała dziewczynka, poklepując Dorę po plecach, gdy ta rzuciła przyjaciółce pytające spojrzenie.

Gdy wszyscy zniknęli z cmentarza, Adam zagadnął:

- Wiesz, że nie musisz siedzieć w aucie cały czas? Mieszkam dwa kroki stąd, na pewno dociera tam zasięg kamery.

- Kowal znalazł mi przytulny punkt obserwacyjny w grobowcu znajomej rodziny – odpowiedziała, a potem, pod wpływem impulsu dodała: - Jeśli nie przeraża cię siedzenie w takim miejscu w środku nocy, możesz dołączyć.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Druga randka na cmentarzu? Wiesz, jak zrobić wrażenie.

- Myślałam, że żeby to była randka, musi być jedzenie – przypomniała mu jego własną zasadę.

- Przyniosę coś. Przecież nie będziemy siedzieli z pustymi żołądkami. Burczenie mogłoby nas zdekonspirować.

- Logiczne – przyznała.

- Sama widzisz, druga randka.

Opuścili nekropolię razem. Katia nie sądziła, by hiena cmentarna próbowała dorwać się do trumny przed zapadnięciem zmroku, ale i tak ustawiła alerty na komórce – dostanie powiadomienie przy każdym ruchu w okolicy świeżego grobu. Siostrzenica pani Danusi zgodziła się wypożyczyć kamerę, kiedy nekromantka zapewniła ją, że gdyby ciocia znów wstała, ona będzie na miejscu i nie dopuści do samowolnych eskapad nieboszczki.

ROZDZIAŁ 38

Po nitce do kłębka

Grobowiec, w którym Katia i Adam mieli czatować na hienę cmentarną, należał do Rudzików – starej i szanowanej w Thornie rodziny wieźm ziemi i zielonych kciuków. Zbudowany z białego marmuru z różowymi żyłkami, wydawał się świecić w świetle księżyca. Na lekkim wzniesieniu, otoczony strzelistymi cisami, wyglądał niczym wysepka, a od kwatery dziecięcej dzieliło go ledwie kilkadziesiąt kroków.

Grobowiec w tyśiąc siedemset trzydziestym piątym postawił Alfons Rudzik, patriarcha, człowiek bardzo zamoźny i absolutnie pewny, że po nim przyjdą kolejne pokolenia, trzeba więc z góry zadbać o miejsce pochówku i dla nich. Kupił okazałą działkę na cmentarzu, zaprojektował rodzinne mauzoleum i zatrudnił budowniczych. Doglądał prac przez kilka miesięcy, pilnując każdego detalu. A trzy tygodnie po tym, jak budowa dobiegła końca, zmarł. Jego trumnę złożono w mauzoleum jako pierwszą z wielu, które miały spocząć tam w ciągu kolejnych stuleci.

Mauzoleum było okazałą bryłą zbudowaną na planie ośmiokąta, z obszerną komorą w centrum, otoczoną galerią z kolumnami i wzniesioną ponad poziom ziemi o dwa stopnie. Całość zwieńczała kopuła z rzeźbioną galeryjką na szczycie i niewielką wieżą, w której wisiał dzwon, połączony z komorą sznurem. Na wypadek gdyby któryś Rudzik obudził się w trumnie i zechciał wezwać pomoc.

Do środka prowadziły drzwi misternie dekorowane motywami ptasimi i roślinnymi, a światło wpadało do wnętrza przez witrażowe okienka, skierowane na cztery strony świata. Teraz światła było niewiele, ale Katia

przyniosła lampkę turystyczną, a Adam kilka świec. Nekromantka miała pewne podejrzenia, że mogły zacząć swoje istnienie jako gromnice – były na tyle grube, by stać na podłodze bez świecznika – ale nie zamierzała pytać. Świece to świece.

Pod ziemią znajdowała się obszerna komora wykonana na wzór katakumb, ale zabezpieczająca właz rzeźbiona pokrywa wyglądała na naprawdę solidną, więc można było bez strachu spacerować po podłodze. Tylko chwilami powietrze wpadało przez otwory włazu i niepokojąco poświstywało w pustej przestrzeni poniżej.

W środku pachniało kurzem, ale Katia nie wyłapała choćby nuty rozkładu. Złożeni tu zmarli już dawno mieli ten etap za sobą.

– Jest większe niż typowa kawalerka – powiedział Adam, rozglądając się po wnętrzu mauzoleum. Nie chował tu nikogo, bo przez ostatnie lata żaden z Rudzików nie dokonał żywota; najmłodsze spoczywające w tym miejscu ciało leżało tu od czterdziestu sześciu lat. Żyjący obecnie Rudzikowie cieszyli się długowiecznością i nikomu się nie spieszyło na tamten świat.

– Tyle że w kawalerkach zwykle są łazienki – zauważyła Katia. – A tu nici z picia na czatach!

– Poradzilibyśmy sobie, zawsze można użyć butelki... – Spojrzał na uniesione brwi Katii i parsknął cicho. – Dobra, żadnego picia. Ale przekąski nie są zabronione?

– Bez nich nie byłoby randki – odpowiedziała i puściła do niego oko.

Adam podszedł do nocnego czatowania jak profesjonalista, choć nie była pewna, w jakim fachu. Wyjął z torby koc, dwie poduszki, pojemniki z jedzeniem i termos.

– No co, nie wiadomo, ile będziemy tu siedzieć! – powiedział, gdy parsknęła, i zaczął im mościć siedziska.

Na ekranie stojącego przed nimi laptopa wyświetlał się obraz z kamery ukrytej przy świeżym grobie. Na szczęście mieli zasięg. Zważywszy na miejsce, w którym się znajdowali, dostęp do sieci wcale nie był oczywisty, ale najwyraźniej magia nekropolii postanowiła z nimi współpracować, równie zdeterminowana jak oni, by ująć sprawcę.

Katia rozsiadła się na poduszce i ciasno opatulila kocem. Adam zajął miejsce obok i podsunął jej pod nos pudełko. W środku leżały cztery miniaturowe eklerki.

– Mówisz, że czas na rozmowę od serca? – zapytała z rozbawieniem.

– W ramach eksperymentu. Sprawdzimy, czy wystarczą eklerki, bym zrobił z siebie idiotę, czy potrzebuję jeszcze pomocy wina – odpowiedział.

– Nie wzięłaś chyba wina na czaty?

– Być może czeka na nas butelka u mnie, jeśli uwiniemy się z tym naprawdę szybko. Ale przyniesienie jej tu wydawało mi się... nie na miejscu. Minęło co najmniej dwadzieścia lat, odkąd piłem alkohol na cmentarzu.

– Wagary?

Przytaknął. Oczyma wyobraźni zobaczyła chudego wyrostka, który wraz z kolegami i koleżankami włóczy się po cmentarzu.

– Oszukiwałaś – powiedziała cicho. – Dla takich jak my to nigdy nie było straszne miejsce.

– Na szczęście Sandra na to nie wpadła. Była pod wrażeniem mojej odwagi.

– Jak bardzo była pod wrażeniem?

– Dżentelmen nigdy nie zdradza takich rzeczy – odpowiedział i mrugnął.

*

Noc mijała niespiesznie. Kamery od wielu godzin nie wykrywały żadnego ruchu, poza kotami, które przechadzały się między nagrobkami, żywo zainteresowane wstążkami przy wieńcach i wiązankach. Katia opierała się plecami o ścianę i próbowała odpędzić senność. Była zmęczona. Ostatnimi dniami nie spała zbyt wiele. Co jej przypomniało...

– Wiesz, że mnie odwiedziła? Powiedziała ci? – zapytała Adama.

Mężczyzna jeszcze chwilę temu pocierał twarz i powieki, walcząc ze zmęczeniem, ale teraz, czujny jak piesek preriowy, patrzył na Katię szeroko otwartymi oczami.

- Spokojnie, była bardzo uprzejma i upewniła się, że nie napędziła mi stracha - dodała nekromantka.

- W jaki sposób? - zapytał ostrożnie.

- Och, zapytała wprost. Popijając kawę, o którą się gładko przymówiła.

- Bogowie - jęknął Adam, chowając twarz w dłoniach. - To jest... Przepraszam... Prosiłem, by dała ci spokój! Rany, nie zdziwię się, jeśli wykasujesz mój numer z komórki i nigdy więcej nie odbierzesz...

- Daj spokój, Adaś, to ja, pamiętasz? Jeśli dla kogoś odwiedziny nie całkiem zrównoważonej bogini są normalne, to właśnie dla mnie. Po Pani Śmierci wpadła do mnie z wizytą Matka Ziemia, więc wiesz, może nie jest to całkiem normalne, ale nie tak zaskakujące, jak byłoby dla zwykłej śmiertelniczki.

- Hmm. Czego chciała?

- Porozmawiać. Upewnić się, że wiem, jakim jesteś skarbem. I najwyraźniej pomóc mi się uporać z problemami ze snem po tej stronie bramy. Uważa, że to wina mieszkania, że potrzebuję kontaktu z ziemią. Szkoda tylko, że na dom w Thornie raczej mnie nie stać - powiedziała spokojnie.

- Uważa, że dom rozwiązałby problem? - upewnił się.

- Tak twierdzi. Najwyraźniej zapuszczam korzenie w ziemi, która chroni mnie przed nadmierną ekspozycją na magię śmierci.

- Hmm. Być może mam pomysł.

- Nie możemy ze sobą zamieszkać - rzuciła szybko.

- Nie o tym myślałem. Na to stanowczo za wcześnie. Muszę cię najpierw rozkochać w sobie do szaleństwa, zanim poznasz wszystkie moje dziwactwa - odpowiedział gładko. - Nic, pomyślę, pogadam z kim trzeba.

- Adam, nie musisz rozwiązywać moich problemów.

- Oczywiście, że nie muszę.

Katia przez chwilę patrzyła na niego, zastanawiając się, co powiedzieć, wreszcie westchnęła i zmieniła temat:

- Jest jeszcze coś. Chodzi o ciebie i o mnie, o nasze magię i w ogóle...

– Mówiła, że mogę cię bezpiecznie całować i nie ma ryzyka, że mnie ukatrupisz – odparł. – Przynajmniej przez przypadek.

– Bierzesz pod uwagę, że mogłabym cię ukatrupić celowo?

– No wiesz, to zawsze jest ryzyko. Ludzie w związkach najczęściej giną z ręki mężów lub żon.

– Zupełnie jakbym rozmawiała z Dorą! Ona też zawsze ma pod ręką jakieś podnoszące na duchu statystyki policyjne. Aż się człowiek chce wiązać!

Zamilkła na chwilę, zastanawiając się, czy mu powiedzieć. Czy potrzebował tej informacji, czy może był szczęśliwszy, żyjąc w nieświadomości...? Coś podszepnęło jej, że nie powinna tego przed nim ukrywać.

– Myślę, że nie musisz się obawiać, że cię zamorduję. Myślę, że w ogóle nie musisz się specjalnie obawiać śmierci – powiedziała cicho.

Popatrzył na nią uważnie. Z miejsca wyczuł zmianę nastroju.

– Przez to, że nie jestem już w pełni człowiekiem? – zapytał.

Pokiwała głową.

– Wiesz, kim jestem?

– Nie ma drugiego takiego jak ty, przynajmniej nie słyszałam o drugim takim przypadku. Ale masz kuzynów, tak bym to określiła.

– A ci kuzyni... kim są?

– Nie bzikuj, dobrze?

– Bogowie, czy to ghule? – zapytał, jakby nie był to pierwszy raz, kiedy o tym pomyślał.

– No coś ty! W żadnym wypadku! Gdybyś był spokrewniony z ghumami, już leżałbyś grzecznie w ziemi. Nie ryzykowałabym życia mieszkańców, pozwalając ci hasać po ziemi, aż ci się apetyt obudzi.

Odetchnął z ulgą.

– Wykrztuś to – poprosił.

– Kosiarze, jak ty, noszą w sobie okruchy magii Pani Śmierci. Niewykluczone, że mógłbyś być jednym z nich. Ale nie musisz. Nie po to cię ożywiła – dodała Katia z przekonaniem.

Milczał, trawiając tę informację.

– Nie jest tak źle, jak myślałem – przyznał po chwili. – Dzięki. Chyba że masz kosiarzy i ich zbląkane kuzynostwo na liście „zakazane randkowanie”, wtedy mogę przejść kilka stadiów żałoby po swojej utraconej śmiertelności.

– Po Anubisie dopisałam bóstwa śmierci do listy, ale kosiarze się nie łapią na bóstwa.

– Uff.

I tak po prostu przyjął do wiadomości to, kim jest. Podsunęła mu pudełko z eklerkami. Zasłużył na nagrodę!

*

Minęła trzecia i Katia zaczynała powątpiewać, czy cokolwiek wyjdzie z ich planu. Cmentarz był pogrążony w ciszy, nawet koty spały na pomnikach. Adam opierał się plecami o ścianę, z głową odchyłoną do tyłu, i „pozwalał oczom odpocząć”, cicho pochrapując. Nekromantka wpatrywała się w ekran laptopa, zastanawiając się, czym spłoszyli sprawcę. Czy możliwe, że stał się ostrożniejszy przez zamieszanie z liczem? A może nie rozgryzła dokładnie jego preferencji? Może golemowi i historii, którą dla niego ułożyła, czegoś brakowało?

Była zmęczona, nie tylko fizycznie, i wiele by dała, żeby móc się choćby zdrzemnąć – w mauzoleum pewnie wyspałaby się lepiej niż w mieszkaniu, skoro była tak blisko ziemi... Ale nie mogła sobie pozwolić na ani chwilę dekoncentracji.

W pierwszym momencie pomyślała, że jej się przywidziało albo że kamera jakimś cudem złapała aktywność jednego z duchów, których było na Centralnym sporo, choć zwykle przezornie trzymały się z dala od żywych – zwłaszcza odkąd rozeszła się informacja o mieszkającej w Thornie rodzinie szamanów. Ale nie! Coś poruszało się w cieniu drzew, niedaleko świeżego grobu.

Dopiero kiedy wszedł w plamę światła księżycy na ścieżce, Katia aż pisnęła, rozpoznając sylwetkę i sposób poruszania się człowieka, który

właśnie zaczął ostrożnie przenosić wieńce i wiązanki na sąsiednie nagrobki.

Wyciągnęła komórkę i szturchnęła Adama.

– Mamy go – powiedziała, bo nagle udzielił jej się nastrój nocnych czatów.

– Co? Kto? – Oprzytomniał i kucnął przed ekranem laptopa.

Katia zadzwoniła do Dory.

– Mamy go. Właśnie dobiera się do grobu – rzuciła do telefonu, zanim usłyszała głos przyjaciółki.

– Znasz go, wiesz, gdzie mieszka?

– Wiem, kim jest, pojęcia nie mam, gdzie mieszka.

– Więc pozwól mu ją wykopać i zabrać do kryjówki. Nie spuszcza go z oka. Wyślij mi adres SMS-em, a zjawię się w kilka minut. Jeśli podjadę teraz, mogę go spłoszyć.

– Możesz być pewna, że go nie zgubię. Nawet gdyby nadajnik padł, w golemie jest wystarczająco dużo mojej krwi i magii, by namierzyć go zaklęciem.

– Świetnie. Więc niech pajaczek zabierze muszkę do swojego królestwa, a my mu zrobimy nalocik – powiedziała z satysfakcją Dora.

Katia nerwowo wykręcała palce, patrząc na ekran. Sprawca starannie złożył włókninę obok i rozkopał grób. A potem wskoczył do środka. Musiał zaczepić sznury o uchwyty trumny, bo wygrzebał się na zewnątrz i zaczął wyciągać ją ze środka.

Ułożył trumnę na wykopanej z grobu hałdzie ziemi. Zmagał się jakiś czas z zamkiem, wreszcie odchylił wieko. Przez chwilę po prostu patrzył na leżącą w białej satynie i koronkach dziewczynkę, a potem pochylił się nad nią i pogładził ją po twarzy. Wyciągnął ciało, podkładając ręce pod kolana i plecy, jakby przenosił śpiące dziecko. Położył je na sąsiednim pomniku. Zamknął trumnę i zsunął ją ponownie do dołu. Wyciągnął sznur i zwinął go z namaszczeniem, przyczepił do paska, po czym zaczął zasypywać trumnę ziemią.

Był przy tym taki akuratywny, taki metodyczny! Starannie zasypał trumnę, każda odrobina ziemi trafiła z powrotem do dołu, nie został choćby ślad. Uklepał górkę w ten sam sposób, w jaki po pogrzebie zrobił to Kajetan. Rozłożył włókninę. Cofnął się o krok, popatrzył, poprawił ułożenie tkaniny. Zadowolony z efektu, zaczął przekładać wieńce i wiązanki. Niewiarygodne, ale pamiętał ich dokładne ułożenie i kolejność zdejmowania. Przez dłuższą chwilę poprawiał wstęgi i szarfy wieńców, wreszcie wziął dziewczynkę na ręce i ruszył wzdłuż głównej arterii.

Katia i Adam bezszelestnie wyślizgnęli się z mauzoleum. Cały cmentarz spowijała cisza tak gęsta, jakby nekropolia wstrzymała oddech w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

Kowal czekał na nich w cieniu cisów.

– Wszedł furtką szóstą. Ma klucz – wyszeptał.

– Wie pan, od kogo? – zapytała cicho.

Skinął głową.

– Zakłęcie rodzinne Klaudii. Nic dziwnego, że nie wyczuwałem, kiedy wchodził i wychodził. – Zgrzytnął zębami.

– Czy wie pan, gdzie on mieszka? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Raczej daleko, to beżowe volvo wiecznie stojące przy krawężniku to jego. Kilka razy prosiłem go, by je przeparkował przed pogrzebem, bo blokował dojazd dla karawanów.

Samochody Katii i Adama stały przed Domem Ostatnich Pożegnań. Doszli do wniosku, że tak będzie lepiej – widok auta nekromantki przy cmentarzu mogłoby spłoszyć sprawcę. Tyle że teraz musieli po nie iść.

Nagle przed furtkę zajechał poobijany SUV. Katia wskoczyła do niego bez namysłu, Adam krok za nią.

– Nie mogłaś się doczekać? – zapytała Dorę.

– Cierpliwość jest jedną z wielu cnót, z którymi mi nie po drodze – odpowiedziała Namiestniczka, a potem zerknęła na Adama i dodała: – Jesteś pewna, że chcesz zabierać cywila, gdy niekoniecznie wiemy, w co się pakujemy?

Katia spojrzała niepewnie na mężczyznę.

– Jeśli tak wolisz, zostanę – powiedział miękko. – Będę w pogotowiu, na wypadek gdybyście potrzebowały pomocy.

Dora miała rację, nie wiedzieli, w co wdepną. A Adam... Był uroczym i empatycznym prawie człowiekiem. Czy ze wszystkim, co mógłby zobaczyć, byłby w stanie żyć?

– Zadzwoń do ciebie, kiedy znajdę dziewczynki.

– Zadzwoń, nawet jeśli ich nie znajdziesz – poprosił.

Skinęła głową i zatrasnęła za sobą drzwi.

– Prowadź – rzuciła Dora, ruszając z piskiem opon.

Katia nawet nie musiała sprawdzać komórki i nadajnika. Po prostu czuła, gdzie powinni jechać. Jej krew, jej magia wzywały ją, odkąd tylko golem opuścił terytorium cmentarza.

Prowadziła Dorę jak po sznurku. Wreszcie zatrzymały się pod trzypiętrową kamienicą w jednej z nowszych dzielnic Thornu. Przy krawężniku stało beżowe volvo.

Katia zadarła głowę. Na drugim piętrze paliło się światło, reszta budynku pogrążona była w ciemności.

– I co teraz? – zapytała niepewna.

– Zapukamy do drzwi i zapytamy, czy chciałby porozmawiać o sądzie ostatecznym – odpowiedziała Namiestniczka, sięgając na tylne siedzenie po miecz.

ROZDZIAŁ 39

Laleczki i dom z koszmarów

Dora biegła po schodach pierwsza, instynktownie przejmując dowodzenie. Katii to nie przeszkadzało. Nie miała bronii, nie mogła złodzieja ciał postrzelić w nogę ani wymusić na nim posłuszeństwa. Mogła mu odebrać iskrę, ale było to ostateczne rozwiązanie i pewnie musiałyby się z tego gęsto tłumaczyć. Nie zostawała jednak daleko z tyłu, na wypadek gdyby sprawca miał w zanadrzu coś z magii śmierci i konieczne było zmierzenie się z nim w inny sposób, niż planowała to zrobić Namiestniczka.

Ta właśnie waliła pięścią w drzwi mieszkania. Po chwili ze środka dobiegły odgłosy kroków. Narastały, gdy gospodarz zbliżał się do drzwi, po czym ucichły. Dora przysunęła się bliżej judasza, szczerząc się w uśmiechu.

– Jeśli otworzy po czymś takim, znaczy, że naprawdę jest szalony – mruknęła Katia.

– Och, otworzy, przecież nie chciałby, żebym obudziła sąsiadów, wykopując drzwi z futryny – zawołała głośno Dora.

Zamek zgrzytnął, a drzwi uchyliły się akurat na tyle, by wyjrzało zza nich jedno brązowe oko.

– O co chodzi? Jest środek nocy – powiedział gospodarz piskliwie.

– Musimy z panem porozmawiać – odparła twardo Dora. – Albo zrobimy to tu i teraz, albo zabiorę pana na komisariat, zostawię w celi i wrócę za dzień czy dwa, gdy odrobień zaległości w spaniu, których się przez pana nabawiłam.

– Przeze mnie? – zapytał szczerze zaskoczony. – Nie wiem, o czym pani mówi.

Dorze nerwy puszczały szybko albo błyskawicznie. Katia nie miała pojęcia, jakim cudem nie jest to powszechna wiedza i raz po raz ktoś próbuje wystawiać cierpliwość Namiestniczki na próbę. Teraz też, zamiast tłumaczyć facetowi, że przyjechały tu za nim, mają go na taśmie i zabawa skończona, Dora po prostu pchnęła drzwi, razem z właścicielem wczepionym w nie jak w koło ratunkowe, po czym wkroczyła do mieszkania. Katia szła za nią i chyba dopiero teraz facet ją zauważył.

– To ty! – powiedział odkrywczco.

– Nie, to ty, Profesurze, to ty.

Wyminęła go i pozwoliła, by magia i krew doprowadziły ją do golema. Dziewczynka, której twarz tak bardzo przypominała twarz córki znajomych, leżała w wannie. Ciemnoblond włosy opadały jej na ramiona mokrymi strąkami. Koronkowa, falbaniasta sukienka poniewierała się na podłodze.

– Nie możesz! Ona jest moja! – zawołał profesor, podążając za Katią do łazienki. Złapał ją za ramię i szarpnął, by odsunąć ją od wanny.

Katia nie wytrzymała i zamachnęła się łokciem. Trafiła mężczyznę w nos. Wrzasnął, poczuła zapach krwi. Pochyliła się nad golemem, który wyglądał zupełnie jak malutka, martwa dziewczynka, i czuła, jak buzuje w niej wściekłość.

– Dora, skuj go, zanim go zamorduję – warknęła.

– Z przyjemnością – powiedziała Namiestniczka.

– Nie możecie! Nic nie zrobiłem! One były martwe! Nikomu nic nie zrobiłem! – krzyczał facet i przepchnął się koło Katii, chcąc się wydostać z łazienki. W kilku susach pokonał korytarz, zasłonił drzwi do pokoju własnym ciałem i wciąż podniesionym, piskliwym głosem zawołał: – Nie macie prawa ich zabrać! Sam je zrobiłem! Zostają ze mną!

Dora płynnym ruchem złapała faceta, wykręciła mu rękę i zakuła w kajdanki.

Katia otworzyła drzwi, które chronił z taką gorliwością, i krew odpłynęła jej z twarzy, gdy dotarło do niej, na co patrzy.

– Bogowie... – jęknęła, wchodząc do pokoju z koszmarów.

Ciała były wszędzie. Dużo więcej niż te dwanaście, których szukała. Raczej... trzydzieści? Ubrane w kolorowe sukienki, siedziały wszędzie, na wersalce, na krzesłach, na podłodze, na fotelach... Żadna nie wyglądała na więcej niż dwanaście lat, najmłodsze musiały mieć niewiele ponad trzy. I nie przypominały już małych martwych dziewczynek, raczej makabryczne lalki.

Katia podeszła bliżej i przyjrzała się trzem ciałom ściśniętym na fotelu. Ich ramiona i nogi były owinięte bandażami, jak u mumii. Twarze pokrywała gruba warstwa wosku i mocnego makijażu, poza jedną, zakrytą papierową maską z wyrysowanym uśmiechem i rumieńcami. Najwyraźniej tylko tak dało się ukryć ślady rozkładu. Włosy wszystkich dziewczynek były ufryzowane w sztywne od lakieru pukle.

Czuła smród formaldehydu, ale spod niego wyraźnie przebijał trupi odór. Słabszy, niż można się było spodziewać – więc w jakimś stopniu zachodził proces mumifikacji – ale i tak przyprawiający o mdłości. Nie dziwiły jej rozwieszzone pod sufitem lepy na muchy, gęsto pokryte owadami.

– Co tu się, kurwa, odpierdala? – zapytała Dora, rozglądając się po pokoju jak z koszmarów.

– Polował nie tylko na naszym cmentarzu. Może po drugiej stronie bramy też brakuje ciał w trumnach, podobnie w innych miasteczkach po alternatywnej stronie – zgadywała.

Czuła się przytłoczona. Od jak dawna to trwało? Jak długo udawało mu się trzymać ciała? Długo, stwierdziła, podchodząc do kanapy. Siedziało na niej siedem dziewczynek. Może „siedziało” to za duże słowo, pomyślała, widząc, że używał bandaży, sznurków i drutu, by ustawić ciała w pożądaną pozycję, z dłonią uniesioną do brody czy z rączkami na udach. Dokładnie pośrodku, otoczona młodszymi dziewczynkami, siedziała jedna, która wyglądała na dwanaście lat. Jej twarz była całkowicie zasuszona, zmumifikowana. Bandaże na przedramionach wisiały luźno,

ponieważ mięśnie pod nimi przyschły, przywarły do kości. Katia, choć nie była patolożką sądową ani antropolożką, jako nekromantka potrafiła określić, ile czasu minęło, odkąd iskra opuściła ciało.

- To trwało co najmniej od dekady - powiedziała głucho.

- Nie możecie ich zabrać! To mojej laleczki! Moje ślicznotki! Moje, niczyje inne! - biadolił mężczyzna.

- Wykradłeś je z grobów, należą tylko do siebie i do Matki Ziemi, do swoich rodzin, które zapewniły im godny pochówek. Na pewno nie do ciebie - powiedziała wściekła.

- Są moje! Rodziny im pozwoliły gnić! Ja moim dziewczynkom nie pozwalam zgnić! Są wieczne, zawsze śliczne! Nie możecie ich zabrać, nie są wasze! - zaciętrzewiał się facet.

- To, że wrócą do swoich grobów, to twój najmniejszy problem - powiedziała Dora.

- Wszystko zepsują, będę musiał szukać dziewczynek od nowa - jęczał profesor i kiwał się na podłodze, nie odrywając oczu od swojej osobliwej kolekcji.

- Nie wszystkie klepki na miejscu, co? - zapytała Dora ponuro.

- Nie daj się zwieść. Wiedział, co robi. Działał na chłodno, z rozmysłem, doskonale rozumiał, że to, czym się zajmuje, jest złe - powiedziała Katia.





Musiła wyjść z tego pokoju choć na chwilę, oczyścić głowę. Albo to, albo Dora nie będzie miała kogo aresztować. Udała się do kuchni. I aż się cofnęła, bo w wysokim krzeselku przeznaczonym do karmienia dzieci siedziała kilkuletnia dziewczynka. Z papierową maską na twarzy, owinięta bandażami, wyglądała jak makabryczna mumia Shirley Temple z czasów kariery filmowej.

Nekromantka zajrzała za kolejne zamknięte drzwi. Sypialnia. Zapaliła wszystkie światła i zajrzała pod łóżko i do szafy, na szczęście nie znalazła żadnych zwłok. W szafie odkryła za to małe laboratorium: mnóstwo chemikaliów, kaniule i cały sprzęt do balsamowania; kartony

przemysłowe bandaże i gazy; pakuły i watę podobne do tych, którymi wypycha się maskotki; gips i foliowe torby pełne wosku.

W ostatnim pokoju był gabinet właściciela – na ścianach wisiały arkusze papieru z kredowymi odbitkami płyt nagrobnych, wymieszane ze zdjęciami „laleczek” przed i po zabiegach, którym je poddawał. Duży, sześćoosobowy stół zawalony był dokumentami, książkami, rulonami papieru pakowego i pergaminu do pieczenia. Podeszła do stołu i zaczęła przeglądać szpargały. Szybko wypatrzyła grube tomiszczce dziennika. Najwyraźniej profesor wziął sobie do serca pierwsze prawo złoła z powieści gotyckich – zawsze dokumentuj swoje chore eksperymenty. Przerzuciła grube karty z czerpanego papieru i zaczęła czytać. Czarny atrament był w kilku miejscach lekko rozmazany, ale nie przeszkadzało to w odcyfrowaniu tekstu. I już wiedziała, kim była najstarsza mumia na kanapie w salonie. Przeklęła pod nosem. Rodzinę tego faceta – a właśnie patrzyła na dowód, że takową ma – czekał nie lada szok.

Przekartkowała kilka kolejnych stron i odetchnęła z ulgą. Zapisywał nazwiska, część z nich rozpoznała, więc zdołają odnaleźć rodziny, by zwrócić im ciała. Dzieci trafią z powrotem do swoich trumien.

Katia wolała sobie nie wyobrażać, jak fatalnie się będą czuli rodzice, którzy się dowiedzą, że przez lata odwiedzali puste groby. Wróciła do salonu, gdzie Dora dokumentowała wszystko, robiąc zdjęcia komórką. Nic dziwnego, że po tym, jak zamieszkała z nią Salcia, zmieniła telefon na taki, który można było odblokować tylko odciskiem palca. Katia mogła sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiłoby na trzynastolatce to, co zobaczyłaby na tych fotografiach.

– Jest ich więcej? – zapytała cicho Namiestniczka.

– W kuchni jedna. Obcykaj starannie zawartość szafy. I trzeba będzie przejrzeć papiery z gabinetu, by ustalić tożsamość dziewczynek i odnaleźć ich rodziny – powiedziała nekromantka.

Profesor tymczasem zmienił się w beżową kupkę nieszczęścia. Wciąż się kołysał, płakał i mamrotał pod nosem. Katia kucnęła, by usłyszeć słowa.

- Wszystko zacząć od nowa, tyle pracy na marne, moje laleczki... - powtarzał.

Przeklinając, nekromantka odsunęła się od niego, bo pokusa, by wyrwać mu iskrę, była za duża.

- Wszystko w porządku? - zapytała z troską Namiestniczka.

Katia spojrzała na nią, a potem wymownie zatoczyła ręką dookoła.

- No tak - stwierdziła Dora, pocierając powieki.

Katia podeszła do okna i otworzyła je szeroko. Zapach rozkładu i śmierci zwykle jej nie przeszkadzał, przywykła, nauczyła się go pomijać, ale tu... W tym strasznym miejscu było coś tak skrajnie anormalnego, co drażniło jej wszystkie zmysły, także węch.

- Mógłby zniknąć bez śladu, nikt by go nie szukał - powiedziała cicho.

- Kuszące. Ale powinien trafić przed trybunał.

- Myślisz, że Gardiasz się przejmie?

- Sprawę poprowadzi Arbiter. To standardowa procedura, gdy istnieje podejrzenie, że ktoś ze Starszyny może mieć w przebiegu procesu własny interes - odparła Namiestniczka.

Oczywiście, że już to sprawdziła. Katia była przekonana, że regulamin i kodeks karny Thornu leżały na jej szafce nocnej, jak Biblia u pobożnego protestanta. Przyjaciółka wertowała je za każdym razem, gdy zachowanie kogoś ze Starszyny ją frustrowało i popychało do fantazjowania o morderstwie - czyli z szokującą regularnością.

- Trzymam cię za słowo... - powiedziała nekromantka, ale umilkła, zanim skończyła myśl.

Dotarło do niej, na co patrzy.

W kącie pokoju, częściowo przysłonięta kotarą, leżała, wpół oparta o ścianę, jeszcze jedna dziewczynka. Ciemne kręcone loki, zupełnie takie same jak u jej matki, zasłaniały drobną twarzyczkę. Katia kucnęła i odgarnęła je na bok. Gruba warstwa makijażu nie mogła przykryć postępującego rozkładu. Ścisnęło ją w żołądku, wiedziała, że Agata Mitera zechce zobaczyć córkę, nieważne, w jakim stanie będzie jej ciało.

- Witaj, Karinko – szepnęła nekromantka do martwej dziewczynki, której zniknięcie okazało się kamykiem poprzedzającym zejście lawiny.

Może powinna poczekać do rana, ale w głębi duszy wiedziała, że Mitera będzie jej wdzięczna za ten nocny telefon.

- Muszę zadzwonić – powiedziała Dorze i wyszła z mieszkania.

Zbiegła po schodach i wypadła na ulicę, głośno oddychając.

Wybrała numer. Nie, nie Agaty. Ismena odebrała, zanim jeszcze wybrzmiał drugi sygnał.

- Znalazłam ją – powiedziała Katia bez wstępu.

- Nareszcie. – Starsza Greczynka westchnęła przeciągle, jakby od bardzo dawna wstrzymywała oddech. – Kiedy będziemy mogły ją zobaczyć?

- To nie jest miły widok – zaznaczyła Katia.

- Zdziwiłabym się, gdyby był. Ale to konieczne.

- Rozumiem. Zawieziemy Karinę do Domu Ostatnich Pożegnań. Adam Gawroński przygotowuje ją na spotkanie z matką.

- Tak będzie lepiej – przyznała Ismena.

Katia zapewniła ją, że da znać, kiedy będzie mogła przywieźć córkę do domu pogrzebowego, a potem rozłączyła się i wybrała numer Adama.

- Znalazłaś je? – zapytał, zanim zdążyła się odezwać.

- Tak. Naszą dwunastkę i wiele innych – powiedziała cicho.

- Agata Mitera już wie? – upewnił się z troską.

- Wie. Będziesz musiał mi pomóc. Bo nie powinna oglądać córki w takim stanie.

- Oczywiście. Czy Namiestniczka pozwoli ci przewieźć ją do mnie?

- Zdziwiłabym się, gdyby nie pozwoliła. Nie mogą tu zostać.

- Podjadę furgonetką do przewozu ciał – zaproponował.

- Brzmi jak plan.

Musiała wrócić na górę, choć za grosz nie miała na to ochoty. Telefon zawibrował jej w dłoni. Dora.

- Czy masz pomysł, jak przetransportować ciała? – zapytała Namiestniczka.

- Już to załatwiłam. Wiem, które powinny trafić do Adama, resztę przewieziemy do Omara Kamala, do tymczasowej kostnicy. Zaraz do niego zadzwonię.

- Świetnie. A ja odwiozę typa do celi, bo z każdą chwilą bardziej kusi mnie, by nauczyć go latać. Doprowadza mnie do szału tym miauczeniem.

Katia rozłączyła się z przekleństwem na ustach. Odetchnęła kilka razy i wybrała numer Kamala. Odebrał dopiero po szóstym sygnale, ale jego głos brzmiał całkiem przytomnie.

- Czego potrzebujesz? - zapytał.

Opowiedziała mu o makabrycznym znalezisku.

- Przygotuję chłodnię. Wysłać furgonetkę?

- Poproszę. Adam zabierze do siebie dziesięć tych, które chował, reszta niech trafi do ciebie. Mam zapiski hieny, może uda się zidentyfikować dzieci.

- Dam znać Bognie, przyda się przy tej robocie. Już wysłałam samochód, podeślij adres.

Tacy właśnie byli zwykle przedsiębiorcy pogrzebowi. Mieli dar opanowywania chaosu i przekształcania go w rutynową sytuację, będącą całkowicie pod kontrolą. Gdyby nadeszła Apokalipsa, Adam czy Kamal opracowaliby plan postępowania i realizowali go krok po kroku, rozbrajając strach poprzez odhaczanie kolejnych punktów na liście. Może właśnie to robi z ludźmi ciągłe obcowanie ze śmiercią, niekontrolowaną stratą i najsurowszymi emocjami?

Katia odetchnęła chłodnym nocnym powietrzem, a potem wróciła do mieszkania rodem z horrorów.

ROZDZIAŁ 40

Naprawdę wieczny odpoczynek

To był jeden z najtrudniejszych tygodni jej życia. Wszystkie jej problemy i wątpliwości wydawały się blednąć w porównaniu z wyzwaniem, jakim był kontakt z rodzinami trzydziestu czterech wykradzionych dziewczynek. W tym z siostrą i ze szwagrem profesora, którzy musieli usłyszeć nie tylko, że grób ich córeczki został zbezczeszczone, a ciało wykradzione, ale też że odpowiadał za to bliski krewny.

Wiele rodzin chciało zobaczyć szczątki swoich córek i wnuczek. Katia mogła to odradzać, ale ostatecznie decyzja nie należała do niej. Adam i Kamal starali się możliwie najlepiej przygotować ciała do oględzin: zmywali upiorny makijaż, zdejmowali maski, odplątywali bandaże i druty mające utrzymać ciała w narzuconych pozach. Tyle mogli zrobić. Niewiele mogli natomiast poradzić na postępujący proces rozkładu – dziewczynki wyglądały zupełnie inaczej, niż zapamiętali je bliscy.

Po oględzinach zwłok większość rodzin decydowała się na kremację ciała. Ogień pomagał oczyścić wspomnienia i zetrzeć obrazy, a przede wszystkim dawał pewność, że nikt nigdy nie zagrozi już wiecznemu odpoczynkowi ukochanych córek i wnuczek.

Adam i Kamal zgodnie oferowali bezpłatne usługi pogrzebowe. Nie wszyscy się na nie decydowali – większość z trzydziestu czterech rodzin pochodziła nie z Thornu, ale z mniejszych miejscowości rozrzuconych wokół miasta. Aż sześć rodzin mieszkało w tym samym miasteczku co siostra profesora.

Katia pieczętowała ciała, pomagała też Adamowi i Kamalowi zabezpieczać magicznie trumny i groby. Spędzała całe dni na cmentarzu albo w jednym z dwóch domów pogrzebowych. Prawie nie miała czasu na nic innego. Mało spała. Koszmary nie mijały, a wszystko, co widziała w domu profesora, tylko napędzało przerażające obrazy, które produkował jej mózg. Co kilka dni, kiedy zmęczenie sięgało poziomu, na którym przestawała kontaktować, jechała do domku po drugiej stronie bramy, przespiała noc bez koszmarów, a potem wracała na cmentarz.

Były też rzeczy nieco mniej przygnębiające. Chłopiec, którego licza prawie zabił, mieszkał z Kowalem w jego domku i wyglądało na to, że wraca do siebie. Katia widziała ich, jak krążą po arterii i alejkach, słyszała śmiech dziecka. Któregoś dnia, kiedy zakładała pieczęcie na kolejnym pomniku, przyszli się przywitać.

– Pani mnie uratowała – powiedział nieśmiało chłopiec.

– Razem z Namiestniczką, to ona przepłoszyła licza – odparła Katia.

– Ja... nie pamiętam. Ale tatko mi powiedział. – Uściśnął rękę Kowala, który poczerwieniał po czubki uszu. – Matka Ziemia pozwoliła mi wybrać nowe imię, bo jestem łazarzem, nowo narodzonym! – wyrzucił z siebie podekscytowany.

– O! Fantastycznie! Jakie imię wybrałeś? – zapytała łagodnie.

– Nikodem. Jestem Nikodem Kowal – powiedział z dumą. – I tak nie pamiętam, jak się kiedyś nazywałem... Niewiele pamiętam – dodał speszony.

Katia nie była pewna, czy to rezultat wysysania energii życiowej przez licza, czy może Matka Ziemia maczała palce w tej amnezji, ale chyba dobrze się stało. Strasznie ciężko byłoby dziecku z takimi wspomnieniami. I bez tego miało pod górkę.

Kowal głaskał chłopca po jasnej głowie i zdawał się puchnąć z dumy. Sprawiał wrażenie dwadzieścia lat młodszego niż jeszcze kilka dni wcześniej. Może to było najlepsze, co mogło ich spotkać? Krewni Nikodema podtrzymali swoją decyzję – nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Dora musiała ich uprzedzić, że jeśli pojawią się w Thornie i choćby spojrzą krzywo na dziecko, będą mieli z nią do czynienia.

Matka Ziemia przechadzała się po cmentarzu, spokojna i zadowolona. Wszystkie dziewczynki wróciły do swoich trumien albo w urnach trafiły do lapidarium w parku pamięci. Magia nekropolii znów wibrowała harmonią.

Katia spotykała też regularnie Agatę Miterę, która każdego dnia odwiedzała grób córki ze świeżymi kwiatami. Siadała na ławce przy otoczonym klatką pomniku i spędzała tak w milczeniu godzinę, czasem dwie. Zwykle przychodziła po nią Ismena i odprowadzała ją do domu. Katia martwiła się o Agatę. Zdawała się na swój sposób nieobecna, jakby na zawsze utraciła kawałek siebie.

– Już wszystko dobrze – powiedziała Mitera jednego dnia – koszmary minęły. Widziałam w snach, że duch Karinki trafił do Elizjum, jest już z moją rodziną, zaopiekują się nią.

– To dobrze – odparła Katia, bo nie była pewna, co innego powiedzieć.

– Kim on był, czemu zabrał moją córeczkę? – zapytała Agata z bólem w głosie.

Więc Katia opowiedziała jej o niepozornym beżowym profesorze, który szwendał się po cmentarzach, co nikogo nie dziwiło, bo przecież pisał książkę o pomnikach. Nikt nie zauważył, że jest z nim coś nie tak. Wykładał na uniwersytecie historię starożytną. Doktoryzował się z tradycyjnych form konserwacji ciał. Sąsiedzi zgadzali się, że był nieco dziwny, ale nikomu z nich nie przyszło nawet do głowy, jak bardzo. Kiedy grabarze z domów pogrzebowych Adama i Kamala wynosili z mieszkania kolejne i kolejne ciała przykryte prześcieradłami, mieszkańcy kamienicy byli wstrząśnięci. Na co dzień nie zwracali uwagi na zapach czy na zachowanie profesora. Wiedzieli, że ma stopień naukowy, ale nie znali nawet jego imienia i nazwiska.

– Jak się nazywa? – zapytała Agata Mitera, kiedy to usłyszała.

– Anatol Moskwin – odparła Katia po chwili wahania.

– Czy to prawda? Będzie miał proces? – dopytywała matka Karinki.

– Tak, Dora i Roman przygotowują akt oskarżenia.

– Lepiej niech sprawiedliwości stanie się zadość. Bo jeśli nie, są rzeczy większe niż sąd, Arbiter czy Starszyzna – powiedziała, a jej oczy

połyskiwały tłumioną wściekłością.

– Tym razem nie zdołają tego zamieść pod dywan – zapewniła Katia. – Miasto patrzy im na ręce. Czasy bezkarności minęły.

– Naprawdę tak pani myśli? – Agata przechyliła głowę, spoglądając na nekromantkę z ciekawością.

– Naprawdę potrzebuję w to wierzyć – odpowiedziała cicho Katia.

Mitera poprawiła bukiet żonkili na grobie córki, po czym zapytała:

– Nie zdarza ci się tęsknić za prostszymi czasami? Kiedyś za samo naruszenie grobu wyrok zapadłby na miejscu, nikt nie bawiłby się w rozpatrywanie okoliczności.

– Zbyt wielu rzeczy właściwych dla tych dawnych, niby prostszych czasów nie chciałabym widzieć w dzisiejszym świecie, by ryzykować otwarcie tej puszkii Pandory – powiedziała Katia cicho.

Agata Mitera uśmiechnęła się błado.

– Będę się modlić o sprawiedliwość – powiedziała tylko.

– Ja też, pani Agato – wyszeptowała Katia – ja też.

Nie zająknęła się słowem na temat szeptów, które niosły się po ulicach Thornu. Nie miała serca.

Cała sprawa profesora i laleczek, jak ochrzciły ją lokalne media, była najlepszą rzeczą, jaka mogła się przytrafić Bremmerowi. Nikt już nie wspominał o tym, co zrobił. Jeden nie całkiem martwy chłopiec przestawał mieć znaczenie w obliczu drugiego z makabrycznych znalezisk dokonanych przez Katię i Dorę. Co gorsza, Gardiasz wpisał go na listę ekspertów mających zeznawać przed Arbitrem. Jej własne nazwisko nie zostało przez Arbitra zatwierdzone. Nie uzasadnił tego, ale Dora podpytała tu i tam. Otóż Arbiter miał prawie pięćset lat i reputację konserwatysty. Gardiasz naciskał, by to właśnie on rozstrzygał w tej sprawie.

Katia miała fatalne przeczucia.

ROZDZIAŁ 41

Przetrącony kręgosłup sprawiedliwości

Katia nie spodziewała się wiele po Gardiaszu, on jednak i tak zdołał ją wyprowadzić z równowagi. Tego dnia myślała, że nawet gdyby zamiast niego na stołku miał zasiąść Anubis, może i tak z dwojga złego byłoby to lepsze rozwiązanie. Bo czy mogłaby Anubisa nienawidzić bardziej niż Gardiasza w tej chwili? Wątpliwe.

Sęk w tym, że to Gardiasz decydował, jak będzie wyglądał proces i wedle jakich zasad zostanie przeprowadzony. „Skoro nie wzywacie mnie do sądenia wilków czy wampirów, nie widzę powodu, by dawać wam głos, gdy sprawa dotyczy martwych i podejrzenia przestępstwa na cmentarzu”, oświadczył. Tak więc Borys i Roman musieli ustąpić, bo żaden nie chciał, by Gardiasz zaczął się mieszać w sprawę stada czy gniazda.

A potem było tylko gorzej, bo spośród zasad wielowiekowej tradycji sądowniczej alternatywnych miast Gardiasz wyszperał taką, która miała najmniej wspólnego z realiami współczesnego świata. Nigdy nie ukrywał, że tęskni za starym porządkiem, gdy możnowładca miał władzę absolutną i wykrawał dla siebie kawałek tortu, kiedy tylko miał na to ochotę.

Katia nienawidziła go mocą tysiąca słońc. A sądząc po reakcjach Dory w trakcie trzydniowych obrad, nie była w tym uczuciu odosobniona. Możliwe, że nie było w tym momencie w mieście osobnika bardziej znienawidzonego niż Gardiasz.

Nawet profesor wypadł przy nim blado – okej, wykradł ciała z trumien i przerabiał je na zmumifikowane laleczki, w towarzystwie

których jadał podwieczorki. Większość mieszkańców Thornu zgadzała się jednak co do tego, że miał coś z głową. Ot, popapraniec, jeden z wielu, jacy chodzą po ziemi.

*

Zainteresowanie procesem było tak duże, że Starszyzna musiała przenieść obrady do starego ratusza, nieużywanego od dobrych stu pięćdziesięciu lat i pamiętającego jeszcze czasy Inkwizycji.

Obrady wlekły się nieznośnie. Owszem, Dora wcześniej uczestniczyła w procesach po drugiej stronie bramy, które trwały miesiącami albo i latami, z licznymi odroczeniami po drodze i apelacjami po fakcie – na tym tle zaledwie trzydniowy proces wydawał się przebiegać sprawnie. Tyle że zasady, na jakich go zorganizowano, pochodziły z zamierzchłych czasów. Nie było kategorii oskarżyciela, świadków czy zeznań. Były za to przemowy. Niekończące się przemowy.

Arbiter sprowadzony przez Gardiasza, stary jak kurz i równie postępowy co tradycyjne obrzezanie, nawet na tle Pana Umarłych czy licza wypadal niczym skamielina, co było pewnym osiągnięciem. Jak zauważyły nekromantka z Namiestniczką, nie zdarzyło mu się powoływać na przepisy nowsze niż te z tysiąc osiemset trzydziestego trzeciego. Być może Gardiasz obudził go ze śpiączki trwającej blisko dwieście lat.

Cała ta hucpa bardziej przypominała procesy czarownic niż normalne postępowanie sądowe – z tą różnicą, że w tym pierwszym przypadku z góry było wiadomo, że oskarżona jest winna i tylko musi się przyznać, by można ją było uczciwie spalić. Tu koncentrowano się na tym, by udowodnić, że właściwie nic się nie stało, podejrzany (ani razu nie użyto określenia „sprawca” czy „oskarżony”) jest porządnym obywatelem, a całe zamieszanie to rezultat działania dwóch namolnych i wścibskich bab, które naszły owego dżentelmena w domu i uparły się zszargać jego reputację. Bo przecież gdzie tu, panie i panowie, jakież zbrodnie?

Najwyraźniej w tysiąc osiemset trzydziestym trzecim nie widziano nic niewłaściwego w wykopywaniu z grobów nieletnich dziewcząt i robieniu z nich zabaweczek. Dopóki ich ciał nie wykorzystywano w obrzędach

czarnomagicznych, uznawano taki proceder za „wykroczenie bez ofiar”, za które przewidziana była niewielka grzywna i rozmowa z księdzem (ale tylko jeśli zwłoki poddawano czynnościom erotycznym).

W tymże tysiąc osiemset trzydziestym trzecim obywatelami byli mężczyźni, i to tylko ci dobrze urodzeni. Kobiety miały siedzieć cicho, inaczej prowokowały podejrzenia o złe prowadzenie się.

Katia nie została dopuszczona do zeznawania. Dora również. Co gorsza, Arbiter poparł wniosek Gardiasza i użył zaklęcia, które sprawiało, że nawet gdyby zdecydowały się zerwać z krzesel i wyrazić swoje zdanie, ich słowa nie byłyby słyszalne dla nikogo poza nimi. Ot, takie zabezpieczenie przed „zakusami dyletantek”.

Gardiasz, jako Pan Umarłych i członek Starszyny, sam miał więc przedstawić wyczerpującą i wiarygodną ekspertyzę. A że wymagano dwóch opinii, powołano też niezależnego eksperta. Był nim, rzecz jasna, licz. Pozostali członkowie Starszyny – Roman, Borys i Katarzyna – zdaniem Pana Umarłych nie znali sprawy wystarczająco dogłębnie, nie mieli też biegłości w sprawach śmierci, toteż skoro upierali się, by uczestniczyć w rozprawie, otrzymali status obserwatorów. Obywateli miasta sprowadzono do roli gapiów, którzy mieli jedynie zaklaskać, gdy panowie u władzy wydadzą nieomylny werdykt.

Licz podczas długiego i mętnego wywodu udowadniał, że właściwie nic się nie stało. No tak, profesor wziął, wykopał, zabrał do domu, ale przecież mógł zgwałcić, a nie zgwałcił, mógł złożyć w ofierze, a łaskawie się powstrzymał. No ludzki pan. I taki szanowany, choć może odrobinę ekscentryczny. Gdyby nie miał dobrej reputacji (tytuły i osiągnięcia naukowe, listy poparcia od kadry akademickiej...), szyszymora nie podarowałaby mu klucza do cmentarnej furtki.

– To jest, kurwa, farsa – mamrotała pod nosem Dora.

– Jako lokalna kurwa lepiej bym tego nie ujęła – odpowiedziała siedząca za nią demonica, inkub z domu uciech.

– Ludzie ich rozszarpią – mruknął Adam, siedzący obok Katii.

– Mogę tylko mieć taką nadzieję – odpowiedziała nekromantka z zaciętą miną.

Licz i Gardiasz tłumaczyli właśnie Arbitrowi, że Katia i Dora działały w zмовie i biednego, niewinnego człowieka uczyniły przedmiotem rozgrywki politycznej. W ramach tej samej rozgrywki nekromantka, wiedząc, że nie wygra wyborów, wykorzystała znajomość z Namiestniczką, by zaszkodzić kontrkandydatowi. Jak dokładnie zaszkodzić – nie powiedzieli, ponieważ „nie było to przedmiotem obrad”.

– Nie można wątpić – perorować Gardiasz – że rozdmuchanie do takich rozmiarów owego... incydentu ma na celu jedynie wywindowanie pozycji tej dziewczyny przed nadchodzącymi wyborami.

– Wybory nie są przedmiotem posiedzenia, a referendum obywatelskie stawia sprawę jasno: odbędą się w najbliższą równonoc – przerwał mu ostro Roman. – Proszę się trzymać sprawy. Proces nie zostanie przedłużony tylko dlatego, że chcesz sobie pogadać.

Wiele w tym mieście musi się zmienić, ale ludzie są gotowi na te zmiany, myślała Katia, słuchając wściekłych pomruków publiczności. Gardiasz nie rozumiał, co właściwie działo się na jego oczach. Nigdy dotąd obywatele miasta nie zwracali sobie głowy patrzeniem władzy na ręce.

Tymczasem coś drgnęło. Referendum stanowiło pierwszy tego sygnał. A to, że przez trzy dni procesu sala pękała w szwach, a ludzie wychodzili po obradach i żywo dyskutowali o tym, co widzieli, było czymś nowym, na nieznaną dotąd w Thornie skalę.

I jeśli nekromantka miała jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, czy powinna walczyć o stołek w Starszyźnie, przysły w tej dusznej sali, żywcem wyrwanej z zamierzchłej epoki. Bez świeżej krwi nic się nie zmieni, i prędzej skona, niż odda liczowi stanowisko bez walki.

*

Roman miał własne powody, by się wściekać. W stanowiącym podstawę procesu kodeksie z tysiąc osiemset trzydziestego trzeciego wampiry były bowiem uznawane za martwe ciała, a tym samym nie miały praw obywatelskich. I jeśli problemu nie stanowiło wykradanie zwłok, należało się liczyć z tym, że gdyby kolejny szajbus postanowił wykraść z grobowca

śpiącego za dnia wampira, nie byłoby podstaw do oskarżenia. Bo czy można zabić martwe ciało?

Bardzo niebezpieczny precedens.

Gardiasz i licz mieli konkretne przesłanki, by bronić prawa do buszowania po cmentarzu i traktowania ciał w taki sposób, jakby wraz ze śmiercią traciły nie tylko przywileje obywatelskie, ale i podstawę do szacunku („No tak, profesor nie powinien wyciągać ich z trumien, ale przecież to tylko kawałki mięsa, nie ma powodu, by iść na niego z pochodniami!”).

– Jeszcze chwila, a zaczną bronić prawa do zszywania kawałków zwłok i ożywiania ich za pomocą pioruna – mruknęła zniesmaczona Dora.

– Może Gardiasz woli zawczasu przygotować linię obrony, gdybyś kiedyś wpadła do jego piwnicy z nakazem rewizji? – podsunęła Katia.

Wymieniły spojrzenia wyrażające jedną myśl – „można pomarzyć”. Roman i Katarzyna mogli podpisać nakaz przeszukania siedziby licza czy takiego kmiotka jak profesor, ale nie członka Starszyny.

Zwłaszcza Katarzyna dokładała wysiłku, by utrzymać status nietykalności władzy. Choć bez wątpienia była bardziej wrażliwa na energię publiki i dyskretnie, ale zauważalnie dystansowała się od Gardiasza i jego marionetki, pozorując obiektywizm i niezależność. Zupełnie jakby nie trzymała wraz z Panem Umarłym sztamy przeciwko Romanowi i Borysowi. Jakby nie jadła przed kilkoma dniami kolacji z Gardiaszem i liczem. Jakby nie wspierała w wyborach tego ostatniego, wiedząc, że kandydatura nekromantki jest na rękę Księciu wampirów.

Podczas przerwy pierwszego dnia obrad Roman podszedł do Dory i Katii.

– Musisz wygrać te wybory. Masz moje pełne wsparcie – oświadczył z przekonaniem. – Jeśli czegokolwiek potrzebujecie...

– Zabawne, że to mówisz – powiedziała Dora, biorąc go pod ramię. – Widzisz, chciałabym, żeby mieszkańcy miasta mieli swobodny dostęp do informacji. Tak by nie było ryzyka, że przegapią ekscesy typów takich jak licz i Gardiasz, absurdalność tego postępowania, zbrodnie typów takich jak profesor. Powinni się zastanowić, jak by się czuli, gdyby to ich

zmarłych wykopano i zabrano z miejsca wiecznego odpoczynku. Czy faktycznie uważaliby, że to zbrodnia bez ofiar. Myślę, że jest też wiele innych spraw, o których powinni wiedzieć na bieżąco, nie tylko takich, które trafią na wokandę.

– Marzy ci się czwarta władza w Thornie?

– Marzy mi się społeczeństwo obywatelskie. A żeby takim właśnie się stało, musi być dobrze poinformowane.

– Rozmawiałaś o tym z Mieciem? – spytał przyciszonym głosem.

Dora pokręciła głową.

– Próbowaliśmy z Witkacym, ale on nie chce z nami gadać. Ma swoje standardy, cokolwiek to znaczy.

Katia nie miała pojęcia, kim jest Mieciu i o czym właściwie mówią Dora i Roman, ale nie wnikała. Ta dwójka miała swoje tajemnice.

– Zajmę się tym. Ale to może potrwać. Co nie znaczy, że nie moglibyśmy przygotować biuletynu informacyjnego, tak w duchu zbliżających się pierwszych wyborów do Starszyny – powiedział i błysnął kłami.

– Myślę, że należałoby też uruchomić stary, dobry młyn – zaproponowała Dora.

Skinał głową i uśmiechnął się z błogością.

– Jesteś podła, ale to dokładnie to, czego teraz potrzebujemy. Im mniej ludzie wiedzą, tym łatwiej nimi sterować. Więc moja w tym głowa, by zdawali sobie sprawę, co się dzieje za kulisami – powiedział Roman i wrócił na swoje miejsce przy stole Starszyny.

Katię doprowadzało do szału, że liczący siedzi na miejscu wcześniej zarezerwowanym dla Klaudii. Jakby wybory były tylko formalnością.

– Co dokładnie miało przed chwilą miejsce? Ty i Roman szykujecie pucz? – zapytała cicho.

– No coś ty. Młyn to tradycyjny obieg informacji.

– Plotki?

– Też. – Namiestniczka zasłoniła dłonią usta, kryjąc uśmiech.

Zbliżał się czas mowy końcowej oraz ogłoszenia werdyktu. Napięcie w sali obrad można było kroić.

Katia rozejrzała się po pomieszczeniu pękającym w szwach. Część z widzów znała, niektórych widziała po raz pierwszy. Wszystkie ławki były zajęte, a drugie tyle ludzi stało pod ścianami i w szeroko otwartych drzwiach. Okna także otwarto, by wpuścić choć trochę tlenu, a zza nich docierał szum rozmów tych, którzy nie zmieścili się w sali. Niektórzy kiwali głowami Katii i Dorze, wiedząc, że bez nich sprawa nie wyszłaby na jaw.

Dwie ławki na przedzie, najbliżej stołu prezydialnego, zajmowały rodziny wykradzionych dziewczynek. Arbiter odmówił im prawa do złożenia świadectw, powołując się na jakiś archaiczny przepis o „szlachcicach i możnie narodzonych”.

Agata i Ismena nie odzywały się, nie płakały, nie klęły, jak wielu innych członków rodzin pokrzywdzonych. Siedziały wyprostowane, powściągliwe, ubrane w żałobną czerń i spijały słowa z ust Gardiasza, licza i Arbitra.

Agata wyczuła na sobie wzrok Katii. Obróciła się, ich spojrzenia się spotkały, a Katii przebiegł lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Oczy Mityry były całkowicie czarne i zimne. Nieludzkie.

*

– Czy zanim zapadnie wyrok, ktoś ze zgromadzonych chciałby zgłosić coś, co ma związek ze sprawą? – zapytał Roman, a gdy Gardiasz próbował ukrócić te demokratyczne zapędy, uderzył płaską dłonią o blat i oświadczył: – Skoro nawet na procesach czarownic było miejsce na głosy wieśniaków, również w dwudziestym pierwszym wieku możemy dać głos obywatelom!

Gardiasz zacisnął zęby, aż zgrzytnęły. Arbiter westchnieniem wyraził tęsknotę za starymi, dobrymi czasami, kiedy głosu nie miał nikt. Licz tylko wbił ostre spojrzenie w Katię, domyślając się, że to ona lub Namiestniczka zabiorą głos.

Dora nie planowała przemawiać. Ryzyko, że zaczęłaby strzelać, było tak duże, że zostawiła broń w domu. Jedyne, co by osiągnęła, rzucając się Gardiaszowi do gardła, to danie mu amunicji przeciwko kobietom na stanowisku, rzekomo zbyt emocjonalnym, by pozwalać im obejmować jakąkolwiek ważną funkcję.

Katia wstała. Było już po procesie, nawet jeśli wyroku nie ogłoszono. Nie wierzyła już, że jej słowa przekonają Arbitra czy dotrą do jakiegoś okrucuchu człowieczeństwa w Gardiaszu. Ale rodziny dziewczynek nasłuchiwały się dość ohydztw. Należała im się choć odrobina sprawiedliwości.

- Gardiasz i licz bardzo się starają, byśmy zapomnieli o najważniejszym. Julia Wójcik, Kamila Czaplńska, Antosia Kowalik, Anna Pomurnik, Zuzanna Pluskała, Maja Brzeska, Zofia Białowas, Alicja Rages, Marta Siewka, Sonia Wodnik, Karolina Zielonka i Karina Mitera, a także ofiary Anatola Moskwinia pochowane poza Thornem, były córkami, wnuczkami, siostrami ludzi, którzy złożyli je do ziemi, licząc na ich wieczny odpoczynek. Nie były rzeczami, które można sobie wykopać i zabrać dla własnych rozrywek do domu. Szacunek dla człowieka nie kończy się w chwili zgonu. Obchodzimy się z szacunkiem z naszymi zmarłymi, nie porzucamy ich na ulicy, z troską i miłością składamy ich do grobów. I to, jak traktujemy zmarłych, mówi wiele o tym, jakim społeczeństwem jesteśmy. Pogarda, którą Anatol Moskwin, Gardiasz i Egon Bremmer okazali zmarłym dzieciom, jest czymś, co nie powinno zostać zapomniane i bezkarne.

Z bezradności zaciskała dłonie w pięści. Spojrzała w ciemne i zimne oczy Gardiasza i kontynuowała:

- Jako Pan Umarłych wiesz doskonale, Gardiaszu, że dusze zachowują świadomość. Że dla wielu z tych dziewczynek brak grobu w poświęconej ziemi oznaczał brak spokoju w Zaświatach. Nie mogły się zjednoczyć z duszami innych zmarłych członków rodziny, bo padły ofiarą cudzego egoizmu. Anatol Moskwin uważał, że ma prawo wykopać ich zwłoki i je zbeczczyć. To nie było wykroczenie bez ofiar. Złamane zostało zaufanie, jakie rodziny zmarłych pokładały w świętości rytuałów. Moskwin naruszył

prawo tych dziewczynek do wiecznego odpoczynku i grobu w poświęconej ziemi.

Po sali niosły się gniewne pomruki. Katia mogła tylko mieć nadzieję, że obiektami gniewu są profesor, Arbitr, Gardiasz i licz. Zaciśnęła palce na oparciu stojącej przed nią ławki.

– Nie macie prawa ignorować bólu i rozpaczycy rodzin ofiar tego człowieka. Nie macie prawa mówić, że nie stało się nic złego! Nie widzieliście, bo nie chcieliście widzieć, tego mieszkania, nie widzieliście upiornego i groteskowego sposobu, w jaki Moskwin traktował ciała dziewczynek. Nie można bezcześcić grobów i zwłok bezkarnie! Nie na moim cmentarzu! – W jednej chwili magia wypełniła jej głos, otoczyła ją fioletowym kokonem. I Katia nie przemawiała już tylko w imieniu własnym i w imieniu zmarłych. Była też głosem Matki Ziemi oraz Cmentarza Centralnego, którego zmarli wybrali ją, by ich chronić. – Czasy hien cmentarnych dawno minęły – powiedziała twardo. – Jeśli ktoś przegapił ten fakt, zasługuje na karę. I może być pewien, że ta go spotka. Czy na pewno chcecie się trzymać starego kodeksu? Przepisów sprzed prawie dwustu lat? Zapomnieliście, jaką karę przewidziano w tym kodeksie dla hieny cmentarnej? Nie z ręki Arbitra, ale opiekunki cmentarza. Czyli mojej. – Zawiesiła głos i znów spojrzała Gardiaszowi w oczy. – Kiedy Anatol Moskwin wykradał ciała z trumien, cmentarz nie miał opiekuna. Ale to stare dzieje. Bo niedawno powierzono tę funkcję mnie i zamierzam ją pełnić z całym zaangażowaniem i bezwzględnością.

Spojrzała w stronę siedzącego przy osobnym stoliku profesora i uśmiechnęła się zimno. Uciekł wzrokiem.

– Rolą opiekunki cmentarza jest ochrona spoczywających tam zmarłych. I jeśli trzeba, wymierzanie sprawiedliwości tym, którzy zagrażają ich spokojowi. Gardiasz może twierdzić, powołując się na stare kodeksy, że to, co zrobiłeś z ciałami dzieci, nie jest zbrodnią. Ale w tym samym kodeksie jest paragraf o moich uprawnieniach. – Zwróciła się w stronę Arbitra i Gardiasza: – Tradycyjną karą dla hien cmentarnych jest powieszenie na bramie cmentarza. I jeśli czegoś żałuję, to tego, że oddałam złapanego na gorącym uczynku Anatola Moskwiną w ręce

Namiestniczki, licząc, że to wy wymierzycie mu sprawiedliwość. Zawiedliście mnie, ale też daliście mi ważną lekcję. Jeśli kiedykolwiek przekroczy granice mojego cmentarza, dowiem się o tym i naprawię swój błąd.

– Czcze groźby – prychnął Gardiasz.

Katia zaśmiała się cicho. Czuła kłębiącą się wokół niej magię Matki Ziemi, magię cmentarza. Jeśli ten idiota tego nie czuł... Czy została mu choć odrobina martwej magii, czy trzyma się stołka tylko dzięki polityce i temu, że nie ma w pobliżu nikogo, kto powiedziałby „sprawdzam”?

– Czyżbyś nie zaglądał w ostatnich dniach na cmentarz, Gardiaszu? A może nie masz już dość martwej magii, by zauważyć zmianę, jaka tam zaszła?

– Nie masz żadnej władzy nad cmentarzem ani nad czymkolwiek – rzucił Pan Umarłych z arogancką pewnością siebie.

Katia pokiwała głową, a potem wyprostowała się i powiedziała:

– Znakomicie. Potraktujmy to więc jako test. Anatolu Moskwinie, Egonie Bremmerze, Gardiaszu, w waszym postępowaniu brakuje szacunku dla zmarłych. Dlatego uznaję was za *personae non gratae* na Cmentarzu Centralnym w mieście Thorn. Wchodzicie tam na własne ryzyko i tylko do siebie możecie mieć pretensje.

Powietrze w sali zapachniało magią tak mocną, że Borys zaczął kichać, a Roman odruchowo pocierał dłonie, czując mrowienie igiełek mocy. Znał nekromantkę nie od dziś, ale właśnie po raz pierwszy zobaczył ją w nowym świetle. Wyszczrzył się w szerokim uśmiechu. Znakomicie się to wszystko zapowiadało. W duchu zaczął obliczać, ile czasu powinno minąć między objęciem przez nią stanowiska a nieoczekiwaną śmiercią Gardiasza. Spojrzał na Dorę Wilk. Zadowoloną jak kot, który zeżarł kanarka i popił kubeczką śmietany.

Kiedy Katia usiadła, Namiestniczka ścisnęła pokrzepiająco jej trzęsącą się dłoń.

– Byłaś rewelacyjna – szepnęła.

– Ale to nic nie zmieni, prawda? – odpowiedziała równie cicho nekromantka.

- Zapewne nie tu i nie teraz. Ale nie jesteśmy tu dla nich, tylko dla ludzi, którzy muszą wiedzieć, że ktoś pilnuje ich interesów, za życia i po śmierci. Muszą wiedzieć, że ktoś ma odwagę się tym dupkiem postawić. Bo wtedy może pomyślać tak: skoro one mogą, to właściwie my też.

- Chcesz, by wyszli na ulice?

- Chcę, by poszli do urn. By uwierzyli, że ich głos się liczy. I myślę, że ty im pomagasz w to uwierzyć – odpowiedziała Dora z przekonaniem. Była z Katii taka dumna.

*

Arbiter wydał wyrok. Tak zły, jak się spodziewały, a nawet gorszy. Anatol Moskwin był całkowicie wolnym człowiekiem, nie dostał choćby symbolicznej grzywny. Gardiasz i licz triumfowali, jakby osobiście zyskali na takim obrocie spraw. I było po wszystkim, tak po prostu. W trybie arbitrażu apelacje nie istniały, wszak decyzje opierały się na niepodważalnej nieomyślności Arbitra. Jak w przypadku papieża, nieomyślność pozostawiała wiele do życzenia, ale nic nie dało się z tym zrobić. Przynajmniej w tej chwili.

Katia spojrzała w stronę ławek zajmowanych przez rodziny dziewczynek. Zauważyła, że miejsca Agaty i Ismeny są puste.

Głośne protesty mieszkańców przytłumiły na chwilę wszystko inne. Sprowadzeni przez Gardiasza ochroniarze stworzyli kordon między stołem prezydialnym a obywatelami. Inni, stojący przy wejściu, zaczęli wyprowadzać ludzi na ulice. Tam zresztą ochroniarzy było więcej – mieli pilnować, by nie wybuchły zamieszki.

Sala powoli pustoszała. Arbiter i członkowie Starszyny czekali, aż wszyscy opuszczą pomieszczenie, jakby żadne z nich nie chciało ryzykować bliższego spotkania z mieszkańcami Thornu.

Dora i Katia tkwiły na swoich miejscach. Wbijały w Gardiasza wściekłe spojrzenia i układały w głowach wymyślne kłątwy.

Roman i Borys odłączyli się od grupki na podwyższeniu, by zejść do Namiestniczki i nekromantki. Dla nich ten proces był nieprzyjemny z zupełnie innych powodów. Jeden już kalkulował, jak zapewnić

bezpieczeństwo swoim wampirom, którym właśnie publicznie odmówiono praw obywatelskich. Drugi był wściekły, bo tamci traktowali go jak zwierzę, z rasistowską wyższością i pogardą.

– Czyż nie zjadają swoich zmarłych? Czemu mieliby zabierać głos w sprawie pochówków? – zapytał z obrzydzeniem Arbiter.

Mijał się z prawdą. Dużo częstsze było dziś spopielenie ciała – czy to tradycyjne, na stosie ofiarnym, czy bardziej utylitarne, w krematorium. Ale Borys doskonale wiedział, jaki był cel tego rodzaju wypowiedzi. I nie zamierzał tego gnojom zapomnieć. Wilki mają lepszą pamięć niż słonie.

– Tacy pewni siebie, a jak przychodzi co do czego, potrzebują kordonu ochroniarzy, by wyjść przed budynek sądu – powiedział z przekąsem. – Czy ta armia będzie teraz parkować pod domem Gardiasza przez kolejne dziesięć lat?

– Jeśli dzięki temu ma spać lepiej, to czemu nie. Byle nie próbował za to płacić z budżetu Starszozyny, bo na pewno tego nie zatwierdzą – zastrzegł Roman.

Za otwartych okien dobiegały krzyki: „Sprawiedliwości nie stało się zadość!”, „Koniec z arbitrazem, czas na sprawiedliwość!”. Jeden z ochroniarzy, wysłany na zwiady do tylnego wyjścia, wrócił z niewesołą miną. Na tyłach też kłębiło się od ludzi. Jakby obywatele spodziewali się, że szczury będą uciekać po kryjomu.

Arbiter, Gardiasz, lic i Moskwin musieli więc wyjść przodem i stawić czoło skandującym mieszkańcom Thornu.

A także komuś jeszcze. Lecz na razie żaden z nich nie wiedział, że proces wcale się jeszcze nie skończył.

ROZDZIAŁ 42

Czarne skrzydła sprawiedliwości

Agata czekała przed ratuszem, u stóp schodów wiodących do wejścia. Mieszkańcy miasta zgromadzili się kawałek dalej, oddzieleni od schodów kordonem ubranych w stalowoszare mundury ochroniarzy. Skandowali hasła, niektórzy mieli nawet transparenty. A więc dla nich ten wyrok też nie był zaskoczeniem, pomyślała. I także uznali go za kpinę. To dobrze, może to ich uratuje przed jej złością.

W czarnym kirze, z umazaną popiołem twarzą i burzą włosów, które wiły się wokół jej głowy węzowymi splotami, Agata Mitera wyglądała jak ucieleśnienie furii. Przez dziesięć lat żyła spokojnie. Nie chciała niczego więcej niż spokój, rodzina, dom dla córki i męża. I w Thornie je znalazła. Mogła zapomnieć, kim jest i z jakiej linii magicznej pochodzi.

Gniew palił jej wnętrzności niczym kwas. Czekala, aż na szczycie schodów pojawi się ten, który zabrał jej córkę, który sprowadził hańbę i rozpacz na jej dom. Przez chwilę bała się, że może wymknie się tylnym wyjściem, ale tylko by odwłókł nieuniknione. Miterowie zawsze spłacali swoje długi. I zawsze dostawali sprawiedliwość. Od pokoleń oddawali własną wolność za tę obietnicę. Sięgnęła do swojej magii i pozwoliła jej rozprostować skrzydła. Ochronna skorupka, dzięki której Agata żyła między ludźmi, jakby była jedną z nich, pękła z trzaskiem.

Drzwi się uchylily i zza nich, eskortowani przez ochronę, wyłonili się winni. Anatol Moskwin, ten, który odebrał jej córce spokój. Arbiter, który sprawiedliwość miał za kpinę. Gardiasz i licz, dla których polityczne gierki

były ważniejsze niż ludzka krzywda i sprawiedliwość. Jak można uleczyć ranę w sercu bez sprawiedliwości?

Spomiędzy fałdów czarnej szaty Agata wyjęła nóż i nacięła głęboko skórę przedramienia. Musiała przelać swoją krew. Krew, w której złożono obietnicę. Tę samą, która płynęła w żyłach jej dziecka. A gdy czerwone krople skapywały na chodnik, kobieta uniosła głowę ku niebu i zawołała:

– Ramnuzjo, przybądź i osądź, bo dzieje się niesprawiedliwość! Ramnuzjo, wysłuchaj córki rodu, który ci służył od pokoleń. Napraw krzywdy i wymierz karę! Ramnuzjo, o pani sprawiedliwa, pani nieustępliwa, pani nieunikniona, pani odpłacająca wedle zasług i krzywd!

Jej głos niósł się daleko. A krew pokrywała już całą jej dłoń i gromadziła się wokół stóp. Agata była gotowa przelać jej więcej, byleby bogini usłyszała jej wołanie z tej dalekiej i zimnej ziemi.

Nagły huk zatrzęsł ziemią pod jej stopami, szyby w oknach ratusza zabrzęczały. W powietrzu rozszedł się intensywny zapach jabłek i kapryfolium. Mitera zaśmiała się głośno, szeroko rozrzucając ramiona, jakby to z nich wyrastały potężne czarne skrzydła, które nagle pojawiły się za jej plecami. Pióra łopotały na wietrze szarpiącym czarną tkaniną sukni, a dźwięk towarzyszący ich ruchowi był niemal metaliczny. Złowrogie pobrzękiwanie, jakby każda z lotek była cienkim, precyzyjnym ostrzem.

Agata opadła na kolana, zakrwawioną dłonią dotykając rąbka szaty tej, do której należały skrzydła. Potężna sylwetka górowała na otoczeniem, twarz o wyrazistych rysach nie była wystarczająco ludzka, by pozostawić pole do spekulacji. Bogini miała na sobie czarną, gęsto marszczoną szatę, której fałdy poruszały się przy każdym ruchu. Do jej pasa z jednej strony przytroczony był ciasno zwinięty, skórzany, pleciony bicz, a z drugiej wisała pochwa na nóż. Czoło oplatała korona z kości i jelenich rogów, udekorowana spływającymi na czerń włosów łabędzimi piórami.

Okrzyki i rozmowy ucichły. Nagła cisza wydawała się tak gęsta, że niemal cielesna. Mieszkańcy zamarli w bezruchu. Agata oparła się zakrwawioną dłonią o chodnik, skłoniła głowę i wyszeptwała:

– Ramnuzjo, oddaję sprawę twoim sądom.

W dłoni bogini pojawiła się gałąź jabłoni, na której sąsiadowały ze sobą kremowe kwiaty i w pełni dojrzałe jabłka. Podała ją Agacie i łagodnie pogładziła kobietę po włosach.

- Dziecko, czuję twój ból i twoją krzywdę.

Spojrzała w górę schodów, gdzie, jak ogłuszeni, stali Arbitr, Gardiasz, lic i Moskwin, otoczeni ochroniarzami. Wiedziała, kim są. Agata od trzech dni stale wspominała ich w modlitwach.

Bogini sięgnęła po bicz. Przeciagnęła gęste skórzane sploty między palcami. Od dawna nie zstępowała między ludzi, ale wciąż miała wyznawców, jej imię nie przepało w mrokach dziejów.

Wspinając się pod schodach, strzeliła z bicza. Rozległ się grzmot, powietrze zapachniało ozonem i kapryfolium. Stanęła przed profesorem, wyższa o głowę i nieskończenie potężniejsza. Oto królik, który bawił się zmarłymi. Królik, który myślał, że umknie karze.

Gwałtownym ruchem wbiła mu rękę w pierś i zacisnęła dłoń na sercu. Jego oczy zrobiły się wielkie, jakby nie wierzył w to, co go spotkało. Ścisnęła mocniej, czując, jak serce pęka niczym balon nabrzmiały krwią. Cofnęła rękę i strząsnęła go z dłoni na stopień schodów.

- Sprawiedliwości stało się zadość - zagrzmiała.



Spojrzała na grupkę mężczyzn stłoczonych za plecami ochroniarzy jak spłoszone kurczęta. Machnęła dłonią, a umundurowani rozstąpili się przed nią jak Morze Czerwone.

- Ty i ty - wskazała Gardiasza i licza - nie należycie już do mojej domeny, zbyt martwi, by uznać was za żywych. Wspomnę o was bratu, na pewno się wami zainteresuje. Ale ty - zwróciła się do Arbitra - jesteś mój. Miałaś sądzić, a twój wyrok był kpina z sprawiedliwości. Składałaś obietnice i je złamałaś. Ty jesteś mój.

Zaśmiała się cicho i schwyciła go za kark. A on zniknął. W jednej sekundzie stał na schodach, w kolejnej nie było po nim śladu.

Bogini skierowała się w dół. Przystanęła przy klęczącej Agacie.

- Już starczy, dziecko, dokonało się. Znaj umiar i w rozpaczy, aby nie przechylić szali.

Agata pokiwała głową, szlochając. Ismena, która wyłoniła się spośród tłoczących się mieszkańców i przepchnęła między ochroniarzami, przypadła do córki. Objęła ją ciasno i powiedziała:

- Teraz może się goić.

Bogini skinęła głową.

- Niech tak będzie. Nie odwróć oka - powiedziała, ale w jej głosie pobrzmiwała odrobina ciepła. Następnie zwróciła się w stronę stojącego na szczycie schodów Gardiasza. - Winę za to ponosicie wyłącznie wy sami. Uznajcie to za ostrzeżenie. Ja jeszcze wiem, co to umiar, Erynie nie będą się przejmować formalnościami.

Poruszyła czarnymi skrzydłami i się uniosła. Przez chwilę trwała nieruchomo, zastygła w powietrzu, jak mroczna i przerażająca rzeźba, a potem znów trzasnęła z bicza. Przetoczył się kolejny grzmot, błysnęło i czerń jej skrzydeł na ułamek sekundy rozlała się po całym niebie. Gdy grzmot umilkł, nie został po bogini choćby ślad.

Gardiasz i licz stali jak porażeni, z jednym trupem u stóp i bez Arbitra, który jeszcze chwilę temu był obok nich. W nienaturalnej ciszy, jakby wszyscy ciągle wstrzymywali oddech, niepewni, czy bogini nie wróci, Katia nachyliła się do Dory i zapytała szeptem:

- Wiesz może, kim jest ten brat, którym groziła Gardiaszowi?

- Sądzę, że Tanatos – odparła przyjaciółka.

- Czyli to była... Nemezis? – domyśliła się Katia. – Nigdy nie słyszałam imienia Ramnuzja.

Dora kiwnęła głową.

- Ramnuzja to przydomek, od miasta, w którym mieściła się jej największa świątynia. Gdybym miała zgadywać, rodzina twojej klientki służyła w tej świątyni od pokoleń. Bogini nie pojawiłaby się dla byle kogo. No i faktycznie zakończyła sprawę. Nikt nie będzie dyskutował z Nemezis o sprawiedliwości jej wyroków – dodała.

Katia musiała się z tym zgodzić. Patrzyła, jak Gardiasz i licznicy zbiegają po schodach, a ochroniarze podążają za nimi, jakby właśnie sobie przypomnieli, że są na robocie.

Zapach jabłek i kapryfolium unosił się w powietrzu kilka kolejnych dni.

Żaden dom pogrzebowy nie przyjął ciała Anatola Moskwina. Pan Umarłych musiał się nim zająć osobiście. I znaleźć dla niego inne miejsce niż Cmentarz Centralny, gdzie żaden nie był mile widziany.

ROZDZIAŁ 43

Zamknięte rachunki

Katia wróciła do mieszkania zmordowana. Napięcie ostatnich trzech dni obciążało jej ciało jak wór cegieł. Wymówiła się od zaproszenia na kolację u Dory, nie miała siły na socjalizację. Potrzebowała prysznica i snu. Może teraz, gdy skończyła się cała ta chryja, a ona przejęła cmentarz na dobre, będzie jej dane przespać noc w spokoju, bez koszmarów? Nie miała jednak siły, by jechać do domku na Wrzosach. Wiedziała tylko, że nie pomyślała „mojego domu”, ale właśnie „domku na Wrzosach”. Jej podświadomość zaakceptowała fakty.

Leżąc w ciemności, zagrzebana w pościeli, myślała o wydarzeniach na schodach. Interwencja bogini, kto by się spodziewał! Próbowwała zasnąć, ale kłębiło jej się w głowie tyle obrazów i emocji, że tylko kręciła się pod kołdrą, coraz bardziej sfrustrowana.

Gdy wreszcie zasnęła, nawiedziły ją koszmary. Śnili jej się Nikoś i Kowal. Licz, który w innym grobowcu robi krzywdę innemu chłopcu. Puste trumny i zawodząca Matka Ziemia. Przez sen zaczęła nucić pieśń żalobną, a jej serce rozpadało się na milion kawałków. Coś sięgało po nią, ale była za daleko i czuła się z tym równie źle jak to, co próbowało ją dotknąć.

Obudziła się z krzykiem. Za oknem wciąż było ciemno, mimo to zerwała się z łóżka. Czuła się dość przytomna, by się ubrać, ale nie dość, by dyskutować z odczuwanym przymusem. Musiała tam iść! Natychmiast! Ssąca pustka w środku rosła z każdą sekundą i Katii trzęsły się ręce, kiedy wciągała kozaki.

Zbiegła po schodach i wypadła na ulicę. Zerknęła na zegarek. Do piątej brakowało kilkunastu minut. Wciąż było ciemno i zimno, ale nie mroźnie. Zaczął padać deszcz, lodowaty i nieprzyjemny. Katia postawiła kołnierz płaszcza i naciągnęła czapkę na uszy. Brnęła w ciemności i deszczu tam, gdzie musiała się znaleźć. Ulice Thornu były ciche i puste, nie spotkała nikogo.

Minęła Dom Ostatnich Pożegnań, rzuciła nawet okiem w ciemne okna. A potem zatrzymała się przy głównej bramie. Była zamknięta, ale zawiasy zaskrzypiały, ledwie sięgnęła do klamki, i brama stała przed nią otworem.

W domku dozorczy nie paliło się światło. Miała nadzieję, że nawet jeśli obudzi Kowala, nie przerwie snu Nikosia, który wciąż dochodził do siebie. Szła główną arterią i z każdym krokiem pustka ustępowała potrzebie. Może kiedyś uda jej się przekonać Matkę Ziemię, że wystarczy SMS, bez nieprzyjemności magicznego przywołania – nadal nie potrafiła się do tego przyzwyczaić i nie sądziła, by kiedykolwiek zdołała.

Matka Ziemia siedziała na ławeczce przy grobie Kariny Mitery.

– Wszystko się dobrze skończyło, prawda? Kowal mówił, że sprawca został ukarany – powiedziała spokojnym tonem. – Nie masz satysfakcji z wygranej?

– Chyba nie tak dużą, jak miałam nadzieję. System prawie go wypuścił. Gdyby nie interwencja bogini, chodziłby wolno. I został jeszcze licznik. Za krzywdę wyrządzoną Nikosiovi nie odpowie, bo Gardiasz nawet nie uważa tego, co zrobił, za przestępstwo.

– Przydałaby się mała interwencja, co? – Bogini zaśmiała się cicho.

– Nie jest zbyt dobrze z tym światem, jeśli znów potrzebujemy bóstw do sprzątnięcia bałaganu – szepnęła Katia i opadła na ławkę przy sąsiednim grobie.

Ze zdjęcia patrzyła na nią nastolatka o słodkim uśmiechu. Nazywała się Jadwiga Czegota i pochowano ją w tym miejscu, zanim Katia się urodziła. Przez chwilę nekromantka czuła chłodny powiew na twarzy, więc podejrzewała, że to duch Jadwigi, ale dopóki nie robił nikomu krzywdy i nie zgromadził dość energii, by się komunikować, nawet szaman niewiele mógł dla niego zrobić.

- Wpadłam na tego całego licza – powiedziała nieoczekiwanie Matka Ziemia.

Katia zamrugła zaskoczona.

- Gdzie? Kiedy?

- Przy Sanktuarium. Już po procesie. Szukał Nikodema. Nie znalazł. Za to ja znalazłam całą energię, którą ukradł chłopcu. Zabrałam ją i oddałam właścicielowi. Nikoś ma się dużo lepiej.

- A licz?

- Cóż, ma się dokładnie tak, jak na to zasłużył. Kradzione nie tuczy. Lepiej miejcie go na oku z Namiestniczką, bo wiele czasu nie zostało, nim zapragnie przeskoczyć do nowego, silniejszego ciała – przestrzegła.

- Och, będziemy go miały na oku – zapewniła Katia. - Dożyje wyborów?

- Zapewne. Z tego, co mi wyjaśnił Kowal, gdyby nie dożył, wcale by ci to nie ułatwiło życia i lepiej, byś go pokonała, zanim umrze.

Katia ukryła uśmiech. Kowal, szara eminencja.

- Może po wyborach wyjedzie? – powiedziała z nadzieją.

- Może trzeba mu będzie pomóc w podjęciu takiej decyzji.

Zanuciła kołysankę, słodką i łagodną, o gwiazdkach z nieba. Zachęciła Katię spojrzeniem, więc ta dołączyła przy drugiej zwrotce. Gdy skończyły śpiewać, Matka Ziemia uśmiechnęła się łagodnie i powiedziała:

- Nikoś też ma koszmary. Teraz znów śpi.

- Może z czasem zapomni.

- Może wystarczy, że wspomnienia stracą swoją władzę – zastanowiła się głośno bogini.

Katia nie była pewna, czy mówi tylko o chłopcu, czy też o niej. Nie pamiętała ze swoich koszmarów wystarczająco wiele, by wiedzieć, czym się karmiły. Zostawiła Matkę Ziemię na ławeczce przy grobie Karinki Mityry – dziewczynki, od której zaczęła się dla niej ta historia – i ruszyła do bramy.

Mijała właśnie Dom Ostatnich Pożegnań, kiedy zauważyła, że na piętze pali się światło. W oknie pojawiła się sylwetka Adama. Pomachał

do niej. Wahala się przez chwilę, a potem skrzyła. Wyminęła główne wejście do domu pogrzebowego i obesła budynek. Nacisnęła klamkę bocznych drzwi. Wdrapała się po schodach na piętro, a Adam stał już w progu mieszkania we flanelowych spodniach w kratę i szarym T-shircie. Trochę zaspany, mocno potargany i tak słodki w swoim frasunku, że miała go ochotę uściskać.

– Wszystko w porządku? – zapytał cicho.

– Chyba tak. Nadal nie mogę spać. A Matka Ziemia chciała pogadać.

– No tak. Wejdiesz? Możemy przetestować teorię Pani Śmierci.

– Którą? – zapytała półprzytomnie.

– Tę o korzeniach. Może powinnaś spróbować przespać się u mnie?

– Ale ty też masz mieszkanie – zaprotestowała rozbawiona. – Obudzę się z wrzaskiem i już nigdy nie spojrzysz na mnie tak samo.

– Niby mieszkanie, ale w moim budynku, na mojej ziemi. Według mnie to prawie jak dom.

– A nie muszę mieć do tego, nie wiem, aktu własności?

– Chyba nie wspominała nic na ten temat. Może wystarczy pozwolenie właściciela na zapuszczanie korzeni? Masz je, możesz u mnie zapuszczać korzenie, jak głęboko zechcesz – powiedział i uśmiechnął się tak, że zmiękły jej kolana. Niebezpieczny typ!

– Może warto poeksperymentować – odparła rozbawiona – ale jestem tak wykończona, że potraktuję twoją propozycję przespania się dosłownie. Na wszelkie aktywności wymagające energii nie mam dziś sił.

– Wchodź. – Zaprosił ją szerokim gestem.

Nie zastanawiała się ani chwili.

Pożyczył jej swoją koszulkę do spania i pozwolił wybrać stronę łóżka. Odetchnął z ulgą, gdy nie wybrała tej, którą uważał za swoją, choć był gotów się przenieść na drugą, gdyby to miał być punkt sporny.

Zasnęła w jego objęciach jak dziecko. Może powinno mu to sięść na ego, ale był na to zbyt rozsądny. Wtulił nos w jej włosy i odpłynął w sny. Lepsze i słodsze niż te, z których wyrwał go wcześniej sygnał alarmu kamery, gdy ta wykryła ruch.

Rano obudziła się pierwsza. I miała dużo więcej energii na rzeczy, które warto robić z entuzjazmem. A skoro i on obudził się w znakomitym nastroju, mogli przetestować jeszcze jedną teorię – tę, że wcale dobrze do siebie pasują.

Pasowali.

Przy śniadaniu, które Adam wyczarował w sposób dla Katii niewytłumaczalny, nad drugą filiżanką świetnej kawy, powiedział nagle:

– Być może działam wbrew własnym interesom, ale myślę, że powinienem ci coś pokazać.

– Coś równie ciekawego jak to, co pokazałeś mi przed śniadaniem? – zapytała rozbawiona.

– Zabijesz mnie – jęknął ze śmiechem, a policzki uroczo mu się zarumieniły.

Słodziak, pomyślała nekromantka. Zabijanie go było ostatnią rzeczą, którą chciałyby mu zrobić.

*

Nie chciał jej powiedzieć, gdzie idą. Tajemniczy i aż rozdygotany z ekscytacji, prowadził ją przez cmentarz. Przecinali go w poprzek, w przewężeniu na wysokości kwartału czwartego, między mauzoleami, grobowcami i okazałymi pomnikami, w cieniu starego drzewostanu, aż dotarli do niewielkiej i niemal całkowicie ukrytej pod gęstym bluszczem furtki. Nacisnął klamkę, a gdy ustąpiła, wykonał zapraszający gest, wskazując Katii przejście. Przeszła nad wysokim progiem z cegieł, opuszczając teren cmentarza. I jak zaczarowana patrzyła na coś, czego nie widziała nigdy wcześniej.

Dom z czerwonej cegły, z dachówkami pozieleniałymi od mchu i porostów, z ciemnozielonymi drzwiami i takimiż oknami, stał częściowo ukryty pośród starych świerków. Dłuższy bok działki był przyklejony do muru cmentarnego, a otaczający go drewniany płot wrażał w cegły. Wąska droga biegła od furtki, wzdłuż murów, aż do ulicy.

– O bogowie, chyba się zakochałam! Kto tu mieszka? – zawołała.

– Teraz już nikt – odparł Adam. – Mówią na to domek grabarza i kiedyś faktycznie mieszkał tu grabarz. Nazywał się Bogdan Grażny, a po jego śmierci domek został w rodzinie, choć nikt z Grażnych nie pracował już w branży. Mówi się, że jest nawiedzony jak jaskinia pełna nietoperzy. Słyszałem też, że nikt go tak naprawdę nie wybudował, a cmentarz sam go stworzył, jakieś sto dwadzieścia lat temu, by nagrodzić Grażnego za zasługi. Jeszcze w zeszłym roku mieszkała tu Maryla Grażny, prawnuczka czy praprawnuczka Bogdana. Po jej śmierci dom przeszedł w posiadanie jej syna. Ale on mieszka po drugiej stronie bramy, wiesz, wielkie miasto, wielka kariera.

– Może chciałby sprzedać ten dom? – zapytała Katia z nadzieją.

– Dom nie może zostać sprzedany. Ale może być oddany w wieczystą dzierżawę. Wyłącznie wieczystą. Takie warunki otrzymał Bogdan i wszelkie próby ich obejścia przez syna Maryli nie kończyły się najlepiej. Dom musi zaakceptować nowego lokatora. A lokator musi się pogodzić z pewnymi... wymaganiami.

– Jakimi? – zapytała nieco nieufnie.

– Żadnego egzorcyzmowania duchów, dopóki nie powodują szkód i nie są agresywne. Żadnego przebudowywania, rozbudowywania, wyburzania ścian i tak dalej. Dom trzeba traktować jak żywy organizm, z szacunkiem. No i są koty.

Katia zamrugnęła:

– Żywe koty czy martwe koty?

– Żywe. Trzy sztuki. Rozpieszczone i charakterne. Spadek po pani Maryli. Są wliczone w najem do końca swych kocich żywotów. Nie chcą opuścić domu, więc nie ma mowy o wydaniu ich w dobre ręce. Wiem, bo aktualnie to ja je dokarmiam.

Katia przymknęła oczy. Nie chciała zakochać się w tym domu z miejsca, natychmiast. Musiała pomyśleć.

– Czy mógłbyś umówić mnie z właścicielem? Chciałabym zajrzeć do środka.

– Nie muszę cię umawiać, mam klucze i oprowadzałem już kilka osób. Choć od ostatniego razu minęło ładnych parę miesięcy.

– Jak to możliwe, że nikt się nie zdecydował?

Uśmiechnął się.

– Bo wszystko to, co odstręczało ludzi, dla ciebie jest zaletą. Patrz: dla nich to nieprzyjemna okolica, dla ciebie miejscówka rzut beretem od pracy. Im cmentarz mógł odstawić szopkę z trzaskaniem drzwi, skrzypieniem podłóg i chichotami na poddaszu, tobie, swojej opiekunce, nie będzie uprzykrzał życia, wręcz przeciwnie. Dla ciebie koty to gratis od losu, a niektórzy, co niepojęte, nawet ich nie lubią. Nie mówiąc o tym, że ludzi przeważnie przerażają duchy i widok grobów z okna, a ty jesteś otrzaskana z takimi obrazkami.

– Rozumiem, że dom zniechęcił potencjalnych lokatorów do przeprowadzki? – domyśliła się Katia.

– Ostatni nie wytrzymał w środku nawet dwudziestu minut – przyznał Adam.

– Potrzebny jest remont?

– Najwyżej odświeżenie, bo wszystkie instalacje są w pełni sprawne. I miałabyś do mnie naprawdę blisko!

– Chodźmy więc, sprawdźmy, czy dom mnie polubi – powiedziała Katia. Sama już zaczynała go lubić. Miał charakter!

*

Kiedy weszli do środka, wszystkie deski podłogowe zaskrzypiały, jakby w budynku roilo się od osób. Wiatr świsnął w kominie, w rurach donośnie zabulgotało, a żarówka u sufitu zaczęła mrugać.

– Hej, ona jest naprawdę miła! Daj jej szansę! – zawołał Adam.

Wszystkie hałasy ucichły. Skończyło się mruganie.

– Dziękuję! – zawołała rozbawiona Katia.

– Wspominałem, że na tyłach jest letnia kuchnia, w której zmieściłabyś piec i pracownię? – zapytał gładko Adam.

– Gdyby w branży pogrzebowej zaczęła się posucha, możesz się przetrzucić na sprzedaż nieruchomości – przyznała. – Pokaż mi tę letnią kuchnię!

Nie przesadzał. Letnia kuchnia była obszernym i widnym pomieszczeniem. Katia bez problemu mogła sobie wyobrazić w środku piec, suszarnię, stanowiska do pracy. Miałyby tu prawie cztery razy tyle miejsca, co w przydomowej komórce na Wrzosach!

Z letniej kuchni wyszła na tylne podwórko. Mimo wczesnej wiosny już widziała potencjał tej działki. Wzniesione rabaty aż się prosiły o kępy wieloletnich bylin. I hortensje! Katia zawsze marzyła o ogromnych krzakach hortensji, ale na jej maleńkim podwórku nie było dla nich dobrych warunków. Tu mogłaby mieć całe szpalery hortensji!

Trzy tłuste koty siedziały na ławce pod jabłonią. Patrzyły na Katię z ostrożnym zainteresowaniem. Podeszła do nich powoli.

– Chcielibyście mieć nową opiekunkę? – zapytała wprost.

Obwąchały ją z uwagą. Kichnęły, gdy martwa magia prześlizgnęła się jej po skórze. Jeden po drugim zeskoczyły z ławki i otarły się o nogawkę nekromantki, a potem niespieszonym truchtem oddaliły się w stronę zarośli. Taki przejaw aprobaty musiał jej wystarczyć.

*

Uważnie obejrzała każde z pomieszczeń. Starła się nie meblować ich w głowie swoimi rzeczami, nie wybierać kolorów ścian. Zachować obiektywizm, uwzględnić plusy i minusy, podjąć racjonalną decyzję. Ale nie umiała. Zakochała się w tym domu od pierwszego wejrzenia. Jego atmosfera, przytulny klimat, sąsiedztwo, nawet ciekawskie duchy, które pokazały jej się w lustrze, gdy zajrzała do łazienki – wszystko wołało do niej i trafiało ją w miękki.

Był większy niż jej domek na Wrzosach, może za duży dla jednej osoby. Ale w sam raz, jeśli ta osoba poza przestrzenią do życia potrzebowała pracowni i przestrzeni do prowadzenia firmy oraz magazynowania towaru. Taki był racjonalny powód, by chcieć tu zamieszkać. Nie mniej ważne było to, że serce Katii znalazło tu spokój. A ponieważ mogła bez przeszkód zapuścić tu korzenie, nie musiała się martwić nawrotem nocnych koszmarów. Wymóg wieczystej dzierżawy jej nie przerażał. Nigdzie się nie wybierała – przecież miała cmentarz pod opieką.

- I jak? - zapytał Adam cicho.

- Najchętniej podpisałabym umowę jeszcze dziś.

Radosne okrzyki dobiegające z poddasza pozwalały zakładać, że duchy są z tego faktu bardzo zadowolone.

- Zadzwońię do syna pani Maryli. Będzie zachwycony.

- Nawet mnie nie zna.

- Nie uciekłaś z krzykiem. A jemu zostały ledwie trzy miesiące, by kogoś znaleźć, inaczej sam musiałby się tu wprowadzić. Powiedz, że ciągle się wahasz, a zjedzie z czynszu w rejony pół darmo.

- Moje ulubione rejony, jeśli idzie o czynsz - powiedziała ze śmiechem.

Przytulił ją, a ona poczuła, że wszystko wreszcie jest na swoim miejscu. Ona też.

EPILOG

Supelki i kokardki

Trzy miesiące później

Katia chodziła po domu, upewniając się, czy wszystko spakowała. Ubrania i drobniejsze sprzęty, które mieściły się w bagażniku czy na tylnym siedzeniu, przewoziła już od kilku dni na drugą stronę bramy, ale wciąż zostało jej mnóstwo dobytku. Przez lata obrastała przedmiotami i nie sądziła, że posiada ich aż tyle. Do tego do każdego miała sentyment. Ostrożnie pakowała do pudeł niezliczone książki, kolekcję butów i całą baterię kubków – więcej, niż potrzebowałyby dwudziestoosobowa rodzina.

Po meble i inne większe rzeczy miała przyjechać furgonetka, którą załatwiła Dora, razem z trzema wilkami w charakterze tragarzy. Mieli się zjawić za kilka godzin. Wszystko było już właściwie spakowane. Katia pozdejmowała ze ścian obrazy, grafiki, zdjęcia, zniosła na kuchenny stół rośliny ze wszystkich pokoi, pozwijiała chodniki i dywany.

Zostało jedno duże zadanie, które – z czego zdawała sobie sprawę – odkładała w nieskończoność. Przeszła do pracowni, pełnej składanych skrzynek i pudeł. Musiała je zapełnić, zanim przyjedzie wóz przeprowadzkowy.

Czekała ją kupa roboty! Owijała kolejne przedmioty – te wypalone i szkliwione, ale też biskwity, które wciąż czekały na udekorowanie. Może latem będzie miała więcej czasu i uwinie się z nimi do jesiennych kiermaszów i festiwali. Wkładała do skrzynek butelki i słoiki farb i szkliw,

pęki pędzli i narzędzia do obróbki gliny. Pracowała intensywnie dwie godziny, aż odezwał się jej kręgosłup. Przeciągnęła się, by go trochę zdekompresować, i rozejrzała się po pracowni. Nawet nie ruszyła regału zastawionego największymi naczyniami, w tym małą kolekcją urn, które zrobiła z myślą o pani Stasi – od tych wyglądających jak słoje na ciastka, po trzy bardziej klasyczne, zgodne z wytycznymi klienta.

Usłyszała kroki na podwórku. Myśląc, że to Adam, który obiecał wpaść z pomocą, otworzyła szeroko drzwi z uśmiechem na ustach. Ale to nie on stał na ścieżce, z dłońmi niezręcznie wciśniętymi w kieszenie.

– Panie Kazimierzu, miło pana widzieć – zwróciła się do sąsiada.

– Słyszałem, że się pani przeprowadza. – W jego głosie dało się wyczuć napięcie.

– To prawda, znalazłam sobie trochę większą pracownię – odparła wymijająco.

Nie mogła powiedzieć sąsiadom, że się przenosi na drugą stronę bramy, do alternatywnego miasta, które nazywa się Thorn i mieszkają tam magiczni, tacy jak ona – dzielenie się takimi informacjami z niemagicznymi było całkowicie zakazane. Jako świeżo upieczona członkini Starszyny nie mogła sobie pozwolić na niedyskrecję. Oczywiście zauważyli, że coś się święci, bo przez ostatnie dwa miesiące mało co bywała w domu. Remont, sprawy związane z kandydowaniem i wyborami i całkiem miło rozwijający się romans – wszystko to trzymało ją po drugiej stronie bramy. Dlatego utrzymywała, że przeprowadza się pod miasto, gdzie jej firma będzie mogła rozwinąć skrzydła.

– Czyli sprzedała pani dom Bączkowskiemu? – zapytał z nieskrywaną przyganą.

– A skądże, ułatwianie życia takim typom jest sprzeczne z moim charakterem. Jeszcze nie sprzedałam domu.

– A zamierza pani?

– Może. Nie wiem. Nie chcę, by trafił do Bączkowskiego. A pozwolenie, by ktoś obcy władował się na tę minę, wydaje mi się nieuczciwe.

Pan Kazimierz z westchnieniem pokiwał głową.

– Pani Katiu, a może by mnie pani ten domek sprzedała?

– Ale po co panu drugi dom na tej samej ulicy? – zdziwiła się Katia.

– Moja wnuczka, widzi pani, ma ciężką sytuację. Odeszła od męża z dwójką małych dzieci. Nie ma się gdzie podziać. I powinienem może ją wziąć do siebie, ale u mnie byłoby im ciasno. Zresztą stary dziad tylko płatałby im się pod nogami. – Skrzywił się i zaraz dodał: – A oni staremu dziadowi. Lubię swoją rutynę, swoją ciszę. Lepiej byłoby, gdyby mieszkali po sąsiedzku.

– To brzmi rozsądnie – przyznała.

– Ile by pani chciała za ten domek? Mam pieniądze, trochę oszczędności, z polisy Stasi też coś zostało... – Wymienił kwotę. Znacznie niższą niż wartość domku.

Bączkowski proponował dwa razy tyle, ale jemu nie sprzedałaby, nawet gdyby chciał uczynić ją milionerką. Ba, skontaktowała już najbliższych sąsiadów z prawnikiem, który pro bono miał im pomóc obronić się przed planami nowobogackiego fana brutalizmu.

Katia była świadoma, że z racji na wiek pan Kazimierz nie dostałby kredytu. Samotna matka z dwójką dzieci też miała nikłe szanse. Poza tym nekromantka źle by się czuła, przyjmując od emeryta wszystkie jego oszczędności.

– A interesowałby państwa wynajem? Mogłabym zaproponować bardzo dobrą ofertę – zapewniła. – Umówilibyśmy się na kilka lat, a gdyby w którymkolwiek momencie wnuczka zechciała kupić domek, miałyby pierwszeństwo. Co pan na to?

Na twarzy mężczyzny odmalowała się ulga.

– Miałoby to sens. Porozmawiam z Moniką i dziećmi.

Nagle Katii coś się przypomniało.

– Przecież ja mam coś dla pana! – zawołała. – I dla pani Stasi. Proszę, niech pan wejdzie.

Ruszył za nią do pracowni. Gdy weszli do środka, Katia zdjęła z blatu kilka skrzynek wypełnionych ceramiką i ustawiła w ich miejscu trzy klasyczne urny, dokładnie takie, jakie zamawiał sąsiad.

Mężczyzna oglądał je z zainteresowaniem, ale jedną po drugiej odstawiał z powrotem na stół.

– Nie wiem... chyba żadna do niej nie pasuje... Bardziej do mnie, zwłaszcza ta ciemnozielona, aż krzyczy: „Kazimierz Kaczmarek!”, ale nie do Stasi... Zrobiła pani, co chciałem, ale sam nie wiedziałem, czego chcę.

– Westchnął z frustracją.

Katia zdjęła z regału dwie kolejne urny, tym razem takie, które wyglądały jak słoje na ciastka. Jedną pokryła warstwą fioletowej farby, wypaliła, a następnie pomalowała całość farbą miedzianą, która teraz połyskiwała metalicznie i ciepło.

Druga była nawet bardziej spersonalizowana – całe naczynie powlekle pastelowym gradientem, od ciemnego fioletu na spodzie, aż po eteryczny róż na wieczku, które dodatkowo udekorowała wzorem przypominającym robótkę na drutach. Z obu urn była dumna, ale ta druga, przynajmniej jej zdaniem, pasowała do pani Stasi idealnie.

Miała też przygotowaną plakietkę z imieniem i nazwiskiem, którą można było przymocować w specjalnym wgłębieniu w najszerszym miejscu pękatego naczynia.

Pan Kazimierz wziął do ręki gradientową urnę i aż jęknął.

– Mój Boże! Sama by sobie nie wymyśliła nic lepszego!

– Przypomina trochę słoje na ciastka – zaznaczyła lojalnie Katia.

Pan Kazik zaśmiał się cicho.

– Podobałoby się jej: prochy w słoju na ciasteczka. Zawsze ją bawiły tego rodzaju żarciki: spodziewasz się w puszcze ciastek, a znajdujesz przybory do szycia. Prochy w słoju na ciastka ubawiłyby ją do łez! – Oczy mu się zaszkliły, więc szybko wytarł je kciukiem. – Dokonała pani wielkiej rzeczy, pani Katiu, jest pani wybitną artystką. Proszę podać cenę, a ja się nie będę targował. – Uśmiechnął się wzruszony. – I tę zieloną też wezmę, dzieci się nie będą musiały zastanawiać, jaka pasowałaby do mnie.

Katia zapakowała starannie obie urny, podała mu je i powiedziała:

– Na pamiątkę dobrego sąsiedztwa. Kiedy się tu wprowadziłam, nie miałam nikogo i byłam całkiem sama. Przygarnęliście dziewczynę znikąd,

tak że nie czuła się już sama.

Jej też zaskliły się oczy, ale nie wstydziła się tych łez. Pożegnanie z domem przyszło jej łatwiej, niż sądziła. Ale za sąsiedztwem będzie tęsknić.

– Ech, kobiety zawsze faceta rozkleją – wyburczał pan Kazik, a potem objął Katię niezręcznie, balansując trzymanymi w ramionach urnami.

*

Tak, tak, Katia wygrała wybory. Które zresztą okazały się nie lada wydarzeniem – frekwencja przekroczyła osiemdziesiąt trzy procent! Roman podejrzewał, że z tych siedemnastu, które nie przyszło głosować, część była martwa, bo od dawna nikt nie aktualizował spisu powszechnego. Katia dostała siedemdziesiąt cztery procent głosów. Co ciekawe, za liczem opowiedziało się jedenaście procent głosujących. Reszta proponowała inne rozwiązania, czasami rozwodząc się w kilku akapitach, czasami stawiając znaczek anarchii poniżej nazwisk kandydatów. Niektórzy obywatele Thornu wykorzystywali kartę wyborczą do zgłaszania sugestii, kogo ze Starszyny należałoby usunąć i dlaczego. Notowania Gardiasza nigdy nie były tak fatalne, ale spływało to po nim jak po kacze.

Licz się przejmował. I to nawet nie spektakularną przegraną, ale tym, co się z nim działo po odebraniu mu przez Matkę Ziemię esencji życiowej wykradzonej Nikodemowi. Delikatnie mówiąc, wszystko mu się sypało. Dopadł go szybko postępujący rozkład. Dopadła go też Namiestniczka, która nie spuszczała go z oka i uprzedzała każdy jego krok. Nie miał szans nikogo porwać czy przenieść się do innego ciała. Może gdyby został członkiem Starszyny, sprawy ułożyłyby się inaczej, tymczasem cóż – w dniu ogłoszenia wyników spakował swój dobytek i wyjechał. Na wschód, do Rosji. Głęboko wierzył, że ta wciąż jest oazą poszanowania tradycyjnych wartości. Może i tak, ale Katia wyczuwała wokół niego aureę śmierci tak gęstą, że wątpiła, by miał wystarczająco dużo czasu na przeprowadzenie swoich ohydnych rytuałów. Nikt po nim nie płakał, to pewne.

Wilki sprawnie pakowały dobytek Katii do ciężarówki. Trzy kursy i wszystkie jej rzeczy znalazły się w nowym domu. Gdy trafiły na swoje docelowe miejsca, nekromantka miała wrażenie, że stały tam od zawsze.

Nakarmiła wilki pizzą i napoiła piwem, bo nie chciały przyjąć od niej pieniędzy. Parę dni wcześniej Dora wparowała z kilkunastoma wilczymi nastolatkami i zapędziła ich do malowania ścian. Tamci też nie chcieli słyszeć o zapłacie, ale jedzenie pochłonęli, jakby pościli co najmniej od tygodnia!

– Wilczy metabolizm. Lepiej ich ubierać niż żywić – skwitowała Dora, wymachując pędzlem.

Adam też wpadał pomagać z remontem. Ich bliskie sąsiedztwo miało zresztą wiele innych zalet. Przez całe dni doprowadzała dom do ładu, a potem, pod wieczór, przecinała cementarz i wpadała do Adama akurat w porze kolacji. I zwykle zostawała na noc. Czasami odprowadzał ją rano do domu, a potem ona jego, i znów... Jeśli Kowal wiedział, że łązą rozmigdaleni między nagrobkami, nie komentował tego zupełnie. Cmokał tylko z zadowoleniem, widząc, jak się całują przy furtce, że wreszcie pannica nie komplikuje rzeczy prostych, bo też co tu komplikować.

Nawet Roman i Borys odwiedzili Katię pod nowym adresem. Książę wampirów miał zaskakująco dobre oko do kolorów i świetnie doradził jej odcień błękitu do sypialni. A Kamal przyniósł ogromną monsterę – ledwie się z nią zmieścił w futrynie.

– Pamiętam, że zawsze ci się podobały, ale nie miałaś na nie miejsca. Teraz już masz – powiedział i ucałował ją serdecznie w oba policzki.

Przez pierwsze dni regularnie ktoś do niej zaglądał, dopytywał, czy niczego jej nie potrzeba, albo przynosił jakiś praktyczny prezent. Wyglądało na to, że pewne rzeczy się nie zmieniły – miała w najbliższym otoczeniu wspaniałych, pomocnych ludzi. Duchy z poddasza były podekscytowane tymi wszystkimi nowymi twarzami. Nie cierpiały, gdy dom stał pusty, bo co to za frajda ze straszenia, gdy nie ma nikogo żywego, kto pisałyby ze strachu, gdy nagle dźgnie się go w kark zimnym

paluchem? I tylko z szamanem musiały się krótko rozmówić – żadnego wypędzania, egzorcyzmowania, żadnych innych wrogich działań. Miały to w kontrakcie!

Jedynie koty nie były zachwycone tą falą odwiedzin. Chowały się w letniej kuchni, powoli zmieniającej się w pracownię, i rozsiadały na parapecie, obserwując przez szybę rozrywkę, która pojawiła się wraz z nową gospodynią.

W gęstych krzakach zadomowiła się cała armia wróbli. Przyleciały za Katia, jakby doskonale wiedziały, że za kilka miesięcy zawiesi na gałęziach jabłoni kolorowe karmniki, więc lepiej zaklepać sobie miejsce już teraz, zanim zlecą się sikorki, czyżyki czy szczygły. Wróble wyklócały się między sobą, wszczywały awantury ze srokami i zaczepiały koty przy każdej okazji, wypełniając ogród harmidrem.

Koty były za stare i zbyt leniwe, by się uganiać za hultajami, ale popatrzeć przez szybę, pacnąć łapką o szkło, i owszem, lubiły.

Książki Anety Jadowskiej w wydawnictwie SQN

THORNVERSE

Heksalogia o Dorze Wilk

Złodziej dusz

Bogowie muszą być szaleni

Zwycięzca bierze wszystko

Wszystko zostaje w rodzinie

Egzorcyzmy Dory Wilk

Na wojnie nie ma niewinnych

Trylogia Szamańska

Szamański blues

Szamańskie tango

Szamański twist

Trylogia Nikity

Dziewczyna z Dzielnicy Cudów

Akuszer Bogów

Diabelski Młyn

Kroniki Sąsiedzkie

Afera na tuzin rysiów

Próby ognia i wody

Kroniki Thornu

Dzikię dziecko miłości
Katia. Cmentarne love story

Zbiory opowiadań

Ropuszki. Opowiadania ze świata Thornu
Dyńia i Jemioła. Nietypowe historie świąteczne
Kurczaczek i Salamandra

Dla dzieci

Przygody małego duchołapa

SERIE POZA THORNVERSE

Klan Koźlaków

Cud, miód, Malina
Cuda wianki. Nowe przygody rodziny Koźlaków

Garstka z Ustki

Trup i inne sekrety rodzinne
Martwy sezon
Denat wieczorową porą

Katia. Cmentarne love story

Copyright © by Aneta Jadowska 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Anna Strożek, Magdalena Świerczek-Gryboś

Opracowanie typograficzne i skład – Katarzyna Kotynia, Natalia Patorska

Okładka – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

Ilustracje wewnątrz książki – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788383303697

ISBN epub: 9788383303703



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaik

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

RODZINA KOŹLAKÓW NIE POWIEDZIAŁA JESZCZE OSTATNIEGO SŁOWA!

Gdzie się nie pojawia, tam wszechogarniający chaos.
Aneta Jadowska, twórczyni cyklu, tak prędko nie pozwoli
Kozłaczkom na wyrwanie się z okowów szaleństwa.
Na czytelnika już czeka masa niecodziennych przygód –
od afery narkotykowej po całkowitą anihilację miasteczka.
Z taką rodzinką nic nie może być ani proste, ani tym bardziej zwyczajne.



Z KOŹLAKAMI TRUDNO NARZEKAĆ NA NUDE!

Szukaj w dobrych księgarniach

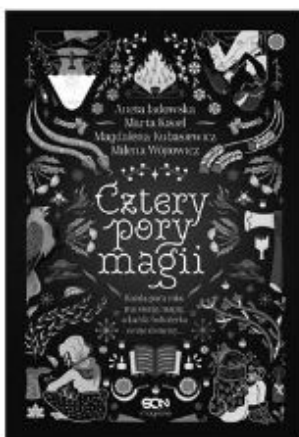
SON

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

**CZTERY PISARKI.
CZTERY OPOWIEŚCI.
CZTERY PORY ROKU.**

Cztery oblicza słowiańskiej mitologii i magii.
Wymarzone i wyczekiwane połączenie jednych
z najgorętszych nazwisk polskiej fantastyki!
Jadowska, Kisiel, Kubasiewicz, Wójtowicz
– to musi być magicznie wciągające!



**KAŻDA PORA ROKU MA SWOJĄ MAGIĘ, A KAŻDA
BOHATERKA SWOJE DEMONY...**

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

ANTOLOGIA INSPIROWANA PRACAMI JAKUBA RÓŻALSKIEGO

Dwanaście utalentowanych polskich autorek SF i fantasy oraz ceniony współczesny artysta, autor niepokojących, sugestywnych obrazów.

Dwanaście opowieści, dwanaście poruszających prac.

Niezliczone emocje, trudne dylematy i fascynujący bohaterowie żyjący pod niebami innymi niż nasze.



ODLEGŁE KRAINY. ODMIENNE EMOCJE. INNE NIEBA

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami sine qua non, warunkiem koniecznym
istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje
dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję,
że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL **labotiga.pl**